Maryla Wolska

„Quod libet"

kopia masz.

Maryla Wolska

QUOD LIBET

" Ecce infantia mea olim mortua est
et ego vivo... "

św. Augustyn

SKOROWIDZ TRESCI

....

" Ow "Quod libet " to była jakby płytka szuflada,nie
duża,wieszana na gwoździu,jak obraz, pokryta szkłem,
podobna do tych,w jakich się zamyka zbiór motyli.
Dno jej wyścielone podwatowanym,białym atłasem,pełne
było poprzyszpilanych drobiazgów,najprzeróżniejszych
pamiątek, za każdą zaś z nich ciągnęła się lotna
smużka wspomnień....(–) Pamiątki to czasem nic in=
nego,tylko te rozbiegające się obręcze na wodzie,
w którą wpadł kamyk...Póki drży owa najsłabsza,naj=
dalsza – jeszcze się wie,że to ślad istnienia ja=
kiejś rzeczy,czy duszy, co znikła... "

(-str. 47)

Pamiętam w domu jedno miejsce na ścianie, na które w zi=
mie padała zwykle czerwona plama zachodzącego słońca.

Nad moją wąską, białą szafką z dziecinnymi książkami,
na popielaty deseń ściany w mroczne popołudnie, gdy szyby za=
czynały marznąć a w pokoju robiło się coraz chłodnie...

Cedzić się musiał ten ostatni promień przez jakieś da=
lekie drzewa, bo drgało w nim coś niby splątany rysunek gałęzi
i cienie ptaków, gromadzących się już wcześnie na sen.

I zawsze patrząc na tę od lat znajomą, świecącą plamę,
czułam jedno - nie wiadomo dlaczego właśnie to ? - że tak dobrze
w domu i bezpiecznie i że takie jeszcze mnóstwo, niesłychane mnós=
two czasu na wszystko...

I myslałam o tym, że mróz bierze i że gdzieś, nad wielkimi
drzewami krążą pewno gromady zmarzniętych wron i kawek a niebo
za nimi staje się coraz czerwieńsze i złocistsze...

Nie przyśniło mi się nigdy, że te wielkie drzewa rosną
w ogrodzie, który kiedyś nazwę sama - Zaswieciem.

A wśród stygnącej szarzyzny kątów, pąsowa plama blasku
drgała i mieniła się jakimś odległym, nie swoim życiem...

Trwało to zawsze tylko krótką chwilę.

Promień słońca obsuwał się ze ściany na dużą mapę Europy
nad starą kanapą i gasł - na Islandii.

Wtedy w mrocznym pokoju robiło się odrazu bardzo chłodno
i późno...

....

A dziś, po latach, o wczesnym zachodzie zimowego dnia,
chciałabym móc przywrzeć dojrzałymi ustami do owej ściany i po=
całować - zanim by zgasło, na Islandii - tamto dawne, kochane,
domowe słońce...

Urodziłam się 13-go marca 1873 r, we Lwowie,w słoneczne południe,w domu na którego miejscu stanął później gmach Kasyna Narodowego. Okna parterowego mieszkania patrzyły w Ogród Jezuicki a ulica nosiła już wtedy nazwę ulicy Mickiewicza.

Pierwsze kwiatki w życiu,pierwsze śnieżyczki,położyła mi na powiciu Matka Dora, pani Skólimowska z Dynisk. Następnego roku w jesieni już nie żyła, ale jej dobrotliwe ręce zdążyły jeszcze obdarzyć mnie mnogością ślicznych stroików, jak zaś zdążyłam nauczyć się jej imienia i wołać na nią : matka Dola". Haftowała i szyła dla mnie pelerynki, katanki,kapturki... Jeden z misternych buciczków jej roboty, amarantowy z czarnym,sukienny, wisi w Quodlibecie Cioci Tereni.

Dzięki stosowi starych kalendarzy,w których rodzice przez długi szereg lat zapisywali ważniejsze wydarzenia, mogłam i ja, wertując je - już samotna na Zaświeciu- przyjrzeć się zbliska początkom własnym, przekonać się, jak nic jeszcze sama o sobie nie wiedząc, widna już byłam w domu, ważna i kochana od pierwszej chwili,aż do tej żałosnej ostatniej, gdym po latach,z dawnego zespołu,została na świecie sama.

Nowy Rok w tych kalendarzach zaczynał zwykle Tatko słowami : " W Imię Ojca i Syna i Ducha św. - amen." Pod datą 6 kwietnia r.1873 pierwsza dłuższa o mnie relacja :

" W Palmową Niedzielę odbyły się chrzciny naszej córeczki. Około pierwszej godziny w południe przyjechałem z ks.Kanonikiem Skibińskim od św. Magdaleny i zastałem już bardzo wiele zaproszonych gości. Zaraz przystąpiono do ceremonii. Jako chrzestni rodzice byli w pierwszej parze Henryk Rodakowski i panna Leonia Blühdorn (Rodakowskiego pasierbica a moja uczennica) w drugiej parze stanął Kornel Ujejski i Leonia Sawczyńska. Dziecina dostała imiona:Maria Wanda.

O drugiej,po skończonej ceremonii chrzcin i wywodu matki,przeszli wszyscy goście do drugiego pokoju i zasiedli do suto zastawionego śniadania.

Z gości oprócz wyżej wymienionych chrzestnych rodziców,była następujące osoby: PP. Sawczyńscy, Tatomirowie, Pawłowscy,Józef Waśkiewicz,stary żołnierz,kapitan 4-go pułku ułanów w 1831 r., Wł. Zawadzki,literat, F. Richter,księgarz i wydawca "Strzecha"

~~xxxxxxxxxx~~, p. Mieczysław Darowski *), Jan Amborski literat, Dr. Adam Czyżewicz, Józef Ekielski i Bolesław Skólimowski.

Usposobienie było bardzo ożywione. Wznoszono rozmaite toasty. K. Ujejski z przemową do nowonarodzonej, Darowski dla rodziców chrzestnych, Rodakowski dla rodziców nowoochrzczonej. Dalej szły inne toasty, nareszcie z piękną przemową Sawczyński wzniósł toast na cześć Poezji i Sztuki i jej tu reprezentantów. Około czwartej skończyła się ta uroczystość i goście się zaczęli rozchodzić.

Jako chrzyżmo dostała dziecina od chrzestnej matki panny Blühdorn, na pamiątkę srebrny serwis do herbaty t.j. czajnik, dzbanuszek i cukierniczkę a wszystko ~~xxxxxxx~~ na takiejże tacy, na której już były wyryte jej litery w monogramie i dzień i rok chrzcin. Od drugiej chrzestnej matki dostała srebrną łyżeczkę, także z literami.

Wszystko odbyło się tak pięknie iż z największym zadowoleniem i przyjemnością będziemy sobie ten dzień w naszym domu - do teraz pewnie najświetniejszy i najweselszy - przypominać."

Wracam i ja do tego dnia myślą wdzięczną i mimowoli wierzyć muszę we wróżebne jego ~~xxxxxx~~ uroki. Wielki poeta polski i wielki malarz przekazali mi kult Piękna dośmiertny - dwaj historycy i dwaj weterani, na których piersiach błyszczały owego dnia na wstędze czarnobłękitnej stare, żałobne Krzyże Virtuti Militari, byli jakgdyby zwiastunami tej doby, na którą oni z wiarą czekali, a którą oczy moje miały patrzeć po latach.

Pierwszy raz wyniesiono mnie z domu na świat w dzień św. Feliksa 18 maja, strojną niechybnie w misterne konfekcje Ciotki Dory i - jak to Mama zapisała w kalendarzu - pierwszym na co się natknął mój wózeczek na ulicy, było jakieś wesele.

W grudniu 1874, gdym już miała bez mała 21 miesięcy, znowu notatka Ojcowa:

" Nasza kochana Maryla dobrze się chowa, zdrowa, bardzo pięknie się rozwija, szczególnie zadziwia dokładną wymową, wielką pamięcią i szczególniejszym pociągiem do rysowania. Ołówek tak dobrze trzyma w palcach, jakgdyby już dawno z tym oswojona. Rysuje nawet figurki, które istotnie mają podobieństwo do ludzkich, domki itd. Umie nazwać

---

*) Mieczysław Darowski, opiekun młodych lat mego ojca, jedna z najszlachetniejszych, przyjacielskich postaci z domem naszym związanych, jeden z najlepszych i najmilszych ludzi, którzy wywierali wpływ na moje dzieciństwo i młodość, człowiek, którego całe życie było wierną służbą ojczyźnie, ofiarną miłością bliźniego, wysokim wzorem dla drugich. Cały ogromny majątek poświęcił sprawie narodowej, z ostatków dzielił się jeszcze z biedniejszymi. Umarł ubogi w Krakowie w r. 1889.

dokładnie wszystkich malarzy, których obrazy w naszym pokoju sypialnym wiszą, jako to Murillo Correggio, Holbein, Palma i Grottger. "

Raz po raz jawi się w kalendarzu jakiś zapisek związany z moją maleńką osobą, bądź z towarzyską kroniką domu.

Pierwsze nabożeństwo w życiu na jakie byłam wzięta to ruska Msza św., w dyniskiej cerkiewce. Jest też notatka o wizycie rodziców w pracowni Rodakowskiego, gdzie widniały na sztalugach właśnie ukończone portrety pułkownika, brata jego Maksa i pani Zofii z Bobrów Juliuszowej Dieduszyckiej. Jest zapisek o bytności Matejki i obiedzie danym dla niego przez PP. Rodakowskich na Centnerówce pod Lwowem, na którym byli i moi rodzice, - o wieczorze, który spędził u nas Daniel Penther, malarz, kolega Tatka z monachijskich czasów, rzadko jawiący się z Wiednia w rodzinnym Lwowie... Potem śmierć Goszczyńskiego. Pierwszy umarły jakiego widziałam i moje pytanie : Czy ten dziadzio to święty? "

Z dwu par chrzestnych rodziców, główną rolę grał w moim dzieciństwie Henryk Rodakowski. Dziś dopiero widzę, jak chyba cenił moich ~~xxxxxxxx~~ własnych, skoro miał dla ich dziecka tyle dobroci, tyle drobiazgowej pamięci, skoro przez lata całe nie opuścił żadnej gwiazdki, żadnych urodzin, czy imienin, aby malutkiej, a potem większej - nie sprawić jakiejś wybrednej, radosnej niespodzianki. Najpiękniejsze lalki, najkunsztowniejsze pajace, meble lalczyne, zwierzątka, jak żywe - miałam od niego. Zawsze albo przybywał z takimi darami sam, albo gdy bawił za granicą, towarzyszył posyłce zabawek czuły bilet z serdecznościami " Dla Lili ". Ukochana moja lalka, Karolcia, paryżanka, przysłana z całą barwną wyprawą na któreś imieniny, była także jednym z darów Rodakowskiego. Kochałam go i byłam ~~za~~ niego wcześnie dumna. Wiedziałam, że jest wielkim, polskim malarzem i że dostał od Francuzów złoty medal. Dziwiłam się, że go nie nosi i bardzo byłam tego medala ciekawa. Lubiłam słyszeć jego bardzo niski, szczególnie dźwięczny głos, nie tylko dlatego, że często towarzyszyła mu nowa radość opakowana w pudła i szeleszczące papiery, ale dla jakiejś solenności, którą mnie przejmowało jego pobliże. Nie byłabym umiała tego wytłumaczyć wówczas, ale dzięki pochwytanym strzępom domowych rozmów o nim, czułam poza jego osobą świetny, daleki świat, z którego przybywał. Zaciekawiała mnie, jak wszystko dla dziecka niezrozumiałe, jeszcze mi wówczas obca francuszczyzna, którą chętnie przeplatał rozmowę, pociągał ów głos strojny głęboki, sam w sobie jakby odświętny, który po latach poznałabym wśród tysiąca.

Nie podobny był do żadnego z artystów, którzy u nas bywali. Jakiż inny był n.p. Grabowski, ze swoją zmiętą fizjognomią chorego psa, zmiętym ubraniem i wiśniowym fezem, dobywanym zawsze z kieszeni

gdy do nas przychodził na dłużej. Wkładał go na głowę, siadał po tu=recku na dywanie i umiał nie odezwać się godzinami. A gdy zaczął mó=wić, najczęściej kazali mi rodzice iść zaraz do drugiego pokoju. Na=zywałam go " mój Tureczek " i lubiłam mimo wszystko... Jakże inny był Adam Chmielowski - mówiący cicho i łagodnie (którego obecność poz=nawałam zdaleka po stukocie drewnianej kuli, bo nogę utracił w powsta=niu i który robił studium z głowy naszej służącej Józi do obrazu jakiejś świętej). Stary pan Raczyński, młody Wyczółkowski - swojski, zawsze jakby trochę nieśmiały pan Tepa - to byli całkiem, całkiem inni ludzie. Czuło się, że Rodakowski czymś osobnym od nich odbija. Był dworny, wytworny, bogaty... Dziś wiem, że po za całą sztuką artysty i pięknością umysłu, jedną z głównych tajemnic jego uroku było to, że był niezmiernie w życiu szczęśliwy. Że potrafił być przy tym rów=nie dobrym, - to zjawisko jeszcze rzadsze od szczęścia!

Drugi mój ojciec chrzestny wcale się zrazu mną nie troszczył. Wiedziałam, że istnieje, jak się nazywa, kim jest, ale bywał u nas rzad=ko. Przeżywał okres zbyt pochłaniający jego serce, aby myśleć o czym innym, prócz o tej, którą kochał a utracić miał niebawem. Przyjrzałam mu się uważniej dopiero wtedy, gdy przyszedł się pożegnać z rodzicami wyjeżdżając na stałe ze Lwowa. Było to po śmierci pani Wildowej. Nie miałam o niczym pojęcia, ale zastanowiły mnie jego nieduże, zmrużone oczy, pełne łez, gdy mnie podniósł na ręce na odchodnym. Uściskał mnie i ucałował bardzo czule, ja zaś nie oswojona z nim wcale, nie zdobyłam się i wtedy na serdeczność wzajemną. Nierychło dowie=dzieć się miałam o właściwej przyczynie tych łez. Stanęły one w oczach poety nie z żalu za nami, ale nad sobą samym. Zostały mi w pamięci jednak te mokre oczy, kręte, siwiejące włosy i duża pogięta perła w krawacie. *)

Dopiero po wielu latach, w r. 1887, gdy Kornel Ujejski przy=jechał do nas na Storożkę, w jesieni, zawarłam z moim chrzestnym oj=cem sojusz mocny, dożywotni.

Starsza z moich dwu chrzestnych matek, panna Leonia Blühdorn

---

*) W liście mojej Mamy do K Ujejskiego z d.12.XII 1884 r, znalazłam wzmiankę o tej jego bytności pożegnalnej u nas. Było to w parę miesięcy po śmierci P. Wildowej, jak z relacji Mamy wynikał, a zatem w r.1878. To że Mama nie wspomina o mojej obecności wtedy jest o tyle proste, że szczegół ten, dla samego momentu, był bez znaczenia. Musiałam się nawinąć samorzutnie, w ostatniej chwili i zapamiętałam lepiej od Mamy ten uścisk pożegnalny, dla mnie pa=miętny, a w jej wspomnieniu zatarty. Miałam już piąty rok i migawka ta stoi mi w oczach bardzo wyraźnie.

późniejsza wicehrabina de Romanet, pozostała dla mnie pojęciem cał=kiem nierealnym. Wyjechała zagranicę, zanim zdążyłam ją spostrzec, wyszła zamąż i umarła, nim zaczęłam rozumieć. Ale pamiętała o mnie równie tkliwie, jak wielki malarz, jej ojczym. Do dziś zachowuję kilka ładnych drobiazgów, jakimi obdarzała mnie corocznie, zanim zga=sła. Poznałam ją dopiero w r. 1894, podczas wystawy Kościuszkowskiej we Lwowie, czarnowłosą, o ciężkich warkoczach i złotawej cerze, z prześlicznymi rękami, odzianą w czarny aksamit, koronki i futro, w Pałacu Sztuki - na wspaniałym, florenckim portrecie Rodakowskiego.

Ostatnia z czworga moich chrzestych rodziców, jedenastoletnia wówczas Leonia Sawczyńska - dziś owdowiała Leonowa Paszkowska - jed=na jedyna żyje dotychczas we Lwowie. Doznałam od niej również wiele dobra, wiele pamięci, wiernej przyjaźni i wspomnienia o niej snują się przez całe moje życie, znaczone mnóstwem niezatartych śladów. Zrazu obdarzała mnie różnymi pięknymi stroikami, wychodzącymi z pod jej przedziwnie zręcznych rąk, później uczyła mnie równocześnie ze swą matką Panią Zygmuntową Sawczyńską wiela rzeczy, które dzięki ich doskonałemu wykładowi siedzą mi w głowie mocno i na swoim miej=scu do dziś... Jedna z tych istot, które daleko łatwiej szanować, nawet kochać - niż lubieć. Twarda dla siebie i dla drugich, zasadna w cnocie i wierna w przyjaźni. Mimo obcowania ze Sztuką, jako peda=gog, odnosi się do niej jak do gramatyki - trzeźwo, bez cienia senty=mentu. Wie mnóstwo, ale zdaje się nie czuć nic. Zawdzięczam jej ogromnie wiele ładu w głowie i porządnie tam rozmieszczonych wia=domości, z którymi już sama wiem co zrobić.

Młodociany profilek Leonii Sawczyńskiej namalował Matejko w " Dziewicy Orleańskiej", tuż za grupą króla i Agnès Sorel. *)

*) O tym mam relacje nietylko od samej Leonii, ale stwierdziła ten fakt panna Emilia Witosławska, kuzynka Matejków, długoletnia opie=kunka panien Heleny i Beaty, dobra znajoma moich rodziców.

Najwcześniejszym moim własnym wspomnieniem są krople rosy błyszczące jak paciorki na hamaku pajęczyny, przyczepionym do ciemnej zieleni czegoś, o czym dopiero znacznie później dowiedziałam się, że ma na imię - sawina. Cudując się, a nie całkiem jeszcze myśląc, czułam do niczego innego niepodobny smak - zachwytu.

Działo się to w ogrodzie " dziadzia" Brajera, jak nazywałam uprzejmego staruszka, w którego domu - przy ul. Kazimierzowskiej nr 37 -- odnajmowali moi rodzice mieszkanie i przy którym to mieszkaniu był ogród, z ową sawiną i pajęczyną. Mogłam mieć rok drugi albo trzeci najwyżej. Pamiętam dobrze wysokopienne, ciemnoczerwone róże, koło których spotykało się zwykle staruszka gospodarza, odzianego w białe letnie ubranie i słomkowy kapelusz z krezami - róże niedosiężne dla mojego nosa, wąchane jednak nieraz dzięki właśnie " dziadziowi" który je ścinał, błyskając wysoko nadernną krzywym nożykiem. Spadały wtedy w trawę i nie wolno było ich tykać, bo kłuły.

Twarzy rodziców z tego okresu nie pamiętam zupełnie. Byli zbyt codzienni i rozumiejący się sami przez się. Róże i krople na pajęczynie to było coś nowego, czego nie widywało się codzień... Przypominam sobie natomiast dwa nasze pieski. Charcik nazywał się Smyk, a mała pinczerka Mucha. Z tą Muchą i pajacem od chrzestnego ojca Rodakowskiego, namalował mnie Tatko na olejnym, owalnym portrecie, który wszakże nie miał być udany. Smyk zaś uwieczniony został na również olejnym widoczku dyniskiego ogrodu, razem ze mną malutką i Mamą. Obrazek ten darowany Leli, jest w Medyce. Mucha miała być nadzwyczaj mądra, ale zadzierzysta i zginęła okropną śmiercią rozdarta przez dwie suki sąsiadów, duże i zazdrosne. Jak przez sen pamiętam tę katastrofę. Smyk - jak to wiem z tradycji - był o tyle szykowny, o ile głupi i lekkomyślny. Ze względu na cienkość w pasie, nie można go było bić, więc gdy coś zbroił, prawił mu Tatko długie perory, których pies musiał wysłuchiwać pokornie, wijąc się z nudów i upokorzenia. Morały te, wygłaszane umyślnie monotonnym głosem, kruszyły widać psie sumienie, bo pamiętam Smyka, jak wydając nerwowe okrzyki, cofał się coraz bliżej ściany, a wreszcie wtykał nos w szparę za kanapą. Pochodził z Dynisk i wywodził ród swój z gniazda chartów, które wydało takie znakomitości, jak Jenny pani Skolimowskiej i piękny i podziwiany przez Grottgera Lelio.

Trzykrotnie, dzieckiem, byłam z rodzicami w Dyniskach.

Pierwszy raz w r. 1874, gdy żyła jeszcze matka Dora, ukochana, macierzyńska przyjaciółka i dobra wróżka maminej młodości. Jej samej nie było wprawdzie w domu, gdyż chora bawiła w Szczawnicy, ale był w Dyniskach pan Julian, jej mąż, siostra pani: Feliksa z Kłopotowskich I-o voto Tadeuszowa Skólimowska, II-o Maurycowa Brezanyi, z córkami z pierwszego związku Aniefcią i Bronią i synkiem Tadziem. Tadzio, wyrostek, strzelał dla mnie wróbelki na pieczyste, a Raz zabił wspaniałego orła. Tatko narysował go opartego na fuzji, z pysznym ptakiem u stóp. Mama darowała później ten rysunek jego żonie. Bawili tam przez lato stary pan Paryłowski, major Wojsk Polskich, pan Brezanyi, panna Róża Ziętkiewiczówna, brat jej cioteczny Staś Niewiadomski, panna Żana Drobczyńska... Są to oczywiście wspomnienia z lat następnych, gdyż dopiero podczas trzecich wakacji dyniskich, w r 1876 - w dwa lata po śmierci pani Izydory - nos mój sięgał z trudem brzegu stołu w jadalni.

Ponieważ okna wychodziły na ganek obrosły dzikim winem, zawsze tu było chłodno i ciemnawo. Zawsze pachniał melon, zawsze syczał samowar, -bodajże wyższy odemnie -, stojący koło drzwi, na marmurowym, w kwiaty wykładanym stoliku. Nad nim wisiał pyszny portret jenerała Gadomskiego, ożenionego z panną Pokutyńską, obraz który po ostatecznej rozsypce Dynisk, znalazł się na Zaświeciu.

Pan Julian, nazywany żartobliwie " panpan" ile że bardzo mocno w domu panował, znajdował się już wówczas w fazie życia zmierzchowej, mniej groźnej niż ją przekazała tradycja.

Bo straszny był to pan ! Gdy młodziutka, bogata prześliczna panna Izydora Kłopotowska, chowana sierotą u babki, po krótkim okresie narzeczeństwa, sztywnego i oszańcowanego ówczesną etykietą o tyle właśnie, aby się dotyczący wcale znać nie mogli -- przyjechała z mężem po ślubie do Dynisk, oznajmił jej pan Julian, że jej nie kocha i nie będzie kochać nigdy, że się z nią ożenił na złość kobiecie, która go nie chciała, odtrąciła i za innego wyszła. Grać komedii nie myśli i rzecz stawia jasno.

Dwór był duży, pusty. W jednym skrzydle mieściły się pokoje młodych państwa, w przeciwległym, przedzielonym amfiladą wielkich, niskich pokojów, salonami, jadalnią i palarnią - garderoba, locum miejscowej, świadomej stosunków, -służby. Pan Julian często i długo przebywał za domem, a młoda kobieta, przymierająca po strasznym wyroku, półżywa z dziecinnej trwogi przed samotnością i ciszą, wymyślała sobie wieczorami umyślne preteksty, aby - przebiegłszy pędem ciemne, puste pokoje - wpaść bodaj na chwilę do garderoby i z pokojową zamienić parę słów. A potem znów mężny powrót przez ciemne,

wielkie przestrzenie, popod ciemne, belkowane sufity, samej jednej, wylękłej zarówno przed życiem, jak przed własną rozpaczą.

Rychło - malgré tout - zaniosło się na przybytek. Urodziło się z czasem dwóch synów Władysław i Józef, najmłodszym, ostatnim dzieckiem była Zosia. Pan Julian tymczasem, ongiś świetny porucznik Wojsk Polskich z 31 r., kawaler Krzyża Virtuti Militari - acz ~~wyxxx~~ wysoko ukształcony i pełny - do gości! - poloru, zapadał powoli w nałóg haniebny i - o ile nie gnębił w stanie trzeźwym otoczenia - stawał się na całe godziny martwą naturą, którą jedynie lokaj-zausznik zawiadował. Pani Dora natomiast, z równowagą zupełnej świętej, oddała się dzieciom, gospodarstwu i pogłębianiu bardzo niezwykłego umysłu. Potrafiła z czasem, mimo własnej i jakże przewlekłej, życiowej klęski, uczynić zatruty od korzenia dom przybytkiem błogim dla innych, których kochała, garnęła, tuliła.. Jej też zawdzięczają oboje - Mama i Grottger - najlepsze tygodnie życia. Nazwisko jej, wspominane zawsze z uniesieniem ~~xxxxxxxxxxxx~~ wdzięcznej adoracji, jawi się w jego listach do Mamy - nazwisko, któremu po latach, danym mi było położyć epitafium w medyckim wydaniu tej korespondencji.

Pani Skólimowska umarła o tyle zapóźno, że dożyła świadomości o odziedziczonym przez starszego syna ojcowskim ~~xxxxxx~~ nałogu i o nieuleczalnej chorobie płuc jedynej, ukochanej córki -- o tyle dość wcześnie, że ~~xxxxxxxxxx~~ nie dowiedziała się nigdy o zagładzie Dynisk, własną wyłącznie pracą ratowanych latami, - ani o tym, że ~~xxxx~~ wskutek nieprzytomnej gospodarki spadkobierców, szło niejedno cudne drzewo z parku na opał - aż w końcu główny wierzyciel, żyd Reiss, sprowadził się - jako właściciel - do dworu.

Mama kochała matkę Dorę może bardziej nawet niż własne "matki ", jak nazywała babcię i siostrę jej, ciocię Terenię. Wdzięczna jej była całe życie i do końca wspominała jej rozum przenikliwy a słodki, jej nieporównaną wytworność i hart. Pamiątki po tej jedynej, ukochanej przyjaciółce nie opuszczały Mamy do ostatka. Wszak że to Matka Dora ~~xxxxxx~~ przywiozła z dyniskiej oranżerii mirt do Mamy ślubnego wianka, a włosy jej, wraz z włosami Grottgera, włożyłam - wedle zlecenia - do Maminej trumny.

Takie tedy były dzieje " pana pana" Matki Dory i Dynisk. Ale wtedy - malutka - nie czułam żadnej grozy. Owszem, lubiłam tego słusznego, starszego pana, którego wielkie chustki do nosa pachniały zawsze czymś prześlicznym i który nieraz brał mnie ze sobą na przechadzkę po pokojach, w których zresztą nie miałam racji bytu i które dlatego właśnie bardzo mnie zaciekawiały. Stały tam piękne, ciemne meble o połyskujących, jak złote ozdobach, jakich na naszych domowych sprzętach nie było, wisiały piękne obrazy, wszędzie moc świeżych kwiatów i złoconych książek. Osobliwie zachwycała mnie haftowana

wielkie przestrzenie popod ciemne boiska ... jedną
zwykłej zarówno przed ... przed wiekami rozpocząć.

Rycho – malarstwo ... zniosło się na przybytku. Urodził o
się z czasem ... ... Władysław ... jako ... pogodzeni
... ... Juliu ... ... swiętny porucznik
... ... z 31 r., ... Virtuti Militari – ... xxxx
wyrazu ... ... – ... polskie ... powała
w ... ... – o ile ... w stanie trwać ... poczucia-
stwa ... ... rodziny ... ... jedna ... zaaza-
nił ... Pan ... ... zupełnej ... ,
... się ... i ... ... życiowego
uryciu. Potrafiła z czasem ... ... przeziera ... pełno-
we ... ... od korzenia ... przyjaznego ... dla
... ... zaciekawie ... ...
– ... i ... – najlepsze ... ... jej, ...
... z ... z ... ... xxxxxxxxxxxx w ... ... , jawa
... w jej ... ... – ... ... i ... daty ... i
było ... ... w ... ... korespondencji.

... Stolicu ... ... o ... ... , że ... świadomość
... ... przez ... ... xxxxxx ... o u
i o ... ... jednej ... ... – ... tylko
dość ... , ... xxxxxxxxxx nie ... nigdy ... ...
Dyniek, ... tym, że xxxx
... ... gospodarka ... , ...
drzewo z parku ... – ... ... Pełes,
... – ... ... do dworu.

... ... Poręczną ... ...
ki" ... ...
jej ... ... jej rozum przenikliwy a
... jej ... ... wytrwałość i hart. ... po tej jedynej
... ...
... ... i ... ...
wianka, ...
na innej ... .

Takie ... ... " pana pana" i ... Dyniek.
Ale ... – ... – ... ... jednej ... Obszar ... tego
... ... pana, ...
za ... ... , i ... ... na prze
... po pokojach, ... które
... właśnie ... ... , ...
... o ... ... dorowych
... ... , ... świętych
... i ... ...

ścianka w drewnianej ramie, ekran stojący przed piecem,na którym jakaś cierpliwa,rodzinna nieboszczka wyścibała bukiet niebywałych kwiatów,- bajecznych róż,wielkości mojej własnej twarzy. Jedną z nich wielbiłam i kochałam namiętnie...Była żółta i miała poziomkowe cienie. Obok niej widniał błękitny kielich powoju,o skręconym zalotnie wąsie.

Głównie żyłam wtedy oczami. Mam dotąd w pamięci zatrzęsienie jakby kolorowych klisz z tego czasu,ostrych i nie pełznących z latami...Wnętrze powoju zerwanego przez Mamę w pobliżu oranżerii, gdzieś koło zielono malowanej ławki, - amarantowe brzegami,a na dnie kieliszka pełne jakby światła,które się może wylać za przechyleniem... Szarą siatkę na melonie, czarno aksamitną ciemność sadzawki,z której Daćko, ogrodnik czerpał wodę do podlewania grządek, ogromne kaczki z pierzastymi czapeczkami na głowach, biały, zawiły deseń na granatowej spódnicy babiny,która była moją nianią w Dyniskach...

W roku 1876,przed wyjazdem naszym na te trzecie dyniskie wakacje, umarła we Lwowie moja młodsza siostrzyczka,Wandzia,nazywana Sroczką,a przezmnie Joczką. Nie zajmowałam się nią wcale,gdy żyła. Raz przypominam ją sobie jak siedziała na foteliku mojej lalki,Karolci (jedno i drugie zabawki od H. Rodakowskiego z Paryża). Była już bardzo chora,pewno miała gorączkę i było koło niej jakieś zamieszanie nie zwyczajne... Zastanowiły mnie wtedy silne kolory na małej buzi i ogromność błyszczących,ciemnoniebieskich oczu. Interesowało mnie,że już się mieści w ten fotelik i jest aż taka ładna. Ładność spostrzegałam przedziwnie wcześnie. Gdym patrzyła w lustro podobałam się sobie,ale czyniłam to naprawdę bez niczego podobnego do próżności.Poprostu jak się widzi,że coś jest czerwone albo niebieskie. Jedni są ładni,drudzy nie. Lepiej jeżeli są ładni.

Dobrze i uważnie przyjrzałam się dopiero Joczce,gdy umarła. Nic - ale to haniebnie nic nie pamiętam szczegółów,które tę śmierć maleńką poprzedziły. Zaczęłam spostrzegać inny wygląd domu i domowych dopiero w jakimś momencie,kiedy mnie Mama poprowadziła do zaciemnionego pokoju,w którym paliły się wysoko postawione świece..

Podniesiona przez Mamę zobaczyłam malutką niebiesko ubraną dziewczynkę. Była zupełnie biała na buzi,oczka jej były zamknięte, rączki, o zaplecionych paluszkach,leżały nieruchome, cała była zasypana gałązkami geranium. Dziewczynka ta miała być naszą umarłą Joczką. Wydała mi się czymś całkiem innym, komu się wydarzyło coś niezmiernie osobliwego. Byłam onieśmielona jej widokiem,ale nic a nic smutna... Parę miesięcy wcześniej widziałam już zresztą kogoś kto umarł i leżał między świecami w trumnie. Był to Goszczyński. Myliło mnie też czyjeś zasłyszane powiedzenie, że Joczka jest teraz

aniołkiem, co mi się wydawało bardzo dla niej korzystnym a zaszczytnym dla nas... Tylko Mamy płacz martwił mnie i dziwił. Wydała mi się także jakby mniej znajoma, z obcym wyrazem twarzy, którego nie pojmowałam. Jakże nierównocześnie wysuwa życie szufladki człowieczych pojęć ! Stworzenie, które umiało już widzieć obrazy, czuć urodę natury i ludzkich twarzy, było zupełnie tępe nie tylko na śmierć ale na smutek najbliższych. Gorzej...bo gdym następnie w Dyniskach zobaczyła nad łóżkiem Mamy przywiezioną ze Lwowa fotografię Joczki w trumience, oprawną w modry aksamit i owiniętą krepą przed muchami - uczułam szkaradne ściśnięcie serca o to, że widocznie nie ja xxxx tylko mam do Mamy prawo, i że mojej fotografii wcale ze sobą na lato nie wzięła... Doskonale pamiętam ucisk i niesmak zazdrości. Było to tym głupsze, że rysunek Tatka, przedstawiający Bolcia, mojego starszego o rok braciszka, także w trumience, wiszący od lat w lwowskiej sypialni rodziców, niczym mi nie dolegał.

W kalendarzu z r.1876, pod datą 2.lipca, zapisał Tatko :

" Dziś, popołudniu, o 6-tej wieczór, odbył się pogrzeb naszego Aniołka. Chociaż deszcz padał, zgromadzili się dość licznie nasi najlepsi przyjaciele. Cudnie wyglądała dziecina ułożona jakby śpiąca, ustrojona w błękitną sukienkę, którą właśnie tydzień przed śmiercią, chrzestne matki Skólimowskie na imieniny jej zrobiły. Stół na którym leżała, obstawiony wszystkimi kwiatami matki i wszystko to matka sama ułożyła. Trumienka była z białej blachy, srebrna. Wieko przyłożyłem sam i z Henrykiem Rodakowskim wynieśliśmy trumienkę do powozu. ~~xxxxxxxxxx~~ Powieźli ją na kolanach: Panny Skólomowskie, Józef ~~xxx xxxxxxxxx~~ Żuliński i Stefan Grzywiński. Pochowana obok prababki swojej a babki Wandzi. Przy tej sposobności doznaliśmy wiele dowodów przyjaźni. Maryla przy całym tym wypadku zachowywała się dość dziecinnie i tylko smutek matki robił na niej wielkie wrażenie. "

A zaraz poniżej, pod datą 16 lipca, krótki zapisek :

" Wyjechaliśmy do Dynisk na usilne zaproszenie pana Juliana Skólimowskiego. "

Bywała w Dyniskach często muzyka. Grywał -o ile nadjechał- pan Władysław, starszy syn domu (uczeń ongiś Liszta) którego przypominają mi zawsze wizerunki Jana Kazimierza, - grał Staś Niewiadomski ,panna Róża i Mama śpiewały.

Głos Mamy dogadzał mi jak najpiękniejszy zapach, jak jakaś najśliczniejsza rzecz widziana. Sam dźwięk urzekał mnie, jak gwizdanie urzeka ~~jxxxxxxxxxx~~ jaszczurkę, bo ani słowa ani kompozycja nie były jeszcze dla mnie zrozumiałe. Umiałam siedzieć cicho i nie ruszać się a gdy były przerwy, czekać na jeszcze. Akompaniował zwykle Staś. Miał wtedy może lat szesnaście, może trochę więcej...Nosił długie włosy, były jasne i układały się pięknie.. Ubrany chadzał ówczes=

ną modą letnią prawie zawsze całkiem biało. Wydawał mi się przejmu=
jąco piękny, podobny do różnych " głównych " twarzy na obrazach i
to podobieństwo kłopotało mnie w jego obecności. W sposób przyjemna=
wo przykry. Lubiłam kiedy grał przypatrywać się jego podniesionej
głowie, której rysy niepokoiły mnie i pociągały dziwnie. Raz - xxxę
pamiętam - narwałam garść stokrótek - same główki bez ogonków xxx
xxxxxxxxxxxx tak po dziecinnemu - i nasypałam tę skubankę na klawi=
sze, aby go uczcić. Nie domyślił się jednak owacji i bez ceremonii
strzepnął wszystkie pod fortepian.

W Magdalence, koło Dynisk, mieszkał i gospodarował, jeszcze
wówczas nie żonaty, młodszy syn PP. Skólimowskich, Józef. Ponieważ
bawili w Dyniskach przeważnie krewni lub sami bardzo bliscy, a
wszyscy ogromnie go szanowali i xxxxxxx kochali, mówiło się o nim
poprostu : Józio. Czułam ten ogólny szacunek nawet w moich trzech=
letnich nizinach.

Zostałam raz wzięta na Magdalenkę dokąd się pojechało po
wiejsku, wozami. Niezmiernie podobała mi się trzęsąca jazda w słoń=
cu, obłoki pyłu, konie nie zasłonięte wysokim kozłem -a potem cała
wizyta u Józia. Gdy uszczęśliwiona z ciepłej, gwałtownej ulewy, pła=
wiłam się radośnie w lejących strumieniach deszczu, nie mogłam pojąć
dlaczego starsi tacy temu nie radzi. Przebierano się potem w jakieś
odzieże płócienno- piekarniane, gdyż damskiej, pod kawalerskim dachem,
nie było. Przy podwieczorku Żana, z nabożnym naciskiem pokazała mi
zniekształconą prawą rękę Józia, mówiąc cicho, że gdy się bił za Pol=
skę w powstaniu, Moskale przerąbali mu te dwa palce. Była to pierw=
sza wiadomość tej powagi o kimś znajomym i pierwsze takie wrażenie,
które zapamiętałam mocno. Nigdy odtąd nie zdołałam patrzeć na Jó=
zia inaczej, jak z myślą, że się bił za Polskę i że mu za to Moskale
palce porąbali. Rozmiar jego znaczenia stał się odtąd w moich oczach
dwa razy naturalnej wielkości.

W Dyniskach Tatko zawsze dużo rysował, czemu we Lwowie - ile
że xxxxxxxx to było w jego osobnym pokoju, lub wysoko przy stole,
- trudniej mi było asystować. Tu odbywało się to najczęściej na
dworze, na ganku, lub w ogrodzie. Rysował Tatko babę z piekarni, Daćka
ogrodnika, spędzającego życie pośród kwiatów i jarzyn, w zazdrości
godny sposób spoufalonego z lasem kukurudzy, za którą przepadałam.
Stawałam cicho przy Tatkowym łokciu i widok spiczastego ołówka,
z pod którego sypały się szybkie, szare kreski, potrzebne wszystkie
aby baba była podobna i taka sama, jak żywa, siedząca przed nami -
przejmował mnie xxxxxxxxxxxx nabożnym uszanowaniem dla Tatkowych
palców i zagarniał nawet babę w obręb jakiegoś czarodziejstwa.
Puszyło się coś we mnie, że Tatko tak umie, alem go jeszcze samego
wcale nie znała, choć czułam, że mnie kocha. Trzy lata to jest jednak
wiek bardzo mizerny...

Niebawem wyprowadziliśmy się od " dziadzia" Brajera, którego o=grody i domy zniknąć miały z czasem bez śladu pod kamienicami ulicy Brajerowskiej — i zamieszkali przy ul. Sykstuskiej pod Nr. 33. Mieszkanie to miało długi ganek od podwórza i okna wschodnich poko=jów wychodzące na jakieś niskie oficyny, ponad którymi widać było czuby drzew w ogrodzie Potockich. Dalekie - ale zawsze drzewa, a nad nimi dużo nieba... Strasznie lubiłam te okna. W zimie wymarzały w najwspanialsze bodiaki lub różane pręty i oglądane poprzez nie gromady kawek, latających nad dalekimi drzewami, były moim codziennym zimowym teatrem. W tym samym domu mieszkała pani Fela Brezaniowa, siostra Maki Dory, z córkami Anielką i Bronią do których nieraz cha=dzałam w odwiedziny. Pamiętam wnętrze mahoniowych szkatułek, w których wolno mi było grzebać, zapach tych skrzynek, dotyk jedwabnych motków o delikatnych kolorach i kryształy na tualecie pani Feli.

Nie uczyłam się oczywiście jeszcze wcale, prócz liter w za=bawie z Mamą, alem rysowała zapalczywie na wszystkim co się nadarzy=ło. Bodaj-że już wtedy także pewien lekki haczyk z pieca, dał mi poz=nać tajemniczą władzę wydoskonalonego z czasem " kręcidła", zaczaro=wanej różdżki mojej młodości. Brałam go w prawę rękę, gramoliłam się na jakiś podnóżek lub paczkę, (krzesło było na ten cel za wysokie a na podłodze szło gorzej...) i zaczynało mi się myśleć. Myśleć tak płynnie, jak leci woda pod kurka, a co najdziwniejsze, prawie bez udziału mojej woli, jakby coś myślało mną -nie jakbym ja coś wymyśla=wała. Stałam jakby pod jakimś płynącym strumieniem, sama ciekawa co nadniesie.

Zaczęło się to - jak moc o wiele ważniejszych odkryć - przypadkiem. Ścisnąwszy mocno w prawej ręce zakrzywiony haczyk, od=czuwałam doraźnie jakby napływ czegoś z poza mnie i równocześnie myśli zaczynały się układać w kalejdoskop scen, zrazu oderwanych, jak obrazki, potem spojonych konsekwentnie w długie opowieś=ci. Z początku nie umiałam tego tak analizować jak dziś, dość mi było świadomości, że ścisnąwszy haczyk w garści, wpatrzywszy się przy=tym w jego zakrzywiony koniec, naopowiadam sobie różności, o których mi się przed momentem nie śniło ...Trzeba tylko było wykonać mocno ściśniętym haczykiem ruch w powietrzu, jakgdyby się je wierciło i to w tym kierunku, jak kluczem w otwieranym zamku. O swobodzie i obfitoś=ci z jaką mi się wymyślały i sypały słowa w takich transach, nikomu nie mogę dać pojęcia.

Zrazu zdawało mi się, że każdy tak potrafi i wcale się z moim obrzędem nie kryłam. Stawałam całkiem jawnie na podnóżku i z haczy=kiem w ręce, wyplatałam głośno niestworzone historie. Mama protegowa=ła to dziwadło, Tatko bał się go trochę, sługi się

xxxxxxxxx wyśmiewały i jedynie Adaś, brat mój wystąpił z czasem jako zdecydowany przeciwnik " Kręcidła". Nie było w tym głębszych przyczyn nad pospolity braterski program robienia na złość. Na razie, w mem opowiadaniu Adaś ma się dopiero urodzić.

W jesieni 1877 wzięli mnie ze sobą rodzice pierwszy raz do Krakowa. Miałam piąty rok, umiałam nazwać już wielu królów polskich, z obrazu Cynka znałam królowę Jadwigę, która kochała Wilhelma... Wiedziałam że to on leży na obrazie, w rozpaczy u jej stóp. Umiałam krakowiaka o Wandzie, co nie chciała Niemca, posiadałam książkę o Panu Twardowskim, w której był śliczny obrazek, na którym czarodziej jedzie karetą po krakowskim rynku i tłucze żonie garnki - słowem zupełnie dość, aby stworzenie tak rozbudzone i egzaltowane wprawić w szał radości, gdym do Krakowa dojeżdżała. Naturalnie że i na Kopiec Kościuszki byłam przygotowana ! Gdy mi Mama pokazała Krzemionki, wiedziałam już, że się tam Twardowski z diabłem zmawiał, nie miałam wątpliwości, kto był dziś największym xxxxxxxx polskim malarzem -- znałam jego fotografię, na której napisał własnoręcznie : Karolowi Młodnickiemu, przyjacielowi od serca - Jan Matejko ". Tego Matejkę żywego miałam także zobaczyć.

Wujowstwa Korczyńskich nie znałam jeszcze, ale wiedziałam od Mamy jacy są kochni i jaka ciocia piękna. Istotnie ciocia była wspaniała, jednak dla moich krótkowzrocznych oczu jej biała, poważna twarz była o wiele za wysoko... Mama miała wzrost bardzo okazały, ale była niższa od cioci Edziowej. Wuj za to, znakomity lekarz i profesor Jagiellońskiego Uniwersytetu, od razu przypadł mi do serca. Brał mnie na ręce, nosił i miałam tuż przed sobą jego śmiejące oczy, zielonkowate, w ciemnej oprawie, jak oczy Dziodzi, mówił głosem który się musiało lubieć i czułam, że się mną naprawdę cieszy. Bardzo, bardzo pokochałam z czasem moich wujostwa. Narazie byłam jak półprzytomna, podniecona nowością wszystkiego co -(.. brzmieć to musi komuś nieprawdopodobnie, a jednak jest prawdą uczciwą..) przepełniało już wtedy odrobinę mego serca w sposób dziwnie gwałtowny. Polscy królowie, Wisła, Twardowski i Matejko, którego miałam zobaczyć! Był we mnie zawsze głód piękności, wzniosłości, głód zachwytu, ekscytowany pewno i otoczeniem dorosłych, xxxxxxx entuzjastów - i dziwacznym nałogiem, który przyśpieszał rozwój moich pojęć w sposób anormalny. Kręcidło !

Gdym się znalazła z rodzicami w pracowni Matejki całą ścianę nawprost wejścia zapełniało olbrzymie płótno " Grunwaldu". Przed nim stało coś, jak przeźroczysta ambona z galeryjką i schodkami. Matejko witał się z rodzicami, potem wziął mnie xxxxxxx na ręce i ucałował.

- No cóż tam widzisz? - zagadnął obracając mnie ku obrazowi.

- Nic nie widzę... Same kolory...

- A ludzi nie widzisz ? - dziwił się.

- Nie.

- Jak to może być?! Musisz zobaczyć...- i wyniósł mnie po schodkach na ambonę,czyli podium,na którym stojąc malował wyższe partie obrazu. - Teraz lepiej? Widzisz już ?

Zobaczyłam teraz za dużo. Ogromne,wytrzeszczone oczyma,brodate twarze,zawierucnę ludzi,koni,wszystko za bliskie,za wielkie...

- Tak. Teraz widzę...- przyznałam ale musiał dostrzec że mi nieswojo,bo mnie zniósł po schodkach i poprowadził brzegiem wzdłuż obrazu.

- Popatrz! - mówił - Wszyscy na górze to Polacy,a ci na dole to Niemcy. Musisz powiedzieć co ci się tu najlepiej podoba?

- Ten biedny Niemiec... - powiedziałam, wskazując Lichtensteina. Błękitno biała suknia i złota czupryna rycerza walącego się wstecz z konia na widza,zachwyciła mnie.

- A bój-że się Boga, Niemiec ! " - zgorszył się Matejko,a potem dodał żartem : Otóż to ! Znowu gust niewieści! Nie godzi się z polityką..."

Całę tę rozmowę zanotowała Mama pokrótce w ówczesnym kalendarzu,ale i mnie samej wrażenie i słowa - prócz ostatniej refleksji o kobiecym guście utkwiły dziwnie wyraźnie w pamięci. W liście do Ujejskiego z dn. 17.10 r.1886,wraca Mama szerzej do tej scenki dobrze mi pamiętnej,ale i wtedy opuszcza ów żartobliwy okrzyk : A bój-że się Boga -Niemiec !".

Wrócił mi on wspomnieniem po latach,na rozstajnej drodze życia,wobec dziwnie podobnej,zwichrzonej,złotej czupryny Niemczyka... Mój Lichtenstein nazywał się inaczej,ale przegrał tak samo.

Nauczona przez Mamę odchodząc, pocałowałam Matejkę w rękę. Znowu mnie podniósł i uściskał,a potem stawiając na ziemi,odgarnął mi grzywkę i musnął palcem po czole. Pierwszy to raz nakreślił mi krzyżyk,co czynił potem zawsze ilekroć później odwiedzałyśmy go z Mamą w pracowni,albo gościli u nas we Lwowie. Zawsze wracało mi w jego obecności poczucie,że to są właśnie te momenty,dla których żyć warto,że po takim krzyżyku muśniętym ręką Matejki na czole, człowiek sam jest jakby wyświęcony,czy pasowany na lepszego,sam sobie więcej odtąd wart i winien...Ale wtedy,byłam jeszcze za mała aby to tak wyrazić,czułam jednak wielkie podniecenie i napuszenie myślą,żem poznała sławnego Matejkę.

Pobyt ów wszakże krakowski nie z samymi zaszczytami dla mnie się łączy. Niestety - nie piękne rzeczy wyznać mi trzeba !

W Krakowie bawili wówczas tylko obaj wujowie -Edward i Adolf - oraz dziadziowie Korczyńscy. Ciocia z Edziem byli w Kobierzynie na letnisku. Byliśmy tam także,aby ich zobaczyć. Edzio chodził jeszcze w sukience jak dziewczynka,był bladawy,bardzo ładny,ale mało mówił

i. nie był wcale mną przejęty.

Raz, podczas naszego pobytu w Krakowie, przyjechała ciocia z Edziem i byliśmy na obiedzie u Dziadziów. Przyszłam do stołu w złym humorze, a skwasiłam się jeszcze bardziej, widząc, że Edzio dostał dziecinne, wygodne krzesełko, ja zaś siedzieć miałam na zwykłym, wypiętrzonym poduszkami i albumami. Buntując się i wiercąc, bardzo trudno było na tym usiedzieć.

Mimo moich egzaltacji i estetycznych uniesień, byłam bardzo łakoma. Podano pieczeń. Zobaczyłam, że Babcia położyła Edziowi na talerzu kawałeczek nerki. Resztę wzięli inni... I jego obojętność dla mnie i niewygodne krzesło i jawna krzywda z nerką (w domu ja zawsze dostawałam połowę...) dopełniły miary mego rozżalenia. Postanowiłam, że pójdę i nie wrócę. Odczekałam przezornie legominy, a potem, gdy się przy wstawaniu zrobiło zamieszanie, wzięłam z przedpokoju moją nową parasolkę w bukieciki bratków z liliowymi fenendzelkami, obróciłam bez trudu klucz w drzwiach i pędem, bez kapelusza, zleciałam schodami ku bramie.

Szłam ulicami, pełna głuchej zemsty i zadowolenia ze siebie. Był ciepły, letni dzień i niczyjej uwagi nie zwróciła dziewczynka idąca z niewinną miną wprost niedużego nosa. Pamiętam - naprawdę pamiętam ! - jak się napawałam satysfakcją, jak doskonale wiedziałam, co będzie za popłoch, gdy mój brak spostrzegą... Stawałam na palcach przed sklepowymi wystawami, słońce świeciło, zasłaniałam się parasolką, ludzie mnie mijali... Nie wiem jak długo to trwało... Tymczasem Tatko, Wuj, malarz Cynk, obecny także na tym obiedzie - wszyscy rozpierzchli się po ulicach... Wreszcie, gdym stała przed wystawą i przeglądałam się w pękatym brzuchu mosiężnego samowara - złapał mnie ktoś pod pachy i porwał w powietrze... To Cynk poczciwy, ten sam który malował Wilhelma u stóp Jadwigi, dopadł mnie pierwszy i bojąc się zdrady, porwał na ręce i nie puszczał. Zła byłam jak furia, miałam ochotę wąsy mu oberwać, krzyczeć na całe miasto - ale ambicja mnie wstrzymywała. W milczeniu dałam się nieść razem z otwartą parasolką w bratki...

Nikt nie dowiedział się o powodzie owej ucieczki. Nie było zwyczaju dawania mi w skórę. Wuj i Mama wymyślili inny genialny sposób. Odtąd zawsze, w dość częstych napadach złości, dostawałam zimny kompres na żołądek, oznajmiano mi, że jestem bardzo chora i kładziono do łóżka. Czasem dopiero nazajutrz wolno mi było wstać. To działało świetnie. Okład, przymusowa kontemplacja, groza choroby - wszystko to kruszyło moje sumienie i miękłam na czas dłuższy.

Dziadziów Koryczyńskich wspominam jak niewyraźne, miłe sny. Babcia - siostra mojej rodzonej - oraz cioci Tereni i Celiny w Czerniowcach,

zwana ciocią Lizią, bardzo mi pono sprzyjała, a dziadzio łączy mi się z pierwszym pojęciem o skrzypcach. Grał pono pięknie i Mama bardzo go kochała.

Prócz nich ~~xxxxxxxx~~ mieszkał też w Krakowie drugi syn Dziadziów, Adolf, adwokat. Odwiedziliśmy go. Był nieżonaty, miał duże mieszkanie z którego zapamiętałam czarne, rzeźbione meble, obite błękitnym jedwabiem i szereg szaf oszklonych z książkami. Na brzegu jednej z półek, za szkłem, leżało kilka czerwonych kamieni. Powiedziała mi Mama, że przywiezione są z Ziemi Świętej i bardzo możliwe, że któregoś z nich dotknęła stopa Pana Jezusa. Nie pamiętam aby kiedykolwiek później jakaś ~~xxxxxxxx~~ religijna czy historyczna relikwia, wywarły na mnie wrażenie równie wstrząsające, jak tych kilka kamyków po owych maminych słowach. Wcześnie byłam obznajomiona z Boskimi sprawami, znałam wiele obrazów, pieśni, lubiłam oglądać procesje, ale wolałam, że Pana Jezusa, ani nikogo z nieba, nie można zobaczyć. Połowę duszy potrzebowałam zawsze rozumieć i wiedzieć - drugą połową wielbiłam tajemniczość i bajkę...

Robiliśmy wtedy z Wujem, Ciocią i Cynkiem wiele okolicznych wycieczek, Do Skał Panieńskich, Mogiły Wandy, Łobzowa... Mnie najżywiej utkwiło w pamięci jedno popołudnie w Krzeszowicach, gdzieśmy zwiedzali park Potockich i gdzie mnie olśnił wodotrysk i rozmarzyły prawdziwe, pływające po stawie łabędzie. Zostało mi też stamtąd wspomnienie pajdy chleba z masłem i miodem, którą - wysuwającą się z niezgrabnych rąk - przycisnęłam z całej siły do serca ! Los zdarzył, że miałam wtedy na sobie ładną, błękitną sukienkę, obszytą falbaneczkami ze strzępionego jedwabiu...Biedna Mama !

Na Wawelu, na moją bajczarską fantazję podziałały najsilniej kości mamucie u drzwi do Katedry. Groby królewskie to był dla mnie tylko kamień.. ~~to~~ Jam to były smocze kości ! Nikt nie miał serca odebrać mi wiary, że smocze. Mama zwłaszcza miała cudowną tolerancję dla potrzeb mej wyobraźni i jej własna Lust zum fabulieren towarzyszyła mi na wszelkich odkrywczych wędrówkach po lasach i dziuplach, które zaludniałyśmy krasnoludkami i innym dziwem dowoli. Nie było to może pedagogiczne, ale niezapomnianie cudowne ! Nigdy zresztą nie spowodowało żadnej pomyłki w rozeznawaniu dwu światów.

Na Boże Narodzenie tego samego roku przyjechała do nas Babcia z Czerniowiec, gdzie u starszej siostry, Augustowej Schally, zwykła była przebywać miesiącami.

Przyjazd jej był dla mnie ważnym wypadkiem i ogromnie barwną porcją wrażeń. Pamiętam rozpakowywanie walizek. Kolorowa inność nieznanego świata zachwyciła moje oczy, gdym ujrzała przepysznie haftowane

)*

Odnośnik do str 17

Nie mogła inaczej dopleść warkocza do końca, jak tylko po okręceniu go sobie wokół pasa tak był długi.!

szlaki na bukowińskich ręcznikach z tak zwanego czynowatego płótna, lnianych, które w domu Ciotki Celiny przędła i tkała jej mamka, staruszka Katarzyna...Potem rumuńskie jedwabne chustki na głowę, kraciate, błyszczęce " testemele" a wreszcie pierwszy oglądany z bliska kilimek, w słomiano żółte płomyki na dnie malinowym i modrym. Klejnot nie kilimek ! Zjadły go mole dopiero na kawalerskiej kwaterze Adasia.

Okropnie mi się udała Babcia! Przyjechały też słoje pigwowej galarety, barwy jasnego karniolu, w której czerwieni bielały z rzadka ziarnka laskowych orzechów, - różany sorbet i chałwa, w drewnianej puszce, coś tłustego i słodkiego, co wcale nie było dobre, ale jawiło się zbyt bliskie kilimka i jedwabnych xxxxxxxx " testemeli" aby tym gardzić...

Babcia bywa zwykle siwa i pomarszczona...Moja - była dziwnie śliczna, choć niemłoda. Pamiętam ją czeszącą się...Widzę strumień włosów czarno-granatowych, sięgających kolan, i rysy które zawsze i później wydawały mi się zbyt paradne na codzień. Oczy miała Babcia wielkie i granatowe, jak Joczka, smutne mimo uśmiechu, o ciężkich, długorzęsych powiekach.

W samą wilię tego roku urodził się Adaś. (1877 r.)

Z osób bywających u nas lubiłam panią Eustachową Jezierską, a zwłaszcza jej córkę, Walę. Wesoła była, miała ładne czarne oczy i okazywała wielkie zainteresowanie moim " kręcidłem". Już w tym czasie je zauważyła kiedy mi się jeszcze ani śniło o haczku, tylko zaciskałam piąstki a zwłaszcza prawą w kułak, wiercąc nim powietrze. Nauczyła się robić podobnie, ku mojej wielkiej uciesze i zdaleka już gdy wchodziła, widziałam jej podniesione pięści, robiące znajome półobroty, i jej ładne, czarne, roześmiane oczy... Gdyśmy się po dziesiątkach lat znowu zobaczyły, przypomniała mi moje dziecinne, zaciśnięte kułaczki, wiercące dziury w powietrzu. Wyszła za Bolesława Eulenfelda, zacnego Polaka i autora patriotycznych sztuk popularnych, grywanych jeszcze zawsze. Sama xx także pisała wiele dla scenek.

Z rodziny mieszkali we Lwowie jedynie Wujostwo Pawłowscy. Bardzo lubiłam tę Tatkową siostrę, ciocię Milę i jej męża. Ciocia była elegancka i zabawna, wuj Antoni urodziwy i miły. Dom ich podobał mi się bardziej od naszego, więcej w nim było roślin i kolorów. Ciotka umiała zawsze, choćby na chwilowym popasie, urządzić się przytulnie i ozdobnie. Bukiet, xxxxxxxxxx ładna, barwna szmatka, jakiś ciekawy czerep, książki -- w momencie musiało być koło niej ładnie. Długo żadne nakrycie stołu nie mogło się dla mnie równać elegancją z tym,

jakie oglądałam podczas imieninowych czy świątecznych przyjęć u wujostwa Pawłowskich. Obrus był zarzucony zielenią paprotki, rosnącej całą chmurą w ogromnym wazonie na postumencie w salonie, delikatnej, jak śniegowe gwiazdeczki. Na obrusie talerze niebieskie, pozłacane, na dnie każdego malowana gałązka jaśminu. Koszyki porcelanowe, o poplątanych, złoconych rączkach, etażerki z purpurowego kryształu, na których winogrona, (św. Emilia w listopadzie!) zmieniały się w klejnoty z bajki. Herbata podawana była po staroświecku, w szklankach, a każda szklanka siedziała w srebrnym koszyczku z rączką.

Sypialny pokój wujostwa potrafiłabym namalować jeszcze dziś. Na łóżkach amarantowe kapy w ogromne czarne kwadraty z chwastami na rogach, kanapka i fotele półokrągłe z jasnego drzewa, obite materią w duże piwonie różowe, tualeta na słupkach ze zwierciadłem poprzecznym i róg obfitości wiszący na jednym ze słupków, atłasowy, pełen aksamitnych brzoskwiń i jedwabnych śliwek. Do tych owoców przyszpilała ciocia czasem wycinane z gazet. (wiersze/Nauczone na pamięć) szły potem na papiloty. Ciotka bowiem miała sentymentalne gusta i nieraz widziałam ją płaczącą na czułych sztukach. Nie przeszkadzało jej to tańczyć do starości niemal, szalenie i świetnie.

W domu wujostwa była też jedna półka, na której stały wylepione kunsztownie z tektury i kolorowego papieru kościółek i forteca. Nie prędko pozwolono mi wziąć do ręki te budynki. Wykonane zostały przez wuja Antoniego, gdy po powstaniu długo odsiadywał ciężkie, austryjackie więzienie. Odnosiłam się do nich podobnie, jak do kalekiej ręki Józia Skólimowskiego. Czuło się, że w wesołym mieszkaniu, obok świergotliwych kanarków i mnóstwa zielonych roślin, znajdują się i te przedmioty posępne i uroczyste.

Wujostwo nie mieli dzieci, ale dom ich był często gwarny, bo zjeżdżała tu ze wsi druga siostra Tatka, ciotka Aniela, jej mąż Walery Maryański i ich chłopcy.

Rzadziej jawił się stryj Edmund Młodnicki z Czerniowiec, najstarszy z rodzeństwa. Skromny, ujmujący dobrocią człowiek, którego główną pasję życia stanowiła muzyka i gołębie... Że zaś miał dzieci w gołębiej ilości, - zawsze zaturbowany o któreś i skłopotany do śmierci. Z Ojcem moim nigdy nie był nadto blisko, ale zawsze na "św. Karol" 4-go listopada i na "św. Edmund" nieco później posyłali sobie dość jednotonne listy z życzeniami i wieściami. Rozeszli się w bardzo młodych latach, a potem łączyły ich już tylko wspomnienia rodzinnego domu. Stryj Edmund na skutek okoliczności, stanął dawno w duchowym rozwoju i z bratem, który do ostatniego tchu pogłębiał się, wysubtelniał i kształcił - nie wiele miał do mówienia. Stryj, gwoli muzyki i gołębi

nie skończył prawniczych studiów, ożenił się przedwcześnie i mocno niedbale, z osobą dobrą, ale prostą, po której dzieci wyszły w mocno zgrzebnej edycji. Poczciwe, pracowite, ale nieuleczalnie zgrzebne. Zawsze była między nimi a nami źle zrozumiana odległość, której niepodobna im było bez zadzierki wytłumaczyć, ani też przekonać kiedykolwiek, że to przecie nic innego tylko - inność. Co innego z ciotkami. Te były nam zawsze obie najserdeczniej bliskie, choć mało co od stryjostwa Edmundów zasobniejsze. Mama i stryj odnosili się do siebie bardzo przychylnie, śpiewali sobie duety Mendelsonna, Schumanna, mama na fortepnianie, stryj na skrzypcach, grali wyciągi z dawnych oper, lub sonat Mozarta - ale mówili sobie "pan" i "pani" jak znajomi. Stryj miał ładny, tenorowy głos i grał na skrzypcach doskonale. Siostry obie kochały go bardzo za jego słodycz i przebaczały mu słabą wolę, której skutki sporo zgryzot kosztowały rodziców. Był to człowiek nie zdolny do brania życia na serio, mimo kłopotów dożywotnich, - wieczysty młodzieniec, artysta-cygan, któremu wszystko co go oddalało od gołębi i skrzypiec, zdawało się niecierpliwiącą zawadą. Przychodził zawsze z kieszeniami pełnymi przysmaków dla nas i wycinków z recenzjami o czerniowieckich ostatnich koncertach i nie prędko pojęłam, że ma się mu głównie do zarzucenia te niezdane egzaminy - i żonę. Wyglądał do końca życia zdumiewająco młodo. Mając lat 80 nie miał siwego włosa i bujna jego blond czupryna miała ten sam rzut co na odwiecznych portrecikach Tatkowych z mikołajowskich czasów. Na dwa lata przed śmiercią przypomniał sobie jakiś piękny widok z Czarnohory i wybrał się jeszcze na tę wycieczkę. Pamiętam z jakim zachwytem opowiadał o niej i jak mu było żałośnie, że nie zastał już zapamiętanego z młodości starodrzewu po drodze. Umarł gdym już była zamężna, i pochowany jest w Szczercu.

Znajomymi, z którymi wówczas żyli rodzice najbliżej, była rodzina państwa Piaseckich. Pani była słuszna, ładna i nosiła krótkie włosy, mąż jej, lekarz, był niski, jak karzełek, miał dużą głowę, nosił włosy długie, po łopatki. Był powstaniec, długoletni, nadaremny wielbiciel cioci Anieli, poza tym hydropata, wegeterianin, przyjaciel znanego ongiś we Lwowie doktora Gromma, przyrodnika i dziwaka - robił wrażenie istoty z bajki, której cokolwiek się bałam. Rodzina ta żywiła się z zasady przeważnie chlebem, mlekiem i owocami i wyjeżdżała co roku na lato do Zakopanego, miejsca, którego adres równał się wówczas temu, na którym rak świżdże. PP. Piaseccy mieli tam rozległą posiadłość, nawet kawałek własnego lasu. Z dziećmi ich bardzo się polubiłam. Najstarsza Tyńcia, nazwana po ojcu Wenantyną, była mi, mimo dużej różnicy wieku, całe życie bliska. Młodszy Genio, chłopak noszący taką

sama blond grzywę jak ojciec, zdolny był, pomysłowy, natomiast najmłodsza Zosia, była dzieckiem ociężałym i zamkniętym, tak, że się nawet i później mało nadawała do zabaw. Pamiętam, jak z Tyńcią, o jakich osiem lat odemnie starszą, odgrywałam scenę zabójstwa Aliny. Balladyną była ona, uzbrojona w ogromny nóż do rozcinania papierów, malinami deseń na stołowej kapie i do dziś słyszę moje serce bijące pod fartuszkiem, jak duży zegarek, w chwili gdy się na mnie rzuciła. Cudowna była emocja czuć jak mnie niby zakopuje potem pod kilimkiem, udającym kwietną łąkę i stawia obok fikus z okna, czyli wróżebną wierzbę, którą potem wszystko wyśpiewa. Bardzośmy się do śmierci kochały z Tyńcią, moją naprawdę najbliższą przyjaciółką młodości. Ona była moją drużką, ona trzymała do chrztu Luka. Rodzicom jej zawdzięczam pierwsze poznanie Tatr w r. 1890, w lipcu, gdyśmy tam obie z Mamą po uroczystościach pogrzebowych Mickiewicza, podążyły z Krakowa.

Domu Maszkowskich nie mogę nazwać znajomymi. Byli to przyjaciele rodziców, bliżsi, niż niejedni krewni. Młodzież domowa, czyli Minia, Staś i Anielka, wszyscy starsi byli znacznie odemnie, ale jakoś tak się to działo, że było mi między nimi w sam raz... Zupełnie się tam czułam, jak w domu - między ludźmi i między obrazami. Wisiały bowiem na ścianach szkice Grottgera, wizerunki koleżeńskie z czasów gdy Tatko był w Monachium, kolegował ze stryjem Mimi Stasia i Lola - Marcelim, tym samym, którego portret grottgerowski, profilowy, w konfederatce, wisiał znowuż u nas nad trymotką w salonie. Lolo i Anielka stanowili zawsze, latami, moje nieodłączne towarzystwo przy wszystkich świątecznych okazjach, których dopełnieniem stałym bywali młodzi Piaseccy. Cioteczne moje rodzeństwo, Maryańscy, nie prędko bowiem przybyli z rodzicami do Lwowa i po latach dopiero, gdy wuj, inspektor skarbkowskich lasów, przeniósł do miasta swe urzędowanie, otwarły się dla mnie niezapomniane adresy, najpierw mieszkania ich przy ul. Zielonej, a potem w Gmachu Skarbkowskiego Teatru. Czasy te godne są osobnego eposu, na który nie wiem, czy mi tchu wystarczy.

Bardzo ważną osobą w mym dzieciństwie był Dr. Stella-Sawicki, lekarz chorób dzieci, pamiętnikarz z czasów powstania, w którym brał znaczny udział, człowiek wielkiej zacności i dobroci, który bardzo blisko żył z moim Ojcem, a potem gdy się rodzice pobrali, przyjaźnił się z naszym domem. Przepadałam za nim i nazywałam go " Stella", tak jak się mówi do kogoś " Kazio" czy "Staś".

Wtedy też kochany, najpoczciwszy pan Bełza obdarzać mnie już począł najładniejszymi książkami, jakie wychodziły w Polsce dla dzieci. Jemu zawdzięczam nieporównaną z żadną inną książką "Złotą Róż=

dżkę " z wierszami Wacława Szymanowskiego i obrazkami doskonałego, niewiadomego mi autora, które to poematy wstrząsające o " Kasi i kotach", o " Stasiu straszydle"- o " Grzegorzu i parasolu" i "Michasiu, który nie chciał jeść zupy "...poczem " pięć dni chorował, umarł na szósty " xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx...umiałam jak pacierz.

Z wydawanego przez pana Bełzę "Towarzysza grzecznych dzieci" czerpałam znów moc pierwszych ważnych powiadomień o polskiej historii i świecie.. Żałosne strzępki " Towarzysza dzieci" wpadły mi w ręce na wielkim rozsypisku domowym, podczas przebudowy Zaświecia, wyczytane do szczętu przez xxxxx drugą generację, sponiewierane wprawdzie i ledwie żywe, ale pełne godności starego pedagoga, który spełnił uczciwie swój obowiązek.

Bywało u nas wiele osób. Niektórzy ze znajomych przychodzili częściej, naprzykład kolega Tatka, malarz, Franciszek Tepa. Przychodził zwykle wieczorem i zawsze zatrzymywali go rodzice na kolację. Od czasu do czasu przynosił mi pakiecik biszkoptów i z tej przyczyny - a także i innych - anektowałam go sobie na wyłączną własnosć, jak rówieśnika.

Mimo wieku było w nim istotnie coś dziecięcego. To zapewne zbliżało go do mnie, a czyniło mniej ciekawym dla rodziców, choć go lubili bardzo. Dla mnie był w sam raz. Słodki ten, uderzająco piękny, delikatny człowiek dał mojemu dzieciństwu dużo radości i pokazał ścieżki do źródeł, z których zaczerpnęłam więcej, niż mógł był kiedykolwiek przypuścić.

W roku 1853 był p. Franciszek zabrany przez rodzinę Potockich w podróż do Egiptu. Towarzyszył im jako nadworny malarz i tam też powstały jego najsłoneczniejsze akwarele, tam odnalazł swój " genre", szerszy, śmielszy, od poprzednich miniatur, stamtąd przywiózł w oczach te kolorowe wspomnienia, których kształtu i blasku starczyło jeszcze i dla mnie - po latach. Opowiadał mi o Egipcie. Jakże dobrze i wdzięcznie pamiętam te wieczory, gdy za oknami, wymarzłymi w lodowe kwiaty, dzwoniły wzdłuż ulicy Zimorowicza saneczki, a w pierwszym pokoju syczał żółty, pękaty samowar, ja zaś siedziałam obok pana Franciszka na zielonej sofie pod lustrem i słuchałam. Tatko rysował zwykle przy jasnej lampie, Mama haftowała krzyżykami - ja zaś brnęłam z Tepą w świecącym, miałkim piasku po kostki i byłam coraz bliżej wielkiego Sfinksa...

Dziwnie dobrze, po malarsku opowiadał. Cieszyło go pewno, że go ktoś jeszcze, choć tak mały, słucha. Zaglądaliśmy razem w twarz obalonemu posągowi Ramzesa w jakiejś arabskiej wioszczynie, dławiło mnie gorąco ciosanego korytarza piramidy, czułam jedwabny powiew

nietoperzych skrzydeł u powały, bolały mnie ramiona od chwytów Araba przewodnika, windującego nas na szczyt... Razem z Tepą siedziałam nareszcie w uchu Ramzesowego kolosa w Abu-Simbel i dzwoniłam nogami nad piaszczystą zboczą, sypiącą się miałkim złotem ku Nilowi. Ale przede wszystkim, razem z panem Franciszkiem, współczującym sercem przyszłego zbieracza, przeżywałam pokusę ułamania pewnej wąskiej, omotanej pasmami płótna rączki dziewczęcej i zabrania jej ze sobą, daleko na północ, na pamiątkę, na dowód że się nie śniło...

Kilka razy musiał mi pan Tepa opowiadać, jak to było... Jakieś właśnie rozkopane podziemia, pokazywane za wielką protekcją wielkiemu magnatowi i jego świcie - smukła mumia młodej księżniczki, z którejś zamierzchłej dynastii - cyfra porządkowa obojętna była i Tepie i mnie... Natomiast rączka, zdobna zielonym pierścieniem, wąska, o długich paluszkach, drobna i niepokojąco cienka w kostce, rozpowita już cokolwiek z pasemek - fascynowała nas oboje..." Tylko nieco przy= zostać w tyle, gdy wszyscy pójdą przodem ku wyjściu..." Myślę że dziś bym już tego nie odczuła, ale wtedy każdym razem oddychałam z rozkoszną ulgą, gdy przychodził moment w opowieści, kiedy pod palcami malarza chrupnęło coś, jak sucha gałąź. Potem jeszcze chwila emocji, gdy pasma lniane nie chciały puścić łupu i trzeba je było po ciemku, szybko, przeciąć scyzorykiem...

Rączka egipskiej księżniczki, znajoma mi dobrze z ubogiej pracowni - lodowni raczej! - pana Franciszka (wchodziło się tam wprost z bramy, po paru schodkach, w drzwi lewe na parterze, przy ul. Sykstuskiej) leży teraz w gablocie zbiorów Ossolineum i każdy ją może oglądać, razem z zielonym pierścieniem i mumią kota obok.

Nieraz też powtarzać musiał pan Tepa swą niefortunną przygodę z hrabią i krokodylem. Kąpali się razem w Nilu z Potockim i ponieważ Arabowie napomykali, że w tym miejscu, u skalistego wybrzeża Koroska, nie trudno o krokodyla, przyszedł malarzykowi niemądry koncept zabawienia się w tę przykrą reptylię. Nawiasem mówiąc miał Tepa prześliczne ręce o długich, twardych paznokciach, które nawet w starości i biedzie starannie utrzymywał -- zupełnie portretowe ręce! Tymi tedy paznokciami obu rąk, dawszy poprzednio nurka, chwycił nagle pod wodą, niby w szczęki jaszczura, nogę Potockiego. Potocki -zupełnie słusznie - nie tylko nogę wyrwał, ale z całej siły wierzgnął nią w kierunku napaści. Ugodził wszakże nie krokodyla w zęby, ale Tepę w piersi i to tak silnie, że biedak ciężko swą psotę odcierpiał.

Miałam ukochaną wielce, malutką wyżlicę kurlandzką, której było na imię Katula. Córkę Katuli, śliczną Nolkę, podarowałam pani Aszpergerowej. Gdy z kolei Nolce wydarzyły się piękne psięta, pani Aszpergerowa ofiarowała Tepie zachwycającą, biało-żółtą Kadurcię. To

była ostatnia pociecha jego biednego, kawalerskiego żywota. Kadurcia " bywała" razem z nim w znajomych domach, brał ją ze sobą do kawiarni Schneidra i cała dzielnica znała pieska i jego pana (noszącego czarny kapelusz z kresami i podczas demi-saison'u drapującego się w pled tabaczkowy z frendzlami) . Wschodnim pono obyczajem Tepa nie wołał nigdy swej Kadurci po imieniu, ale gdy się za innymi pieskami, czy między dorożki zapędziła, krzyczał dziwnym, gardłowym głosem : Tulu! Tulu! Tulu!... Kochał tę psią odrobinę resztką czułości, ona zaś dzieliła się ze starym malarzem ciepłem swojego maleńkiego serduszka, grzejąc go dosłownie gdy zastygał w nieopalanej pracowni. Gdy go wreszcie, dosyć przypóźno, zabrano do szpitala, aby się zagrzał przed śmiercią, nie było sposobu rozłączyć psiny z malarzem, ani malarza z psiną. Dopiero gdy umarł, ustąpiła Kadurcia z piersi swego pana, na której leżała zwinięta w kłębuszek. Potem u zacnej pani Aszpergerowej, pieszczona i szanowana, dokonała kosmatego żywota, dużo pewno szczęśliwiej od swego biednego pana.

Pogrzeb Tepy wypadł w zadymkę diablą ! Na wydmuchu, koło głównego szpitala, głowy urywało tym kilku wiernym, którzyśmy poszli za jego trumną. Tatko szedł z panią Aszpergerową, ja, omotana szalikami jak cebula, dreptałam u łokcia starego Henryka Skarbka, podówczas prezesa Koła lit. art. czy Twa. Sztuk Pięknych.. Myślę, że jeśli dusza egipskiej księżniczki miała jaką urazę do Tepy, to gdy w tym momencie, przeważywszy na szalkach ozyrysowej sprawiedliwości jego biedną, przemarzłą dolę, porównała ją ze swoją - machnęła niechybnie jedyną rączką i odpuściła polskiemu malarzynie !

X

X X

Kamienica przy ulicy Sykstuskiej, w której zamieszkaliśmy, należała do żydów Horowitzów. Z galerii naszego drugiego piętra widziałam nieraz na ganku poniżej, służącą gospodarzy, niosącą na srebrnej tacy śniadanie z kuchni, na której obok masła i pieczywa, leżały stosy czosnku i cebulek z długimi, zielonymi ogonami. Córka, czy wnuczka naszego gospodarza, którego sama jeszcze pamiętam w jedwabnym hałacie, wyszła później za adwokata, a potem posła. Natana Loewensteina.

Służyła u nas wówczas Józia, ta, która pozowała Chmielowskiemu do jakiejś świętej i sama widocznie wyjątkowo zaufania godna, bo wolno mi z nią było chodzić czasem, gdy ulicą "Majerowską (dziś Trzeciego Maja) szła po mleko do " kowalki" Rudolfowej, lub do greislerei Joanny Schlarb, naprzeciw naszej bramy i frontowych okien. Szyld tej Joanny, przyjemnej szwabki o blond warkoczach ,utkwił mi na zawsze w pamięci ponieważ na jego ogromnych

biało na czarnym lakierowanych literach uczyłam się czytać. Tam też chadzałam czasem z Józią, aby sobie zmienić cztery drobne centy na duże, nowe czterocentowe miedziaki, które lśniły wspaniale i za któ= re można było kupić w cukierni ciastko z kremem, wielkie, jak złożo= na we czworo serwetka. Były tam też rocks-dropsy kwaskowate w szkla= nych słojach, kręcone laski owsianego cukru, miętówki, cukier lodowaty w kryształach na szpagacie i " lodesy", obrzydliwe, krochmalne tablicz= ki, które się - niewiedzieć dlaczego - lubiło... Ówczesną ulicę Ma= jerowską tworzyły od strony Jezuickiego Ogrodu dwa szeregi naprze= ciw siebie stojących dworków z ogródkami od frontu. Na miejscu gdzie dziś Gmach Uniwersytetu, nie było jeszcze nawet późniejszych znacznie Łazienek Diany. Jedynie ujście ulicy, dziś Trzeciego Maja, ku Jagiel= lońskiej, zalegało kilka wielkich kamienic. Tą tedy ulicą dreptałam niejednego wiosennego ranka z Józią na ciepłe mleko do " Kowalki". W ogródku, który się mijało, przed cofniętym w głąb dworkiem, w którym przez pewien czas mieszkała pani Fela Skolimowska, pamiętam na kop= czyku, osnutym bluszczem, omszały posążek Amora.. Józia tłumaczyła mi, że to jest taka biedna sierotka wygnana przez macochę i skamie= niała...

Józia ta, dała mi też pośrednio pierwsze pojęcie o znikomości spraw ludzkich...

Był maj, w kuchni u Józi na oknie stał w słoiku bez, w którym wyszukiwałam pięciolistne kwiatki. Miała go zawsze całymi wiechami. Przymawiałam się nieraz o ten bez i marzyłam, aby go samej móc łamać. Raz, w jakieś niedzielne popołudnie, pozwolono Józi wziąć mnie ze sobą do jej przyjaciółki, która miała ogród z tymi bzami, i córeczkę w moim wieku, Wincusię. Po drodze opowiedziała mi Józia, że Wincusia jest jedynaczką, prawie tak jak ja, tylko jej rodzice są bogaci. Te słowa dobrze zapamiętałam, bo mi Józia wytłumaczyła, że " bogaci" to są tacy ludzie, którzy nie muszą mieszkać w kamienicy, tylko w swoim domku i mają ogród, do którego nikomu obcemu nie wolno wchodzić. Ja tylko dlatego tam idę, bo mama Wincusi jest Józi przyjaciółką. Opowiadała mi, że wszystko to będzie kiedyś Wincusi, gdy dorośnie.

Ogromnie byłam przejęta niezwykłością losu tej dziewczynki. Do= mek, do którego-śmy szły, stał gdzieś w okolicy górnej Sykstuskiej, par= terowy, jak niemal wszystkie tam wtedy, ze sztachetkami od ulicy, przez które z daleka już zobaczyłam bez.

Wincusia zawiodła moje oczekiwania. Miała czarny, ceratowy far= tuszek i wyszarzałe trzewiczki. Matka, w chustce na głowie, jakaś za= pewne stolarzowa czy inna majstrowa, siedziała na trawie przy rabat= kach i wstała na nasze powitanie. Częstowała nas potem kawą, której mi Józia pić nie dała, musiałam poprzestać na garnuszku mleka i prec= lach.

Przesadna moja wyobraźnia została ostudzona dotkliwie, bom już sobie namotała całkiem inne rzeczy, gwoli tego " bogactwa". Myślałam że zastanę wspaniałości, złociste i haftowane stroje i takie wysokie, długie okna, jak w obrazkach do bajek... Pomimo zawodu przejęta byłam jednak świadomością, że domek i bzy i narcyzy i serduszka wiszące z białą kroplą u nosa nad grządką i sztachety i wszystko w pokojach będzie kiedyś Wincusi, tej samej, z mysim ogonkiem... Obdarzona ogromnym pękiem bzu, wróciłam ucieszona, że Wincusia przyjdzie kiedyś także i do mnie. Nie przyszła jednak...

Jakoś niezbyt długo potem, już były liście na drzewach gęste, zobaczyłam Józię rzewnie płaczącą. Opowiedziała mi szlochając, że Wincusia umarła a matka " mało nie oszaleje z żalu ". Mówiła, że pogrzeb będzie " śliczny" i może mi rodzice pozwolą zobaczyć. Struchlałam ! Więc to tak ?! Tak niedawno jeszcze była - i już jej nie będzie ?! Wincusia, która tyle, tyle miała na własność, teraz umarła i leżeć musi w trumience, jak Joczka ! Ale Joczka nie była bogata, mieszkała w kamienicy, nie miała ogródka do którego nikomu wchodzić nie wolno... I cóż się teraz stanie z tym wszystkim ?! I matka, która " szaleje" z żalu... Ginęłam z ciekawości, jak się z żalu szaleje...

Koniecznie się naparłam na ten pogrzeb. Wincusia umarła na zapalenie płuc, więc nie było obawy, abym się jakąś biedą zaraziła, i poszłam z Józią. Było to może pierwsze tak głębokie wstrząśnięcie, jakiego doznałam... Miałam już szósty rok zaczęty i bardzo przytomnie próbowałam myśleć... Strasznie byłam zniechęcona. Doskonale pamiętam refleksję, że właściwie nie warto cieszyć się niczym skoro to tak...

Józia do wnętrza domku mnie nie wpuściła, przez otwarte okna słychać było jednak, jak matka Wincusi krzyczy. Okropne to było ! Tłum wszakże cisnący się do sztachetek i otaczający błękitną, wynoszoną trumienkę imponował mi. Nawet po śmierci Wincusia górowała nad innymi dziećmi, tym choćby, że umarła. Widziałam, jak wyciągają szyjki, żeby dojrzeć trumienkę i krzyczącą matkę. Nie miałam wątpliwości, że tak krzyczy bo kochała Wincusię bardziej, niż Mama Joczkę.. I to się nazywa, że " matka szaleje..." Patrzyłam i nie budziło to we mnie współczucia bynajmniej. Było takie brzydkie i dla oczu i dla uszu.. Cóż Wincusi po tym ? Co jej po ogrodzie, domu, bzach, które " były" jej własne ?

Od tego czasu w historiach moich bajanych za sprawę ~~xxxxxxxxxx~~ haczka, jawiły się bogate, umierające dzieci i moc akcesoriuów wspaniałych, które mnie nic nie kosztowały, a jakimi chciałam sobie wynagrodzić zawód doznany wobec żywej Wincusi i jej matki, siedzącej w chustce na głowie koło grządek. Mnie samej nigdy nie było w tych ~~xxxxxxx~~ bajaniach. Zostawałam zawsze na brzegu, jako widz i słuchacz. Coraz bardziej zagospodarowywałam się w tej dziedzinie fantazji, powoli stawała mi się jakgdyby drugim światem i sprawiała, żem miała życie rozdzielone na dwie połowy - jedną rzeczywistą, szarą, drugą -

urojoną, pełną barw i wspaniałości...

Nie rozumiem zupełnie czemu nie zwariowałam, lub nie zdziwaczałam doszczętnie, bo dziś nie ulega dla mnie wątpliwości, żem połowę dzieciństwa i młodości spędziła w hipnotycznym transie, na marnotrawstwie nerwów szalonym i bezpożytecznym. Przychodziło mi zbyt łatwo więc nie ~~xxxxxxx~~ chciało mi się tego spisywać, siedziało w pamięci płytko jak sny i przepadało bez śladu. Ja sama tylko miałam użycie z niczym nieporównane, użycie i wyżycie się w dziejach zmyślonych, ciekawych, malowniczych, w których roiło się od twarzy, postaci, o imionach i losach narzucanych mej wyobraźni jakby obcą siłą. Losy tych istot i mowa zdawały się nie bardzo zależeć nawet od stopnia mego rozwoju, gdyż dobrze pamiętam, że się zdarzały wypadki w tym świecie i słowa, które były dla mnie niezrozumiałe. Zupełnie tak jakby się dziecko dorwało jakiejś książki o treści zawczesnej.

Rychło zarzuciłam zwyczaj gadania na głos tego, co haczyk przywabił. Potem kryłam się z tym cudactwem coraz skrzętniej, podczas gdy samo narzędzie czaru ustalało swój kształt ostateczny. Był to drążek z leszczyny, prosty, długi na 22 cm. nieostrugany ze śliskiej kory, do którego przymocowywałam mocną nicią żynek sztywnego, białego papieru, szeroki na półtrzecia centymetra, ścięty, jak haczyk węziej ku końcowi i jak haczyk w połowie zagięty. Grubość drążka nie była też obojętna. Był nieco tęższy, niż salonowe świece do kandelabra. Adaś tak wiele moich kręcideł w życiu wytępił, że po wielu latach potrafił sporządzić dla żartu idealne, doskonałe, które jedno zachowało się w perepelnickim kantorku. Moje własne, ostatnie, oddałam już jako narzeczona Wacikowi, gdy powiadomiony o tym dziwie i słusznie o moje zmysły przerażony, wziął odemnie słowo, że nigdy w życiu nie tknę już więcej zaczarowanej pałeczki. Dotrzymałam - i już trzydziesty piąty rok minął odkąd złożyłam berło mojej młodości. Żal mi było za nim długo i przeszłam coś podobnego do choroby palaczy, co się wyrzekli narkotyku. Na pociechę zaczęłam wtedy więcej pisać, bo poprzednio z chwilą, gdym z ręki puściła mój drążek, ustawał doraźnie ów tajemniczy prąd, zostawał tylko zawrót głowy i silne drętwienie całego prawego ramienia. Myśli stawały się normalne i dorzeczne odrazu, zawisłe jedynie od przyczyn rzeczywistych i rozebrane z tysiąca kostiumów, które przed chwilą miałam na zawołanie. Ale i teraz, po tylu latach, wiem z całą pewnością, że dość by mi było ścisnąć na nowo "kręcidło", aby stare czarodziejstwo napłynęło mi do głowy z powrotem.

W r. 1878 pojechaliśmy na wakacje do Żurawna. ~~Właścicielką~~ (Dożywotniczką) majątku była pani Ewelina z ~~Siemiątkowskich~~ Zawadzka (Siemianowskich)

I-o voto Tadeuszowa Żebrowska, II-o voto Tadeuszowa Chajęcka, prababka Ks. Kazimierzowej Czartoryskiej.

Gdy ja miałam rok szósty, ona była staruszką pomarszczoną, jak włoski orzech. Drugi jej mąż -- jak się dowiedziałam później -- nie miał jeszcze wówczas lat trzydziestu ! Był wszakże niezwykłej tuszy i wcale tak młodo nie wyglądał. W pałacu, prócz tych dwóch głównych osób, przebywało stale kilka młodych panien - wnuczki pani domu, panny Skrzyńskie z Włodzimierzec, Anna i Wanda i siostrzenica pana Chajęckiego, panna Maria Taborska. Siostra mojej babki, ciocia Terenia bar. Wentz zu Niederlahnstein, znakomita w swoim czasie nauczycielka i wychowawczyni, długoletnia właścicielka i kierowniczka Zakładu wychowawczego dla panien we Lwowie, pierwszej polskiej pensji tej miary i zasługi w naszym mieście -- po zwinięciu tejże pensji, kształciła kolejno szereg uczennic jak : Klaudia Czaykowska z Knihynicz, Aleksandra Dzieduszycka z Izydorówki, a obecnie panny Skrzyńskie i pannę Taborską. Ojciec mój przyjaźnił się zdawna z panem Chajęckim i dzięki temu stosunkowi ciocia Terenia objęła naukę w Żurawnie, a my, przez oboje gospodarstwo, zostaliśmy zaproszeni na wakacje. Dla pani Chajęckiej miała mama specjalny pietyzm, jako dla powinowatej Grottgera, w której domu bywał tu jeszcze wyrostkiem i od której pierwszego męża wiele doznał przyjaźni.

Cudowne były te żurawieńskie wakacje ! Pomimo rozdwojonego mego istnienia, starczyło mi wrażliwości dla światów moich obu. Przejmowałam się wszystkim namiętnie, umiałam się cieszyć szalenie i zamartwiać na umor, zachwycać się i złościć, bo wskutek zdenerwowania nieuniknionego przy fantastycznym nałogu, przesadzałam we wszystkim do niemożliwości. Właściwe przyczyny i rozmiary tych przeżyć pozostawały prawie zawsze głęboko we mnie zatajone, tak że wybuchy jawne, które mi się zdarzały, radosne czy desperackie, wprawiać mogły w słuszne zdumienie moich najbliższych. Mimo miłości ku nim, rosnącej razem ze mną, żyłam wewnętrznie w całkowitej samotności, jakby w drugim pokoju, z którego wychodzi się wprawdzie, ale " mieszka się" tylko w nim.

Dawny, przebudowany następnie z gruntu pałac w Żurawnie, był wówczas dużym, piętrowym dworem, o dwu tarasach, z podjazdem opartym na filarach, którego ładną akwarelę zostawił Ojciec w swej żurawieńskiej tece. Pałac otaczał pięknie utrzymany ogród, którego obrzeżem płynął Dniestr. Pamiętam na tym pobrzeżu altankę chińską, o dzióbatych narożnikach, wyklejoną wewnątrz papierem w figurki z parasolami, dziwaczne rośliny i smoki, pod której ścianami w głębi stały wąskie kanapki, obite malinową materią. Dziś - jak słyszę - śladu po niej nie ma nawet w pamięci obecnych właścicieli Żu=

rawna. Opodal pagody,również nad Dniestrem,wznosiła się kamienna kolumna z popiersiem króla Jana z wieńcem laurowym na czole. Znikła już pewnie również,zanotowana na szczęście w tece Tatkowej,podobnie jak krzesło Sobieskiego,odrysowane w żurawieńskiej zakrystji.

Poprzez cieniste zakamarki i aleje szło się do wielkiej woljery z dzikim ptactwem. Stała w cieniu starych drzew,zionąca z daleka zgnilizną. Siedziały w niej kanie i jastrząb, najwyżej i najciszej ciemniał majestatyczny orzeł skalny. W osobnej przegrodzie na dole migał pomarańczowymi ślepiami zaspany puhacz.

Niestety z powodu Dniestru nie było mi wolno chodzić samej po ogrodzie i tylko część słoneczna,między pałacem a oficyną - wcale zresztą nieposlednia i pełna kwiatów - była mi wyznaczona jako mój rewir. Pasterką moją była Ewcia, córka ogrodnika, znająca wszystkie kwiaty po imieniu. Do dziś zachowałam w pamięci woń żółtych,japońskich różyczek,których girlandy wiły się wokół słupków podjazdu.

Tu, na głównym gospodarskim szlaku,miałam sposobność stykania się z Busią, jak za przykładem domowych panien nazywałam panią Chajęcką. Stara dama wyglądała zawsze jak sztych kolorowy z dziennika zamierzchłych mód. Zwłaszcza rano, gdy kładła kapotkę z kwiecistego batystu,głęboką i okrągłą jak tunel,wiązaną pod brodą,jeszcze i teraz,z dawnego nawyku,chroniącą zgrzybiałą twarz przed opaleniem. Na ramionach nosiła Busia szal kolorowy i kilka rzędów dużych pereł,na zawsze odkrytej, pomarszczonej szyi. Staruszka bardzo była na mnie łaskawa i brała mnie nieraz ze sobą do chlewów,urządzonych z niebywałym staraniem. Miała bowiem osobliwsze upodobanie w świnkach, doprowadzone z wiekiem do dziwactwa. Trzeba było w końcu forteli,za pomocą których pan Chajęcki,w zmowie z ekonomem, pozbywał się zbytniej załogi w chlewikach. Świnki istotnie były utrzymane jak cacka, żartowano sobie,że każda miała osobną szczoteczkę do zębów,a wskutek wieści zaczytanej w jakimś postępowym podręczniku,jakoby kolor fiołkowy wpływał dodatnio na świńskie nerwy i tuszę,zaraz dostały Busine fioletowe szyby w okienkach. Zdarzyło się raz,że w czasie codziennej wizytacji u świnek,pękł jeden ze sznurów pereł pani Chajęckiej i drogocenne kulki posypały się między prosięta. Istna ilustracja ewangelicznej przypowieści,z której sporo było dworowania w pałacu.

Mieszkałam nie z rodzicami,ale przy cioci Tereni,w apartamentach panien. Przepadałam za nimi,ponieważ były ładne.Hanka Skrzyńska (późniejsza Kazimierzowa Winnicka z Turad) bawiła się ze mną wesoło jak rówieśnica. Najlepsza była zabawa w powożenie,gdy Hanka, duża i dorosła, biegła przez słoneczną amfiladę naszych po=

kołków,a ja za nią,trzymając końce jej ogromnych,złotych warkoczów, uradowana,że takie długie,jak lejce.

Panna Taborska - późniejsza Sroczyńska - krucza brunetka,nosiła włosy obcięte niżej karku,humor miała kapryśny,a gust w ubieraniu się trochę cygański,jak jej uroda. Do zabawy ze mną się nie nadawała alem ją zawsze wciągała w moje bajania,przebierała w suknie z bajki i długo,czarnowłosa istota z mojego drugiego świata,miała smagłą hardą twarz, krótkie loki i posępne,czarne oczy panny Taborskiej. To pewne,że jej prawdziwa biografia nie była ani trochę podobna do zmiennych losów jakie przeżywała w moim zarządzie. Gdy sobie dziś przypomnę ten niedostępny strumień fantazji i widzeń,jaki mi towarzyszył niemal stale,aż do wyjścia zamąż, mogę go porównać jedynie do nie mającego ani początku ani końca, kolorowego,zawrotnie płynnego filmu nieznanego wówczas jeszcze kina.

W Żurawnie chodziło się w pogodę do kąpieli. Szłyśmy - same damy ! - do budki na zboczy ogrodu i kąpały się gromadnie. Szła razem Ewcia ogrodniczka,która mnie pilnowała ilekroć znajdowałam się poza domem,ona też opiekowała się mną w kąpieli. Czasem nie było to łatwe. Dniestr płynął bystro i trzeba było dobrze uważać,żeby nie wpaść w nim razem do Czarnego Morza. Wiedziałam o tym Czarnym Morzu i groza jego zatruwała mi kąpiel. Bałam się tej czarności nieznanej szalenie i tymbardziej nie chciałam się utopić. Wyobrażam sobie,że i tamte panie, wszystkie z Mamą na czele,nieraz miały ze mną kłopot bom była strasznie żywa. Mimo trwogi,rada jednak chadzałam razem.

Poważny i naturalny sposób w jaki rodzice odnosili się przy mnie do dzieł sztuki,antyków i innych ~~xxxxxxxxxxxxxx~~ mitologii,uczynił,że bez nijakiego ambarasu umiałam widzieć wszelką piękność w rzeźbie,obrazie,czy Dniestrze... Hanka Skrzyńska,biało-złota i smukła jak boginka, była w mokrych draperiach kąpielowej białej koszuli takim skończonym cudem,że zagapiona w jej ruchy i słońce na ~~xxxxxxx~~ ogromnych,jasnych włosach,ani mi przez głowę nie przeszło,że jest to poprostu młoda,nieubrana panna. Wcześniej od historii naturalnej znałam bajkę Andersena o " Wodnicy "a jedną z najwcześniejszych bajek,jakich słuchałam była Illiada, poznana dzięki streszczeniom Tatka,a potem Odysseja, opowiadana mi przez ciocię Terenię. Miałam najwyżej sześć lat,gdym rysowała homeryckie ilustracje.Jeden taki utwór przedstawiający szlechetnego Eumeja,stojącego przed Penelopą i chowającego za siebie z żenadą patyk - symbol jakoby jego niskiego stanowiska - znalazłam niedawno pośród zebranych jeszcze prze Ojca, moich najdawniejszych smarowideł.

Podczas kąpieli w Dniestrze podniecał mnie też wielce widok nadbrzeżnej widnej z tego miejsca łączki za rzeką,na której rosły okazałe drzewa,a do której przywarło wspomnienie królewskiego obozu

i podpisanego tam ongiś żurawieńskiego pokoju z Turkami. Zawsze bo=
wiem i na każdym miejscu dźwięczały mi w uszach budzicielskie słowa
Mamy, Cioci Tereni, czy Tatka, padające na świeżą, czystą kliszę ma=
leńkiego mózgu, który je chwytał i brał na tajemniczy warsztat wyo=
braźni.

Naprzeciw naszej kąpielowej budki, również za rzeką, widać
było wzgórze Bakocynu, w którego wnętrzu spały jeszcze bezpiecz=
nie pokłady żurawieńskiego alabastru.

Po deszczu Dniestr bywał mętny i jeszcze szybciej rwący. Niósł
wtedy na sobie warstwy trocin z jakiegoś odległego tartaku, niby tar=
tą bułkę i tworzące się na wodzie, także do bułek podobne, okrągłe
kłębki żółtawej piany. Mama i panny kąpały się mimo bułek, ja siedzia=
łam na brzegu i dziwiłam się, że chcą.

Wnętrze pałacu było znowu kopalnią wrażeń innego rodzaju.
Wszystkie frontowe pokoje zostały mi w oczach dziwnie ogromne. Przez
salon szłam i szłam i przestrzeń między dwiema jego serwantkami,
wydawała mi się wycieczką. W jednej z tych szafek, oprócz
filiżanek, porcelanowych, ażurowych koszyków, kryształów i zielonawych
kieliszków, mnożących się zawrotnie w jeszcze zieleńszej zwierciadla-
nej głębi -- znajdowała się kolekcja muszel, koników morskich, gałą=
zek korala --a nade wszystko "morski szatan ", nieduży, o krągło roz=
dziawionej, suchej paszczy. Ten szatan w równej mierze przerażał mnie
jak pociągał. Musiałam koniecznie na niego patrzeć i nieraz sama za=
dawałam sobie próbę, czy potrafię minąć go i nie spojrzeć? Rzadko kie=
dy się udawało. Koniki morskie także były niepokojące. Okropnie ba=
łam się, aby się który nagle nie skurczył lub nie wyprostował. O wiele
bardziej działały na mnie straszydła, niż samowita białość malowanych
imbryków i śliczne bukiety na porcelanowych paterach.

Żurawieński salon musiał być istotnie ogromny, bo się w nim
mieściły dwa okazałe garnitury mebli z kanapami, fotelami i gromadą
krzeseł, wokoło stołów. Jeden garnitur miał obicie szmaragdowo zie=
lone, drugi płowo złociste. Fortepian, konsole z lustrami pod sufit,
owe dwie serwantki, których górnych pięter nigdy dojrzeć nie mogłam,
i jeszcze w nim było tyle błyszczącej posadzki ! Meble, jak to dziś
mogę osądzić nie były piękne. Trojgarbne kanapy drugiego ce=
sarstwa, z których na domiar jedna, ta złociście płowa, miała zu=
pełnie cynicznie rozprute wnętrzności, w których głębi zawsze coś
się ruszało i trzęsło. Pani Chajęcka, lubująca się widocznie w pew=
nym typie stworzeń, chowała całą familję gołych piesków, które
cały boże dzień drżały, jak galareta, miały stroszkane, pomarszczone
twarzyczki jakichś pokutujących widziadeł, na głowach wichrzył się
im kłaczek białego czubka, jakby strachem podwiewanego w górę. Skó=
ra tych istotek była różowa, jak na wędlinie i stale wstrząsana dre=

szczem. Szczurzy, nagi, zawsze podkulony ogonek, nóżki stąpające ze wstrętem po zimnej podłodze - słowem istni potępieńcy, których socie= ty wszakże serce starej damy potrzebowało widocznie. Dość, że wnętrz= ności złoto-płowej kanapy pełne były stale tych golców nieszczęsnych mających tu prawo obywatelstwa i gniazda rodzinne. Biada gościowi któryby o zmierzchu usiadł był przypadkiem na tej kanapie ! Następował wybuch utajonej golizny, z kłaków i sprężyn wysypywały się rozzłoszczone straszydła i gryzły bez pardonu ! Przyrodnicze zamiło= wania staruszki nie kończyły się wszakże na gołych pieskach i świn= kach ! Na terasie, od strony parku, stała wielka kopulasta klatka z papugą.. Jaskrawa Ara, jakby zadławiona własnym, grubym językiem, ciągle coś majstrowała w artretycznych łap, kipiała jakąś - raz na zawsze gotową - pasją. Także stworzenie złe i cierpiące, którego obłąkane wrzaski niosły się daleko w ogród.

Bardzo dużo muzykowało się w Żurawnie. Pani Chajęcka prze= padała za Mamy śpiewem, bywała więc muzyka w kościele. Mama z Panią Michałową Dzieduszycką, najstarszą z trzech wnuczek Busi, śpiewała na chórze podczas sumy duety, - wieczorami po kolacji znowu śpiewa= nie. Przyjeżdżał Leopold Starzeński, nieoceniony pono towarzysz, autor patriotycznych dramatów wierszem, jak " Gwiazdy Sybiru" i " Czaple pióro", poza tym doskonały danser, deklamator i muzyk ; zja= wiał się przyjemnie śpiewający " Miśko" Sozański przebywała często córka pani Chajęckiej, a matka pani Dzieduszyckiej i panien, pani ~~Ludwikowa~~ Władysławowa Skrzyńska ~~z~~ mieszkająca wdowa w Włodzimierzu. Domownikiem niemal był rezydu= jący w Żurawnie-miasteczku nadworny lekarz PP. Chajęckich, dr. Rudnic= ki. Portrety wszystkich tych osób znajdują się w żurawieńskiej tece Ojcowej.

Śnią mi się z tego lata wycieczki na połów ryb i raków na ~~Bakocyn~~, ale clou mojego sezonu stanowił udział w procesji Bożego Ciała. Ubrana w niebieską sukienkę i wianuszek z mirtu, przewijany stokrotkami, sypałam kwiatki przed Przenajświętszym Sakramentem. Obok jak dwie drużki, szły biało ubrane córeczki sędziostwa Hajwa= nowiczów, a dworskie dziewczęta trzymające się w pobliżu, dosypywały nam wciąż kolorowych płatków w koszyczki. Procesja ta, widok błysz= czącej ~~xxxxxxxxxxxx~~ w słońcu monstrancji, żółty baldachim i zahaf= towany w figurki ornat proboszcza, chorągwie, wianki na głowach dziew= cząt niosących ołtarzyki i własny udział w tym pochodzie, wszystko to dokonało przełomu w moim wnętrzu. Porwały mnie - że tak powiem - motywy duchowne i zaświatowe. Treść moich bajań roiła się od świętych, tłoczyła od chorągwi, ołtarzyków, kaplic, krzyżów, a tematy rysunkowe czerpałam odtąd także z ~~xxxxxxxxx~~ dziedziny religijnej, z niejakim tylko uwzględnieniem królów, królowych i królewien... Pro=

cesje, Msze, jakieś apoteozy, tajemnicze obrzędy, pełne aniołów i dziewczynek w wiankach, urozmaicone tylko czasem motywem świeckim, jak państwo młodzi lub (pewnie wspomnienie Joczki..) umarłymi dziećmi, leżącymi płasko na uroczystych posłaniach... Karteluszki z tymi kompozycjami znalazłam pochowane w kartkach kalendarza z owego zamierzchłego roku. Na jednej z nich jest dopisek Tatka, na drugiej Mamy. Rada powitałam te ołówkowe dokumenty, świadectwa współczesne, dowodzące, że nie zmyślam, wiarygodne ślady tego narwaństwa, które brało początek z " kręcidła".

W dzień św Zuzanny odbył się ku czci pani Skrzyńskiej bal dla jej córek. Napatrzyłam się postrojonych pań i panien i od tego wieczora, ilekroć czytała mi Ciocia bajkę z " Tysiąca i jednej nocy " o latającym dywanie, zawsze kojarzyła mi się ta jazda ze wspomnieniem popielatego ogona sukni pani Dzieduszyckiej, na którym po śliskiej posadzce obwoziła mnie ze sobą wokół znajomego salonu. Odniesiona na rękach pana Chajęckiego, obejrzałam wspaniale nakryty stół, pełen kwiatów, etażer, owoców, tortów, srebra i kryształów i tego wieczora zobaczyłam -naprawdę pierwszy raz w życiu -wielką urodę Mamy. Oswojenie, codzienność, roztrzepanie sprawiło, żem dopiero wtedy, widząc Mamę w sukni wyciętej z lekko przypudrowanymi włosami, w których różowiły się blade, płaskie malwy, całą w jasno popielatym jedwabiu, podkreślonym gdzie-nie-gdzie smużką różowego aksamitu, stanęłam, jak urzeczona. Mama miała wówczas lat 28 i była niewiarygodnie cudowna ! Mimo woli porównywałam inne twarze kobiece z nią i wracałam do niej jak do zjawiska.

A były na tym balu różne śliczne panie, oprócz domowych. Przyjechała pani Aniela z Wolskich Pawlikowska z Bereżnicy Królewskiej, z matką i siostrami Heleną i Zosią. Panna Helena Wolska była ubrana całkiem biało i miała u skroni z obu stron białe lilie. Brzmi to dziwacznie, ale miało być śliczne, a ona sama przepiękna. Tatko chciał ją koniecznie narysować do swej teki, ale pani Wolska nie pozwoliła, gdyż znajdowały się w tej samej tece portrety obcych panów... więc.. niewypadało!

Nim się bal zaczął położona spać, z głową pełną wrażeń i kolorów, zasnęłam nie prędko a i potem, budziłam się często. Muzyka huczała, jak pół sny jawiły się przy mnie domowe panny, różowe od tańca, wpadające do naszych pokoików, stawiały koło mego łóżeczka talerzyki pełne balowych tortów i znikały znów.

Reszta lata minęła rodzicom jak jedna wycieczka przeciągła, Więc najpierw Daszawa u pani Felicji z Dobrzańskich Sozańskiej, towarzyszki lat dziecinnych Tatka -Daszawa gdzie się urodził. Szwagier pani Sabiny z Pawlikowskich Feliksowej Dobrzańskiej,

komornik Kremarski, prowadził tam ongiś kancelarię, równającą się obecnie adwokackim i notarjalnym równocześnie. We własnym, osobnym dworku mieściło się mieszkanie i biura, których klientelę stanowiła cała ziemiańska okolica. W kancelarii komornika Kremarskiego, pracował młody prawnik Ignacy Młodnicki, ożeniony z panną Karoliną Wiktorią Komarnicką, którą poznał w Bereżnicy u jej opiekunki, pani Dobrzańskiej. Tu, zanim dziadek, jako sędzia polityczny, objął samoistny posterunek, mieszkali szereg lat, tu urodziły się wszystkie ich dzieci : Edmund, Emilia, Karol i Aniela, - tu umarła najmłodsza Sabinka, otruta przypadkowo jakimś płynem przeznaczonym do nacierania koni, a podanym dziecku przez roztrzepaną niańkę, zamiast dziecinnego lekarstwa. Stąd - brany na dno sań, jeździł Tatko z rodzicami na Pasterkę do Żydaczowa i przymierał ze strachu przed dudnieniem wielkich organów, -tu stała serwantka Babki....ale o tym opowiem później.

Witał się Tatko z Daszawą i wzajem czule był witany.

" Lileczka wszędzie bardzo grzeczna " - notuje Mama w kalendarzu -- " i coraz to nowych zaskarbia sobie przyjaciół.."

Dziś ta sama Daszawa stała się jednym z centr i skarbców krajowego przemysłu.

Zatrzymali się potem rodzice w Stryju, gdzie Tatko chodził do szkół, a stamtąd, najętym, jak Mama pisze " wcale porządnym powozem " podążyli do Kruszelnicy, w gościnę do bawiących tam na letnisku Władysławostwa Skólimowskich. Pierwszy raz znalazłam się wtedy na najdroższym mi na świecie szlaku. Doskonale dziś wiem, co czuć musiał Tatko na tej powrotnej pielgrzymce ku miejscom swej szczęśliwej młodości, które chciał Mamie pokazać. Co czuł poznając z daleka granatowe kontury gór, oddychając znów tym niezapomnianym powietrzem, które po latach stać się miało i moim najrodzeńszym... Tak kochał te góry, że aby jego tęsknocie dogodzić, a moje naderwane płuca ratować, ruszyły Babcie swój wentzowski kapitalik, który dał początek Storożce.

W Kruszelnicy, w ogromnym drewnianym dworzyszczu Podhorodeckich - dziś już od lat nie istniejącym - zwieszonym na długość całej jednej połaci, gankiem nad Stryj, mieszkała oprócz państwa Władziów, pani Felicja z pannami Bronią i Anielką. Wszyscy pili żętycę, ów środek sympatyczny swojej epoki, który - ile że znajdował się w górach - pomagał na płuca, okropna jakby nalewka na świeżym serdaku, którą mnie zaraz nazajutrz poczęstowano. Pani Izabela Skólimowska, synowa Matki Dory, chroniczna do późnej starości suchotnica, była jedną z tych kobiet, które cały dzień chętnie zostają w szlafroku, są dobre, ale do niczego.. Z domu Jastrzębska, nie

miała w sobie ani śladu drapieżności, zawsze coś gubiła, zapominała, zresztą kochająca i cierpiąca. Twarz jej, o zapadniętych oczodołach, drobnym nosie, policzkowych kościach wydatnych i ustach wklęsłych a zaciśniętych, miała coś trupiego, co mnie, choć małą, przerażało. Troje xxxxxx jej dzieci : Janka najstarsza, Leonek, faworyt matki i Walerka, kopciuszek, wciągnęli mnie w swoje zabawy i dobrze mi się działo w tej kompanii. Nic mi wszakże tak nie dogadzało w Kruszelnicy, jak konfidencja ze Stryjem, który płynął dosłownie popod samym domem. Dworzyszcze otaczała biegnąca dookoła weranda i zachwycający był obryw pod nią, zarosły malinami, wierzbami i kaliną, opadający stromo ku samej wodzie.

Tatko, z pannami Skólimowskiemi i Tadziem robił wycieczki w góry, reszta pań brała udział tylko w wyprawach wozami do Urycza i Skolego. Ja zostawałam w domu z panią Felą i dziećmi, do których należała też mieszkająca w tym dworzyszczu z matką mała Zosia Dzieduszycka. Miała główinę ostrzyżoną krótko przy skórze, gładziutką i nazywałam ją z tej racji : aksamitką. Była to dziewczynka chorowita, z nóżkami w żelaznych maszynkach, ale dziwnie miła. Wolałam ją od Janki Skólomowskiej, zawsze jakiejś posępnej i niepokojąco podobnej do matki i od Walci, młodszej i zahukanej przez brata-faworyta, Leonka. Trójkę tę dyniską nie wesołe czekały losy.

Gdy Janka była już dorosłą panną, Dyniska już się rozpadły na dobre. Uczyła się może najwięcej i najstaranniej, podczas gdy Walcia rosła przy niańce w piekarni. Miała ogromny talent do rzeźby. Specjalozowała się w zwierzętach, które modelowała z niezwykłą zręcznością, w świetnie obserwowanym ruchu, z pamięci. Chleb, wosk, - gliny zdaje się nie zaznała - były materiałem z którego je lepiła. Ojciec tymczasem pił coraz gruntowniej, matka pielęgnowała swoje dziwnie długotrwałe suchoty, Leonek usiłował na stancjach lwowskich zgłębić gimnazjum - a w dyniskxxxx dyniskim parku coraz to które stare drzewo padało na opał i żyd Reiss coraz się stawał zuchwalszy. Nic dziwnego, że ponure oczy Janki robiły się jeszcze xxxxxx bardziej posępne. Oprócz rodziny i przyjaciela pana Władysława, Dra, Jaroszyńskiego, nikt prawie nie zaglądał pod cieknący i trzeszczący dach. Zamiast kształcić świetnie zdolną dziewczynę na artystkę, dać jej poznać świat lepszy i umieścić bodaj we Lwowie, trzymał ją ojciec na wsi, gdzie marniała i grążyła się w coraz beznadziejniejszej zapadni. Wreszcie, któregoś karnawału, postanowił ojciec wprowadzić ją w świat. Była na paru balach we Lwowie, ale posępna, zacięta jej maska raczej odstraszała niż pociągała danserów. Wypadła jakaś zabawa w okolicy, nie domowa, ale jakiś piknik w miesteczku, oczywiście ziemiański. Pani Izabela, jak zawsze kaszlała, pojechał więc ojciec z Janką sam. Panna nie miała ochoty, prosiła się, aby zostać, nie pomogło - musiała. Na balu, dość niedługo po

)*

Odnosnik do str 35

Jedna z nich była zdolną " charakterystyczną"
za dyr. Horżycy we Lwowie w latach 1935-6

przybyciu, ojciec zdążył się upić w bufecie. Iluminowany - stawał się wymowniejszy, a tym samem groźny. Janka ginęła ze wstydu. Zaszedłszy za ojcem do bufetu chciała go namówić do domu, ale nie tylko ani słyszeć nie chciał, ale zobaczywszy córkę, począł ją zalecać zgromadzonym tam mężczyznom i namawiać, aby się jej dobrze przypatrzyli - bo warto. Uciekła i w garderobie, pośród futer i salop, odczekała pory w której wreszcie wyniesiono pana Władysława, już całkiem nieprzytomnego do sani. Wracali tak o mroźnym zaranku do Dynisk. Ojciec upity jak bela, dziewczyna w balowej sukni, z umyślnie odrzuconym futerm, samobójczą rozpaczą w sercu. Półprzytomną, bez okrycia, zdjęto w domu z sami. Umarła w jakieś dziesięć dni potem na zapalenie płuc, majacząc w gorączce o tej strasznej balowej nocy. Dr. Jaroszyński ratował ją, jak mógł ale właściwie lepiej, że mu się nie udało.

Leonek po daremnych wysiłkach skończenia studiów koczował po różnych krajach, był nawet na Kaukazie przy nafcie, umarł jeszcze młodo, ożeniwszy się parę lat przed śmiercią. Żona jego była z domu Hoszowska. Zostawił dwie córeczki.)+

Walcia wyszła zamąż na pana Świeżawskiego i była nad wyraz wszelki nieszczęśliwa.

Oto pokrótce dzieje wnuków Małki Dory, które się ze mną bawiły w Kruszelnicy.

Ostatek lata spędziliśmy w Rożniatowie u wujostwa Maryańskich. Ciocia była mi znajoma już i kochałam ją bardzo. Dziś dopiero mogę osądzić jak wiele było między nami podobieństwa. Ta sama egzaltacja, ten sam głód wzniosłości, potrzeba wrażeń głębokich, kult pamiątek.. Tyle, że ciocia Aniela była lepsza, czulsza, miała miększe serce na bliźniego odemnie. Ale mieszanina czujnego humoru z sentymentem, jawiąca się w nagłych przeskokach, jak u Tatka i u mnie - czyniła mi ją wcześnie bliską i zrozumiałą. Wuj był duży, zawsze zaśpieszony i zasapany, o głosie tubalnym, wysilał się widocznie by siać postrach między chłopcami, co w żaden sposób mu nie szło. Musiało się go kochać, choć krzyczał okropnie, sapał i groził. Trudno było o jaskrawszy kontrast jak między tymi dwojgiem. Ciocia subtelna, powiewna, bladawa, z dwojgiem smutno-bławatkowych, ogromnych oczu, mówiąca głosem zciszonym i ładnym, - wuj rwetesnik, rzucający lapidarne ukazy, trzaskający drzwiami, umiejący, gdy żona zasnęła półżywa po migrenie - ryknąć jak żubr przez pokoje:

- Cicho chłopcy! Mama śpi! "

W tym Rożniatowie zaznałam pierwszej huśtawki, asystowałam przy zielonym misterium kiszenia ogórków, pływałam tratwą po staw=

przyjęcia ojciec zaczął nie spać w [illegible]. [illegible] – stawał się wyrozumialszy, a tym samym [illegible]. Janka [illegible] ze względu, za- szedłszy za ojcem do [illegible] chciała [illegible] do [illegible], ale nie tylko on [illegible] nie [illegible] zobaczywszy [illegible] ją z tej całej [illegible] i [illegible], bo się jej [illegible] potrzyma – [illegible]. Uciekła i w [illegible], [illegible] i całą [illegible] pory w której [illegible] na pana [illegible], już [illegible] xxxxxx xxxxxx [illegible] do [illegible]. Ojciec [illegible] do [illegible] nie [illegible] z [illegible], [illegible] i [illegible] w [illegible], że to [illegible] z [illegible]. [illegible] [illegible] o tej strasznej [illegible], [illegible] ale w [illegible], że [illegible].

[illegible] po [illegible] w [illegible] po różnych [illegible], [illegible] nawet na [illegible], [illegible] jesz- cze młodo, [illegible] parę lat przed [illegible]. [illegible] z domu [illegible]. [illegible] dwie [illegible].)*

[illegible] na pana [illegible] i [illegible] [illegible] wszelki [illegible].

Oto [illegible] dziejów [illegible] pory, które się za [illegible] w [illegible].

Ostatek lata spędziliśmy w [illegible] u [illegible]. Ojciec był [illegible] już i [illegible]. Dziś do- piero mogę ocenić jak [illegible] i [illegible]. To [illegible], [illegible] po [illegible] wielkich [illegible]... [illegible] [illegible] [illegible] serce na [illegible]. Ale [illegible] ru z [illegible], [illegible] w [illegible], jak u [illegible] i u mnie – [illegible] i [illegible]. [illegible] był [illegible], zawsze [illegible] i [illegible], [illegible] się [illegible] by [illegible] nigdy [illegible] sposób nie szło. [illegible] się do [illegible], [illegible] i [illegible]. Trudno [illegible] o [illegible] kontrast jak [illegible] dwoj- giem: Ojciec [illegible], [illegible] z [illegible] i [illegible] ogromnych [illegible], [illegible] – [illegible] rwetesik, [illegible] drzwiami, [illegible] [illegible] panny [illegible] przez [illegible]:

– Cicho [illegible] śpi!"

[illegible] z [illegible], [illegible], [illegible] [illegible] po [illegible]

ku, poznałam smak pieczonej w popiele kukurudzy, widziałam z bliska pierwsze ule i zawarłam dożywotnie braterstwo z Walerkiem Maryańskim, trwające niezachwianie do dziś, czyli pół wieku z przyczynkiem. Niedobrani gruntownie z Adasiem, z tym bratem ciotecznym zostaliśmy sobie przyjaciółmi od czasów pierwszej pieczonej w popiele kukurudzy, poprzez całą naszą wspólną młodość, wszystkie tomy "Trylogii", rycerską musztrę, xxxxx w której następstwie dostałam od Walerka dyplom na rotmistrza i razem z nim w Mikołajowie budowałam pierwszą fortecę z grochowych tyk -aż do Wielkiej Wojny i przez wojnę po której generał Maryański, były szef sztabu Armii "Wschód", pod komendą generała broni Tadeusza Rozwadowskiego - wówczas dowódca D.O.K. we Lwowie, otrzymał zaszczytną misję - on, nikt inny -aby odprowadzić z Cmentarza Obrońców Lwowa trumnę z prochami Nieznanego Żołnierza na plac Saski w Warszawie.

W ciągu grudnia tego samego roku 1878, podczas ostatniej zimy spędzonej w mieszkaniu na Sykstuskiej, gdzie zapoczątkowane przez Mamę odbywały się moje dziecinne, cotygodniowe soboty - nadszedł wielce dworny, xxxxxxxxx po francusku pisany list "Busi" Chajęckiej, zapraszający nas na święta Bożego Narodzenia do Żurawna.

Nie było już wtedy tak wesoło, jak w lecie. Pan Chajęcki niedomagał na płuca, panny Skrzyńskie spędzały Święta w domu -była tylko - oprócz gospodarstwa i nas - panna Taborska z ciocią Terenią. Pierwszy raz w życiu jechałam wtedy saniami po wysokim, puszystym śniegu, polem...

Poczciwy " Dziapciuś ", jak nazywałam pana Chajęckiego, kazał xx wystroić dla mnie drzewko przedświąteczne. Stało w salonie między dwoma garniturami, przymocowane do żyrandola, z którego odjęto wszystkie wiszące kryształki i przytwierdzono do gałązek niby sople lodowe. W kątach jadalni ustawiono snopy zbóż, a podłoga tak była zasypana ziarnem, że co moment ktoś się na nim ślizgał. Ale nie wolno było zamiatać aż nazajutrz. Po wilii i drzewku - z tupotem, bełkotem i brzękiem wtoczyła się do salonu gromada straszydeł, prowadzących coś kudłatego, co chwytało za suknie i nogi - Turonia! Górą zaś wyciągał żyrafią szyję okropny potwór-kłapacz, niby bocian, niby koń, bo miało to dziób zębaty i płaskie drewniane nogi, niby olbrzymia kaczka, którymi wielki czyniło łoskot o podłogę. Przeraziłam się tej kompanii okropnie, choć na krótko, bo zaraz mnie uspokoił widok żywej, ludzkiej ręki, wysuniętej na moment z pod kudłów Tura. Cieszyłam się jednak gdy te cudaki podudniły w dół po schodach, kłapiąc i pomrukując.

Raz jeszcze, następnych wakacji, w czerwcu 1878 roku, byliś=
my w Żurawnie. Z tego drugiego letniego pobytu, który tak mi się w
pamięci miesza z pierwszym, że mi napewno trudno ustalić, co było
kiedy - została mi w oczach Bereżnica, dokąd wybrali się rodzice
z wizytą i mnie wzięli ze sobą. Tatka łączyła z Bereżnicą moc
wspomnień, o których jeszcze wówczas nie wiedziałam, -dość, że był
tam jak ~~xxxxxxxxxxxxxxxx~~ w domu i cieszył się każdym kątem. Byli tam
wtedy rodzice pani Pawlikowskiej, państwo Wolscy ze Lwowa, rodzice
panny Hali i Zosi, a były też i domowe dzieci. Dwie dziewczynki -
starsza ode mnie Saba i rówieśnica Sewa. Innych nie pamiętam. W ja=
kiejś chwili postawiono mnie na stole i oglądano zbliska. Panie
mnie całowały i głaskały, a jakiś pan powiedział: Ależ śliczna! "
Miałam różową sukienkę z guziczkami białoróżowymi, jak cukierki i
różową kokardę na czubku głowy. Nie raz mówiono przy mnie, żem ład=
na, nie raz na ulicy wpadały mi w ucho takie słowa, ale jakoś to
przelatywało mimo... Teraz, na tym stole, wydało mi się ważniejsze
i bardziej uwagi godne. Na dłuższy czas zgłupiałam potem na swój
temat i miałam wielką niewygodę z tą sprawą.

Drugą wycieczką z Żurawna była jazda do Przeździeckich, zna=
jomych państwa Chajęckich mieszkających w okolicy Bakocyna. Pan
Przeździecki bawił pono wiele lat w Turcji i miał w domu prawdzi=
wego Turka w zawoju i hajdawerach, który usługiwał.

Jeździło się też co niedzieli na sumę do miasteczka, za
czym przepadałam i ze względu na samo jechanie i na nabożeństwo,
którego tajemniczość, estetyczna solenność, niezrozumiałość, niesio=
na falami organów, przejmowała mnie zawsze nęcącą grozą.

W Żurawnie-miesteczku odbyło się też przedstawienie na do=
broczynny cel, w którym brali udział oboje rodzice, panny domowe,
pani Michałowa Dzieduszycka i przemiły " Miśko" Sozański, - pewnie
i inne osoby, ale już nie pamiętam. Grano sztuczkę ~~xxxxxx~~ La Bi=
che'a " Uściskajmy się " w ładnych strojach rokoko. Panna Tabors=
ka była idealną Bertą. Tatko Folivillem - zaś Leopold Starzeński
napisał umyślnie jednoaktówkę p. t. " Stała pogoda", w której świetną
złośnicą była pani Michałowa Dzieduszycka. Naturalnie najprzyjem=
niejszym okresem był czas prób, które się odbywały na wielkiej
galerii na pierwszym piętrze. Tylko Misia Sozańskiego, który nie
miał cierpliwości kuć podczas lata i wizyty swojej roli, z niesły=
chaną cierpliwością wzięła w obroty ciocia Terenia, a panny przy=
gotowały dla niego słój konfitur w nagrodę pilności. Pokonał w
końcu i rolę i konfitury...

A potem skończyło się dawne Żurawno.

Pani Chajęcka przeżyła o tyle młodszego męża, który umarł

niebawem... Odwiedzałam go z rodzicami,gdy już dogorywał na suchoty. Mieszkał wówczas w pałacyku Ulanieckich przy placu Bernardyńskim i był zmieniony do niepoznania. Wspominany był w naszym domu długo i serdecznie. Doskonałe jego podobizny są też w żurawieńskiej Tatkowej tece.

Ale wracam wstecz.

Mieszkamy przy ulicy Zimorowicza 12 -(potem zmieniono numer na 16 i tak już zostało.) Ciocia Terenia jest już z nami na stałe. Muszę z nią mówić po francuski i po niemiecku,co mnie oburza. Czytać i pisać po polsku nauczyła mnie Mama jeszcze na Sykstuskiej.

Przy naszym mieszkaniu na drugim piętrze jest długi, żelazny ganek,nie taki jak na Sykstuskiej,z pomiędzy którego drewnianych,wychełtanych balasków raz omal nie wypadłam na bruk. Wogóle tam zostały moje najszaleńsze lata... Tam, już wylatującą przez okno na widok zobaczonego na dole Tatka, chwyciła mnie na czas ciocia Mila Pawłowska,przy czym ona połamała paznokcie obu rąk,ja zaś rozdusiłam sobie niemiło żołądek na gzymsie... Tam,wbrew ostrzeżeniom, rozgryzłam chyłkiem obcięty liść ~~xxxxxxxxxxx~~ arunu, zwanego pospolicie " aronem",którego sok pali niczym kwas solny. Gdy mnie opętaną okropnym bólem i rozwrzeszczaną podniósł nadbiegły z drugiego pokoju Tatko,miałam usta oparzone i spuchnięte tak,żem słowa wypisnąć nie mogła. Mamy nie było i Tatko widząc leżący obok liść, który pokazywałam,nie wierząc aby to mogło mieć związek z moim nieszczęściem,podniósł go do ust także. Nastąpił efekt podobny, tylko bardziej opanowany. Gdy Mama wróciła z miasta zastała nas jak dwie opłakane karykatury...

Z ganku naszego widać było Wysoki Zamek,Ratusz,całe miasto połyskujęce o zachodzie tysiącem purpurowych szybek - słychać było wieczorem przenikliwy,dawno już umilkły dzwonek-sygnał na zapalenie latarni, - niósł się Anioł Pański z Katedry,a przed spaniem odzywał się z pobliskiej Cytadeli,ponad drzewa nieznajomego mi jeszcze wtedy Zaświecia, capstrzyk - nieporównany z niczym capstrzyk Haydna, coś związanego tak na zawsze z moim szczęśliwym dzieciństwem i młodością,że tego jednego po Austrii żal mi gorąco i za tym jednym po niej tęsknię...

Nie było jeszcze wysokich kamienic dzisiejszego Lwowa. Z naszego ganku rozciągał się widok przestrzenny, daleki,aż do lasów za rogatkami.

Właścicielami kamienicy byli niejacy państwo Izdebscy, którzy oprócz tego trzymali " fiakry". Z naszego ganku widać było

jak na dłoni całe podwórze i ~~xxxxxxxxxxxxx~~ gospodarkę stajenną. Adaś cały dzień tkwił między żelaznymi prętami ganku i razem z rówieśnym Adasiem sąsiadów naszych PP. Grelińskich, kontemplował konie i końskie sprawy. Fiakry stanowiły dla całej kamienicy rodzaj czasomierza, dzięki któremu wiedziało się, kiedy pierwsza w południe, kiedy jedenasta w nocy i kiedy piąta. O tej porze cały dom trząsł się od huku wjeżdżających lub wyjeżdżających bramą powozów. Pamiętam rozkoszne uczucie rano, gdy wstrząs ten znajomy - śpiącą na wąskiej jesionowej kanapce - rozbudzał mnie na chwilę. Wiedziałam, że zaraz znowu zasnę i sprawdziwszy, że u kowala obok słychać już kucie (o 8-mio godzinnym dniu pracy jeszcze się wówczas nie śniło...) a zatem jest dopiero piąta - obracałam się twarzą do różnokolorowych paseczków obicia kanapki - i spałam dalej...

Byłam już wówczas gruntownie zagospodarowana na świecie. Miałam w głowie moc najróżniejszych pojęć i powiadomień. Dzięki licznym ilustracjom i reprodukcjom, w które nasz dom obfitował, znałam ogromnie mnóstwo obrazów i widoków, nazwisk malarzy, miejscowości, strzępków historii, które mi się jawiły na obrazach, miałam ukochanych bohaterów, -tak jawy, jak baśni - ale świat bajek Andersena mieszał mi się jeszcze ciągle z rzeczywistością. Wszystkie " rzeczy" była dla mnie za jego sprawą milczącymi istotami, które tylko dlatego nie gadają, bo nie chcą... Stąd obyczaj nazywania osobnymi nazwami sprzętów domowych, który mi został do dziś - ba! - nawet części odzieży. Spora już byłam gdym miała ~~xxxxxxxx~~ ~~xxxxxxx~~ ulubiony słomiany kapelusz, który z niewiadomej racji nazywał się " Bilo".

Historii greckiej uczyłam się zrazu na Homerze, powszechnej na pięknym wydaniu Memorabiliów Geigera (książki, którą Tatko cenił dodatkowo, jako pamiątkę po ukochanym koledze i przyjacielu młodości - Marcelu Maszkowskim..ale o tym jeszcze się później rozgadać przyjdzie ..) uczyłam się - wyznać trzeba - przeważnie ze złością, a zwłaszcza rachunki były mi wprost fizyczną udręką. Nie mogłam ! To też z racji mego rozbudzenia wogóle i marnego wieku, nie zmuszano mnie do tego zbytnio. I Mama i ciocia Teresnia, obie uznały, że trzeba na mnie fortelu i uczyłam się, ani wiedząc jak, - opowiadaniem. Na tej wąskiej, jesionowej kanapce, na której sypiałam, zakopana o zmroku w ~~xxxxxxxx~~ wielki, popielaty pled cioci - słuchałam bez tchu tej tulącej mnie do siebie, mądrej i słodkiej nauczycielki, która niczym najciekawszą bajkę - mówiła mi o prawdzie. Poznałam w ten sposób historię polską i starożytną, zaś Tatko dopełniał stosownymi ilustracjami, które bądź z domowych zapasów dobierał, bądź z biblioteki Seminarium nauczycielskiego męskiego

w którym uczył - pożyczał dla mnie. Później dopiero, z latami, dałam się nagiąć do foremnych lekcji i godzin nauki, które bardzo nierychło zaczęłam lubieć...

Im coś było dziwaczniejsze, mniej podobne do dnia dzisiejszego, tym mi się więcej podobało. Rozmiłowana za sprawą Tepy w Egipcie, domagałam się opowiadań o Wschodzie, który mnie nęcił, jak każde dziecko, najbardziej. Był u nas tom gruby niemieckiego wydania "Bajek z tysiąca i jednej nocy". Ileż wieczorów przeszło nam z ciocią na zgłębianiu tych cudów! Harun Al Raszyd był dla mnie postacią bardziej rzeczywistą, niż panujący w Austrii żywy cesarz. A gdy się zrobił na świecie huczek spowodowany odkryciami Schliemanna, - umyślnie wybrałyśmy się do cukierni Grossa przy Hetmańskich Wałach, dla obejrzenia niemieckiej ilustracji, która przynosiła podobizny złotych przedmiotów ze skarbca Pryama. Cała ta nieszczęśliwa, wykopaliskowa familia znana mi była doskonale, najpierw z opowiadań Tatka, a potem cioci na wąskiej kanapce i trudno odtworzyć to wrażenie z jakim patrzyłam na rzekome trzęsidła Heleny i długie, z migotliwych blaszek zausznice. Mocno utwierdziło to we mnie wiarę, że wszystkie bajki mogą być kiedyś odkopane.

Wyraźnie dzielił mi się już rok na cztery pory, które znaczyły się dla mnie znajomymi etapami. Więc : Jarmark św. Jura, wyjazd na wakacje, Zaduszki i Gwiazdka.

Wiosna - to były pierwsze śnieżyczki przyniosione z rynku w twardo ściśniętych pęczkach, data moich urodzin - 13 marca - i imienin - 25 marca. Pachniały mi te dni zawsze ślicznie hiacyntami i jakimiś przez rodziców najtrafniej pod słońcem obmyślanymi radościami. Spełniały się stale jakieś " najgorętsze " życzenia n.p. aksamitnie miękki ołówek Faber nr 2-gi, - albo prawdziwy orzech kokosowy, czy grube serce z czekolady, wybrane śmiałą myślą za wystawą Rotländera lub pudeleczko biletów wizytowych, z różowego seledynowego i błękitnego kartonu... O urodzinach moich pamiętała też niezmiennie moja chrzestna matka, Leonia Sawczyńska, jawiąca się zawsze z bardzo dostojną swą mamą i młodszą siostrą Jadwigą, aby mnie w tym dniu czemś miłym udarować. Przyjęcie stanowiła stale czekolada z oblewanymi cukrem sucharkami. Imieniny bywały gwarniejsze, bo przychodzili na nie liczni moi młodociani znajomi, starsi i młodsi, - Lolo i Anielka Maszkowscy, Tyńcia, Zosia i Genio Piaseccy, Zosia i Jadwiga Trzemeskie, August, Cezar i Józio Hallerowie -- ale ci bywali już trochę później.

Wiosna kończyła się czymś, dziś już bezpowrotnym, corocznym, majowym jarmarkiem na placu św. Jura.

Umiało się na pamięć wszystko, co tam było do zobaczenia i doznania, ale urok z roku na rok nie malał bynajmniej. Już sama dro=

ga przez rozkwitły bzami i pachnący młodym liściem Ogród Jezuicki uspasabiała świątecznie. Ogród ten był znajomy do ostatniego zakamarka. Wszystkie wiosny i jesienie spędzaliśmy tam z wózkiem Adasia, a potem już oboje na piechotę pod niewyczerpanie cierpliwą opieką Mamy lub Baści. Pod olbrzymim, dziś już ściętym kasztanem, który kwitł w różowe wieżyczki, osypujące się potem na świeżki, była nasza ulubiona ławka. Stamtąd urządzało się śmiałe wypady w inne aleje i wracało pędem pod kasztan. Pamiętam się w białej, chłopskiej sukmance, którą mi ciocia Terenia kazała zrobić na wsi w Żurawnie, wyszywanej pięknie czarną i czerwoną włóczką, przepasaną pąsową krajką i w takiej chuścinie na głowie. Brodziłam w trawie sięgającej mi pasa, zdmuchując świetliste kule mleczów. Wysokość tej trawy może świadczyć o dwojakiej prawdzie : moim maleńkim wzroście, lub niedbałym zarządzie ogrodu...

Ale chodźmy na jarmark...

Z daleka już dolatywały charakterystyczne, nosowe dźwięki harmonijek, na których się " grało" oddechem - metalowych, podłużnych przedmiotów o kwadratowych celkach, z których lada chuchnięcie dobywało mdlejący jęk.. Niektórzy twierdzili, że umieją z tych jęków układać melodię, ale trzeba było silnej wyobraźni aby uznać, że jest to krakowiak, czy " Jeszcze Polska .." Pomiędzy to niosły się donośniejsze piski gwizdawek, pawie zadęcia trąbek, co wszystko uszlachetniała pewna ogromna katarynka, wygrywająca równocześnie Poloneza Ogińskiego. Tak! Już tu zaczynało się użycie !

Wreszcie na słońcem zalanej, otwartej przestrzeni, zaczynało coś czernieć i błyszczeć...Białoczerwone namioty z piernikami i ogromne stosy poukładanych kunsztownie denkami ku niebu, polewanych, kamiennych garnków. To się rzucało w oczy najpierw. Chorągiewki o narodowych barwach, skrzyżowane nad wnętrzem piernikowego pawilonu, stroiły - te do szopki podobne - drzwi. Wystawa pierników wyglądała w nich jak scenka jakiegoś jadalnego teatrzyku. Cóż tam były za niemowlęta piernikowe we wszystkich wielkościach, ! jakie serca rozłożyste i wyzłacane ! Ile gatunków innych pierników, o kształtach obrzędowych, corocznych i takiej samej dekoracji ! Nad wszystkim zaś unosił się zapach miodu, krochmalu i święta...

Jakże skurczyły się od tej pory serca piernikowe - i ludzkie!

Najpiękniejsze były namioty Józefa Zimmera i Franciszka Staffa, ojca poety. Później dopiero zasłynął Józef Czyński z Jarosławia.

Między tymi namiotami szczęśliwości była cała uliczka, którą szło się po parę razy z rzędu i pasło oczy - nim został zrobiony

wybór. Zaczynało się zawsze od takich oględzin wszystkiego..

Były i namioty z zabawkami, najpokuśniejsze wszakże, chłopskie, rozłożony bywały w miałkim prochu " placu". Pamiętam tam nieodżałowane lalki, gatunek wymarły bez śladu, które hurtem nazywałam " Margorendy". Były te Margorendy całe z drzewa, coś między kręglem a damską figurą w sukni empire, stale buraczkowego koloru, o ramionach głupkowato odstawionych od tułowia. Miały długie szyje a na nich okrągłą, jak makówka głowę, o malowanej twarzy, różowej z silnymi wypiekami, jaskrawą kropką ust, dwoma czarnymi kropkami oczu i kreseczkami brwi. Fryzurka z rozdziałkiem zachodziła im modą z trzydziestych lat głęboko na policzki i kończyła się greckim węzłem na kulistej czaszcze. Margorendy bywały nieodmiennie brunetkami... Obok nich pamiętam jeszcze jeden gatunek zabawek zaginionych : kamienne kule, czarne, pokryte żłobionym ornamentem, bardziej geometrycznym niż tamte roślinne z pisanek. Wewnątrz miało to gipsowe gałki i potrząśnięte - kałatało. Żłobienia miały barwę popielatą i były bardzo rozmaite. Nazywałam je " smocze pisanki" i do dziś nie wiem do czego służyły. Jako zabawka dla małych dzieci były za ciężkie, dla starszych również nie miały sensu. Może tailo się w nich jakieś znaczenie symboliczne, zrozumiałe tym którzy je wyrabiali ? Dziś ich już nie widać nigdzie.

Naturalnie były na jarmarku wózki dla lalek malowane, spotykane jeszcze i dziś, zaprzężone parą koników jaskrawej maści, -kogutki, którym gwizdało się w ogonek, gliniane rumaki-centaury z jeźdźcem bez nóg, wrośniętym w wierzchowca, pasiatego jak zebra! - skarbonki ,fujarki, sita, rogoże plecione, kropidła, łyżki strugane z lipowego drzewa - ale nade wszystko : pierniki i garnki ! Co za garnki!! Zielone, brązowe, żółte, siwe - od największych do malutkich dla lalek, dzbanuszki, kubeczki, miseczki - także wymiarów jakie kto chciał - a błyszczących do słońca piękną polewą, jak mokre. Świat zaginony już niemal, wyparty na zawsze przez aluminiowe nowinki, napewne kruchszy od nich, ale o ileż powabniejszy, bardziej malowniczy ! Wytłukł się razem z pieśnią ludową, której - jak twierdzą badacze - nie przyrasta - minął, jak pyszne podlwowskie sukmany ze szkaplerzem dziwacznym na plecach, które czasem tylko na jakim starym gospodarzu zobaczyć jeszcze można w Rynku. Zatracił się, jak białe " magierki" wełniane czapy okrągłe, okolone różowo-zielonymi kreskami włóczki, czapy wciągane na głowę jak pończocha o podwójnej warstwie, których naprawdę bez narysowania opisać nie podobna.

W głębi, za placem z garnkami i namiotami tłoczyła się mnogość innych kramów, ale te już mi były obojętniejsze. Wisiały tam szeregi bułanych bucików chłopskich z cholewami, jeszcze nie czer=

wybór. Zaczynało się zawsze od takich oddziel[illegible] wszystkiego.

Były i [illegible] z zabawkami, [illegible] jakie ~~xxxxx~~ deseczki,
[illegible] rozłożony bywały w [illegible] ~~xxxxx~~ prosz[illegible] " [illegible]".
[illegible] tup niech za [illegible] [illegible] i [illegible] bez śladu, które
[illegible] nazywaliśmy " Margorandy". Była to Margorandy cała z drzewa,
coś [illegible] krążkiem [illegible] figury w [illegible], które [illegible]=
wego, kolorowo [illegible] z upowato [illegible] [illegible] od [illegible],
[illegible] każde z nich [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] two=
wy, różowej z [illegible] wypięł [illegible] [illegible] [illegible], [illegible]

[illegible] i [illegible] i kreseczki [illegible]. [illegible] z rozdział [illegible] [illegible]=
dział [illegible] z trzydziestych lat głęboko w [illegible] i [illegible]
się [illegible] na [illegible] tej [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible]=
wiennie [illegible]. Obok niej [illegible] jeszcze jeden [illegible]=
owa [illegible] : [illegible] [illegible] [illegible], polyte [illegible] orna=
mentem, bardziej geometrycznym niż roślinne [illegible] [illegible]
[illegible] to [illegible] [illegible] i [illegible] - [illegible]. [illegible] [illegible]
na [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible]=
[illegible] i [illegible] nie [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] dla [illegible]=
[illegible] dzieci było [illegible], dla starszych [illegible] [illegible] [illegible],
[illegible] [illegible] z nich jakieś znaczenie [illegible], [illegible]
którym [illegible] ? [illegible] nie [illegible] [illegible].

[illegible] były [illegible] [illegible] [illegible], [illegible]=
[illegible] [illegible] [illegible] koni w [illegible] [illegible], - [illegible]=
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] z
[illegible] [illegible] w [illegible], [illegible] [illegible] -
[illegible], [illegible], różowa [illegible], [illegible] z
[illegible] - ale [illegible] i [illegible] za
[illegible] zielony, oraz [illegible] - od [illegible] do [illegible]=
[illegible], [illegible], [illegible] [illegible] wyrazów [illegible]
[illegible] [illegible] - [illegible] [illegible] pełna polew [illegible].
[illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible], [illegible] o nich, ale [illegible] [illegible], [illegible]
[illegible] [illegible] nie [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] jak [illegible]=
[illegible] - nie [illegible] - [illegible] [illegible] [illegible]=
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] tylko na
[illegible] [illegible] zobaczyć jeszcze [illegible] w [illegible]. [illegible]
się, [illegible] " [illegible]" [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]=
[illegible] i [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
o [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] nie
[illegible].

[illegible], [illegible] z [illegible] i [illegible] [illegible] nie [illegible]=
[illegible], ale [illegible] były [illegible]. [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible], [illegible] nie [illegible]=

nionych, - połcie słoniny - osobny kram z biczami prawdziwych kora= li, koło których kupiła się publika sielska i przedmiejska. Buty sprzedawali szewcy z Uhnowa, co mi nie było wszystko jedno, gdyż przez Uhnów jeździło się do Dynisk, - słoninę także chrześcijanie, tylko co do korali nie jestem pewna, czy nie żydzi siedzieli w kra= mikach. Zresztą nie widać ich było na jarmarku "jurajskim" zupeł= nie. Osobną rozkoszą dla nas - dzieci - był głęboki, suchy, biały proch pokrywający plac. Szło się po nim dużo dłużej, niż n.p. ścieżkę ogrodową i okoliczność ta przewlekała słodkie trwanie uży= cia. Mnie na domiar przyśniwał się Egipt i pustynia a namioty z daleka przypominały "Stary Testament" Doré'go.

A potem powrót o późnym majowym, rozzłoconym zachodzie przez ogród. Niosłam w objęciach nieodmiennie : nową Margorendę, fujarkę związaną w mej wyobraźni na zawsze z malinowym wspomnieniem Bal= ladyny, - jakiś śliczny garnuszek i pachnącą miodem torę piernikow- całusków. W ogrodzie więcej teraz było starszych niż dzieci, bez pachniał a powietrzem przelatywały, niby uskrzydlone, nosowe tony harmonijek, chrabąszcze majowe, których najczęściej słabe moje oczy nie dostrzegały i tym zabawniej było uczuć taki buczący przelot mimo nosa czy ucha. Zwykle wbiegało się jeszcze na moment do krągłej świątyńki na kolumnach, zdobnej w cielęce głowy na to tyl= ko, aby tupnąwszy o jej posadzkę, usłyszeć pod stropem znajomy fi= giel echa, naśladującego do złudzenia trzaśnięcie w pulchny poli= czek... Jarmark " jurajski"-to było ostatnie silniejsze wrażenie przed wakacjami.

Po powrocie z wakacji do domu Zaduszki dopiero stawały się etapem, od którego zwykło się liczyć czas. Zawsze w razie pogody brana byłam także na cmentarz. Jechało się z wieńcami i latarniami fiakrem. Bardzo pilnowałam żeby coś także trzymać, bodaj paczkę świec, gdym była mniejsza, - potem nawlekałam na siebie wianek i bardzo byłam podniesiona na duchu, że go wiozę do Grottgera. Wcześnie bowiem wiedziałam kim był, że narysował wszystkie obrazy, które wisiały na naszych ścianach (w salonie okrywała prawie całkowicie jedną z nich "Wojna" w pysznych zdjęciach, opodal wi= siały fotografie " Lituanii), że Mama była jego narzeczoną, ale nie wyszła za niego, bo umarł na suchoty we Francji. Raz mi to opo= wiedziała Żana Prekowska, jedna z dyniskich Mamy przyjaciółek, a potem szczegółowiej ciocia Terenia. Wiedziałam, że on sadził dę= bek rosnący w drewnianym kubełku koło Mamy biurka i bluszcz, roz= krzewiony w ładną, zieloną ściankę, rozpiętą na wysokiej kratce z listewek, którą gdy przyjść mieli goście, obracało się zawsze liśćmi

na pokój...Wogóle był jedną z tych postaci, jak n.p. Marcel Maszkowski, które choć dawno nieżyjące były z nami stale, kochane, znajome, dziwnie wyraźne i swojskie. To też cały coroczny obrzęd zapalania światła na ich grobach był dla mnie uroczystością, która nie powszedniała mi wcale. Wówczas małośmy jeszcze mieli " swoich" grobów. Grottger, Bolcio i Joczka, Marcel - z paletą na krzyżu. Pradziadek Leopold Wentz i jego żona, której śliczny profilek znałam z czarnej sylwetki, wiszącej nad łóżkiem cioci Tereni - byli jacyś nieuchwytni...Nie mogłam się do nich przychęcić, choć co roku paliła Mama na kamyku nad nimi światełko.

Gdyśmy przybyły na cmentarz zjawiała się zaraz stara babina - Zosia Suska, dawna służąca cioci Tereni z czasów, gdy ciocia miała pensjonat przy pl. św Ducha i gdzie jako narzeczony Mamy bywał Grottger. Zosia, z powodu złego wzroku, nie mogła służyć i przez całe lato do jesieni posługiwała koło grobów, zamiatając, podlewając kwiatki i tym sobie zarabiała. W zimie tulono ją zawsze w jakimś klasztorze. Bardzo była miła i nie mówiła po lwowsku. Ona zawsze szła za nami, aby pozamiatać koło grobowca, posypać piaskiem - i jej się dawało drugą świecę, aby założyła wieczorem. Mama zawsze patrzyła na nią z rozczuleniem, bo nie tylko przypominała jej dawne czasy, ale i jeden gest, bardzo piękny, rzadki nawet w salonie-a cóż dopiero w kuchni ! Otóż, gdy Grottger umarł i wyłoniła się kwestia sprowadzenia jego trumny do Polski, w skromnym domu cioci i babci wielkie powstało zaturbowanie...Miały kapitalik, ale trudny do ruszenia natychmiast. Wtedy Zosia Suska przyszła z płaczem do babci, ofiarowując swoje uskładane centy na ten cel, nim tamten fundusz się uruchomi. Nie przyjęto oczywiście tej sumki, ale wdzięczność została na zawsze. Poczciwa Zosia dawno już nie żyje i kto inny nasze groby obsypuje piaskiem.

Prześliczny cmentarz Łyczakowski bywał w tym dniu jeszcze cudowniejszy. Zdarzały się jesienie pogodne i długie i całe złoto liści trzymało się na drzewach. Kasztany zwłaszcza, podświetlone mrugającymi płomyczkami, robiły wrażenie czegoś nie rzeczywistego i pamiętam jak w takiej chwili olśniła mnie myśl, że podobnie jaśnieć musi " światłość wiekuista" tyle, że trwa jeszcze dłużej, niż ciągle.

Po zapaleniu latarni u grobowca Grottgera, po ułożeniu wianka, Mama klęcząc modliła się zwykle dłuższą chwilę, a ja ukradkiem patrzyłam to na nią, to na tę kamienną postać kobiecą na pomniku. Wiedziałam, że jest związek między obydwoma, że Mama odchodząc, pochyli się zawsze jednakim ruchem nad obrzeżem grobowca i ucałuje szorstki kamień, że na przyszły rok przyjdziemy tu znowu i znowu zapali

się światło. Potem szłyśmy do pradziadka Wentza, do prababki i Joczki. Zawsze mi było zawcześnie do domu. O zmroku rozmigotanym światłami, potykając się na dojrzałych kasztanach, wychodziliśmy z cmentarnego dziedzińca, aby już piechotą wracać do miasta. Trzeba było przepchać się przez podwójny strumień nadchodzących dopiero i tych, którzy już wracali. Wzdłuż ulicy Piekarskiej, ze strony prawej rozwieszony były wianki na sprzedaż, zielone całkiem i ubrane papierowymi kwiatkami, - z drugiej strony jezdnej drogi, pod drzewami krzyczał, mamrotał i przygrywał długi, bury szlak stłoczonych jeden przy drugim - dziadów. Nie widuje się nigdy takiej wystawy straszydeł. Może jeszcze po jakichś odpustach ale we Lwowie szczęściem znikły. Dziady mego dzieciństwa to były zupełnie złe sny, albo owe podmorskie polipy, pomiędzy które pożywa z trwogi, przemykała Andersenowska "Wodnica". Wielu z nich rzępoliło na skrzypcach, przebierało na lirze, inni tylko się darli jak z czyśccowej czeluści, lub wyciągali z łachmanów ręce podobne do połamanych patyków, - inni milcząc i łypiąc okropnymi białkami odsłaniali straszliwe kalectwa i rany. Były tam baby i jakieś niesamowite dzieci. Poprostu nędza rozdzierająca doprowadzona do perfekcji.

Raz, gdyśmy mijały ten bury szpaler, opowiedziała mi Mama swoją przygodę, na samym cmentarzu przeżytą. Miała obyczaj od młodości do późnego wieku, być zawsze na cmentarzu w wieczór Wilii nim zmierzchło i podczas Rezurekcji. Chadzała zawsze sama jedna. Właśnie w taką Wilię, gdy już szarzało i gdy stała w głębokim śniegu, zapalając na grobowcu Grottgera światło, usłyszała tuż przy sobie głębokie westchnienie. Odwróciła głowę i zamarła z przerażenia. Bez szelestu przybliżała się do niej wysoka postać, okutana w białe draperje, z twarzą zupełnie czarną, w której tylko białka oczu połyskiwały. Zjawa dyszała i po momencie milczenia, przez którego trwanie nie rozumiem jak można było nie oszaleć ! - widmo zagadało łamaną francuszczyzną. Pokazało się, że mara przynależy do goszczącej właśnie we Lwowie trupy Syngalezów, jest kobietą, której (rzecz normalna w naszym klimacie !) umarło maleńkie dziecko i jego grobku, jako chrześcijanka, poszukać przyszła w ten wieczór na wielkim, białym, obcym cmentarzu.

Wszystko to niby proste, ale było się czego przeląc ! Czyż nie ?

Na prawo od zakrętu, naprzeciw miejsca gdzie dziś stoi kaplica anatomii, rozciągały się jak i dzisiaj rozległe błonia, na których wiosną ćwiczyło zwykle wojsko i głosiły się wesołe hasła trąbek, związane z tą porą roku, jak capstrzyk z bastionami Cytadeli, z godziną dziewiątą wieczorem. Teraz, gdy je okrywał obrus śniegu, dreszcz przechodził na myśl o nieszczęsnych wielbłądach oryginała Baworowskiego, które ongiś, gdy ciocia Terenia była malutka, pasły się tutaj, odziane w siatkowe czapraki z purpurowych i żółtych

sznurów. Zawsze, ilekroć mijać mi wypadło to błonie przy cmentarzu, jawiły mi się owe wielbłądy, które napewno uległy temu samemu losowi, co dziecko Syngalezki.

Co krok, to jakieś ciekawe wspomnienie... Choćby n.p. wnętrze pracowni rzeźbiarskiej Juljana Markowskiego, przy ul. Cyrankowskiej - już bliżej miasta - zaludnione także nie własnym, ale Maminym przeżyciem:

Już po rozejściu się z mężem, Babcia z małą Mamą mieszkała czas jakiś w tym domu, gdzie za żalaznymi sztachetami, na trawą zarosłym dziedzińczyku, stały gotowe kamienne nagrobki. Las figur i krzyżów... Tam mieszkała też pani Laura Błażkowa, serdeczna przyjaciółka Babci i jej syn Edwin, który wraz z małym Julkiem Markowskim, wnukiem właściciela domu, rzeźbiarza, Szimsera stanowił towarzystwo Mamy, bardzo jej oddane. Zdarzyło się, że jej zdechł ukochany kanarek a ona i obaj strasi przyjaciele, postanowili pochować uroczyście ptaszka. Wtedy Julek Markowski odbił pokryjomu na ten cel czubek gotowego już marmurowego pomnika. Skończyło się wielką skóróbitnią smarkacza i znacznie uposzczonym pochówkiem faworyta.

Z tym Julkiem Markowskim miała Mama jeszcze jedno wspomnienie. Matka jego, Włoszka, chorowała na płuca i trzymało się dla niej dojną kozę dla leczniczego mleka. Koza była biała i zamknięta zwykle w komórce, rzadko i z małym zyskiem wypuszczana na chudą trawę między nagrobki, nie miała humoru, co dzieci ze zmartwieniem zauważyły. Nie wiem które wpadło na pomysł zrobienia kozie przyjemności, by jej choć w części dać złudzenie gór. Cały bowiem kozi smutek przypisany został przez dzieci tęsknocie za górami. " Przyjemność" wykonana została w ten sposób, że oboje powlekli ciężkie i niechybnie oporne zwierzę po drabinie na stryszek a stamtąd - jakimiś sobie znajomymi przejściami - na dach. Nie przewidzieli jednak, że koza - czy zainspirowana istotnie górskim położeniem okolic, w których się znalazła, czy wyprowadzona z równowagi niespodzianą gimnastyką - nie ograniczy się do domowego dachu, ale wybierze się na sąsiedni, a potem puści i na dalsze... Dzieci nie mogąc ścigać jej po kruchych gontach przyległych domków, musiały wezwać pomocy starszych. Ta nie na wiele się przydała, bo koza nieczekając, była już na jakimś szóstym dachu i dopiero wezwany kominiarz zniósł w czarnych objęciach białą turystkę w niziny...

Długie, jesienne wieczory sprzyjały pogawędkom na wąskiej kanapce i ciocia z niewyczerpaną cierpliwością dawała mi się

zanudzać pytaniami. Domagałam się opowieści o jej dzieciństwie i o tym wszystkim, co - dzięki natarczywym moim wywiadom przeżywałam - acz z drugiej ręki.

O takiej szarej godzinie słuchało się o zasypanej Pompei, o Partenonie i lordzie Elginie, o jednym popołudniu, gdy to Sebastian del Piombo wezwał Michała Anioła, żeby spieszył, gdyż w pewnym ogrodzie pod Rzymem " schodzi" jakiś marmur, który wygrzebany " zszedł " istotnie jako grupa "Laokona" znana mi doskonale z wizerunku i odlewu głowy u Maszkowskich na szafie... A gdy wreszcie robiło mi się za twardo pośród sławnych kamieni, prosiłam o opowieść o ludziach.

Gdy rodzice szli gdzieś na wieczór (co w owych zamierzchłych, gościnnych czasach, zdarzało się dość często...) do Żulińskich, Grzywińskich czy Nanowskich, a myśmy zostawali z ciocią Terenią w domu, - gdyśmy się nabawili do syta w ulubioną "aptekę", wszyscy troje - zabawę polegającą na zgromadzaniu wszystkich domowych słoików i flaszek, które różni potrzebujący przychodzili niby kupować, przy czym improwizowało się coraz to nowe typy, z których kilka jak : lokaj hrabiny, głupkowaty stróż i zalotna pokojówka powtarzało się stale - gdy Adaś poszedł już spać, wołało się Józię, aby z nad łóżka cioci zdjęła Quod libet".

Ów "Quod libet " była to jakby płytka szufiada, nie duża, wieszana na gwoździu, jak obraz, pokryta szkłem, podobna do tych, w jakie się zamyka zbiór motyli. Dno jej wyścielone podwatowanym, białym atłasem, pełne było poprzyszpilanych drobiazgów, najprzeróżniejszych pamiątek, a za każdą z nich ciągnęła się lotna smużka wspomnień. Pomysł malujący wyraziście romantyczną epoką w której powstał, - zaczarowane, sentymantalne pudełko, dziś może śmieszne - za pomocą którego wszakże - niech sobie kto mówi co chcę - ludzie tamtych czasów umieli chwytać lepsze chwile życia za jedno pióro bodaj, pióro wyrwane w locie i przyszpilić je do białego atłasu tak mocno, że i ja - po tylu latach - mogłam niejednemu się napatrzeć, niejednym się nacieszyć, niczego prawie nie zapomnieć... Pamiątki to czasem nic innego, tylko te rozbiegające się obręcze na wodzie, w którą wpadł kamyk... Póki drży owa najsłabsza, najdalsza - jeszcze się wie, że to ślad istnienia jakiejś rzeczy czy duszy, co znikła...

Quod libet cioci Tereni to był zbiór plastycznych ilustracji do opowiadań jej o pradziadkach, o hrabinie Moszyńskiej, o Reverterach, malutkiej Mamie, powstaniu... Pochylona nad zatrzęsieniem tych okruszyn, pogrążałam się ze szczętem w odległy świat młodości cioci Teresy i Babci.

Były tam mebelki dla lalek, którymi bawiła się prababka

Wentzowa,- naczyńka szklane, jak z serwisu krasnoludków, kawałek gromnicy, którą trzymano w palcach umierającego pradziadka Leopolda, karnet cioci z pierwszego balu - choć sama nie piękna ślicznie pono tańczyła -- złocony, z bukiecikiem niezabudek, - płowe włoski małej Adeli Revertera, umarłej dzieckiem we Lwowie,- róża wyjęta z włosów przez Jenny Lind - tej samej z bajki Andersena - i podana przez wielką śpiewaczkę uroczemu Teofilowi Reverterze, po jednym z tryumfalnych jej występów we Wiedniu. (Niewdzięcznik! dał ją zaraz uszuszyć w panieńskim quod libecie !) Była kokarda tegoż Teofila, uszyta mu przez siostry, którą nosił podczas rewolucji w roku 1848 na barykadach Wiednia, - był różańczyk z ziarnek perłopławu, pobłogosławiony ongiś przez Katarzynę Emmerich, obok ułamek mozaiki z Pompei. - pierwsza z grubego, zielonego kordonka robótka dziecinna Mamy, po której, bez mała siedemdziesiąt lat, nie spoczęły jej pracowite ręce... Był widoczek zamku Reverterów w Tollecie, namalowany akwarelą przez hraniankę Matyldę, najukochańszą uczennicę cioci i przyjaciółkę dozgonną jej i naszą - połamany wachlarzyk z miniaturą, migocący od pozłocistych paillietek po prababce Helenie... W jedwabnym woreczku piasek z Janikulu przywieziony z Rzymu przez hrabinę Moszyńską... I z tych wszystkich okruchów układało się opowieść o czasach i ludziach, którą przypominam...

W roku 1776, -gdy młody kapitan i komendant szwadronu, baron Karol Emeryk Wentz zu Niederlannstein i jego żona -bar. Helena Ehrenburg z domu - bawili z garnizonem w Zwichau, urodził im się - po śmierci dwu starszych dziewczynek - pierwszy syn. Staroświeckim obyczajem, który miał jakoby dziecku przynosić pomyślność, a zapewne i jako akt pokory starannie urodzonych rodziców - trzymał go do chrztu " pauper canis " czyli dziadek kościelny. Po polsku, w przekładzie z łacińskiej metryki, brzmiałoby to " biedna sobaka"... Jeżeli dziady mojej młodości były takie straszne, jakże dopiero okropnym musiał być ów chrzestny ojciec pradziadka ! Mały otrzymał imiona Leopold Emeryk. Gdy dorósł służył zawodowo w wojsku austryjackim, jak jego ojciec. Zdarzyło się, że stacjonowany został ze swoim regimentem w Galicji. Tutaj, jak jakichś manewrach, w domu Antoniny z domu Werbny- Pawłowskiej, I-mo voto Jakóbowej hr. Komorowskiej (matki Gertrudy, Szczęsnowej Potockiej i Korduli Teodorowej Potockiej) II-o voto Józefowej Szeptyckiej, starościny stanisławowskiej- -- poznał prześliczną panienkę, Polkę, Kordulę Korbachównę. Ojciec jej, Jan baron Korbach, z niemieckiej rodziny, spolszczonej zupełnie a pochodzącej z Koblencji nad Renem, jako pełnomocnik i konfident

Szeptyckich, przebywał w Galicji. (Żona jego, podolanka, Anna z Różyckich) W roku 1788, w Nowemsiole, we dworze byłej kasztelanowej nowosielskiej, JMP Antoniny (już podówczas Szeptyckiej) urodziła się Korbachom córeczka. Chrzestną matką jej była panna Kordula Komorowska, siostra nieszczęsnej " Marii "Malczewskiego, później Teodorowa Potocka, wojewodzina bełzka, po której ochrzczona w Kulikowie dziewczynka otrzymała imię. Po wczesnej śmierci matki, opiekę nad ~~xxxxxxxx~~ sierotą objęła pani Szeptycka i Potocka. Rozpieszczona, mało praktyczna, ale słodka i bardzo zdolna i piękna panna, oczarowała z miejsca młodego kapitana. Zakochał się do bezpamięci - ona nawzajem. Z rodziny kapitana żyły tylko jeszcze dwie siostry rodzone, próżne i obstarnie : ~~xxxxxx~~ Aloyzya- stara panna, kanoniczka, dama gwieździstego krzyża na Hradczynie, nazywana przez rodzinę Louisą , - i druga, Charlotta, radczyni Jordanowa. Damy ~~xx~~ te, liczące na to, że brat-jedynak utrzyma się na wysokości obowiązków i zrobi marjaż co się zowie - wpadły w szał ! Nie dość, że bez posagu, ale - Polka ! Tego było baronessom za wiele. Rozpętała się między Pragą a Lwowem złowroga korespondencja - nie mniej końcowym efektem wszystkiego było skwitowanie z wojskowej karjery pradziadka i ślub z Polką, -który się odbył w roku 1813, pod patronatem pani wojewodziny bełskiej. Lamentu barones w Czechach nie było we Lwowie słychać.

Tymczasem kapitan został skromnym urzędnikiem i jak na złość radczyni i kanoniczce, -zamiast syna- rodziły się same córki. Choć ciasno im było wielce, choć nadęte ciotki odzywały się czasem z urąganiem lub nieproszonym współczuciem, w domu Wentzów było jednak pogodnie i pradziadkowie czuli się bardzo szczęśliwi. Prababka odważnie dźwigała obowiązki do których jej nie włożono w młodości. Pradziadek wesołym humorem pokrywał niechybną gorycz starego wiarusa Napoleona, córki uczyły się żarliwie i bardzo wcześnie. W najlepszym wówczas zakładzie naukowym dla dziewcząt, Szkole ~~kwasztor~~ ~~xxxx~~ przy klasztorze Wszystkich Św , we Lwowie, kończyła pierwsze studia ciocia Terenia, co przyświadcza przełożona tego zakładu, matka Józefa Kuhn, w r 1827.

Ciocia opowiadała mi jak wracając raz - o ile pamiętam w ~~xxx~~ roku 1825 z egzaminu w klasztorze, przepasana błękitną wstęgą premiantki ze srebrnym medalem na szyi i trąbą świadectwa w ręce - przechodziła Rynkiem. W tej-że samej chwili zachwiała się wieża starego ratusza i nim ciocia zdążyła krzyknąć, runęła w dół. Straszne to miało być widowisko, spotęgowane grozą obawy o ludzi, którzy mogli poginąć. Tymczasem podobno nie zginął n i k t, gdyż godzina była południowa i urzędnicy porozchodzili się do domów. Jedna tylko mała córeczka strażnika, którego obowiązkiem było -wypatrując ognia po dachach - dawać sygnał pożarowy i wygwizdywać donośnym

gwizdkiem godziny (zegara widocznie nie było) - zastępując oj=
ca wybiegła na wieżę, aby gwizdnąć pierwszą - ale już nie zdążyła.
Z lawiną gruzów osunęła się w dół i osiadła jak w żłobie bez
przytomności. Znaleziono ją zdrową, ale oniemiałą na czas dłuższy
z przestrachu. Nie wiem ile razy kazałam sobie tę
chwilę opowiadać i - mijając nasz szkaradny, kochany, nowy ratusz
zawsze podejrzliwie podnosiłam głowę, czy się wieża nie chwieje...

Prababka Wentzowa, której czarną sylwetkę, razem z sylwetką
pradziadka i miniaturą Korbachów darowałam Leli do Medyki - była
długo bardzo piękna. Brunetka o granatowych oczach, jak Babcia
i olbrzymich włosach do śmierci, przy których jej drobna, misterna
twarz wyglądała zawsze jeszcze drobniejsza. Osobliwszym
nabożeństwem otaczała św. Antoniego, którego parafii pradziad=
kowie mieszkali i którego imię nosiła pani Komorowska, bardzo czu=
le przez prababkę kochana. Oboje musieli być przedobrzy i prze=
mili, gdyż żadna z córek do starości nie mówiła o nich obojętnie.

Ciotki Mamine bardzo nierównomiernie los uposażył. Celina
i Teresa były w równym stopniu brzydkie, jak Kordula (nazy=
wana potem Kordelją) i Eliza piękne. Ale z rzadką losu galante=
rią nagrodzone to zostało brzydkim większymi bez porównania zdol=
nościami. Umysł cioci Tereni był jeszcze w późnej starości zdu=
miewający pamięcią, bystrością sądu, potrzebą zdobywania wiedzy
dla siebie, i podawania własnej drugim. W mniejszym
stopniu, ale także bardzo zdolna i wykształcona była Celina, za=
mężna wcześnie a nieszczęśliwie za zamożnym ale nieznośnym Au=
gustem Schally, na Bukowinie. Dwie piękne natomiast, Babcia i
Eliza, może dlatego, że wykształcenie ich nie było systematyczne,
a otoczenie w którym po śmierci rodziców róść im wypadło, trakto=
wało je raczej jako motywy zdobnicze, niż zadania na serio - pozos=
tały całe życie na poziomie jakby naiwnego dzieciństwa, jedna
słodka i cicha, - druga Eliza, nie umiejąca słuchać hrabiny Moszyń=
skiej , ich opiekunki, ruchliwa jak wrzeciono, obie dalekie od
umysłu nieporównanego cioci Tereni. Wszystkie cztery stały się
najżarliwszymi patriotkami polskimi, naprzekór wszystkim
przodkom i ciotkom...

Oprócz tych głównych biograficznych szczegółów, mało co wiem
niestety o obojgu pradziadkach. Po za tymi
głównymi datami, zachowała tradycja ustna tylko jedno zajście z
młodości pradziadka, gdy był młodym oficerem stacjonowanym w Linzu,

Oto po weselu któregoś z kolegów, jeszcze z bukietem przy
mundurach, poszła wesoła kompania nad ranem do jakiejś knajpy..

Zapóźno bowiem i zawcześnie było do domu...Wtedy,pośród najwesel=
szej zabawy,pradziadek uświadomił sobie,że ma na kwaterze gościa,
jakiegoś kuzyna, przybyłego do Linzu,który został sam i którego
idąc na wesele - aby go nie budzić za powrotem -zamknął na klucz,
który wziął ze sobą. Przypomniał sobie,że gość ma wcześnie rano
złożyć w banku jakieś pieniądze i nie będzie mógł wyjść przed
jego powrotem. Wstał tedy i mimo zatrzymywań rozbawionej gromadki
pożegnał się i poszedł ku domowi. Była zima, śnieg obfity,
na chmurnym niebie księżyc,więc prawie widno...Pradziadek szedł
środkiem ulicy,w rozpiętym na piersiach płaszczu,z pod którego
wyzierał bukiet weselny. Nagle ujrzał parę kroków przed sobą
- najwyraźniej - samego siebie! W płaszczu rozpiętym na piersiach
,z bukietem przy mundurze, wpatrzonego samemu sobie w twarz,kro=
czącego wprost na siebie pustą,szarzejącą ulicą. Ujrzał
swego sobowtóra i tyle tylko zdążył jeszcze zauważyć,że bukiet
weselny miał ten sobowtór przypięty widocznie z przeciwnej stro=
ny niż on,bo gdy się zbliżył,stanął nagle jak przed odbiciem w
lustrze. Zmartwiał z przerażenia,a potem -bez namysłu - zawrócił
i pędem rzucił się z powrotem do znajomej knajpki,gdzie całą
kompanię zastał jeszcze przy kuflach. Wygląd powracającego był
przerażający i chwilę trwało nim zdołał opowiedzieć
zajście. Rzecz prosta, posypały się żarty na temat zaproszonej (głowy)
weselnika, docinki do oficera,który splamił się ucieczką przed
strachem - wreszcie wszyscy, ilu ich było,postanowili tą samą
drogą odprowadzić towarzysza do domu. Domek,gdzie mieszkał,stał
prawie za miastem. Dzień już był jasny gdy dochodzili pod adres
i zdala już zastanowił pradziadka widok otwartych okiennic parte=
rowego okna,które wychodząc wieczorem zostawił zamknięte.Widocz=
nie kuzynek,nie mogąc się wydostać z zamkniętego na klucz miesz=
kania,skorzystał z niskiego okna. Zdumienie ich wzmogło się jed=
nak,gdy zastali drzwi kawalerskiego mieszkania otwarte i klucz
tkwiący w zamku od środka. Dziadek sięgnął do kieszeni. Klucza
który w nią włożył wychodząc - nie było ! I dopiero wtedy przy=
pomniał sobie, że kiedy wchodził pierwszy raz do knajpki
coś brzękło na kamiennym jej progu. Widocznie klucz ! Straszny
widok jaki uderzył wchodzących do sypialni prześladował dziadka
przez całe życie. Obok kanapy na której posłał był gościowi,leżał
nieszczęsny kuzynek z rozrąbaną głową,kałuża krwi sięgała
progu,na którym się wchodząc zatrzymali. Dziadek wierzył mocno
że gdyby nie ów ostrzegawczy sobowtór,który spowodował jego po=
wrót do kolegów,byłby zamordowany przez rabusiów,razem z tamtym.

Żadna z córek nie była jeszcze zamężna,gdy w roku 1831
umarł pradziadek Leopold. Rada nie rada przygarnęła Babcię do

Za późno powiem i za wcześnie było do domu... wtedy, poszedł do najwesel=
szej zabawy, pradziadek uświadomił sobie, że ma na kwaterze gościa.
jakiegoś księcia, przybyłego do Linzu, który został sam i którego
idąc na wesele - aby go nie budzić za powrotem - zamknął na klucz,
który wziął ze sobą. Przypomniał sobie, że gość na wczesne rano
zdążyć w banku jakieś pieniądze i nie będzie mógł wyjść przed
jego powrotem. Wstał tedy i mało zatrzymywany rozbawionej gromadki
pożegnał się i poszedł ku domowi. Była zima xxxxxx śnieg obfity,
na chodnikach nie było kałuży, więc prawie widno... Pradziadek szedł
środkiem ulicy, z rozpiętym na piersiach płaszczu, z pod którego
wyzierał bukiet weselny. Nagle ujrzał parę kroków przed sobą
- najwyraźniej - samego siebie! W płaszczu rozpiętym na piersiach
, z bukietem przy mundurze, wpatrzonego samego sobie w twarz. Kro=
czącego wprost xxxxxxx na siebie pustą, szarą jeszcze ulicą. Ujrzał
swego sobowtóra i tyle tylko zdążył jeszcze zauważyć, że bukiet
weselny miał ten sobowtór przypięty widocznie z przeciwnej stro=
ny niż on, bo gdy się zbliżył, stanął nagle jak przed odbiciem w
lustrze. Zmartwiał z przerażenia, a potem bez namysłu - zawrócił
i pędem rzucił się z powrotem do znajomej knajpki, gdzie cała
kompania została jeszcze przy kuflach. Wygląd powracającego był
przerażający i dziwnie długo nie zdołał opowiedzieć xxxxxxxxx
zajście. Rzecz prosta: posypały się żarty na temat zaprószonej
[illegible]nika, docinki od oficera, który splamił się ucieczką przed
strachem - wreszcie wszyscy, ilu ich było, postanowili tą samą
drogą odprowadzić towarzysza do domu. Domek gdzie mieszkał, stał
prawie za miastem. Dzień już był jasny gdy dochodzili pod samego
i z dala już zastanowił pradziadka widok otwartych oknem na parte=
rowego okna, które wychodząc wieczorem zostawił zamknięte. Widocz=
nie książę nie mogąc się wydostać z zamkniętego na klucz mieszka=
nia, skorzystał z niskiego okna. Zdziwienie ich wzrosło nie jed=
nak, gdy zastali drzwi kawalerskiego mieszkania otwarte i klucz
tkwiący w zamku od środka. Dziadek sięgnął do kieszeni. Klucza
którym miał go zamknąć nie było! I dopiero wtedy przy=
pomniał xxxxxx sobie, że kiedy xxxxxxx pierwszy raz z knajpki
coś brzęknęło na kamiennym jej progu. Widocznie klucz! Straszny
widok jaki ujrzeli wchodzących do sypialni prześladował dziadka
przez całe życie. Obok kanapy, na której posłał był gościowi, leżał
nieszczęsny książę z roztrzaskaną głową, kałuża krwi sięgała xxxxx
progu, na którym się wchodząc zatrzymali. Dziadek wierzył mocno
że gdyby nie ów ostrzegawczy sobowtór, który spowodował jego po=
wrót do kolegów, byłby zamordowany przez rabusiów razem z tamtym.

Żadna z córek nie była jeszcze zamężna, gdy w roku 1831
umarł pradziadek Leopold. Żadna nie mogła przygarnąć Babcię do

do swego domu nr. z Moszyńskich Fryderyka, ~~Fryderykowa~~ Moszyńska, córka również Fryderyka (!) magnatka, dziwaczka od wczesnej młodości, wnuczka dworaka z sasko-augustowskich czasów, właścicielka niesłychanych obszarów w Galicji i na Podolu, nie żyjąca z mężem, bezdzietna i - mimo bogactw i niezależności - uczuciowo bezdomna. Przez wojewódzinę Potocką znała romantyczną dolę Wetzów i po śmierci ojca, uważała za właściwe pomóc bodaj jednej z pięknych, utytułowanych ~~panienek~~ dziewcząt. Wybrała najpiękniejszą - Kordulę, moją Babcię. Czy miała szczęśliwą rękę - nie jestem pewna. W jej domu poznała się z czasem Babcia z moim dziadkiem, a hrabina - choć bardzo marjażowi temu przeciwna - nie zdołała mu niestety zapobiec. Celinę i Elizę kształciła też swoim kosztem w jakichś "Stiftach", ~~Niestety~~ ale nic bliższego o tym okresie nie wiem. Obie - i Eliza i Celina bywały zapraszane na wakacje do Hrabiny, które zwykle w Kozowie spędzała.

Babcia rosła tedy w zbytku ogromnym. Pani Moszyńska zajmowała we Lwowie dom, w którym się dziś mieści Hotel Europejski, zapełniając go cały swoim ~~dworem~~ dworem, szatnią, stajniami, służbą złożoną wyłącznie z Kozaków, w barwie - tylko, jakoże do osobistej usługi nieznosiła mężczyzn, obsługiwana była przez dziewczęta i to niebieskookie blondynki. Innych bała się. Była osobna panna do straży nad srebrem, inna czuwała nad porcelaną... Co jakiś czas zjeżdżali się z dóbr ~~odległych~~ odleglejszych oficjaliści z raportami, co jakiś czas przywoził kozak stamtąd baryłki grzybów, zalanych masłem, pod którymi taiły się warstwy dukatów... Taki fortel na ówczesnego, naiwnego, jak jagnię, bandytę... Czasem jeździła na inspekcję folwarków, przy czym jej zwykle Babcia, faworytka coraz większa, towarzyszyła. W Kozowie, jednym z majątków hrabiny, witał je zawsze w progu dworu zaufany urzędnik Knoff, we fraczku i z rożenkiem, w pluderkach i białych pończochach, z harcapem i peruką ułożoną nad uszami w trzy podłużne rulony, w każdym zaś rulonie, jeśli to było latem, tkwił przewleczony, długi ~~pas~~ pąsowy goździk - kwiatem przy obliczu, ogonem ku plecom...

Opowiadano też o nim, że raz, mając wyjechać naprzeciw pani Moszyńskiej, gdy z powodu zbyt obcisłych, jedwabnych ~~xxxx~~ kiulotów w żaden sposób nie mógł usiąść w karecie, pojechał leżąc wzdłuż na kolanach dwu siedzących w jej głębi hajduków, w pojeździe otwartym naprzestrzał, któremu z jednych drzwiczek wystawała biała peruka, z drugiej czarne, o ~~xxxxxxxxx~~ lśniącej klamrze i czerwonym obcasie trzewiki...

Podróże hrabiny po jej włościach odbywały się oczywiście trenem powozów i bryk z pościelą, serwisem, gotowalną i ołtarzykiem polowym, z kucharzem i kapelanem, doktorem i czasem z jakimś artystą cudzoziemcem, gdyż hrabina wielbiła artystów i gdy się

trafił dramatyczny, nieraz na popasie, w szczerym polu, kazała mu deklamować jakiś czuły lub bohaterski utwór.

Hrabina Moszyńska była jednym z tych rzadkich już dziś typów, w jakie czasy owe obfitowały. Bogata, samodzielna, nie pogłębiona wykształceniem, głucha na całe gamy tonów z których harmonia życiowa dojrzałego człowieka się składa, bezdzietna, idąca wyłącznie za impulsem fantazji, czy sentymentu, dobra dobrocią istot bezmyślnych, nieobliczalnych, dziwaczejąca z wiekiem coraz bardziej, nie mająca nikogo, ktoby jej zwrócił uwagę na to, że nie każdy dobry uczynek ma sens, że nie dość rzucić garść złota, aby się stało coś pięknego i rozumnego... W stosunku do mojej Babci odegrała równocześnie rolę dobrodziejki i kogoś, kto życie sieroce raczej popsuł, niż zabezpieczył.

Rosła Babcia w niepedagogicznym zbytku - słodka, bierna, strojona i psuta, z nóżkami stale w atłasowych lub prunelkowych płytkich ciżemkach, w sukniach wyciętych zimą i latem, z krótkimi rękawkami, czesana przez pannę służącą, znająca miasto wyłącznie z głębi powozu (gdyż ani hrabina ani Babcia nie chadzały piechotą...) lub z loży cowieczornej. Stałego teatru Lwów ówczesny nie miał, gościli tylko przygodni aktorzy, wraz ze swoim zespołem, opera, komedia - wszystko to " dojeżdżało" tu tylko ze świata. Hrabina zaś namiętnie kochała teatr i stale dopiero po " spektaklu" siadało się u niej do obiadu. Prawie zawsze ktoś z zaproszonych przybyłych artystów siadał razem. Dla sławniejszych wydawała rauty i miała obyczaj obdarzać ich kosztownymi upominkami.

Odbył się u niej taki raut dla Franciszka Liszta, którym cała elita Lwowa była zresztą oczarowana. Po koncercie "tout Léopol " zjawił się u pani Moszyńskiej. Po obiedzie Liszt grał, że zaś obecni byli Hr. Reverterowie, rodzina przyjaciół hrabiny - ukochanych przez nią - i młoda br. Antoniowa Revertera z domu von Hartmann, śliczna i przecudnie muzykalna, śpiewała jak zupełna artystka - miał i Liszt niespodziankę, jakich rzadko doświadczał na arystokratycznych przyjęciach. Gdy wstał od instrumentu, podeszła do niego Babcia - w białej sukience, w białych trzewiczkach, z białą różą w czarnych, gładko na policzki przyczesanych włosach - cudna też pono jak zjawienie - i na dany przez hrabinę znak podała Lisztowi na białej atłasowej poduszce pyszną szpilkę z ogromnym szafirem.

Wykształcenie Babci odbywało się całkiem bez programu. Pani Moszyńska wymagała umiejętności języków dla głośnego czytania

trail dramatyczny,mimo na pokaz w szczery jotm,kazała mu deklamować jakiś czuły lub bohaterski utwór.

Hrabina Kossyńska była jednym z tych rzadkich już dziś ty= pów w jakie czasy owe obfitowały. Bogata,samodzielna nie pozba= wiona wykształceniem, głucha na całe gamy tonów z których partu= ra życiowa dojrzałego człowieka się składa, nieodzietna idąca wy= łącznie za impulsem fantazji,czy sentymentu, dobra dobrocią istot oszczędnych, nieobliczalnych, dziwaczejąca z wiekiem coraz bar= dziej, nie mająca nikogo, ktoby jej zwrócił uwagę na to,że nie każdy dobry uczynek ma sens, że nie dość rzucić garść złota,aby się stało coś pięknego i rozumnego... W stosunku do mojej Babci odegrała równocześnie rolę dobrodziejki i kogoś,kto życie zaro= ce raczej popsuł,niż zabezpieczył.

bierna

Rosła Babcia w niepodzielnym zbytku - słodka, xxxxx,strój= na i pusta, z nóżkami stale w atłasowych lub prunelkowych płyt= kich ciżemkach,w sukniach wyciętych zimą i latem,z krótkimi rę= kawkami, czesana przez xxxxxxx panną służącą,znającą często wyłącznie z głupi powodu (gdyż ani uczona ani Babcia nie xxxxx chadzały piechotą...) lub z loży czwieszczonej. Stałego teatru Lwów ówczesny nie miał,goszczili tylko przyjezdni aktorzy wraz ze swoim zespołem,opera, komedia - wszystko to " dojeżdżało" tu tylko ze świata. Hrabina zaś namiętnie kochała teatr i stale dopiero po " spektaklu" zjadało się u niej do xxxxx obiadu. Prawie zawsze ktoś z zaproszonych przyjezdnych artyst w siadał razem. Dla sław= niejszych wydawała rauty i miała obyczaj obdarzać ich kosztowny= mi upominkami.

Odbył się u niej taki raut dla Franciszka Liszta,którym ca= ła elita Lwowa była zresztą oczarowana. Po koncercie "tout Léo= pol " zjawił się u pani Kossyńskiej. Po obiedzie Liszt grał,je aś obecni byli Hr.Reverterowie, rodzina przyjaciół Hrabiny - ukochanych przez nią - i młoda Hr. Antoniowa Revertera z domu von Hartmann,śliczna i prześlicznie muzykalna,śpiewała jak śpie= na artystka - miał i Liszt niespodziankę,jakiej rzadko doś= wiadczał na arystokratycznych przyjęciach. Gdy wstał od instru= mentu, podeszła do niego Babcia - w białej sukience,w białych trzewiczkach, z białą różą w czarnych,gładko na policzki przy= czesanych włosach - cudna też pono jak zjawienie - i na dany przez Hrabinę znak podała Lisztowi na białej atłasowej poduszce pyszną szpilkę z ogromnym xxxxxxx.

Wykształcenie Babci obywało się całkiem bez programu. Pani Kossyńska wymagała umiejętności języków dla głośnego czytania

książek, które nabywała centnarami, więc miała babcia metrów fran=cuskiego, włoskiego, angielskiego, ale nauka bez stałej konwersacji szła powoli i skutek był ten, że Babcia tylko po niemiecku i po francusku mówiła doskonale, -po polsku najsłabiej. Ćwiczeń na fortepianie hrabina nie znosiła, więc nie było mowy o nauce muzyki, dopiero wspólna nauka z młodzieżą hr. Anny ~~xxxxxxxx~~ Revertera podłożyła jakiś fundament pod babcine wykształcenie. Nigdy jednak nie mogło się ono równać z tym, co zdobyła ciocia Terenia i Ce=lina. Zadaniem Babci, jak zwykle takich istot, służących obok pa=pug i piesków za rozrywkę ~~xxxxxxxx~~ starym, zdziwaczałym oczom, był obowiązek - ciągłej obecności, ładnego wyglądania, gładkiego ułożenia, płoszenia nudy, czającej się we wszystkich kątach.. Hrabi=na ~~xxx~~ sypiała do południa. Póki spała musiało być w domu cicho jak makiem siał. W południe piła śniadanie, około czwartej się ką=pała - wlewając codziennie do wanny flaszkę wódy kolońskiej -po=tem ubrana jechała z Babcią na spacer, lub sama z wizytami.. Około szóstej drugie śniadanie, potem teatr lub koncert i obiad o pół=nocy.

Mimo dziwactwa, a może właśnie dla niego, była pani Mo=szyńska lubiana przez swoich podwładnych. Nikt nie mógł przewi=dzieć, co w danej chwili zrobi lub powie. Rozmyślnie nie wyrządzi=ła nigdy nic złego nikomu. Wspominała Babcia różne nazwiska jej oficjalistów, uposażonych świetnie, traktowanych familjarnie, sadza=nych do stołu obok siebie, zabieranych nieraz do loży...Rodzina Babeńczuków zwłaszcza, honornej, kresowej szlachny i żona jednego z pełnomocników w dobrach podolskich hrabiny, pani Rogoyska, za=żywali specjalnych względów. Pani Rogoyska miała być uroczą, po=pielato-złotą blondynką, którą mi Babcia opisywała w jubce z rubi=nowego adamaszku, obszytej wokół sobolami. Kunsztownie haftowała i angażowana bywała do białego haftu, gdy hrabina sprawiała sobie nowe tuziny bielizny, będącej największym, osobistym jej zbytkiem. W gorąco miała pani Moszyńska zwyczaj chodzić cały dzień po swo=ich apartamentach w długiej, batystowej koszuli, co przy wyłącznie niewieściej obsłudze w pokojach, było raczej cudaczne, niż gorszące. W pokoju, przy zapuszczonych do zachodu storach, było ciemnawo i godzinami w tym pół-mroku musiała Babcia czytać głośno, podczas gdy hrabina rozcinała nowe tomy zagranicznych nowości, złożone w jej salonie pod ścianą w wysokie stosy.

Mało kto by się domyślił, że swatką Babci z moim dziadkiem była teatralna mania hrabiny. A było mianowicie tak :

Zbiegł z Francji w czasie rewolucji niejaki Jacques Monné

de la Tour i oparł się na południowych Węgrzech, gdzie nabył jakieś winnice. Nie wiem o nim nic, mogę się tylko domyślać, że był człowiekiem solidnym, gdyż wieść o tym, że mu syn Joseph Monné umknął z trupą wędrownych komediantów, przypłacić miał pono życiem. Umarł na apopleksję. Jak nazywała się matka Józefa - nie wiem. Ów tymczasem bujał sobie z trupą teartalną po świecie, występował w komedjach, w operatkach, grał role komiczne i dramatyczne, malował kulisy, gadał wszystkimi językami, grał na skrzypcach i na fortepianie, głos miał pono bardzo piękny. Z latami ustatkował się o tyle, że stał się rodzajem impresaria w lepszym stylu. Trupa aktorów przez niego założona miała doskonałą markę i w tym charakterze znalazł się pan Józef Monné we Lwowie. Szereg przedstawień przez niego urządzanych zainteresował hrabinę Moszyńską. Zaznajomiła się z dyrektorem zespołu i zaczęła go zapraszać. Dowcipny i obyty Francuz przypadł jej do gustu niezmiernie, że zaś był już żonaty z Anną Rzepczanką, lwowianką, córką metra muzyki i miał między innymi syna, Karola, bardzo zdolnego i urodziwego, zaczęła hrabina protegować tego syna, wreszcie kształcić własnym kosztem. Oczywiście nie mogło się obejść bez zapoznania się obojga pupilów hrabiny, tegoż Karola Monné i mojej Babci. No i - jak się rzekło - wyniknął z tego marjaż nieszczęśliwy strasznie, zwłaszcza dla Babci, która całe życie nie podźwignęła się po klęsce zawodu na człowieku szalenie i do ostatniego tchu ukochanym. Z mężem nie była wcale rozwiedziona, ale go opuściła własnowolnie, nie mogąc znieść poniewierki za ciężkiej i mieszkała najpierw sama, z małą Mamą, następnie w domu cioci Tereni, później u siostry swojej Celiny, potem w domu moich rodziców lub na Storożce. Wreszcie u nas, na Zaświeciu, w roku 1901 życia dokończyła.

Józefa Monné, swego dziadka, pamiętała Mama dobrze. Staruszka tego bardzo mile wspominała. Na młodym gospodarstwie jej rodziców, ojciec mego dziadka mieszkał razem. Nosił długie włosy, były srebrne zupełnie, niesforne i bardzo Mamę inspirowały. Wolno jej było stawać na fotelu za plecami dziadka, brać grzebień i rozczesywać je " byle bez pomady", jak zastrzegał, gdyż mała mając trudności z ich ułożeniem, miała zwyczaj pluć na grzebień.... Dziadzio malował bardzo zręczne dekoracje, panneaux na ściany i dobrotliwie się do wnuczki odnosił. Wycinał i kolorował dla niej małe laleczki, które stały się z czasem protoplastami dość rozrodzonej rodziny niejakich Pinkasów, ale o tym .. kiedyś później...

Własnego ojca natomiast bała się Mama jak widma.

Bała się nawet wszystkiego,co miało z nim związek. Choć była wtedy malutka, czuła krzywdę matki i,jak sama opowiadała, ze wstrętu do ojca przeskakiwała zawsze kwadraty posadzki w bawialni,po których zwykł się przechadzać. Byle nie tknąć miejsca,które jego podeszwy dotknęły ! Gdy w sąsiedztwie,dziewczynkom z którymi się często ba= wiła,umarł ojciec i dzieci,rozpaczając za nim,zaczęły pisać"do Nieba" listy do Tatusia (żałosną skrzynką pocztową były im paszcze dwu ka= miennych lwów w ogrodzie...) powzięła Mama dla towarzyszek rodzaj wzgardy za to,że mogą tak dbać o ojca,który wedle jej pojęć był jedynie strachem i zgrozą. Jakżeż jednak mogło być inaczej?

Dziadek posiadał jakąś prześliczną szpicrutę z rączką wysadzaną turkusami. Przedmiot ten leżał czy wisiał gdzieś wyżej,niż go dziecko mogło dosięgnąć. Podobał się jednak tak bardzo,że czy wprost czy za pośrednictwem Babci,napierała się bliższego z nim zapoznania. Dziadek mój zawołał wreszcie małą, zdjął pożądany objekt z gwoździa czy z półki i kazał jej położyć obie rączki na brzegu stołu.Nim prze= widzieć zdążyła co nastąpi, ojciec trzasnął ją z całej siły po leżą= cych ufnie,małych rączynach...Taki był dowcip...

Wspominała też Mama inny, równie chyba okrutny. Oto raz,gdy ma= ła migała palcem poprzez płomyk świecy,ucieszona że to nic nie parzy i że to tak można - ojciec,zaszedłszy ją raptem od tyłu,chwycił i siłą przytrzymał jej rękę nad świecą ! Jeśli to miał być chwyt peda- gogiczny, mający na celu oduczenie dziecka na zawsze " igrania z og= niem " trudno nie oniemieć z osłupienia nad taką pedagogią !

W pokoju Dziadka stała wielka szafa z książkami,zasłonięte czterema,luźno wiszącymi,chińskimi smokami, haftowanymi na zielonym jedwabiu. Były to stylizowane sepie,o ślepiach wytrzeszczonych, całe nastroszone jakby złotymi płomykami - pyszne i w ruchu i w kolorze. Pochodziły z Drezna, z okresu,gdy król August urządzał słynny chiń= ski pawilon. Darowane zostały przez Aurorę Koenigsmark (a może Hr. Kozel?) dziadkowi hrabiny Moszyńskiej,ta zaś darowała je Babci.

Mama, tak się bała ojca, jego szafy z książkami i tych wydy= mających się przy każdym otwarciu drzwi,haftowanych straszydeł,że raz, zakradła się z nożyczkami do pokoju, wsunęła się pod firanki, aby nie widzieć z bliska wytrzeszczonych oczu i zawsze jakby żywego oddechu złocistych gadów i - tnąc od lewej strony długo i cierpli= wie, spruła i pocięła w kawałeczki trzy znienawidzone, drogocenne hafty... Owa sławetna,wysadzana turkusami szpicruta dziadka została dnia tego ponownie zdjęta z półki... Zostawiła na

obu rękach uparcie milczącego dziecka ciemne, krwawe pręgi. (Wiem o tym z relacji mojej Matki.) Ostatni, cudem ocalały haft wisi dziś w salonie na Zaświeciu *)

Dziadek mój był jednym z tych ludzi, dość częstych zresztą, którzy są wręcz kim innym dla domu, a innym wobec ludzi. Towarzysko pono czarujący, miał mnóstwo przyjaciół (przyjaciółek niestety także) śpiewał dobrze przy akompaniamencie gitary, patriota, należał do wszystkich związków i robot narodowych, w zawodzie swoim wykształcony (studiował za granicą) miał nazewnątrz opinię człowieka- obywatela bez zarzutu. Mam wrażenie, że umysł jego był głębszy i bardziej lotny od babcinego. Na tym jednym punkcie skłonna jestem do tłumaczeń, naturalnie do pewnej granicy. Okoliczność ta nie usprawiedliwiała absolutnie cynizmu i formy, w jakiej zaczął żonę zdradzać i życie swe dalsze urządził.

Od pierwszej niemal chwili pobrania, był Babci niewierny. Kochliwy, raczej wrażliwy na kobiety, miał stosunki na wszystkie strony. Z czasem żony podwładnych były jego przyjaciółkami, zwłaszcza ładniejsze. Mama z dzieciństwa zapamiętała Babcię niemal zawsze zapłakaną.

Kobieta, która była powodem ostatecznego rozbicia małżeństwa Babci, była narzeczoną młodszego brata mego dziadka, Kapitana Albina Monné. W parę lat po pobraniu się dziadków, Albin zaręczył się z panną Przybysławską. Jasna, różowobiała panna "Johańcia " bywała też w domu braterstwa narzeczonego i często w czułych do niego listach, znaleść można było do tego podobne dopiski :

" Pani Monnowej powinszuj. Wszystko dobre jej życzę z duszy. Żeby ją Pan Bóg pocieszył tak jak ona mnie, bo przez nią wiele dobrego doświadczyłam..."

Aż raz zobaczyła mała Mama, jak panna Johańcia włóczy się na kolanach za cofającą się i zgarniającą fałdy sukni Babcią - szlocha i o coś błaga...

We wiele lat później dowiedziała się od cioci Tereni o

---

*) Smoki te musiały istotnie mieć w sobie coś fascynującego. W pół wieku chyba później, podobny los omal że nie spotkał i tej ostatniej z ocalałych sepii. Dzieci nazywały ją " Furia" a mała Lela tak się jej bała, że, starszy od niej Julek, zdobył się na rycerski, acz równie niszczycielski gest i wystrzygł oczy haftowi. Uszkodzenie jednak dało się podcerować i złocista Furia, na podmorsko- seledynowym tle zwietrzałego jedwabiu, aż do wybuchu wojny w 1939 r,. wiła się płomieniście giętką smugą na ścianie hallu "nowego Zaświecia".

właściwym powodzie tej sceny: Dziadek mój uwiódł narzeczoną brata, która w rozpaczy prosiła żonę uwodziciela, aby skutki wzięła na siebie. Babcia, zabardzo zaskoczona i zanadto młoda i rozmiłowana w mężu, nie była zdolna wysłuchać prośby panny Johańci, czym równocześnie wydała wyrok na siebie. Dziadek przeniósł się ze Lwowa na stałe, zamieszkał bez skrupułów z panną Przybysławską i miał z nią 14-cioro dzieci. Ślub jednak wzięli dopiero po śmierci Babci w roku 1901, w Przemyślu. Zdradzał i ją gdzie się dało, tyle, że ona była wytrzymalsza od Babci, która cicha i złamana, zapadła w cień na całe życie. Kochając tego złego człowieka, nie mówiła o nim prawie nigdy, ani się tym mniej nigdy nie skarżyła sama.

Najpoczciwsza ciocia Terenia rozejrzawszy się wówczas w położeniu, wzięła sama w ręce losy siostry i Mamy. Babcia ani energiczna, ani praktyczna nie była nigdy, u samego wstępu do życia ugodzona okrutnie, jeszcze apatyczniejsza, mniej jeszcze zaradna się stała. Ofiarny poratunek Cioci umożliwił im obu egzystencję spokojną i uwolnił od poniewierki.

Dziadek interesował się jednak Mamą, próbował podtrzymać z nią stosunki, do których, jako nie rozwiedziony mąż jej matki, miał prawną swobodę. W skutek tego jawił się czasem w Zakładzie cioci Tereni. Skrępowanie stałe obu stron cechowało te rzadkie widzenia. Czy co materialnie pomagał w owych czasach żonie nie wiem, ale wątpię aby to mogło w ich położeniu coś ważyć jeśli by nawet-tak. Od czasu do czasu obdarzał córkę czymś modnym i ładnym. Wiem też że zawsze, ilekroć rozmowa zeszła na drażliwe tematy, podkreślał z wielkim naciskiem, że nie on usunął się pierwszy, ale Babcia dom jego opuściła. Było to prawdą - ale jakże zrozumiałą !

Dziadek był na ślubie moich rodziców, a potem parę razy jeszcze na ich gospodarstwie. Przy jakiejś niewiadomej mi bliżej sprzeczce na temat herbarza Paprockiego, leżącego u Ojca w pracowni, co dało asumpt do dyskusji politycznej, tak gorącej, że zakończonej pono ciśnięciem przez dziadka książką tą o podłogę - urwały się nawet te, i tak już znikome, stosunki na zawsze.

Widziałam dzieckiem, w przejeździe do Krakowa dziadka mego na dworcu w Przemyślu. Pokazała mi go Mama oknem wagonu. Był niski, ubrany w czamarę burą z barankiem i granatową rogatywkę. Już siwy, podobny wielce do Mamy, z głową jakiegoś dygnitarza z czasów Księcia Alby, domagającą się białej kryzy i czarnych aksamitów.

Znajdują się u mnie dwa wizerunki dziadka Monné. Jeden - modelowany przez Mamę medalion, profil w czapce barankowej, drugi - rysunek ołówkowy Tatka, nie licząc kilku fotografii.

Powieściowszym od powieściowego przypadku, gdy Mama wiozła maleńkiego Luka ze Schodnicy na Storożkę, gdy z Kasię-

nianią znajdował się w pierwszej w życiu podróży, wsiadł w Stryju do tego samego przedziału dziadek Monné. Oko w oko zetknął się z Mamą. Zbyt byli do siebie podobni i Mama jeszcze wówczas na tyle młoda, że nie mógł jej nie poznać. Cofnął się też i niebawem przyszedł posługacz po jego walizkę, którą przed chwilą zdążył już położyć na siatce...

Z opowiadań Mamy pamiętam to jeszcze, że jedynym domem w którym Mama małą dziewczynką bywała z ojcem, był dom jego serdecznego przyjaciela, Adama Zamoyskiego, patrioty ale dziwaka i człowieka wielce wolnomyślnego, którego wpływ mógł nawet znacznie a ujemnie zaważyć na biografii mego dziadka. Hr. Zamoyski miał dworek przy ul. Zielonej, w którym mieszkał ze swoją podówczas jeszcze gospodynią i córkami, które mu urodziła, ale familja jego nie grała głównej roli w tym domu. Było to jakby wielkie przytulisko wszelkiej biedy narodowej, rozbitków, emigrantów, stacja posiłkowa dla głodomorów i przejezdnych " działaczy" sprawy, którzy ciągnęli do pana Adama, jak w dym.

Stół wielki, jak rok długi nakryty zawsze, zastawiony jadłem i obsiadły " rodakami", pan Adam (uchowaj Boże nie hrabia!) pośród nich, perorował, agitował, uświadamiał, działał... Demokrata purpurowy, pożarty ze swoją sferą, prowokował jej opinię swoimi przekonaniami, dziwacząc się do tego stopnia, że gdy się obecny pałacyk Zamoyskich pod jego kierunkiem budował, córki musiały na równi z robotnikami dźwigać cebry z wapnem, podawać cegły, słowem pracować jak i oni, dla przykładu.

Pan Zamoyski był świadkiem ślubu dziadków, w którego metryce (Testimonium copulationis) nazwisko jego figuruje.

Dziadek mój - prócz nazwanego już, na równi z Babcią przez brata skrzywdzonego Albina - miał jeszcze dwóch innych braci (Ludwika i Michała) i pono siostrę, ale ani jej imię, ani żadna wzmianka dotycząca jej losów do mnie nie dotarła.

Michał, zapytany w młodości przez hr. Moszyńską czego by się chciał uczyć i jaki przedmiot najlepiej lubi - oświadczył pono że - cukierki ! Hrabina rzecz wzięła dosłownie i dała go kształcić na cukiernika. Miał potem we Lwowie cukiernię i był ożeniony z siostrą grubulki Minki Giżyckiej, o której może zdążę opowiedzieć później...

Kapitan Ludwik Monné, w całym tragicznym, rodzinnym zawikłaniu, wziął zdecydowanie stronę skrzywdzonej bratowej i małej Wandzi, dla której zwłaszcza osoba jego stała się źródłem pociechy latami. Wedle relacji Babci i Mamy, był to wielki talent aktorski. Monologi przez niego układane, odgrywane i jakby żyte, mu=

siały być czymś w rodzaju późniejszych kreacji G.Fiszera. Mówił kilkoma językami i monologi,które stosownie do przedstawianych typów odgrywał po polsku,po niemiecku,czy po francusku,miały być arcydziełami,jako treść i jako interpretacja. Układał je sam i dowolnie, zmieniając w miarę nowych konceptów. Typ starego,wy= kwintnego metra tańca,Francuza,bursza przy oficerze austryiackim i szlechetki rezydenta - miały być czymś nieporównanym.Nikt tych rzeczy nie ponotował i przepadły razem z życiem człowieka,po któ= rym tylko tych kilka okruchów zbieram troskliwie na papier i cho= wam razem z paru fotografiami i jednym listem po niemiecku pi= sanym do Babci. Raz - mała Mama za całą jego dla niej dobroć,od= płaciła mu się niefortunnym pomysłem. Oto narysowała mu na ple= cach jego białego munduru,węglem czy ołówkiem,prawie naturalnej wielkości,krzyczące niemowlę w powijakach,o czym on nie wiedząc, poszedł beztrosko do kawiarni... Można sobie wyobrazić co czuł,gdy mu wreszcie któryś z jego kolegów powiedział,dlaczego wszyscy się za nim oglądają i śmieją... Dzieci miewają czasem diabelskie pomysły! Mimo swobodnej polszczyzny w słowie,robił w pisaniu błędy,których się żenował.Mamę kochał bardzo wiernie i uważał ją za swoją najmilszą publiczność. Gdy Mama,po zapaleniu stawów dzieckiem,leżeć musiała miesiącami,stryj Ludwik był jej główną radością,rozrywką i teatrem.

Miał to być człowiek brzydki,o twarzy pospolitej i niczym dostojnej głowy mego dziadka nie przypominał. Zacny i prawości kryształowej,szanowany przez przyjaciół i podwładnych,umarł nie żonaty i nie stary. Wielki niedoszły aktor zszedł z nim razem do grobu.

Zeszłego roku,bawiąc w Kniażycach ,znalazłam się przypadkiem w Dzień Zaduszny naprzeciw przemyskiego cmentarza. Za wysokim żółtawym murem widziałam las nagrobków,między którymi znajduje się także grób mego dziadka i "Johańci".

Wszystek smutek,cała krzywda, wina i zło przysypane oto ziemią...Nie żyje już nikt,kto krzywdził,kto grzeszył,nikt kto cierpiał i zapomnieć nie mógł... Może ja jedna jeszcze na świe= cie wiem,jak było naprawdę. Ale już także nie umiem zdobyć się na żadne żywe uczucie,gdy o tym wszystkim pomyślę...Przeszli - skończyli się...Są nowi,całkiem inni ludzie. Dobrze jednak,że ich znać nie muszę...

Gdybyż jeszcze odzyskać pewną śliczną,młodocianą miniaturę Babci, którą dostał ongiś dziadek od Hrabiny Moszyńskiej,a której mimo zerwania nie oddał nigdy!

Jednym z najciekawszych wspomnień Mamy z dzieciństwa jest jedno,do dziś tajemnicze,które xxxxx we właściwy jej,bardzo ży= wy i malarski sposób opowiadała mi kilkakrotnie.

Oto raz, dość już późnym wieczorem,dała Babci znać pani Eyringowa,jej przyjaciółka,że odbywa się u niej właśnie zebranie, na które Babcię wzywa niezwłocznie. Jakaś była racja dla której i mama Mama została zabrana razem. Pono nie było jej z kim zos= tawić chwilowo,czy coś podobnego. Gdy weszły,znajome mieszkanie było już natłoczone takim ściskiem,że z trudnością posuwały się, by dotrzeć do państwa domu. Złe ówczesne oświetlenie utrudniało orientację, zwłaszcza dla oczu dziecka o tyle niższego od innych. xxxxxx Było cicho,jak w kościele,mówiono tylko szeptem.Jedni po= suwali się w głąb pokojów,drudzy wychodzili. Coś w najdalszym kącie pokoju znajdowało się takiego,co było oglądane z nabożeń= twem. Pani Eyringowa objaśniła o tym czymś Babcię. O małą Mamę mało kto dbał,radziła sobie w ścisku sama. Po jakiejś chwili, przepychając się pośród powłóczystych spódnic i długich czamar, znalazła się w owym najgłębszym kącie i zobaczyła zielony para= wan,za którego skrzydłami paliły się świece. Widziała na tle zie= lonego przeźrocza cienie poruszających się nisko głów,ruchy rąk.. Coś się tam działo dziwnego,słychać było jxxxxxxxxxxx jakiś odgłos monotonny,jakby ktoś modlił się pół-szeptem...Czasem któ= raś z kobiet zapłakała... Zresztą cisza i tylko pełen uszanowania szmer posuwistych kroków,ludzi nadchodzących i odchodzących... Wreszcie,jakoże takie dziecko mało miejsca zabiera,przegniotła się Mama za zielone skrzydło parawana i zobaczyła scenę,na całe życie najwyraźniej spamiętaną. Na klęczniku pani Eyringowej mod= liła się zakonnica,z głową w czarnym,sukiennym zawiciu,z obnażo= nymi po pas plecami. Resztę opływał czarny habit. Do kolan klę= czącej schylały się kobiety,przyklękali na jej widok mężczyźni, wyciągały się ręce z różańcami i szkaplerzami,którymi dotykano jej obnażonych pleców,podczas gdy ona modliła się pół-głosem. Wszystkie spojrzenia pociągały te właśnie plecy,pokryte gęstymi nieregularnymi bruzdami,z których niektóre były różowawe i głęb= sze...

- To jest święta męczennica...Bili ją Moskale za Polskę i wiarę...- objaśniła dziecko jakaś stojąca najbliżej pani.

Ale Mama przerażona i wobec niespodzianego widoku nie skora do nabożeństwa,nie zdobyła się na odwagę dotknięcia blizn obnażonych medalikiem,podanym jej przez kogoś.

Jedyne z najciekawszych wspomnień Mary z dzieciństwa jest jedno,do dziś tajemnicze,które xxxx we właściwy jej,bardzo ży= wy i malarski sposób opowiadała mi kilkakrotnie.

Otóż raz, dość już późnym wieczorem,dała Hauer znać pani Eyringowa,jej przyjaciółka,że odbywa się u niej,właśnie zebranie, na które Hauerę wzywa niezwłocznie. Jakaś była racja dla której i mała Mara została zabrana razem. Pono nie było jej z kim zos= tawić chwilowo,czy coś podobnego. Gdy weszły,znajome mieszkanie było już natłoczone takim ściskiem,że z trudnością posuwały się, by dotrzeć do państwa Burn. Złe ówczesne oświetlenie utrudniało orientację,, zwłaszcza dla oczu dziecka o tyle niższego od innych xxxxx. Było ciemno,jak w kościele,mówiono tylko szeptem.Jedni po= suwali się w głąb pokojów,drudzy wychodzili. Coś w najdalszym kącie pokoju znajdowało się takiego,co było oglądane z nabożeń= stwem. Pani Eyringowa objaśniła o tym czyms Hauerę. O małą Marę mało kto dbał,radziła sobie w ścisku sama. Po jakiejś chwili, przepychając się pośród powłóczystych spódnic i długich czamar, znalazła się w owym najgłębszym kącie i zobaczyła zielony para= wan,za którego skrzydłami paliły się świece. Widziała na tle zie= lonego przeźrocza cienie poruszających się nisko głów,ruchy rąk.. Coś się tam działo dziwnego,słychać było xxxxxxxxxxxx jakiś odgłos monotonny,jakby ktoś modlił się półszeptem.. Czasem któ= ryś z kolei zapłakał... Zresztą cisza i tylko pełen uszanowania szmer posuwistych kroków,ludzi nadchodzących i odchodzących... Wreszcie,jakoże takie dziecko mało miejsca zabiera,przemknęła się Mara za zielone skrzydło parawanu i zobaczyła scenę,na całe życie najwyraźniej zapamiętaną. Na klęczniku pani Eyringowej mod= liła się zakonnica,z głową w czarnym,ciasnym zawiciu,z obnażo= nymi po pas plecami. Resztę okrywał czarny habit. Do kolan klę= czącej schylały się kobiety,przyklękali na jej widok mężczyźni, wyciągały się ręce z różańcami i szkaplerzami,którymi dotykano jej obnażonych pleców,podczas gdy ona modliła się półgłosem. Wszystkie spojrzenia pociągały te właśnie plecy,pokryte gęstymi nieregularnymi bruzdami,z których niektóre były różowe i świe= że...

- To jest święta męczennica.. Bili ją Moskale za Polskę i wiarę.. - objaśniła dziecku jakaś stojąca najbliżej pani.

Ale Mara przerażona i wobec niespodziewanego widoku nie skora do nabożeństwa,nie zdobyła się na owego dotknięcia ran obnażonych medalikiem,podanym jej przez kogoś.

Odnalazłszy się z Babcią,wyszły obie tak jak weszły,w milczeniu. Nazwiska tajemniczej zakonnicy nikt nigdy nie wymówił. Nie słyszała go nigdy i Babcia. Przejeżdżała skądeś dokądś przez Lwów,poprzedzona zapowiedzią poufną...Jakaś taka Matka Makryna Mieczysławska -albo może i ona sama...

Notuję tu jeszcze jeden strzępek,sam w sobie nie ważny - ale związany z maminym dzieciństwem. Znam go z jej opowiadań.

W czasie jej przewlekłej choroby (owo zapalenie stawów) znoszone bywały dla jej rozrywki ze strychu stare kapelusze hr. Moszyńskiej,które jeszcze mali Reverterowie do dziecinnych, amatorskich przedstawień z pudeł wywlekali.Serce mi się ściska z żalu że już do mnie cuda te nie doszły ! Mama urządzała z nich karety dla swoich lalek i woziła je za wstążki po podłodze.Jeden był różowy,morowy,podbity białym jedwabiem,ze wstążkami w biało-różowe pasy,z bukietem piór strusich na czubku. Drugi całkiem biały,pokryty jedwabiem marszczonym w karpią,dużą łuskę,z piórami rakowego koloru... Takie wielkie budy do wiązania pod brodą...

Po tym przebytym zapaleniu stawów,pojechała Babcia z Mamą do kąpieli siarczanych w Szkle,dokąd także i ciocia Terenia im towarzyszyła. Szkło wspominały wszystkie jako śliczną miejscowość,z bogatymi źródłami,z sosnami na piasku i z przypadkowo dobranym przyjemnym towarzystwem.

Była tam także mieszkająca przy dzieciach stara,owdowiała ruska księdzowa,która sprzedawała przędzione przez siebie i tkane ręczniki. Wydarzyła się jej dziwna,przejmująca historia, Babci przez nią samą opowiedziana:

Gdy jako świeżo zamężna,przybyła na plebanię, z wiosną, plewiąc grządki,zgubiła ślubny pierścionek. Mimo gorliwych,rozpaczliwych poszukiwań,nie znalazł się więcej. Tymczasem mijało życie, dzieci rosły i marły,rodziły się inne,na grządkach ziemia przerzucona została wiele,wiele razy na nowo... Wreszcie umarł " jegomość", księdzowa już stara kobieta,została do jesieni na obejściu,aby przed ustąpieniem się nowemu proboszczowi,zebrać jeszcze ostatni raz - jak zastrzega prawo- letnie plony... Smutna,samotna wybierała z grządki jarzyny,rozpamiętując życie nad tą ziemią spędzone - gdy wtem - błysnęło coś pod jej palcami -i oto zgubiony wówczas,w młodości,ślubny pierścionek znalazł się napowrót na jej palcu !

W czasie powstania Babcia moja i Mama mieszkały już razem z ciocią Terenią w Zakładzie jej naukowym, przy pl. św Ducha. Mama miała lat trzynaście, bardzo zaradna zawsze i przytomna, używana była na posyłki poufne, roznosiła karteczki do rodzin nadsyłane okazjami z terenu walk, czasem ustne wieści, których kartkom powierzyć nie chciano - ba! - nawet do więzienia u Karmelitów nosiła prowianty. Znajdowała się czasem pośród nich pomarańcza z wsuniętym od góry, pomiędzy ćwiartki gęsim piórem, którego otwór zatykany był dla niepoznaki z powrotem zieloną " koronką" owocu. W pustej rurce tego pióra tkwi zwitek bibułki z jakimś porozumieniem czy doniesieniem.

Sam Zakład Cioci gromadził nieraz na narady zebrania liczniejsze, które pod ochroną szkolnej firmy niewieściej i niemieckiego nazwiska właścicielki, jakoś puszczano mimo oczu. Bywali tam : Teofil Dąbrowski, Bronisław Komorowski, młodzi Krzyccy, polegli później bracia owej malutkiej, mężnej Florci, którą raz, w momencie paniki, gdy wpadła w nocy rewizja do dworu, podsadzono wraz z plikiem kompromitujących papierów w duży komin. Tam uczepiona sterczących cegieł trzymała się i nie pisnęła ani słowa, nawet wówczas gdy oficer rosyjski, dźgał gołą szablą w górę, na oślep przeszukując czarną głąb komina. Nie znaleziono jej, ale gdy dziecko, półżywe domownicy potem wyjęli ze schowka, miało u obu nóżek przecięte pęciny...Bywał Stella Sawicki i cały zastęp ludzi których znałam dobrze z licznych fotografii i o których powiem później. Niestety nazwiska potraciły mi się w pamięci, co gorsza - przepadły fotografie.

Wieczorem u Cioci, przy stole założonym kajetami, -tym samym rozsuwanym stole, na którym potem Grottger rysował tak często-skubało się szarpie, robiło naboje, szyło bieliznę dla walczących. Scena wyreżyserowana była zawsze tak, aby w momencie mogła przybrać pozór pokoju, w którym uczą się tylko dziewczęta. Raz, podczas nagłego wpadu rewizji do kamienicy, wieczorem, gdy Zosia Suska dała znać o niebezpieczeństwie, w mgnieniu oka wpakowano do kuchennego koszyka cały kram rozłożony na stole i Zosia, z koszykiem w ręce, minęła zbiegając ze schodów dążących w górę żandarmów. Gdy oni dzwonili do Zakładu, przytomna dziewczyna znajdowała się już w mieszkaniu na pierwszym piętrze (gdzie później, latami było Two. Sztuk Pięknych a potem kawiarnia " Sztuka) i przy pomocy uprzedzonych na taki wypadek lokatorów, wpakowała całą zawartość swego koszyka omotaną na prędce w szmatę, między kamienną balustradę balkonu a blaszanych, zdobiących go dziś jeszcze rycerzy .

Wówczas też, została w oczach Mamy migawka krótkiej sceny w przedpokoju. Przyszły kwestarki. Bywały to często panie z arys= tokracji, chętne zawsze w takiej formie pomocy społecznej. Że zaś panował obyczaj składania na cele powstańcze biżuterji raczej, niż pieniędzy, podawały takie kwestarki czarny worek aksamitny, sporych rozmiarów, w który się rzucało kto co mógł. Mama razem z Babcią wyszła do przedpokoju, gdzie przybyłe stały. Zapamiętała Mama jak Babcia sięgnęła xxxxxxxxx spokojnym ruchem obu ramion ku zapince na szyi, na której stale nosiła sznurek pereł. Mignęły zakołysane na powietrzu i zadźwięczały we wnętrzu czarnego worka. Nie spodzie- wała się kanoniczka Alojzja, jaki los spotka jej piękne perły, ani ciotka Charlotta Jordan, która je Babci, jako narzeczonej, przysłała! Został po nich ślad na xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx, wiszącej na Zas= wieciu. miniaturze Aloizji Louisy, i ta wymowna migawka..

W xxxxx tych też czasach, nieznany morderca- mściciel, zaszty= letował był na Placu Castrum szpiega Kuczyńskiego. W teatrze Skar= bka odbywało się właśnie przedstawienie. Wieść o spełnionym opodal gmachu fakcie, przebiegła w mgnieniu oka widownię...W moment po= tem wpadł do mieszkania jakichś państwa (nazwisko uszło mi nies= tety !) blady i pomieszany młody człowiek, oznajmiając, że przed xxxxxxx momentem wykonał wyrok na Kuczyńskim...Błaga o przebranie, fałszywy paszport i pieniądze na ucieczkę. Nie było chwili do stra= cenia...W mig opatrzono go wszystkim potrzebnym i zniknął. Nieba= wem wydało się, że człowiekiem tym był znany policji rzezimieszek, który, obecny wówczas w teatrze, wpadł błyskawicznie na pomysł wykorzystania momentu, co też z takim powodzeniem uczynił. Właściwy zabójca zdrajcy - o ile wiem -pozostał do dziś nieznany.

W pięćdziesiąt lat od tej epoki, na urządzanej ku upamiętnie= niu daty Wystawie we Lwowie, oglądać można było za szkłem witry= ny ów sztylet, którym zabito Kuczyńskiego. Znajdował się w zbiorze niejakiego Leona Krzemienieckiego, pośród ogromnego mnóstwa pa= miątek xxxxxxxxxxx powstańczej doby, dokumentów, druków, autogra= fów, pieczęci, broni i wizerunków. Pamiętam że, gdyśmy xxx zbiór Krzemienieckiego oglądały na tej Wystawie, podszedł do nas on sam, zbieracz (ktoś go nam przedstawił), człowiek dziwnie odrażające= go wyrazu, o lisich rysach i małych, czarnych oczkach. Uraczył Mamę jakimś obleśnym frazesem, czyniąc aluzję do Grottgera i związ= ku jego twórczości z powstaniem i z Mamą. Nie lubiła Mama takich komplementów, miała za dobry smak i słuch, aby nie wyczuć ich gip= satury... Odliczywszy jednak subjektywny odrzut, nie mogłyśmy nie być pod wrażeniem dużej zasługi, jaką miał ten człowiek, zebrawszy istotnie imponującą ilość przedmiotów i materiałów mających xxx dla historii powstania ogromne znaczenie. Ja nawet -wyznaję -po= ciągnięta tym motywem, zagadnęłam Mamę, czy nie zechciałaby dać

Wówczas też, zostałam w jednym dniu uczestniczką krótkiej sceny w przedpokoju. Przyszły kwestarki. Bywały to często panie z arys= tokracji, chętne zawsze w takiej formie pomocy społecznej. Że zaś panował obyczaj składania na cele powstańcze ofiar raczej, niż pieniędzy, podawały takie kwestarki czarny worek uszyty sporych rozmiarów, w który się rzucało kto co mógł. Mama razem z Babcią wyszła do przedpokoju, gdzie przybyłe stały. Zwróciła Mama jak Babcia sięgnęła xxxxxxx spokojnym ruchem obu rąk ku zapince na szyi, na której stale nosiła sznurek pereł. Mignęły zakołysane na powietrzu i zadźwięczały we wnętrzu czarnego worka. Gdzie spodzie wała się kanoniczka Alojzja, jaki los spotka jej piękne perły, ni ciotka Charlotta Jordan, która je Babci, jako narzeczonej przysłała! Został po nich ślad na xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx, wiszącej na ścia= nie, miniaturze Alojzji Dorsy, i ta wymowna uwaga.

W xxxxx tym też czasem nieznany morderca- nauczyciel zaszty= letował był na placu Castrum szpiega Kuczyńskiego. W teatrze Skar= bka odbywało się właśnie przedstawienie. Wieść o spełnionym opodal gromu fakcie, przebiegła w mgnieniu oka widownię... W moment po= tem wpadł do mieszkania jakiegoś państwa (nazwisko uszło mi nie= stety !) młody i pobieszony młody człowiek, oznajmiając, że przed xxxxx momentem wykonał wyrok na Kuczyńskim... Błagał o przebranie, fałszywy paszport i pieniądze na ucieczkę. Nie było chwili do stra= cenia... W mig opatrzono go wszystkim potrzebnym i zniknął. Niedaw= nem wydało się, że człowiekiem tym był znany policji rzezimieszek, który, obecny wówczas w teatrze, wpadł błyskawicznie na pomysł wykorzystania momentu, co też z takim powodzeniem uczynił. Właściwy zabójca zdrajcy - o ile wiem - pozostał do dziś nieznany.

W pięćdziesiąt lat od tej epoki, na urządzanej ku upamiętnie= niu daty Wystawie we Lwowie, oglądać można było za szkłem witry= ny ów sztylet, którym zabito Kuczyńskiego. Znajdował się w zbiorze nieżyjącego Leona Krzemienieckiego, pośród ogromnego mnóstwa pa= miątek xxxxxxxxxx powstańczej doby, dokumentów, druków, autogra= fów, pieczęci, broni i wizerunków. Pamiętam że, gdyśmy xxx zbiór Krzemienieckiego oglądały na tej wystawie, podszedł do nas on sam, zbieracz (ktoś go nam przedstawił) człowiek dziwnie odrażające= go wyrazu, o rzadkich włosach i małych czarnych oczkach. [illegible] Mamę jakimś obleśnym frazesem czynnie słuszne do Grottgera i świę= tych jego twórczości z powstaniem i z Mamą. Nie lubiła Mama takich komplementów, miała za dobry smak i słuch, aby nie wyczuć ich [illegible] ... Odczuwszy jednak subiektywny odruch, nie mogłyśmy nie być pod wrażeniem dużej zasługi, jaką miał ten człowiek, zebrawszy istotnie imponującą ilość przedmiotów i materiałów mających xxx dla historii powstania ogromne znaczenie. Ja nawet -wyznaję- po= ciągnięta tym motywem, zagadnęłam Mamę, czy nie zechciałaby dać

Krzemienieckiemu do jego zbioru garstki fotografii z owego czasu, jakie są w domu. Zgodziła się natychmiast i wraz ze mną uznała że takie okruchy trzeba łączyć i że z osobna są bardziej zagrożone. Pamiętam, że ze wszystkich prawie skrytek, szufladek i albumów wyjęła co miała i za następnej bytności na Wystawie wręczyła Krzemienieckiemu. Poznała się też z nim w czasie Wystawy Zofia Zawiszanka, gustująca już w wówczas w atmosferze powstańczo-konspiracyjnej i rozmawiali czas dłuższy na temat dokładnej a trudnej do dostania wojskowej mapy Królestwa Polskiego, upragnionej przez Zosię, a którą to mapę Krzemieniecki przyrzekł jej dostarczyć, byle mu karteczką o tym przypomniała, bo zapomina łatwo. Było to na rok przed wybuchem wojny w 1914.

Bodaj-że jeszcze przed zamknięciem Wystawy, a może nieco później, gruchnęła wieść o aresztowaniu Leona Krzemienieckiego, jako groźnego od lat szpiega na rzecz Rosji, filaru ochrany, zbrodniarza, który całe litanie denuncjacji ma na sumieniu. Wieść tę podały dzienniki, poczym sprawa Krzemienieckiego ucichła zupełnie. Nie słychać było ani o sądzie ani o wyroku.. Siedział zamknięty. Tyle wiedziano. Zbiory, którymi z szatańską chytrością stworzył dokoła siebie nietykalną barykadę(... bo jakże ? Kapłan pamiątek narodowych - i podejrzenie o szpiegostwo ?!) nie wiadomo mi gdzie się podziały.

Już po jego aresztowaniu zaszedł był na Zaświecie jego syn, gimnazjalista, rudy, mizerny wyrostek, z obrazem jakoby Grottgera do rozpoznania. Widziała się z nim Mama i rzecz okazała się nie autentyczna. Trudno z nim było poruszać sprawę ojca, a więc i zbiorów... Potem wybuchła wojna.

W czasie gospodarki Moskali we Lwowie, spotykałyśmy Krzemienieckiego to w tramwaju, to na ulicy... Ocalał zapewne w popłochu, zapomniany w areszcie przez umykające austriackie władze, a teraz zażywał zasłużonej swobody... Po powrocie Austrii -rzecz prosta - już go we Lwowie nie było.

Natomiast dowiedzieli się nasi chłopcy, że syn jego zginął w Legionach...

Między Zaduszkami a św. Mikołajem była jeszcze wilia św. Andrzeja. Józia - ta od Wincusi - bardzo przestrzegała związanych z tym dniem obrzędów. Później ja już sama pilnowałam aby niczego nie zaniedbać. Samo znaczenie tych guseł było mi gruntownie obojętne. Mój przyszły mąż nie zaciekawiał mnie, bo ci pa=

nowie, którzy u nas bywali, dalecy był od budzenia we mnie przeczuć w tym kierunku. Chodziło o emocję, co się pokaże na cieniu, gdy postrzępiony, ciepły i mokry wosk podniosą czyjeś ręce między lampę a białe lakierowane drzwi... Chodziło o coroczny swąd, który po kilkakrotnym przesmażeniu wróżebnej substancji, napełniał wszystkie pokoje...O śliczną fregatę łupinek z zapalonymi świeczkami na wielkiej, mosiężnej miednicy.. Były wróżby z trzewikami, karteczkami na których wypisywało się męskie imiona - dla mnie wszakże główną rzeczą był topiony wosk i pływające światełka.

Św. Mikołaj - zanim zaczął bywać osobiście i przemawiać głosem poczciwego pana Stefana Grzywińskiego, udrapowany w podejrzanie znajomą adamaszkową kapę z łóżka naszej sąsiadki, pani Grylińskiej, - ograniczał się do " podrzucania " w nocy wielkiej, papierowej torby, pachnącej pod poduszką jabłkami i piernikami, chrobocącej od włoskich orzechów i innych niedocieczonych po ciemku przedmiotów... Nad ranem, gdy się już dom przetrząsał od wyjeżdżających powozów i gdy już kowal-sąsiad kuł - odmacywało się ją gdzieś między właściwym spaniem a powtórnym zaśnięciem. Ale w biały dzień dopiero następowało patroszenie torby i spożywanie o niebywałych porach pierników i pomarańcz... Św. Mikołaj ograniczał się zrazu wyłącznie do przysmaków i długo niczego innego nad rzeczy jadalne nie znajdowało się w torbie. Wierzyłam ślepo w nadnaturalne pochodzenie tak świętomikołajskich jak choinkowych smakołyków. W końcu - jedno występne sięgnięcie do kieszeni maminego, żółtego futerka zachwiało mocno moją wiarę. Powodowana ciekawością co też Mama z miasta przyniosła wydobyłam z głębokiej kieszeni dwie porcelanowe strojnie odziane laleczki. Nim się zdążyłam ucieszyć wsunęłam je z powrotem, zawstydzona głęboko moją ciekawością. Im bardziej podobały mi się te lalki, tym winniejszą czułam się wobec Mamy i żółtego futerka, tym srożej wyrzucało mi sumienie, żem jej ufność zawiodła, a sobie popsuła radość przygotowanej z takim kochaniem niespodzianki. Nie pisnęłam jednak słowa o całym zajściu i czekałam...Nie było bowiem wątpliwości, że lalki były przeznaczone dla mnie. I oto w jakiś czas potem znalazłam je pod drzewkiem, niby od Aniołka ! I wtedy jeszcze nie przyznałam się nikomu z domowych ani do owego grzesznego sięgnięcia w kieszeń, ani do nagłych wątpliwości w zaświatowość darów... Wreszcie, gdyśmy raz z Tepą siedzieli wedle zwyczaju na zielonej kanapie pod lustrem, zwierzyłam się ze wszystkiego...Za uczciwy aby podtrzymywać złudzenie, wydobył mi jednak na pociechę własne wspomnienie z dzieciństwa, dosyć do mojego zmartwienia podobne...

I jemu, jako małemu chłopczykowi, podkładał św. Mikołaj

przysmaki pod poduszkę. Ale Tepa był jeszcze ciekawszy odemnie i dręczył pytaniami starszych. Wtedy ojciec oświadczył mu stanowczo, że św Mikołaj tylko takie dzieci obdarza, które mu ufają. Podejrzliwe nie dostają nic. Tepa, który nie wątpił w nadprzyrodzoność zjawiska, ale chciał je chwycić na gorącym uczynku, postanowił urządzić zasiadkę na świętego. Udał, że śpi i leżąc cichutko czekał co będzie. Wreszcie pochwycił w przyległym pokoju ostrożne postukiwanie drewnianej nogi (ojciec jego stracił wył własną w powstaniu listopadowym) drzwi cichutko się odemknęły i znajomy stukot kuli o posadzkę zbliżał się do łóżeczka. Malec usłyszał szelest papieru pod poduszką i już nie było wątpliwości. Wówczas wpadł w rozpacz... Wyrzuty sumienia, żal za złudzeniem, rozczulenie dobrocią ojca były zbyt nagłe i wybuchnęły gwałtownym płaczem, z jakim niefortunny badacz cudowności przypadł do ojcowskiego kolana..

Długo przed Bożym Narodzeniem wiedziało się, że dnie te idą...

Najpierw przynosił kościelny opłatki, które się kładło za zielonym, jak szmaragd, kryształowym talerzykiem, Józia zaś windowała worek z mąką na przypiecek, aby schła. Choć na oko nic się nie działo, czuć było, że jest całkiem inaczej, niż w inne zimowe dni...Jakiś pakiet zajrzany w głębi maminej szafy, odrobina pozłótki na podłodze... Z innym też uczuciem patrzyłam na gwiazdę wieczorną, jedyną taką dużą, jaką moje oczy dostrzegały. Wiedziałem, że to ta, trzykrólska... Wreszcie jawiły się rodzynki na kuchennym stole, które Józia wieczorami obierała. Wolno mi było przy tym asystować, choćby dlatego także, że w tym samym czasie złociło się w pokoju orzechy. Adaś spał zwykle wcześniej od mnie i nie miał żadnych podejrzeń...

Kiedy się Józia wyprawiała po ryby był to znak, że już tylko dwa, trzy dni czekania. Zdejmowało się uszaty, szary, porcelanowy garnek z wysokiej półki kuchennej, zawsze ten sam i w nim potem przechowywała się studzona ryba, wedle przepisu babki Młodnickiej robiona, przysmak, bez którego Tatko Świąt nie uznawał. Salaterka tej ryby jawiła się przy wilii, reszta mieściła się w tym szarym, uszatym garnku. Mama sama pilnowała przyrządzania tej potrawy, jak i wydawania wszystkiego do ciasta, także wedle dawnego przepisu z domu Tatka rodziców. Cóż to była za obrzędowa emocja, gdy do kuchni nie było wolno, bo " ciasto rośnie" ! Przedtem i podczas wybijania żółtek, mieszania i wsypywania zielonych skrawków cykaty i kopiatego talerza rodzynków - bywałam obecna. Potem kuchnia zmieniała się w tajemniczy przybytek a uprzejma zwykle Józia - w jędzę ! Ale warto było czekać, gdyż dostawałam zawsze osobną, śliczną "młodą" struclę

Odnosnik do str 68

)*

Kiedy już jako narzeczona, poszła Mama przed slubem " po krzyżyk" do pani Sawczyńskiej, godna matrona, o gorzkim i raz na zawsze wzgardliwym wysunięciu dolnej wargi i zawsze lekko przymrużonych oczach powiedziała niechętnie :

– No, już ja tam Wolskich nie lubię, ale daj ci Boże samo najlepsze...

Owo " już ja tam Wolskich nie lubię" stało się potem u nas umownym skrótem dla czyjejś nikomu do niczego niepotrzebnej prawdomówności.

i z przystawionego podnóżka oglądałam ją między " dorosłymi" leżącymi miękko na podesłanym obrusiku, na łóżku cioci Tereni, w pierwszym pokoju. W tym to czasie, nieodmiennie chwytał mój bystry nos zapach sosnowych igieł, zapach drzewka, które nigdy o innej porze tak cudownie i odrębnie nie pachnie, jak takie przemrożone, wniesione do ciepłego pokoju... Ale tylko przez moment... Potem zapach ten gdzieś się podziewał i zostawała tylko zachwycająca pewność, że się nie zdawało...

Ponieważ salonu nie opalało się stale, tylko gdy goście przyjść mieli, lub na Wilię, zamknięte drzwi tego pokoju były czymś naturalnym. Tam odbywało się misterium choinkowe.

W dzień Wilii, w południe, przychodzili zwykle PP. Sawczyńscy oboje, czasem z córkami, stale z synem Henrykiem. Podczas gdy się gości przyjmowało w ogrzanych pokojach, Henryk zostawał w salonie. Ponieważ był bardzo wysoki, jego coroczną, ochotniczą funkcją było przytwierdzanie świeczek do gałęzek. Potem się jawił i on... Wizyta ta odbywała się gwoli urodzin i imienin Adasia, który był synem chrzestnym pana Zygmunta Sawczyńskiego. Cała ta rodzina, wysoce światła i pełna cnót i zasług, choć wolna na pozór od sentymentu, patrząca na świat i bliźnich przeważnie krytycznie, miała głęboki kult tradycji i wszyscy jej członkowie odznaczali się wielką wytrwałością i pamiętliwością o tak zwanych " przyjaźniach" co nie zabezpieczało jednakże nikogo przed ostrą czasem nagłą, a nieprzewidzianą szczerością.)* Zato nigdy, przez przeciąg lat kilkudziesięciu, nie zdarzyło się, aby się w ten dzień ktoś ze Sawczyńskich u nas nie zjawił. Dziś - odwiedzanie - choćby nawet ze względu na jego rodziców - takiego szkraba, jak ja, czy Adaś wtedy - przedstawia mi się jak coś wręcz już muzealnego...

Na wilię nigdy prawie nie byliśmy sami. Przychodził stale ktoś z samotników, artystycznych rozbitków, aby nam nie było bez pary a jemu bezdomnie... Czasem Tepa, czasem pani Aszpergerowa, a choćby Minka Giżycka, siostra Michałowej Monné, jedyna z tamtej rodziny bywająca u nas istota, sympatyczna, karykaturka ludzka, pękata stara panna napełniona po szyję samą poczciwością, entuzjazmem i potrzebą piękna. Zupełnie jak ropucha z bajki Andersena, brzydka i uboga, a nieświadoma, że ma brylant w głowie ! Bardzo lubiłam Minkę. Zostawała u nas często na herbacie, aby przychodziła wieczorem i ponieważ miała osobliwy dar opowiadania, jak wielu ludzi z czasów, gdy się mniej czytało - zawdzięczam jej opowieść romansu p.t. " Duch żywu", z życia górników francuskich, której bohater, niejaki Didier, ogromnie mnie inspirował. Ciągnęło się to opowiadanie całą jedną zimę, na raty...

Otóż bywała na Wilię ta Minka, później rzeźbiarz Dykas, pani

Anna Legadé,zawsze ktoś... Przy kutii zwykle Tatko wstawał nieznacznie i zaszedłszy do salonu drugimi drzwiami,zapalał świeczki na drzewku. Po chwili rozlegał się głos małego, mosiężnego dzwonka,który cały rok stał zazwyczaj w serwantce i oba skrzydła drzwi salonowych odmykały się ku jadalnemu.

Znajomy pokój wyglądał jak wniebowzięty ! Napełniała go złota,sypka jasność. Sosenka,zupełnie przeźrocza i puszysta od długich igieł,stała w mnogości płomyków,które wszystkie odbijały się w szybach, zalegającej całą ścianę nad główną kanapą " Wojny". Srogie memento nad szczęśliwością dzieciństwa! Nim się tknęło niespodzianek pod drzewkiem,siadała Mama do fortepianu i zaczynało się " W żłobie leży". Śpiewali rodzice oboje, cudowny głos Mamy zdawał się pachnąć żywicą, błyszczeć pozłótką, czysty baryton Tatka wtórował bardzo muzykalnie. Do dziś przetrwały mi w melodiach kolęd te ich głosy kochana piękne,zanurzone jak w bursztyn słów i pieśni.

x

x x

Jednym z domów z którym rodzice żyli najbliżej był dom Żulińskich.

Zrazu składał się z matki, pani Barbary z Michelsonów i dwu synów : Tadeusza i Józefa. Pierwszy lekarz,istny świecki franciszkanin, zakonnik idei miłości Boga,Ojczyzny,ubogich - ludzi wogóle. Zostawił po sobie pamięć człowieka świętego. Drugi - profesor,o ile pamiętam przyrody, działacz żarliwy,bojownik o polskość i wiarę, którego biografia zajęła by wiele kart budujących i zdumiewających tym chociby,że mówiłyby o życiu jednego tylko człowieka,którego program dnia codziennego starczyłby na pracę dla kilku. Uczył w licznych uczelniach Lwowa,ale głównym terenem jego pracy było Seminarium nauczycielskie męskie i żeńskie, skąd z pod jego wpływu wychodził rok- rocznie nowy zastęp patriotycznych nauczycieli,ówczesne kadry polskich szeregowców idące na wieś, świadome zadania i obowiązku.Nie było jeszcze wówczas Sokoła ani Twa Szkoły Ludowej. Twierdzami polskości były jedynie takie domy i tacy ludzie,jak Żulińscy. Rodzeństwo było liczne,ale we Lwowie na stałe mieszkali tylko dwaj bracia z matką. W domu tym - umeblowanym jak wnętrza pokojów z Grottgerowskiej " Warszawy ", wisiały portrety,dagerotypy,blaknące fotografie...Bardzo wcześnie znałam treść ich wszystkich. Na jednym z wizerunków olejnych bielała twarz Romana Żulińskiego, straconego wraz z Trauguttem,Krajewskim,Toczyskim,Jeziorańskim na stokach Cytadeli warszawskiej. Wiedziałam,że malutka,pochylona staruszka, pani Żulińska

- Matka, była tej śmierci syna obecna. Świadomość ta ściskała mi zawsze gardło ilekroć całować mi wypadło jej rękę - drobną, szczupłą, która zawsze dobrotliwie głaskała mnie po twarzy. Nosiła marszczone, białe, tiulowe czepeczki wiązane pod brodą i twarz jej miła - ongiś bardzo ładna - przypominała bardzo wiernie rysy obu synów Tadeusza i Józefa, których bardzo kochałam. Wówczas rzadko tylko bywała tam brana przez Mamę.

Później pan Józef ożenił się. Żona jego, panna Łucja Grossówna, córka przyjaciół domu Żulińskich, pełna ruchu, przejasna blondynka, bywała ~~przedtem~~ przedtem także u moich rodziców i zachwyciła mnie raz na zawsze swą kwiatkową urodą, gdy podczas jakiejś skromnej zabawki u nas pochyliła się nad moim łóżeczkiem, aby mi się - wraz z pannami Bronią i Anielką Skólimowskimi - śpiącej przypatrzyć. Świeca trzymana w ręku którejś z panien zbudziła mnie i otworzyłam oczy. Białoróżowa, pod złotym obłoczkiem grzywki buzia Łuci Grossównej, zdobna wianeczkiem niezapominajek, błękit sukienki przy białej szyi i ramionach wydały mi się czymś ~~xxxx~~ wręcz nierzeczywistym! Pamiętam też moment z nią związany, gdy raz zaszedł pan Józef do rodziców w jednym z tysięcznych zapewne narodowo-obywatelskich interesów, jakie go z nimi łączyły i gdym w pozostawionym przez niego w przedpokoju kapeluszu, zauważyła prześliczną, herbacianą różę. Usłyszałam potem od Mamy, że niósł ją pewno dla Łuci o którą się stara.

W miarę gdym podrastała bywałam częściej zabierana do PP. Józefostwa razem. Przez lat kilkadziesiąt, co niedzieli wieczór gromadziła się tam ta sama zwykle gromadka ludzi, którzy w owych czasach nazywali się " ziomkowie", lub " rodacy". W salonie Żulińskich pachniało bowiem jeszcze wyraźnie emigracją, skąd do Galicji cała rodzina przybyła, mówiło się o Paryżu, jakby się znajdował tuż za rogatkami... " Pan Seweryn" wspominany czule, to był Goszczyński. Panowie Leonard, Kornel, Agaton - to znaczyło : Rettel, Ujejski, Giller... Całe ostatnie dzieje Polski jawiły się tam w osobach żywych lub rozmowach. Słynne wieczory coniedzielne u Żulińskich były jednymi z najpierwszych moich towarzyskich rozrywek pozadomowych.

W dużym salonie przy ulicy Gliniańskiej (dziś Tadeusza Żulińskiego) na drugim piętrze zbierało się co tydzień bardzo czasem liczne grono ludzi. Były to jakby prywatne posiedzenia istniejącego oficjalnie Komitetu Obywatelskiego, ale podczas gdy oficjalny zajmował się głównie urządzaniem rocznic narodowych, nabożeństw, jubileuszów i pogrzebów, prywatny konspirował pożytecznie i praktycznie dla dobra spraw realnych. Nie pora tu na wyliczanie wszystkiego co się w tym salonie ważyło, początkowało ile pchniętego w życie inicjatywy tych ludzi, pomogło do przysposobienia duchowego pogotowia na czasy

o które się modlili. Ze starszej generacji Żulińskich mieszkających we Lwowie dożyła tych czasów jedynie jasnowłosa zawsze pani Łucja, której jedyny syn, Tadeusz, zginął w legionach w r. 1916, tym

Niedziele owe były też terenem na którym młodzież seminarzycka obojga płci miała sposobność stykać się ze starszym pokoleniem " rodaków". Galicyjski narybek przyszłego nauczycielstwa ludowego słuchał tu od naocznych świadków o niejednym, co miał po wsiach przemycać lub bodaj samemu z pamięci nie tracić, miał tu sposobność do nabywania ogłady i do " nauki z poglądu" : jak Polakowi w niewoli żyć należy. Różne nieporadne trusie, różni młodziankowie gorący w mozolnych odzieżach, ucieszne i świątobliwe karykatury ludzkie, zapraszane na skromne zebrańka najczulszym gestem gospodarza, garnęły się do nich z ufnością i brały - ani wiedząc kiedy - niewyczerpane zapasy na życie całe , zapału, poświęcenia i miłości. Trusie wyrastały potem na dzielne dyrektorki szkół, z młodzianków wykluł się niejeden poseł na Sejm, niejeden głośny dziennikarz, czy działacz.

W salonie siedziała zwykle starszyzna. Wokół stołu okrytego szydełkową kapą w przeźrocze gwiazdy, na którym paliła się staromodna naftowa lampa na niebotycznym postumencie i leżały ciężkie albumy z fotografiami, kupiły się znajome twarze panów :Józefa, Wuja pani Łuci, B.J.K. Janowskiego, Jana Amborskiego, Brali udział w rozmowie panowie Malinowski, Skotnicki, stary pan Apolinary Stokowski, (bielutki, schludny staruszek w czamarce ze spinką diamentową u szyi, który przez niepamiętny szereg lat, zadawnionym zwyczajowym prawem, odczytywał zawsze w dzień 3-go Maja tekst Konstytucji na wieży lwowskiego ratusza zgromadzonej tam garstce rodaków. Śmierć jego wprawiła w niespodziany kłopot przyjaciół, gdyż okazało się, że starowinka był - kalwinem. Katolicki ksiądz nie mógł, protestancki nie chciał - nie było komu go pochować. Nie wiem co w końcu wymyślono.) Podnosił też donośny, uważnie słuchany głos pan Mieczysław Darowski, wspaniale piękny, ogromny starzec z oczyma koloru starego miodu, człowiek mający w sobie coś z orła i gołębia zarazem. Weteran 31-go roku, z czarno-błękitną wstążeczką Virtiti Militari przy klapie, obok której jarzył się wąski prążek czerwieni. Była to wstążeczka Legii honorowej, którą otrzymał od francuskiego rządu, jako podziękowanie za dar 70-ciu wagonów własnego zboża, które po pruskim zwycięstwie ofiarował "siostrze Francji ". Wówczas, kiedym go poznała on, pan ongiś wielkich obszarów, nie posiadał już ani ziarenka, gdyż wszystko, do ostatniego, rozsypał głodującej braci.

Czasem przyjeżdżał ze Stanisławowa pan Agaton. Z żółtą twa=

rzą chińskiego bonzy, z obwisłymi, czarnymi wąsami, prezydował zdało się zebraniu i wtedy najczęściej kierowano młodzież do przyległego pokoiku, aby starszym nie wadziła w naradach. Nie lubiłam się tam znaleść. Nie z ciekawości na pana Agatona, który był dla mnie xxxxx jeszcze stanowczo za trudny wtedy, ale dla świadomości, że w tym przyległym do salonu pokoju umarł kochany pan Tadeusz.

Styczeń był xxxxxx wtedy ostry, mrozy srogie gdy umierał. Mama na całe dni i noce dążyła na Glinniańską, aby wyręczyć utrudzoną panią Łucię, ja zaś właśnie zaziębiona siedziałam w xxxx domu. xxxxx On to, pan Tadeusz leczył mnie podczas zapalenia płuc w dzieciństwie i wyrwał z choroby, po której na długie lata zostałam rekonwalescentką. Mam jeszcze ubożuchne podarunki, jakimi mnie wówczas darzył : medalionik z kryształowym wieczkiem, rozsypaną już w kawałki rogową bransoletkę z białymi kamyczkami - mam trwalsze od przedmiotów wspomnienie jego niewysłowionej słodyczy, z jaką się do mnie odnosił. Jedna z tych paru, najprawdę świętych istot jakie w życiu znałam. Wiedziałam, że jest umierający, widziałam ciężkie zmartwienie rodziców, było mi strasznie smutno nie móc nawet odwiedzić chorego. Śmierć jego opłakałam gorąco, tym rzewniej, że mnie na pogrzeb nie wzięto. Kaszlałam i mróz był wielki. Pamiętam głębokie wzruszenie, gdym potem pierwszy raz znalazła się w znajomych pokojach i gdym weszła do tego właśnie pokoiku przy salonie. Pachniał silnie aptecznym zapachem medykamentów i choć był już urządzony inaczej, i znikło łóżko xxxxx pana Tadeusza - zostały szafy z książkami, ów rozczulająco szkaradny bukiet kwiatów pod kloszem, który z chleba ulepiła wdzięczna pacjentka, szafirowe wazony, dekorowane jakby koronką z białych paciorek - inny taki dar, czuły a niefortunny ... marmurowa, także pod kloszem grupa z porwaną Sabinką, hołd podobny, tylko w lepszym guście - słowem same przedmioty znajome, związane z tym, którego brakło, przesycone nadomiar tym niesamowitym, silnym zapachem, o którym niepodobna było zapomnieć.

Zawsze czułam się skrępowana w tym pokoju i niezdolna do wesołości.

Niech nikt sobie nie wyobraża, że te niedziele miała w sobie uroczystą, posępną powagę katakumbowych schadzek . Bynajmniej. Ludzie którzy się tam jawili i ci, którzy ich do siebie garnęli, mieli zupełnie franciszkańską pogodę serc, toteż bezpośrednio nieraz, po bardzo czasem ważnych dyskusjach nad krajowym Sejmem lub złymi wieściami ze Śląska czy Poznańskiego - inicjował najzacniejszy pan Józef gry towarzyskie, w których brali udział wszyscy, starsi i młodsi. Grano w talarka, kotka i myszkę, sam gospodarz, profesor, siadał mężnie na cenzurowanym, wysłuchując dobrotliwie znoszonych na niego plotek. Pamiętam raz, w "mruczku", godnego pana J.K.

Kajetana Janowskiego, jednego onego z członków Rządu Narodowego w 1863-cim - jak stojąc w kole z trąbą nut w ręce, ekscytował głuchym chrząkaniem odzew, w którym trzeba było głos znajomej osoby rozpoznać. Raz, podczas " talarka", sąsiadem moim był pan Agaton.

Bawiono się w " fanty" i " spowiedź", zaś najhałaśliwszą bywała zabawa w " podróż", kiedy to Madryt musiał na komendę znaleść się w Petersburgu, a Petersburg w Madrycie, komenderujący zaś upatrywał jak jastrząb, puste po którejś ze stolic krzesło, by na nim usiąć w zamieszaniu. Srogo przy takich wojażach cierpiały staromodne mebelki, ale śmiechu było coniemiara i niejeden poczciwy, ludowo-szkolny marjaż brał w tych podróżach początek. Były to zabawy adwentowe lub wielkopostne. Po Bożym Narodzeniu śpiewało się chórem kolędy, a w karnawale nawet się i tańcowało trochę. Pan Józef siadał do fortepianu i wypędzał "Przepióreczkę z prosa", młodzież zaś puszczała się z rozpędem większym od przestrzeni w pląs mazurowy... Lampa na wysokiej łodydze wędrowała wtedy na trymodkę, skromniutki dywan pod kanapę, starsze panie kupiły się gdzieś pod ścianami, z których ciemne portrety nieboszczyków przychylnie poglądały na tę uciechę.

Forma gospodarska tych przyjęć ogromnie była prosta. Zasiadało się wprawdzie przy stole pięknie zasłanym obrusem, przy stojącej pośrodku lampie, ale nieodmiennie przyjęcie stanowił półmisek t.zw. " mieszaniny" t.j. różnych wędlin krajanych w plasterki, chleb z masłem, dobra herbata w szklankach, do której cukier podawany był na talerzu w kawałkach rąbanych "z głowy" i etażerka zawsze takich samych ciastek domowych, które się nazywały : badjanki. Nigdy niczego więcej. Czasem w karnawale podawano do herbaty chrust, nazywany tam z warszawska : faworkami.

Z dziewcząt najmilsza mi tam bywała Kazia Winnicka, córka Tomasza, także jednego z głównych filarów powstania - kozak dziewczyna o trzy głowy wyższa odemnie, z ładną, pociągłą twarzyczką i czarnymi oczyma , pełna niewyczerpannego humoru i dobroci. Obok niej pamiętam Jadwisię Zielonczankę, później Sędzimirową. Ojciec jej, partiota i działacz, brał udział we wszystkich ówczesnych lwowskich " robotach" narodowych. Należał do grupy tych starszych panów, którzy się kupili koło lampy na wysokim postumencie w chwilach gdy młodszych kierowano do przyległego pokoju. We trzy z Kazią i Jadwisią, przebrane za Polskę, Ruś i Litwę, ofiarowałyśmy Platonowi Kosteckiemu w poranek uroczysty jubileuszu jego publicystycznej pracy, wieniec od Polek, z biało-czerwonymi wstęgami. Kazia była Polską, Jadwisia Litwą, ja - mój Ty Boże! - Rusią... Istnieje nawet wspólna nasza fotografia w tych kostiumach i z tym wieńcem.

Mówiłyśmy przed jubilatem, każda po kilka strof, z jego słynnego wiersza, zaczynającego się od słów :

W Imię Otca i Syna
To nasza mołytwa,
jako Trojca tak jedyna
Polszcza, Ruś i Łytwa...

Nie dożył szczęściem zacny jubilat "gente Ruthenus, natione Polonus " straszliwej ironii dziejów!

We trzy gwarzyłyśmy zwykle osobno, bo panny Modzelewskie, Marconiówny, Aleksandrowiczówny, Deskurówna, Grossówna - starsze były znacznie od nas.

Wśród zastępu innych, młodziutkich seminarzystek lub nauczycielek, mignęła mi się raz także Maria Bartusówna, poetka, córka mało znanego malarza, której rozpaczliwe " Sonety przedślubne", napisane z dużym talentem w przededniu związku z niekochanym człowiekiem, zawędrowały do rąk Leonii Wildowej. Ta pokazała je Ujejskiemu i starania ich obojga obroniły biedną nauczycielkę przed małżeństwem, które jej groziło. Nie zdołano jej wszakże obronić przed gruźlicą, której w parę lat później uległa, młoda jeszcze i naprawdę bardzo zdolna. Mignęła mi się też raz Maria Bartus i u nas, na Zimorowicza. Była już mocno cierpiąca, mówiła szeptem i oczy miała błyszczące, jak w gorączce. Z tej wizyty została mi migawka jej rąk, którymi - nie zdjąwszy czarnych, skórkowych rękawiczek, krajała pomarańczę, jak jabłko ! Pamiętam sok cieknący aż do łokci, pod krótkie rękawy ówczesnej modnej sukni. Do dziś nie wiem, czy tak była niedołężna, czy zaambarasowana. Strasznie miała być pono nieśmiała i opowiadał pan Józef, jak przy egzaminie z zoologii, gdy ją pytał, w żaden sposób nie mogła się zdobyć na wymówienie słowa :"świnia.". Tak się to dosłownie brało wówczas - poezję !

Z wiela " masek" na czcigodnej scence tego domu spotkanych, przypomnieć muszę jeszcze jedną. Nazywała się Stanisław Konopka, recytator.

Człowiek bez wieku, ucharakteryzowany jak wówczas jeszcze wielu na powstańca, w zrudziałej czamarce, pasie z klamrą i butach z cholewami, o długich, uczernionych włosach spadających ze znaczną tegoż szkodą, na biały prążek kołnierzyka, z miną na zawsze klęskową i podfarbowanym wąsem, jawił się na niedzielach rzadko, dość jednak często, aby mi zostać w pamięci dokładnie.

Nie przypominam sobie żadnego słowa, któreby było jego słowem, słowem pana Konopki. Umiał natomiast wszystkich, bez przesady, wieszczów na pamięć, umiał, z dokładnością fenomenalną

Mówiłyśmy przed jubilatem, każda po kilka strof z jego słynnego wiersza, zaczynającego się od słów :

W imię Ojca i Syna
To nasza modlitwa
Jako Trójca tak jedyna
Polszcza, Ruś i Litwa...

Nie dożył szczęściem zacny jubilat "gente Ruthenus, natione Polonus " straszliwej ironii dziejów!

We trzy gwarzyłyśmy zwykle osobno, bo panny Trzcielewskie, Marcinkowny, Aleksandrowiczówny, Deskurówna, Grossówna - starsze były znacznie od nas.

Wśród zastępu innych młodziutkich seminarzystek lub nauczycielek, mignęła mi się raz także Maria Bartusówna, poetka, córka mało znanego malarza, której rozpaczliwe " Sonety przeczulone", napisane z dużym talentem w przededniu związku z niekochanym człowiekiem zawędrowały do rąk Leonii Wilkowej. Ta pokazała je Ujejskiemu i staraniem ich obojga ochroniły biedną nauczycielkę xx przed małżeństwem, które jej groziło. Nie zdołano jej wszakże ochronić przed gruźlicą, której w parę lat później uległa, młoda jeszcze i naprawdę bardzo zdolna. Mignęła mi się też raz Maria Bartus i u nas na Zimorowicza. Była już mocno cierpiąca, mówiła szeptem i oczy miała błyszczące, jak w gorączce. Z tej wizyty została mi migawka jej rąk, którymi - nie zdejmując czarnych, koronkowych rękawiczek, krajała pomarańczę, jak jabłko ! Pamiętam sok cieknący aż xxxxxxxx do łokci, pod krótkie rękawy ówczesnej modnej sukni. xxg Do dziś nie wiem, czy tak była nieobojętna, czy zaabsorbowana. Strasznie miała być ponoć niezdarna i opowiadał pan Józef, jak przy egzaminie z zoologii, gdy ją pytał, w żaden sposób nie mogła się zdobyć na wymówienie słowa "świnia". Tak się to dosłownie brzydziła wówczas - poezja !

Z wielu " gwiazd" na czcigodnej scence tego domu spotkanych, przypomnieć muszę jeszcze jedną. Nazywała się Stanisław Konopka, recytator.

Człowiek bez wieku, ucharakteryzowany jak wówczas jeszcze wielu na powstańca, z rudziałej czupryny, pasie z kieszeni i butach z cholewami, o dziwnych, niezrozumiałych w oczach spadających ze znaczną tenor zakodę, na ciały przések ko literzyka, a wiersze zawsze kiesto= wę i podfarbowanym wąsem. Zjawiał się na niedzielach rzadko, dość jednak często, aby mi zostać w pamięci dokładnie.

Nie przypominam sobie żadnego słowa, które by xxxxx było jego słowem, słowem pana Konopki. Umiał natomiast wszystkich, bez przesady, wieszczów na pamięć, umiał z dokładnością rekomendującxx

całe dramaty, wszystkie polskie poematy i wiersze-był jakby automatem pełnym obcej treści, która się zeń na zawołanie umiała sypać, bez przerwy ... Zważywszy, że recytacja (słowa " deklamacja" nie znosił...) była źródłem jego zarobku, że za skromnym wynagrodzeniem - ilustrujący w gimnazjum godziny " polskiego" występujący często z recitalami własnymi w Sokole, czy Gwieździe, - nie mógł każdym, tysiącznym razem przeżywać treści wygłaszanych utworów, - czynił istotnie wrażenie automatu o zdumiewającej mechanice. Raz na zawsze patetyczny i feralny, gorzał i stygł równocześnie z temperaturą danego utworu, syczał jadowicie, chichotał szydersko, wysuwał oczy z głowy tak, że groziły upadkiem na dywan, krzyczał w niebogłosy, aż się sąsiedzi kamieniczni płoszyli, chrypł wreszcie i dech tracił, słaniał się ze śniadymi wypiekami nad ogonem fortepianu, pot z czoła strząsał - ale gadać i gadać wierszem nie przestawał. Pozatym cichł i milczał niesamowicie, jak rzecz.

Ponieważ bolała go obojętność, zawsze go dobra pani Łucia prosiła o recytację. Nigdy mnie jego sztuka nie wzruszała ani przez moment... Przeciwnie, na długo obrzydło mi niejedno przecudne, popsute wspomnieniem głosu i sposobów pana Konopki, tak jak tandetna reprodukcja obrazu może uszkodzić znajome arcydzieło. Dziś wszakże dopiero urósł moim dojrzałym oczom pan Konopka do powagi symbolu. We wspomnieniu tej smutno śmiesznej figury uosobiła mi się jakoby cała deklamatorska tromtadracja patriotycznego gadulstwa, które tak się ma właśnie do miłości Ojczyzny, jak dewocja do pobożności. Ten rozgadany wierszem, wieczysty powstaniec o farbowanych wąsach, ma dla mnie plastykę jakiejś kukły z narodowych jasełek, syntezę czegoś bardzo przedwojennego, co do witryny muzealnej przynależy, co wszakże bardzo było głośne i szkodliwe w swoim czasie i kto wie, czy jeszcze w czternastym roku, przy werbunku legionowym nie zaważyło...

Nic temu nie winien pan Konopka. Biedny, pomylony duchowo rozbitek, zapomniany dziś niechybnie " rodak", uczciwie pracujący na chleb, niezawsze słodki, a skąpy chleb, który może mnie tylko jednej jeszcze przypomina się jako bezwiedna przenośnia - żywy, śmiesznawo bolesny symbol owych czasów.

Dziwnie dokładnie rozkruszył się dom państwa Józefostwa.

Gdy pan Józef najzacniejszy, najświętobliwszy umierał, syn jego jedyny tak mu był obcy, córki tak inne, choć najzupełniej szanowne, że chcąc papiery swe z czasów powstania, korespondencję i dokumenty przekazać w dobre ręce - upprosił o przyjęcie ich moją Mamę. Syn jedynak zginął w legionach, jako piłsudczyk, socjalista, żydofil, - córka najstarsza wstąpiła do klasztoru, inne wsiąkły bezbarwnie w szarość pracy zarobkowej. Jedna jest współwłaścicielą

ca/e dramaty,wszystkie polskie poematy i wiersze-oby, jakby automa=
tem pełnym ocen treści,które zeń na zawołanie umiał wydać,
bez przerwy ... Zważywszy,że recytacja (słowem deklamacja" nie
znosił...) była źródłem jego zarobku,że za skromnym wynagrodzeniem,
- ilustrujący w gimnazjum godziny " polskiego" występujący często
z recitalami w Sokole,czy Gwieździe,- nie mógł, każdym,
występem przeżywać treści wygłaszanych utworów, - czynił
istotnie wrażenie automatu o zadziwiającej mechanice. Raz na zaw=
sze patetyczny i teatralny, gorący i żywy w wygłaszaniu z temperamentem
w danej chwili, sycząc gadowato, chrząkał zajadle, wyrzucał
oczy z głowy tak, że groziły upadkiem na dywan, krzycząc w nieskoń=
czoność [illegible] poezji, [illegible] i [illegible]
[illegible] się ze śmiechu [illegible] i nad ogromem fortepianu,
pot z czoła strząsał - ale żadnej i żadnego wierszem nie przestawał.
Zostały cichi i milczał niesamowicie, jak rzecz.

Podziwiałam go za jego umiejętność, zawsze go dobra pani Łucja
prosiła o recytację. Nigdy mnie jego sztuka nie zachwycała ani
przez moment... Przeciwnie, na długo obrzydził mi dzieje o przeszło=
ści, popsute wspomnieniem głosu i sposobu pana Konopki, tak jak zaw=
sze rodzinnej ojczyzny obrazu nie umiałam dostrzec. Dziś wszakże do=
piero uroczy pan Konopka do powagi symbolu.
We wspomnieniu tej smutno ośmieszonej figury urosła mi się jakby
cała dekadencja tromtadracji patriotycznego szlachectwa, które
tak się ma właśnie do miłości Ojczyzny jak dewocja do pobożności.
Ten rozgadany wierszem, wieczysty powstaniec o zardzewiałych wąsach
w dla mnie plastycznie jak mury z narodowych jasełek, syntezą
czasów bardzo przeciwstawnych, co do witryny muzealnej przynależy,
co wszakże bardzo było głośne i szkodliwe w swoim czasie i nie
kto wie czy i dziś w czternastym roku przy wyborach [illegible]
niezauważył...!

Nic tu nie winien pan Konopka. Biedny, pewny siebie
rozbitek, zapomniany dziś nieboszczyk " rodak", uczciwie pracujący
na chleb, niezawsze słodki, - ciężki chleb, który mnie tylko
jednej jeszcze przypomina się jako odświętne przemówienie - żywy,
śmiesznawo ciężki symbol owych czasów.

Dziwnie dokładnie rozkruszyły się dom państwa J. wszystkim.
Gdy pan Józef najstarszy, najświetniejszy umiera syn,
jego jedyny, był ich syn, córki takie, choć najlepiej
zamknięte, że swoje papiery swe z czasów powstania, korespondencje
i dokumenty przekazać w dobre ręce - uprosił o przyjęcie ich
sobie. Syn jednak zginął w legionach, jako piłsudczyk, socjalis=
ta, żydzi - córka najstarsza wstąpiła do klasztoru. Inne wszystkie
osiadły w szarości pracy zarobkowej. Jedna jest wspólwłaścicielką

kina w Paryżu, pozatem wirtuozką na fortepianie, jedna owdowiała wychowuje dziecko, najmłodsza jest sanitariuszką. Wszystkie, prócz zakonnicy, grawitują ku socjalizmowi i wielbią Piłsudskiego. Pani Łucja mieszka sama i gdy ją odwiedzam, wzruszają mnie jeszcze niektóre przedmioty z tamtego, kochanego domu. Stół - z tą samą kapą w gwiazdy szydełkowe, lampa na wysokiej łodydze z piękną, spiżową figurką niewieścią, stare, ciemne portrety pani Barbary, Romana i Tadeusza Żulińskich...

Bo tamtego, kochanego domu już nie ma.

X

X X

Innymi, z którymi żyli blisko moi rodzice, był dom państwa Grzywińskich. Znowu matka staruszka i syn, pan Stefan, w dodatku jeszcze trzy córki, panny Aniela, Jadwiga i Maniusia. Pochodzili z Poznańskiego, ale do Lwowa przybyli via Warszawa, gdzie przyzostał syn drugi, pan Józef, dobry kontuszowy aktor tamtejszej sceny.

Nie można sobie wyobrazić ludzi milszych i pogodniejszych. Dlaczego osiedli wszyscy we Lwowie, niezupełnie dobrze wiem, nie dziwię się jednak, że się do niego przywiązali na zawsze. Babcia Grzywińska, jak ją nazywałam, miała pewien pański partes, jako świetnie ongiś wykształcona i wychowana panna - zapomniałam jej panieńskie bazwisko - wiem tylko, że była bliską krewną Kościelskich Mielżyńskich, Donimirskich i że były w pokoikach jej domu różne jaśniepańskie sprzęty. Pozatem, że byli niesłychanie mili wszyscy, odznaczali się również niesłychaną, doskonałą już niemal brzydotą. Najmniej brzydka była najmłodsza z rodzeństwa, panna Maniusia o pięknych istotnie warkoczach i oczach, ale z osobna spotkana, mogła również zastanowić szpetotą nosa i ust. Najprzeraźliwiej szkaradna była panna Aniela, najstarsza, po której mniej już zdumiewali młodsi - pan Stefan i panna Jadwisia - zupełne anioły w ludzkim ciele. Panna Aniela i Maniusia były nauczycielkami wydziałowymi, pan Stefan był - o ile wiem - tylko muzykalny. Panna Jadwisia zajmowała się domem, robiła pajęcze koronki, wypiekała nieziemskie ciastka, szyła odzież dla wszystkich domowników, zawsze promieniejąca pogodą, pełna żartów i słodyczy.

Ta to gromadka ludzi kochała nas serdecznie i wzajemnie była od nas kochana. Istnienie ich opierało się - poza pensjami nauczycielek - na jakiejś sumce żelaznej i przy ówczesnym tanim życiu pozwalało sobie na gościnność.

Raz lub dwa razy w miesiącu conajmniej, szło się do Grzywińs=

kich albo ich gromadka jawiła się u nas. Zwykle wieczorami. Ponieważ cała rodzina z panem Stefanem na czele, słynęła z świetnego dowcipu, a Tatko mój miał sławę podobną, od pierwszego powitania w przedpokoju krzyżować się zaczynały paradne koncepty i wybuchy śmiechu - i - xxxxxx jakby coś rozweselającego nasycało powietrze - dowcip raz rzucony podlatywał coraz wyżej, świetniał, podrywał ku sobie nowe tak, że naprawdę bywały to istne koncerty humoru, pełne twórczego talnetu i bogactwa... Pan Stefan, nie tylko facecjonista starej daty, poza którym przywidywało się zawsze jakby tło szlacheckiego dworu, - szkaradny, jak grzech śmiertelny a xxxxxxx pełen dystynkcji i gładkości słowa, mówił bardzo powoli i bez uśmiechu rzeczy, których śmieszność polegała, jak w każdym dowcipie, nie tylko na niespodziance pointy, ale i na sposobie wygłoszenia. Otóż ten sposób nie miał sobie równego ! Przyczynił się do efektu i głos nosowy, niski (ten sam, którym przemawiał do xxxxx mnie nasz coroczny- póki wiara trwała - święty Mikołaj...) i charakterystyczna, warszawska dykcja, której niepodobna - napisać. Dialog panań Stefana z Tatkiem to był używanie tym zbytkowniejsze, że wszystko przepadało momentalnie i nie tylko dziś, po latach, ale i wtedy doraźnie nie było można odtworzyć tej wietrzejącej natychmiast przyczyny szalonego śmiechu, przytrzymać dłużej czegoś, co jak substancja lotna traciło się - zaświeciwszy.

Póki Babcia żyła - latami - mieszkali państwo Grzywińscy w zabudowaniach Klasztoru PP. Benedyktynek. Już samo to wnętrze działało na moją wyobraźnię. Amfilada słonecznych, małych celek o sufitach niziutkich, wygiętych w łuki sklepione, z oknami w grubych murach, jak xxxxxxx w pokoikach osobnych, strojnych bluszczami, z jedną celą większą, która nazywała się salonem, co zresztą zaznaczał fortepian, garniturek mebelków obitych czarnym rypsem, talerz z biletami, koszyk z kolorowymi owocami z marmuru i kantorek pana Stefana, niezapomniany kantorek z lusterkami, w którego szufladkach xxxx wolno mi było grzebać do woli ! " Babci" pokój był najbliżej kuchni. W jednym z dwu głębokich okien wisiała klatka z kanarkiem, poprzez którego xxxxxxxx " śpiw" - tak tu wymawiano to słowo - toczyła się xxxxxxx zawsze rozmowa. Bacia siedziała zwykle w kącie ceratowej, czarnej sofy przed stołem, owinięta w tyftyk rakowego koloru, z koronką czarną na głowie i w ogromnych okularach, na jeszcze ogromniejszym, niekształtnym nosie. Była już wtedy wiekowa (dzieci jej także, prócz panny Maniusi, która była jeszcze "prawie" młoda) ale xxxxxxxxxxxxxxx przedziwnie żywa i zabawna. Za mną przepadała. (Ach ! Jakże przemiłe jej liściki mam jeszcze w szufladkach!) i opowiadając mi o swym dzieciństwie, zabawiała mnie wystrzyganiem z papieru misternych sylwetek, co umiała mistrzowsko ! Trzymając

przed sobą kartkę papieru, z przedziwną pewnością wystrzygała nożyczkami w przeciwnym od oczu kierunku np. grupę sarn, jelenia z łanią, (przy czym poroże jelenia miało kontur artystycznie doskonały) czasem bywała to kapliczka wśród świerków - i znowu podziwienia godne były gałęzie drzew. Czasem charty pędzące za szarakiem... Ludzi nie wystrzygała nigdy. Może zniechęcały kochaną Babcię profile jej własnej " dziatwy" ? - dość, że jej zwierzęta były zachwycające, zdumiewające szybkością i brawurą z jaką powstawały...

W lwowskim klasztorze Sacré Coeur wychowywała się cioteczna wnuczka Babci, Maniusia Donimirska, córka pana Antoniego, znanego patrioty i działacza w Księstwie. Z tą Maniusią widywałyśmy się podczas Świąt, które dla zbytniej odległości od domu, spędzała u cioców Grzywińskich. Bardzo lubiłam tę dziewczynkę. Śliczna była i jakaś inna niż tutejsze dziewczęta. Może nie tak chwytna w rozmowie ale głębsza, entuzjastka bez frazesu i zdumiewająco szczera. Choć miałam także dość wcześnie swoje wewnętrzne życie, nie byłabym umiała tak siebie komuś innemu wytłumaczyć. A nie było to takie nałogowe " mówienie o sobie" cechujące banalne podlotki. Raczej głośne myślenie przed kimś, z kim się ma ochotę razem myśleć. Pamiętam raz - ponieważ istniał dawny obyczaj chodzenia rodziców po Wilii do Grzywińskich - zaproszona przez Babcię i uproszona u rodziców przez Maniusię, zostałam tam na noc i spędziłam pierwszy dzień Świąt z nimi.

Cóż to była za radość i przygoda! Zbudzić się w innym niż zwykle pokoju, na ceratowej sofie Babci Grzywińskiej, wprost okna z bluszczem i okrytą szczelnie chustką klatką z kanarkiem, słyszeć syczenie wielkiego samowara koło drzwi do kuchni i ciche krzątanie się kochanych istot... Okryta wielką pierzyną - zimno tam musiało być porządne!- patrzyłam na zamarznięte jak błona, małe okienko i rozkoszowałam się poczuciem niezwykłości, jaką przeżywam. Potem nadeszła w berlaczach i katanie babcinej Maniusia Donimirska i gadałyśmy razem pod pierzyną jak w zaspie, póki się w pokoju nie zrobiło ciepło i nie pozwolono mi pójść myć się za babcin, zielony parawan koło pieca...

Na Mszę św., poszłyśmy do kościoła Benedyktynek i byłam dość oświecona już wówczas żeby usłyszeć z pożytkiem, dobrze już dzięki cioci Tereni obeznana z listami Odyńca i z Mickiewiczem, że zakonnicą w tym klasztorze była i umarła ongiś Marcelina Łempicka.

A potem - gdy naukę skończyła - wyjechała Maniusia pod Toruń do rodziny i wyszła zczasem za mąż, za magnata kresowego Świackiego, który miał olbrzymi majątek graniczący z Białowieską puszczą. Dziś, utraciwszy wszystko, pracują w Toruniu na życie, oni oboje i ich jedynak syn.

W tych malutkich celkach klasztornych mieszkali Grzywińscy latami. Zczasem sprowadzili się w ich pobliże i Państwo Józefowie Żulińscy. Mieliśmy tedy w bogobojnym obejściu dwa adresy kochane. Ostatni raz byłam u PP. Grzywińskich po wilii z rodzicami w r. 1893. Towarzyszył nam Tateczek, już jako mój narzeczony. Zawsze się brało z domu ręczny dzwonek i gdyśmy już stali pod drzwiami, nie pukając trząsł Tatko dzwonkiem i intonował głośno " W żłobie leży.." Zaraz robił się hałas wewnątrz, drzwi odmykano i wpadaliśmy w objęcia pana Stefana, panien Anieli, Jadwisi i Maniusi i z miejsca wybuchał śmiech, fajerwerki konceptów, dworowania rozkoszne, którym nie było końca. Pamiętam, że Tateczek struchiał na widok brzydoty tych najmilszych ludzi i wyrzucał nam, żeśmy go dość wczas nie przygotowali na wrażenie. Istotnie nad miarę byli szkaradni... Ale co za serca, co za pogoda niezmącona, jaka prostota, a zarazem "masywna" ogłada ludzi najlepszego tonu ! I jak nas kochali serdecznie!

Na szereg lat przed wojną wyprowadzili się do Bolechowa, kupiwszy za ową sumkę żelazną posiadłość ~~xxxxxxxxxxxx~~ z domkiem. Tam umarli pan Stefan i panna Aniela. Panna Maniusia wyszła zamąż za pana Ksawerego Deskura, zaś panna Jadwisia jeszcze jej dzieciom jest opieką i błogosławieństwem.

X

X X

1880

Na pierwsze piętro kamienicy gdzieśmy mieszkali sprowadzili się niemal równocześnie z nami PP. Bilińscy, rodzina składająca się z owdowiałej matki, dwu córek Maryńci i Jadwisi i syna Stasia. Matka, Rudroffówna z domu, wysoka, bardzo poważna i miła pani, ~~zxxxxx~~ zainicjowała stosunki i często bywałyśmy u siebie z tymi dziewczynkami. Były ogromnie grzeczne, samowite dobre i choć moja fantazja nie mogła w nich znaleść towarzystwa, lubiłam je, pomimo, że stale dawano mi je za przykład, jaka być powinnam. Nie miałam złudzeń, że mi daleko do tej doskonałości. Impetyczna byłam bowiem i niedbała a nade wszystko leniwa okropnie.

U Pani Bilińskiej zebrał się komplet dzieci na naukę tańca. Chodziłam także. Muzyka, gwar kręcących się dzieci, wszystko razem podniecało mnie bardzo i zajmowało aż do zacietrzewienia. Chodził na te komplety i brat mój cioteczny, Bronek Maryański, którego nie lubiłam nigdy, podczas gdy on wyróżniał mnie wybitnie. Przy " wybieranym" do mazura pomijałam go skrzętnie, on zas równie skrzętnie zawsze mnie angażował. Wiedziałam, że danserowi odmawiać nie wypada zła byłam, ale bezbronna. Wreszcie w jakiejś chwili, gdy znów się ku

mnie zbliżał, uszłam w głąb mieszkania, przemknęłam się do przedpokoju i popędziłam na górę do domu. Musiałam być zgrzana- na schodach był przeciąg i mróz - dostałam w nocy dreszczu tak gwałtownego, że obudziła się śpiąca w tym samym pokoju Ciocia. Po jakiejś chwili zobaczyłam, że się w obu pokojach palą lampy i że Tatko wkłada futro...

Miałam straszną gorączkę i przed oczyma jedną na drugiej ruchome ściany, które się ciągle rozsuwały niby kulisy. Dostałam zapalenia płuc. Jeszcze w nocy przyszedł kochany pan Tadeusz Żuliński, który potem przychodził codziennie i okropne to były dni dla Rodziców. Byłam na włosku długi tydzień, a potem chorowitym dzieckiem latami. Dobrze przypominam sobie wrażenie, gdym wstała pierwszy raz. Zdawało mi się, żem wyrosła i wszystkie meble domowe są niższe i że się ściany jeszcze trochę chwieją...

Ku wiośnie pokazało się, że muszę być wywieziona w leczniczy klimat i wuj Edward Korczyński doradzał Styrię. Ciężki to był wyrok dla skromnego budżetu Rodziców. Ojciec zapracowywał swoimi szkołami właśnie tyle, ile było potrzeba na istnienie nas wszystkich, mały kapitalik posiadała jeszcze tylko, nieżyjąca z mężem Babcia, przebywająca u siostry Schallowej na Bukowinie. Wówczas zostały porobione zdjęcia z rysunków Grottgera, zawartych w albumie Mamy, nigdy dotąd nie reprodukowanych. Prawo rozpowszechniania nabył Edward Trzemeski. Za te pieniądze wyjechałyśmy do Gleichenbergu.

Pamiętam nastrój przedwyjazdowy. Tatko namalował dla mnie olejny obrazek M.B. Częstochowskiej z tkliwym napisem na odwrotnej stronie deseczki. Pani Aszpergerowa przyniosła mi śliczną książkę francuską z obrazkami " Bébé en voyage". Od pana Tadeusza dostałam medalik za szkłem, od Cioci torebkę na rzemyku, podróżną. Samolubne zwierzątko jakim, z całą moją rozbujałą fantazją byłam bezsprzecznie, nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z tego ucisku serca z jakim zostawał Tatko, z jakim towarzyszyła mi Mama. Życie moje wciąż jeszcze było wątpliwe, plułam krwią i co wieczór wracała gorączka.

Pierwszy nasz popas wypadł w Krakowie, gdzie tym razem poznałam oboje dziadziów Korczyńskich, Antoniego i Elżbietę z bar. Wentzów, rodzoną siostrę Babci i cioci Tereni. Babcia Korczyńska miała rysy podobne do Babcinych, ale ostrzejsze, była drobna, ogromnie żywa, gwałtowna w czułości jak i w niechęci, istne przeciwieństwo dziadzia, jej męża, jednego z najsłodszych ludzi jacy mogą być, którego Mama zawsze wspominała z uwielbieniem i tkliwością. Miał być wysoko wykształcony, świetny skrzypek-amator, przemiły causeur.. Mama pamiętała wdzięcznie czas pobytu w domu dziadziów, gdy mieszkali w Grybowie. Do Mamy - już wówczas swej narzeczonej i babci, przyjechał na zapro=

mnie zbliżał, uszłam w głąb mieszkania, przemknęłam się do przedpoko=ju i popędziłam na górę do domu. Musiałam być zgrzana- na schodach był przeciąg i mróz - dostałam w nocy dreszczu tak gwałtownego, że obudziła się śpiąca w tym samym pokoju Ciocia. Po jakiejś chwili zo=baczyłam, że się w obu pokojach palą lampy i że Tatko wkłada futro...

Miałam straszną gorączkę i przed oczyma, jedną na drugiej ruchome ściany, które się ciągle rozsuwały niby kulisy. Dostałam zapalenia płuc. Jeszcze xxxxx w nocy przyszedł kochany pan Tadeusz Żuliński, który potem przychodził codziennie i okropne to były dni dla Ro=dziców. Byłam na włosku długi tydzień, a potem chorowitym dzieckiem latami. Dobrze przypominam sobie wrażenie, gdym wstała pierwszy raz. Zdawało mi się, żem wyrosła i wszystkie meble domowe są niższe i że się ściany jeszcze trochę chwieją...

Ku wiośnie pokazało się, że muszę być wywieziona w leczniczy klimat i wuj Edward Korzyński doradzał Styrię. Ciężkim to był wyrok dla skromnego budżetu Rodziców. Ojciec zapracowywał swoimi szkołami właśnie tyle, ile było potrzeba na istnienie nas wszystkich, mały kapi=talik posiadała jeszcze tylko, nieżyjąca z mężem Babcia, przebywająca u siostry Schallowej na Bukowinie. Wówczas zostały porobione zdjęcia z rysunków Grottgera, zawartych w albumie Mamy, nigdy dotąd nie repro=dukowanych. Prawo rozpowszechniania nabył Edward Trzemeski. Za te pieniądze wyjechałyśmy do Gleichenbergu.

Pamiętam nastrój przedwyjazdowy. Tatko namalował dla mnie olejny obrazek M.B. Częstochowskiej z tkliwym napisem na odwrotnej stronie deseczki. Pani Asspergerowa przyniosła mi śliczną książkę francuską z obrazkami " Bébé en voyage". Od pana Tadeusza dostałam medalik za szkłem, od Cioci torebkę na rzemyku, podróżną. Samolubne zwierzątko jakim xxxxx z całą moją rozbujałą fantazją xxxxxxxxxxx byłam bezsprzecznie, nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z tego ucisku serca z jakim zostawał Tatko, z jakim towarzyszyła mi Mama. Życie moje wtedy jeszcze było wątpliwe, plułam krwią i co wieczór wracała gorączka.

Pierwszy nasz popas wypadł w Krakowie, gdzie tym razem poznałam oboje dziadków Korzyńskich, Antoniego i Elżbietę z bar. Wentzów, rodzoną siostrę Babci i cioci Tereni. Babcia Korzyńska miała rysy xxxxxx podobne do Babcinych, ale ostrzejsze, była drobna, ogromnie żywa, gwałtowna w czułości jak i w niechęci, istne przeciwieństwo dziadzia, jej męża, jednego z najsłodszych ludzi jacy mogą być, którego Mama zawsze wspominała z uwielbieniem i tkliwością. Miał być wysoko wykształcony, świetny skrzypek-amator, przeraźny cenzur.. Mama pamię=tała wdzięcznie czas pobytu w domu dziadków, gdy mieszkali w Grybo=wie. Do Mamy - już wówczas swej narzeczonej i Babci, przyjechali na sapro=

szenie dziadziów i Grottger. Narysował tam wiele pięknych studiów : portrety obojga dziadziów, cygana, chłopię z nutami śpiewające na chórze, którego ciekawą strukturę i rzeźbę z aniołem grającym na organkach z grzybowskiego kościółka odrysował.

Wuj Edzio zbadał mnie z wielką starannością i coś tam niewesołego powiedział Mamie, bo strasznie była zgnębiona i choć nie była do tego skłonna nigdy, pamiętam, że wówczas płakała. Pamiętam też moje głupie podniecenie na myśl, że jestem aż tak chora, rodzaj dumy z tego i zaciekawienie dla samej siebie.

Z Wiednia zostało mi wspomnienie dość intymne. Oto na ganku hotelu spotkałam się z Turkiem, który niósł w ręce naczynie wysoce poufnych przeznaczeń, Turkiem w turbanie i najdaweracn - prawie, że Turkiem " z pod Wiednia"! Pokazało się, że obok mieszkał jakiś dygnitarz turecki ze swoim dworem. Wielce byłam zaambarasowana tym spotkaniem, zatarło się ono jednak, gdyż dzięki egzotycznej załodze dowiedziano się w hotelu że to akurat jakieś mahometańskie święto i w pobliskiem meczecie można oglądać czynione do niego przygotowania. Poszłyśmy z Mamą i było to istotnie śliczne. Wnętrze bardzo wysokie, ciemne prawie, oświetlone zwisającym od stropu mnóstwem lamp o łagodnych barwach, jakieś przepyszne jedwabne makaty zawieszone w powietrzu, bo falujące jak żywe na przeciągu, a cała posadzka zasłana grubo trawą, gałązkami zielonymi i kwiatami... Nic nie wiem jakie to było święto, jak wyglądało wejście do tego wnętrza, ale wrażenie tych świateł, zasłon jakby oddychających i kobierca świeżej zieleni zostało mi na zawsze w pamięci.

Nigdy, nigdy nie omieszkała Mama zdobyć dla mnie czegoś ładnego do widzenia, czy przeżycia, zawsze, we właściwej chwili, usłyszałam coś, co było jakby nowym oknem odmykanym ku przestrzeniom.

W Gleichenbergu zamieszkałyśmy wygodnie i blisko lasu, w rodzaju pensionatu, ale bardziej neglizowego od dzisiejszych. Nie było table d'hôte'u, ciągle miało się do czynienia z gospodarzami obojgiem. Nazywali się dobrze brzmiącym po niemiecku nazwiskiem Heferów. Mama wielkie miała ze mną utrapienie z powodu mej odrazy do jedzenia. Nie chciałam... Chciałam za to mnóstwa rzeczy, których nie mogłam. Oto jeździć na osiołkach, które tam wynajmowano na spacery, łazić po lesie za grzybami, grać w kręgle, zaznajamiać się z wszystkimi dziećmi jakie się nadarzyły. Wuj zaś kazał abym jak najwięcej jadła i nie ruszała się. Biedna biedna Mama !

Rysowałam pasjami, bawiłam się trochę Hassanem, moją ulubioną lalką roboty Mamy, ogromnym Turkiem w jaskrawym stroju, o zginaję=

*) Fritz przysłał Mamie na ślubny prezent złotą bransoletkę
-sypki łańcuszek misternych ogniwek - u której kołysały
się dwa, jak opłatek cieniutkie, trącające o siebie dukaty.
Sni mi się, że był na nich " straszny Indianin" z łukiem
i piórami we włosach, ale nie przysięgnę. Brzęk tej zawsze
przez Mamę noszonej pamiątki zrósł mi się nieodłącznie
z rytmem jej szybkich, drobno po domu ciętych kroków,
zupełnie jakby się jedno nie mogło dziać bez drugiego.
Wydaje mi się także, że poszept tych blaszek poznałabym
na drugim końcu świata, tak bardzo był swój własny i
tak bardzo Mamin.

B.O.

do s. 83 dół

rycych się stawach, z rasy wynalezionej przez Mamę i uwielbianej przez liczne dzieci, jakie podobnymi niewolnikami obdarzała - ale - przeważnie nudząc się, byłam strasznie dokuczliwa.

Tymczasem pewnego dnia, do naszego domu pod lasem zjechali nowi goście. Ogromne, nigdy przedtem (przez mnie) tej wielkości nie widziane ich kufry - prawie domki obite blachą - wnoszono z trudem na schody. Rozeszła się wieść po domu, że przyjechali jacyś państwo z Ameryki. Z powozu wysiadła wysoka, ciemno ubrana pani i wysypało się czterech chłopców, każdy trochę większy od drugiego - Amerykanie.

Naturalnie, że w pierwszej chwili miałam zawód, jak zawsze. Nastawiona byłam bowiem stale na nadzwyczajności i już zdążyłam spodziewać się istot z piórami na głowie, pół dzikich, jak z obrazka. Oni zaś byli nadzwyczajni, ale całkiem inaczej niż się spodziewałam. Znalazłyśmy w wysokiej pani i w tych chłopcach, przyjaciół na całe życie - wiernych, wytrwałych mimo oddalenia, z których jednego, po latach, jako dorosła już, powitałam na szerokim świecie niby najlepszego brata, kiedy...ale nie! Trzeba się trzymać na wodzy i opowiadać tak jak się działo... Otóż pani była wdową i nazywała się Mrs.U.A. Spahr. Chłopcy : Otto, Fritz, Charlie i Eddie -przyjeżdżali z Nowego Jorku dla poratowania płuc Fritza, a potem z racji nauki wszystkich czterech, którą dla ćwiczenia w językach, matka chciała im dać w Europie. Umiałam już na tyle po niemiecku, aby się przegryść przez codzienne tematy, a niemczyzna chłopców nie gnębiła mnie. Mówili także bardzo nieśmiało i dużo pojęć zastępować trzeba było na migi. Cóż to za cudowna była kompania!

Otto, Charlie i Eddie, to były całkiem zwykłe, miłe chłopcy, mimo żywości i swobody w obejściu, bardzo taktowne. Wszyscy trzej stali się dla mnie rodzajem posłusznych Hassanów, którymi komederowałam dowoli i - dzięki ich ruchliwemu widokowi - potulniej leżałam na moim rozkładanym krześle. Fritz natomiast to było całkiem co innego. Chłopiec ten czternastoletni - ja miałam lat siedem - miał naturę artystyczną i nieco dziwaczną, która najlepiej odpowiadała mojej. Był jednak o wiele mądrzejszy i dojrzalszy, nie tylko odemnie, ale od swoich starszych braci. Zrozumiał inaczej od nich troskę Mamy o moje zdrowie i był Mamie nieocenioną pomocą. Kiedym się buntowała chcąc iść na spacer z tamtymi, krzyczała jak opętana, po czym zawsze gorączka wracała wyższa - Fritz zostawał, brał swoje skrzypce i grał mi tak długo, póki nie wypłakałam ostatnich łez i nie uspokoiłam się zupełnie. Nigdy mi nic nie perswadował, tylko bez słowa wyjmował skrzypce z pudełka...)*

Jemu też -(doprawdy nie wiem jak zdołałam to wyjęzyczyć?) zwierzyłam tajemnicę kręcidła. Pamiętam jego troskę i rozmowę z Mamą na ten temat. Wiem, że doszli do przekonania, że póki miewam gorączki, nie

jących się stawach z rasy wynalezionej przez Mamę i uwielbianej przez liczne dzieci, jakie podobnymi niewolnikami obdarzała - ale - przeważnie nudząc się, byłam strasznie dokuczliwa.

Tymczasem pewnego dnia, do naszego domu pod lasem zjechali nowi goście. Ich ogromne, nigdy przedtem tej wielkości nie widziane ich kufry - prawie do ki obite blachą - wnoszono z trudem na schody. Rozeszła się wieść po domu, że przyjechali jacyś państwo z Ameryki. Z powozu wysiadła wysoka, czarno ubrana pani i wysypało się czterech chłopców, każdy trochę większy od drugiego - Amerykanie.

Naturalnie, że w pierwszej chwili miałam zawód, jak zawsze. Nastawiona byłam bowiem stale na nadzwyczajności i już zdążyłam spodziewać się istot z piórami na głowie, pół dzikich, jak z obrazka. Oni zaś byli nadzwyczajni, ale całkiem inaczej niż się spodziewałam. Znalazłyśmy w wysokiej pani i w tych chłopcach, przyjaciół na całe życie - wiernych, wytrwałych mimo oddalenia, z których jednego, po latach, jako dorosła już, powitałam na szerokim świecie mowy najlepszego brata kiedy... ale nie! Trzeba się trzymać na wodzy i opowiadać tak jak się działo... Otóż pani była wdową i nazywała się Mrs. U.A. Spahr. Chłopcy: Otto, Fritz, Charlie i Eddie - przyjechali z Nowego Jorku dla poratowania płuc Fritza, a potem z racji nauki wszystkich czterech, którą dla ćwiczenia w językach, matka chciała im dać w Europie. Umiałam już na tyle po niemiecku, aby się przegryźć przez codzienne tematy, a niemczyzna chłopców nie gnębiła mnie. Mówili także bardzo niemrawo i dużo pojęć zastępować trzeba było na migi. Cóż to za cudowna była kompania!

Otto, Charlie i Eddie, to były całkiem zwykłe, miłe chłopcy, mimo żywości i swobody w obejściu, bardzo taktowne. Wszyscy trzej stali się dla mnie rodzajem posłusznych Hassanów, którymi komenderowałam dowoli i - dzięki ich rychliwemu widokowi - potulniej leżałam na moim rozkładanym krześle. Fritz natomiast to było całkiem co innego. Chłopiec ten czternastoletni - ja miałam lat siedem - miał naturę artystyczną i nieco dziwaczną, która najlepiej odpowiadała mojej. Był jednak o wiele mądrzejszy i dojrzalszy, nie tylko odemnie, ale od swoich starszych braci. Zrozumiał inaczej od nich troskę Mamy o moje zdrowie i był Mamie nieocenioną pomocą. Kiedym się buntowała chcąc iść na spacer z tamtymi, krzyczała jak opętana, po czym zawsze gorączka wracała wyższa - Fritz zostawał, brał swoje skrzypce i grał mi tak długo, póki nie wypłakałam ostatnich łez i nie uspokoiłam się zupełnie. Nigdy mi nic nie perswadował, tylko bez słowa wyjmował skrzypce z pudełka... *)

Jemu też - (doprawdy nie wiem jak zdołałam to wyjęzyczyć?) zwierzyłam tajemnice Krecidła. Pamiętam jego troskę i rozmowę z Mamą na ten temat. Wiem, że doszli do przekonania, że póki miewam gorączki, nie

można mi tego bronić,ale lepiej aby się to działo rzadziej.Wymyślali więc oboje różne roztargnienia,niespodzianki,odwołujące myśl od pokuśnego narzędzia i dziś dopiero mogę w zupełności ocenić jaka to była sztuka.

Chłopcy Spahr mieli ze sobą różne zamorskości.Najlepiej mi się podobał kompas z nerwową,mądrą igiełką,wprawioną w " morski bób ",okrągły,ciemnopąsowy przedmiot rosnący pono na dnie morza, - kompas,który Otto nosił przy zegarku. Otto miał lat siedemnaście.

Wreszcie zaczęłam być nieco zdrowsza i następstwem tego były niezapomniane grzybobrania w domowym lesie. Nigdy przedtem ani potem nie spotkałam takie obfitości prawdziwych grzybów i tysiąca innych odmian,jak w Gleichenbergu. Rosły wokół buków prawdziwki całymi weselami, jakby kto zabawek nasypał na mech. Ładowałam w fartuszek,kapelusz,do Mamy parasolki,wreszcie nie mogąc zabrać więcej siadałam i płakałam w niebogłosy. Suszyłyśmy je na słońcu - gdyż - brzmi to niewiarygodnie a jednak jest prawdziwe - nikt z tamtejszych ludzi nie znał użytku grzybów,bano się trucizny i Frau Hofer odmówiła,gdy ją Mama prosiła o zgotowanie nam ich na obiad, ba! nawet o suszenie ich nad kuchnią !

Razem ze zdrowiem wracała mi dawna impetyczność. Potulny, rycerski raczej sposób chłopców Spahr wzmógł moją pewność siebie i dość często zdarzało się,że po jakiejś awanturze stosować musiała Mama pedagogiczny kompres,w którym kładła mnie do łóżka i oznajmiała,że znowu jestem chora. Pamiętam taką kurację,gdy Mama i pani Spahr wyzwoliły z moich garści Eddiego,którego tłukłam bez opamiętania. Miał bowiem zwyczaj, nie licząc się zupełnie z tym,że go nie rozumiem, wpadać z jakimiś zajmującymi nowinami,cały pod wrażeniem swych przygód doznanych w lesie czy ogrodzie i opowiadać mi je po angielsku,bardzo szybko i głośno. Dawałam mu znaki,że nie rozumiem,on jednak gadał dalej jak budzik,który się musi wyterczeć. Raz,gdy wpadł znowu z taką angielską opowieścią, rozzłoszczona, rzuciłam się na chłopca i z całej siły poczęłam go targać i bić. Oburzenie moje osłabło na widok jego zupełnej bierności i przerażonych oczu,których spojrzenie chwyciłam. Trzymałam go jeszcze za kołnierz,już mając puścić,gdy obie matki przyszły na odsiecz. Po chwili zawinięta w kompres leżałam na kanapie,a zacne chłopcy dopraszały się aby móc przyjść do mnie z współczuciem i przebaczeniem.

Impetyczność moja pozbawiła też życia uroczą,młodziutką wiewiórkę,którą mi Mama kupiła do zabawy. Wracając raz ze spaceru odbytego z panią Spahr i chłopcami,tak gwałtownie rzuciłam

można mi tego bronić,ale lepiej aby się to działo rzadziej.Wymyś=
lali więc oboje różne roztargnienia,niespodzianki,odwołujące mnie
od pokuśnego narzędzia i dziś dopiero mogę w zupełności ocenić
jaka to była sztuka.

Chłopcy Spahr mieli ze sobą różne zamorskości. Najlepiej
mi się podobał kompas z perłową,mądrą igiełką,wprawioną w " mors=
ki oko ",okrągły,ciemnopąsowy przedmiot rosnący pono na dnie mo=
rza; - kompas,który Otto nosił przy zegarku. Otto miał lat sie=
demnaście.

Wreszcie zaczęłam być nieco zdrowsza i następstwem tego
były niezapomniane grzybobrania w domowym lesie. Nigdy przedtem
ani potem nie spotkałam takiej obfitości prawdziwych grzybów i ty=
siąca innych odmian,jak w Gleichenbergu. Rosły wokół buków praw=
dziwki całymi weselami, jakby kto zasiewek rozsypał na mech. Łado=
wałam w fartuszek,kapelusz,do Mamy parasolki,wreszcie nie mogąc
zabrać więcej siadałam i płakałam w niebogłosy. Suszyłyśmy je na
słońcu - gdyż - brzmi to niewiarygodnie a jednak jest prawdziwe -
nikt z tamtejszych ludzi nie znał użytku grzybów,bano się tru=
cizny i Frau Hofer odmówiła,gdy ją Mama prosiła o zgotowanie nam
xxxxxxx ich na obiad. ba! nawet o suszenie ich nad kuchnią !

Razem ze zdrowiem wracała mi dawna impetyczność. Potulny,
rycerski raczej sposób chłopców Spahr wzmógł moją pewność sie=
bie i dość często zdarzało się,że po jakiejś awanturze stosować
musiała Mama pedagogiczny kompres,w którym kładła mnie do łóżka
i oznajmiała,że znowu jestem chora. Pamiętam taką kurację,gdy Ma=
ma i pani Spahr wyzwoliły z moich garści Eddiego,którego tłuk=
łam bez opamiętania. Miał bowiem zwyczaj, nie licząc się zupeł=
nie z tym,że go nie rozumiem, wpadać z jakimiś zajmującymi no=
winami,cały pod wrażeniem swych przygód dokonanych w lesie czy
ogrodzie i opowiadać mi je po angielsku,bardzo szybko i głośno.
Dawałam mu znaki,że nie rozumiem,on jednak gadał dalej jak bu=
dzik,który się musi wyterczeć. Raz,gdy wpadł znowu z taką an=
gielską opowieścią, rozzłoszczona, rzuciłam się na chłopca i z
całej siły poczęłam go targać i bić. Oburzenie moje osłabło na
widok jego zupełnej bierności i przerażonych oczu,których spoj=
rzenie odczułam. Trzymałam go jeszcze za kołnierz,już rada
puścić,gdy obie matki przyszły na odsiecz. Po chwili zawinięta
w kompres leżałam na kanapie,a zacne chłopcy dopraszały się aby
móc przyjść do mnie z współczuciem i przeproszeniem.

Impetyczność moja pozbawiła też życia uroczą,młodziutką
wiewiórkę,którą mi Mama kupiła do zabawy. Wracając raz ze space=
ru odbytego z panią Spahr i chłopcami,tak gwałtownie rzuciłam

 91

się ku Mamie, że siadając jej na kolanach, nim mnie zdążyła ostrzec zadusiłam kochane zwierzątko śpiące w maminej kieszeni. Rzecz nie dała się ukryć i gdy wyszło na jaw, że jestem zabójczynią, wpadłam w rozpacz, dostałam gorączki i było kilka dni bledy ze mną nim się uspokoiłam. Ulubione migdałowe ciasteczko i Bach " stosowany" przez Firtza uśmierzył pierw= szą gwałtowność cierpienia. Długo jednak widok wiewiórek żywych i swobodnych, których pełno było w domowym lesie, odnawiał rozdzie= rające wspomnienie.

Pozatem pobyt w Gleichenbergu, polegający na piciu wód minerálnych, oddychaniu łagodnym, jak oliwa powietrzem i piciu koziego mleka, które do ostatka napełniało mnie odrazą - nie bo= fitował we wrażenia.

X X X

Z Gleichenbergu wyjechaliśmy równocześnie z panią Spahr i chłopcami do Monachjum. Wiedziałam jak szczęśliwe czasy przeżył tu Tako z Marcelim Maszkowskim, Pentnerem, Matejką.. Znałam teki i karykaturki przyjaciół rysowane wówczas i odszukałyśmy z Ma= mą ulicę przy której Tatko mieszkał. Galerie były przeważnie zam= knięte i moje zdrowie nie dość mocne, aby je zwiedzać. Pojechaliś= my tylko wszyscy razem do kolosu Bawarii na Theresien Wiese. Wszedłszy schodkami przez wnętrze posągu aż do głowy, przez wy= kroje jego oczu oglądaliśmy rozległy widok. Pamiętam doskonale jakim wstrętem przejęła mnie potworna statua, brzydka swoim ogro= mem i mająca w sobie coś z Molocha połykającego żywe ofiary. W le= cie zwłaszcza i w upał wnętrze tej spiżowej pałuby miało tempe= raturę wręcz niesamowitą. W Monachjum też wydałam nienaruszony dotąd kapitał "na sprawunek" otrzymany od Tatka na wy= jezdnym. Kupiłam sobie przemiłą i śliczną książkę Kate Grenaway " Am Fenster". GRENAWAY

Może znajdę gdzie jeszcze listy Mamy do Tatka z tego okre= su, co pomoże mej pamięci i wypełni luki w opowiadaniu, -na razie notuję tylko jak pamiętam..

Ponieważ okres kuracji w Gleichenbergu się skończył a mój normalny apetyt nie wracał, wracać zaczęły gorączki. Mama korespondująca ciągle na mój temat z najdroższym wujem Edwardem, powiozła mnie wedle jego zlecenia w wyższe góry. Z rodziną Amerykanów pożegna= liśmy się w Monachjum. Dążyłyśmy do Aussee.

Po drodze, mijając różne pięknie położone miejsca, pociąg nasz wjechał w okolicę tak cudną, że stojącej przy oknie zupełnie mi się w głowie zakręciło !

się ku Mamie, że siedząc jej na kolanach, nim mnie zdążyła ostrzec zadusiłam kochane zwierzątko śpiące w maminej kieszeni. Rzecz nie dała się ukryć i gdy wyszło na jaw, że jestem zabójczynią, wpadłam w rozpacz, dostałam gorączki i było kilka dni biedy ze mną nim się uspokoiłam. Ulubione migdałowe ciasteczko xxxxxxxxxxxxxxxxxxxx xxxxxxxxxxx i Bach " stosowany" przez Firtza uśmierzył pierw= szą gwałtowność cierpienia. Długo jednak widok wiewiórek żywych i swobodnych, których pełno było w domowym lesie, odnawiał rozdzie= rające wspomnienie.

Poza tem pobyt w Gleichenbergu, polegający na piciu wód mineralnych, oddychaniu łagodnym, jak oliwa powietrzem i piciu koziego mleka, które do ostatka napełniało mnie odrazą - nie ob= fitował we wrażenia.

X X X

Z Gleichenbergu wyjechaliśmy równocześnie z panią Spahr i chłopcami do Monachjum. Wiedziałam jak szczęśliwe czasy przeżył tu Tatko z Marcelim Maszkowskim, Pentnerem, Matejką. Znałam też xx i karykatury przyjaciół rysowane wówczas i odszukaliśmy xxxxxxxxxx z Ma= mą ulicę przy której Tatko mieszkał. Galerie były przeważnie zam= knięte i moje zdrowie nie dość mocne, aby je zwiedzać. Pojechali= śmy tylko wszyscy razem do kolosu Bawarii na Theresien Wiese. Weszliśmy schodkami przez wnętrze posągu aż do głowy, przez wy= kroje jego oczu oglądaliśmy rozległy widok. Pamiętam doskonale jakim wstrętem przejęła mnie potworna statua, brzydka swoim ogro= mem i mająca w sobie coś z Molocha połykającego żywe ofiary. W le= cie zwłaszcza i w upał wnętrze tej spiżowej pałuby miało tempe= raturę wręcz niesamowitą. W Monachjum też wydałam nienaruszony dotąd kapitał na xxxxxxxx sprawunek otrzymany od Tatka na wy= jezdnym. Kupiłam sobie przemiłe i śliczną książkę Kate Greenaway " Am Fenster".

Może znajdę gdzie jeszcze listy Mamy do Tatka z tego okre= su, co pomoże mej pamięci i wypełni luki w opowiadaniu, - na razie notuję tylko jak pamiętam ..

Ponieważ okres kuracji w Gleichenbergu się skończył a mój normalny apetyt nie wracał, wracać zaczęły gorączki. Mama korespondująca ciągle na mój temat z najdroższym wujem Edwardem, powiozła mnie wedle jego zlecenia w wyższe góry. Z rodziną Amerykanów pożegna= liśmy się w Monachjum. Dążyliśmy do Aussee.

Po drodze, mijając różne pięknie położone miejsca, pociąg xx nasz wjechał w okolicę tak cudną, że stojącej przy oknie zupełnie mi się w głowie zakręciło !

Nad rozległym, zielonym jeziorem, niby zwał stężałych obło=
ków - lodowce ! I drugi taki sam zwał diamentowy odbity w czystej
cichej wodzie... Zaczęłam krzyczeć, że tu wysiądę i stąd nie wyja=
dę! Pociąg stanął na stacji Zell am See i nim Mama mogła temu
przeszkodzić, wyskoczyłam z przedziału, ani się troszcząc co się
za mną dzieje ! Moment trwały pertraktacje z Mamą, która nawoływa=
ła do powrotu, ale że pociąg krótko tu stał - nie było rady !
Trzeba było wyrzucić - bezładnie, jak w pożarze - wszystkie manatki
na plant i wysiąść samej coprędzej... Cudowną dobę przeżyłyśmy w
tym czarodziejskim Zell. Jeszcze gdzieś po domu wałęsa się xxxxxx
szczątek białego, wystruganego w drzewie czółenka, które mi tam
Mama kupiła, miniatura dużego, którym wzdłuż brzegów jeziora od=
byłyśmy popołudniu zachwycającą przejażdżkę. Nie wiem czemu nie
osiadłyśmy tam na resztę leczniczego pobytu . Może Aussee jeszcze
wyżej położone ?

Aussee ani w części nie ~~xxxxxxxx~~ okazało się tak piękne
choć także górzyska wysokie piętrzyły się nad miasteczkiem. Tu
wszakże, jak na złość, przy wielkiej drożyźnie - zaczęłam jeść.
Zdrowie moje poprawiało się szybko i dzięki temu mogłam chodzić
z Mamą na dalsze spacery. Zapachy kwiatów górskich i siana, igieł
świerkowych i wody zielonego, górskiego strumienia, który leciał
jak wariat po kolorowych, prześlicznych kamykach marmurowych, -
ścieżki wysypane suchym igliwiem, wiodące przez las ku ~~xx~~ położo=
nemu tuż Alt-Aussee, gdzie spore jezioro z wysepką porosłą gogo=
dzami i Gasthaus z huśtawką (siedząc w niej zdawało mi się, że
lecę prosto na srebrzący się w dali lodowiec Dachstein..) spra=
wiły, żem się w tej ładności wszelakiej zagospodarowała wcale szyb=
ko.

Na jednej z takich wycieczek do Alt-Aussee złapał nas
ulewny deszcz, -taki gwałtowny i krótki jakie się w górach zdarza=
ją -podczas którego cienkie trzewiczki moje przemokły do pończoch.
Mama, bardzo strwożona, natychmiast po dotarciu pod znajomy dach
Gasthausu, w kącie sali, na ławeczce pod oknem, oswobodziła mnie z
mokrego jak kompot obuwia, zawinęła nogi pledem i takeśmy trwały
czas jakiś. Dziewczyna tymczasem poniosła wszystko do kuchni, aby
wyschło. Tymczasem jakieś dwie, zupełnie suche osoby - starszy pan
i siwa pani - siedzące pod przeciwległym oknem sali, obserwowały
nas widać nie, bo po chwili starsza pani wstała i wyszła, aby za=
raz powrócić i zbliżywszy się do ~~xxxx~~ nas podać Mamie parę świe=
żych pończoch z najuprzejmiejszą propozycją, abym je włożyła, nim
moje będą do użytku. Pogłaskała mnie jakoś całkiem po "cioci owemu"
i - że to Mama miała wiadome towarzyskie talenty - wynikła rozmowa

Nad rozległym, zielonym jeziorem, mały zwał stężałych obło-
ków - lodowce ! I drugi taki sam zwał diamentowy odbity w czystej
cichej wodzie... Zaczęłam krzyczeć że tu wysiądę i stąd nie wyja-
dę! Pociąg stanął na stacji Zell am See i nim Mama mogła temu
przeszkodzić, wyskoczyłam z przedziału, ani się troszcząc co się
za mną dzieje ! Moment trwały pertraktacje z Mamą, która nawoływa-
ła do powrotu, ale że pociąg krótko tu stał - nie było rady !
Trzeba było wyrzucić - bezładnie, jak w pożarze - wszystkie manatki
na plant i wysiąść samej coprędzej... Cudowne dnie przeżyłyśmy w
tym czarodziejskim Zell. Jeszcze gdzieś po domu wałęsa się xxxxx
szczątek białego, wystruganego w drzewie czółenka, które mi tam
Mama kupiła, miniatura dużego, którym wzdłuż brzegów jeziora od-
byłyśmy popołudniu zachwycającą przejażdżkę. Nie wiem czemu nie
osiadłyśmy tam na resztę leczniczego pobytu. Może Aussee jeszcze
wyżej położone ?

Aussee ani w części nie xxxxxxxx okazało się tak piękne
choć także górzyska wysokie piętrzyły się nad miasteczkiem. Tu
wszakże, jak na złość, przy wielkiej drożyźnie - zaczęłam jeść.
Zdrowie moje poprawiało się szybko z dnia i temu mogłam chodzić
z Mamą na dalsze spacery. Zapachy kwiatów górskich i siana, igieł
świerkowych i wody zielonego, górskiego strumienia, który leciał
jak wariat po kolorowych, prześlicznych kamykach marmurowych -
ścieżki wysypane suchym igliwiem, wiodące przez las ku xx położo-
nemu tuż Alt-Aussee, gdzie spore jezioro z wysepką porosłą gogo-
dzami i Gasthaus z huśtawką (siedząc w niej zdawało mi się, że
lecę prosto na spotrzący się w dali lodowiec Dachstein..) spra-
wiły, żem się w tej jedności wszelakiej zagospodarowała wcale szyb-
ko.

Na jednej z takich wycieczek do Alt-Aussee złapał nas
ulewny deszcz, - taki gwałtowny i krótki jakie się w górach zdarza-
ją - podczas którego cienkie trzewiczki moje przemokły do pończoch.
Mama bardzo strwożona, natychmiast po dotarciu pod znajomy dach
Gasthausu, w kącie sali, na ławeczce pod oknem, oswobodziła mnie z
mokrego jak kompot obuwia, zawinęła nogi pledem i takeśmy trwały
czas jakiś. Dziewczyna tymczasem poniosła wszystko do kuchni, aby
wyschło. Tymczasem jakieś dwie, zupełnie obce osoby - starszy pan
i siwa pani - siedzące pod przeciwległym oknem sali, obserwowały
nas widocznie, bo po chwili starsza pani wstała i wyszła, aby za-
raz powrócić i zbliżywszy się do xxxx nas podać Mamie parę świe-
żych pończoch z najuprzejmiejszą propozycją, abym je włożyła, nim
moje będą do użytku. Pogłaskała mnie jakoś całkiem po ciociowemu
i - że to Mama miała wiadome towarzyskie talenty - wynikła rozmowa

zapoznanie, zasiad przy wspólnym stoliku, a potem w drugim pokoju gdzie stał fortepian - muzykowanie i śpiew Mamy. Starszy pan akompaniował z pamięci Schumanna i Schuberta i straszny był zachwyt nad maminym głosem i śpiewem. Ci państwo to był Ks. Wittgenstein z siostrą. Ja, w jej pończochach a w trzewikach pożyczonych od Mädli usługującej, asystowałam koncertowi. Potem kilka razy jeszcze nim wyjechali, robiliśmy razem spacery i odbywała się wspólna muzyka.

W Aussee widziałam też zbliska starego cesarza Wilhelma I-go. Jechał przez miasteczko skądś dokądś -powozem w asyście innych powozów. Było to wieczórem. Mimo iż nie ściemniało się jeszcze, pozapalano jak na szabas liczne świece w oknach małego rynku. Deszcz padał, wszyscy stali pod parasolami, ale choć był ścisk, nikt się nie tłoczył i mnie jakiś uczynny Szwab chwycił w decydującym momnecie na ręce, zanim miałam czas na to się żachnąć i mignęła mi pod spuszczonym okapem budy w powozie twarz w siwych bakobrodach, twarz starego, dobrodusznego psa...Marna to była przyjemność.

W Assee przeżyłam inne, dużo silniejsze wrażenie, a mianowicie burzę górską, z błyskawicami świecącymi raz po raz, grzmotami i piorunami, roztrzaskującymi się o turnie i lodowce w setne echa , z wichrem opętanym - taką, jakiej nigdy przedtem ani potem nie zaznałam. Płakałam, mówiłam pacierz, rozpaczałam za Tatkiem i naturalnie dostałam znowu gorączki. Biedna, biedna Mama !

Nie umiem nawlekać po kolei wydarzeń na nitkę, tylko wszystkie czasy naraz zgarniam w podołek i przesypuję...Boję się pogubić sortując i stąd ten zygzak opowiadania...

Jeszcze w towarzystwie kochanym, amerykańskich chłopców, byłyśmy z ich matką i moją, w Hellbrunn w Bawarii. Jakiś pobiskupi barokowy pałacyk z ogrodem pełnym wodnych figlów i marmurami wykładanych ścieżek, schodów i tarasów, z galeriami o balaskach z marmuru, podobnych do szeregu łydek krągłych, obciągniętych białymi pończochami - jakieś miejsce ani ładne ani wesołe, a chcące być i jednym i drugim bardzo natarczywie. Gdyby po nim krążyli ludzie w perukach i atłasach kolorowych, miałoby jaki taki sens. Ale tak ?! Na przykład koncept ze stołem kamiennych obstawionym takimiż stołkami, na które usilnie zaprasza cię cicerone-dozorca, a które w chwili gdy na nich, niczego nieprzeczuwając usiądziesz wytryskują z siedzeń strumieniami fontann krzyżujących się nad stołem ; albo straszliwa głowa z kolorowego fajansu, połykająca w miarowych odstępach wpadającą jej w paszczę kulę, przez prąd wody podnoszoną w strumieniu --wszystko to jest niesmaczne i nawet myszka, którą trąci, niesmaku tego nie rozgrzesza.

zapoznanie, zasiad przy wspólnym stoliku,a potem w drugim pokoju gdzie stał fortepian - muzykowanie i śpiew Mamy. Starszy pan akompaniował z pamięci Schumanna i Schuberta i straszny był zachwyt nad mamiinym głosem i śpiewem. Ci państwo to był Ks. Wittgenstein z siostrą. Ja xxxxx w jej pończochach a w trzewikach pożyczonych od Madzi asystującej,asystowałam koncertowi. Potem kilka razy xxx jeszcze nim wyjechali, robiliśmy razem spacery i odbywała się wspólna muzyka.

W Aussee widziałam też żulika starego cesarza Wilhelma I-go. Jechał przez miasteczko xxxxxxxxxx skądś dokądś -powozem w asyście innych powozów. Było to wieczorem. Mimo iż nie ściemniało się jeszcze,pozapalano jak na szczęs liczne świece w oknach małego rynku. Deszcz padał,wszyscy stali pod parasolami,ale choć był ścisk,nikt się nie tłoczył i mnie jakiś uczynny Szwab chwycił w decydującym momencie na ręce,zanim miałam czas na to się żachnąć i mignęła mi pod spuszczonym okapem budy w pow zie twarz w siwych bakobrodach,twarz starego,dobrodusznego pas...Marna to była przyjemność.

W Assee przeżyłam inne, dużo silniejsze wrażenie,a mianowicie burzę xxxxxxx górską,z błyskawicami świecącymi raz po raz, grzmotami i piorunami,roztrzaskującymi się o turnie i lodowce w setne echa , z wichrem opętanym - taką,jakiej nigdy przedtem ani potem nie zaznałam. Płakałam,mówiłam pacierz,rozpaczałam za Tatkiem i naturalnie dostałam znowu gorączki. Biedna,biedna Mama !

Nie umiem nawlekać po kolei wydarzeń na nitkę,tylko z wszystkie czasy naraz zgarniam w podołek i przesypuję...Boję się pogubić sortując i stąd ten zygzak opowiadania...

Jeszcze w towarzystwie kochanym,amerykańskich całopców,byłyśmy z lou matką i moją,w Heilbrunn w Bawarii. Jakiś podiskupi xxxxxx barokowy pałacyk z ogrodem pełnym wodnych figlów i marmurami wykładanych ścieżek sadów i tarasów,z galeriami o balaskach z marmuru,podobnych do szeregu łydek kręgłych,obciągniętych białymi pończochami - jakieś miejsce xxxx ani ładne ani wesołe, a chce być i jednym i drugim bardzo natarczywie. Gdyby po nim krążyli ludzie w perukach i atłasach kolorowych,miałoby jaki taki sens. Ale tak ?! Na przykład koncept ze stołem kamiennym obstawionym takimiż stołkami,na które usilnie zaprasza cię cicerone-dozorca a które w chwili gdy na nich xxxxxxxxxx,niczego nie przeczuwając usiądziesz -xxxxxxx wytryskują z siedzeń strumieniami fontann krzyżujące się nad stołem ; straszliwa głowa z kolorowego fajansu,połykająca w nierównych odstępach wpadającą jej w paszczę kulę, przez prąd wody podnoszoną w strumieniu ---wszystko to jest niesmaczne i nawet wyszka,którą trąci,nieswam tego nie rozgrzesza.

Typowy przykład tego,co wynika gdy Niemiec chce naśladować Francuza. Niema bowiem wątpliwości,że ogród hellbruński zasłyszał coś o Wersalu. Jednym naprawdę ładnym wśród tej figlarnej wilgoci - jest szczelina przez którą widać w ciemnej głębi groty przeźroczysty,migotliwy słup wody,oświetlony blaskiem dnia xxxx skierowanego przez inną,niewidoczną szczlinę - słup, na którego ruchomym ciemieniu tańczy kołysząc się,wznosząc i zniżając razem z nim - śliczna w kształcie,złota korona..Korona jakaś z bajki, wilgotna i niesamowita, - korona albo xxxxxxxx już odłożona,albo właśnie do wzięcia - korona coraz rzadziej już dzisiaj na świecie potrzebna...

Jest też w tym ogrodzie grota,w której - ubrana w czarny marmur - śpi Eurydyka,o ramionach i obliczu białomarmurowym, nad nią zaś odpowiedni Orfeusz xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx przygrywa pięknie na skrzypcach.(?) Eurydyka i dziś pewno śpi jeszcze, Orfeusz także xxxxx grać nie przestał,korona już chyba jednak nie tańczy dzisiaj w Hellbrunnie...

x

Zapewne wracając z Aussee zatrzymałyśmy się w Salzburgu, a stamtąd wybrały na cały dzień z odwiedzinami do hr.Reverterów tychsamych z Quod libetu,którzy mieszkali niedaleko miasta w swej willi.

Znałam z opowiadań Cioci i Babci wszystkich członków kochanej rodziny, zarówno umarłych,jak jeszcze żyjących. xxxxxxxx Starego hr. Antoniego, który miał jedną brew dużo wyższą od drugiej i mawiał pono o swoich synach że " die Buben müssen sekiert werden..."- jakiś dziwnie podobny w mojej wyobraźni do prezydenta Silbersteina z " Dziadka do orzechów",podnoszącego palec w górę i mówiącego do rozbrykanego synka tylko dwa słowa xxxxxxxxxxxx " Panie Fryc ! " - Znałam i starą hrabinę Annę, z domu v.Hertmann, dobrotliwą,bielusieńką staruszkę,ongiś przecudnie śpiewającą - i wszystkie ich " dzieci" - dorosłe dziś,siwiejące lub umarłe... Fryderyka i Fryderykę,chrześniaków hr.Moszyńskiej,Matyldę, Teofila i zmarłą dziewczynkę Adelę,o ślicznych,złotych włoskach... Złocisty orzech z ich choinki wisi do dziś w Quodlibecie " obok pukla jasnego Adeli...

Tożsamość " Fryca" i hrabianki Matyldy zwłaszcza,zrobiła na mnie wielkie i czułe wrażenie, gniewało mnie tylko,że nie rozumieją po polsku i że nie mogę z nimi swobodnie rozmawiać.Dziś bardzo mało pamiętam oczyma z tej wizyty. Koszyk ze świeżymi figami, o jakich często mowa w bajkach "Z tysiąca i jednej nocy"

Typowy przykład tego,co wynika gdy Niemiec chce naślado=
wać Francuza. Nikt sumienie wątpliwości,że ogród hellbruński zasły
szał coś o Wersalu. Jedynym naprawdę ładnym wśród tej figlarnej
wilgoci - jest szczelina przez którą widać w ciemnej głębi groty
przeźroczysty,migotliwy słup wody,oświetlony blaskiem dnia xxxx
skierowanego przez inną,niewidoczną szczelinę - słup, na którego
ruchomym ciemieniu tańczy kołysząc się,wznosząc i zniżając razem
z nim - śliczna w kształcie,złota korona..Korona jakaś z bajki,
wilgotna i nieszarowita, - korona albo xxxxxxxx już odłożona,albo
właśnie do wzięcia - korona coraz rzadziej już dzisiaj na świecie
potrzebna...

Jest też w tym ogrodzie grota,w której - ubrana w czarny
marmur - śpi Eurydyka,o rzeźbionych obliczu białomarmurowym, nad
nią zaś odpowiedni Orfeusz xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx przygrywa pięk=
nie na skrzypcach.. Eurydyka i dziś pewno śpi jeszcze, Orfeusz
także xxxx grać nie przestał,korona już czyna jednak nie tań=
czy dzisiaj w Hellbrunnie...

x

Zapewne wracając z Aussee zatrzymaliśmy się w Salzburgu,
a stamtąd wybrały na cały dzień z odwiedzinami do nr.Revertérów
tych samych z Gund libetu,którzy mieszkali niedaleko miasta w swej
willi.

Znałam z opowiadań Cioci i Buci wszystkich członków ko=
chanej rodziny, zarówno umarłych,jak jeszcze żyjących. xxxxxxx
Starego hr Antoniego,który miał jedną brew dużo wyższą od dru=
giej i mawiał pono o swoich synach że " die Buben müssen sekiert
werden.."- jakiś dziwnie podobny w mojej wyobraźni do prezyden=
ta Silbersteina z " Dziadka do orzechów",podnoszącego palec w gó=
rę i mówiącego do rozbrykanego synka tylko dwa słowa xxxxxxxxxx
" Panie Fryc ! " - Znałam i starą hrabinę Annę, z domu v.Hert=
mann, dobrotliwą,cieniusieńką staruszkę,ongiś przecudnie śpiewają=
cą - i wszystkie ich " dzieci" - dorosłe dziś,siwiejące lub u=
marłe.. Fryderyka i Fryderykę,chrześniaków hr.Moszyńskiej,Ma=
tyldę, Teofilę i zmarłą dziewczynkę Adelę,o ślicznych,złotych
włoskach.. Złocisty orzech z ich choinki wisi do dziś w Gund=
libecie " obok pukla jasnego Adeli...

Tożsamość " Fryca" i hrabianki Matyldy zwłaszcza zrobiła
na mnie wielkie i czułe wrażenie, gniewało mnie tylko,że nie ro=
zumieją po polsku i że nie mogę z nimi swobodnie rozmawiać.Dziś
bardzo mało pamiętam oczyma z tej wizyty. Koszyk ze swie...ymi fi=
garami, o jakich często mowa w bajkach "Z tysiąca i jednej nocy"

ogromny, jasny dywan w salonie, na którym stały meble jasno żółte, obite malinowym aksamitem i fotografia cioci Tereni nad biurkiem hrabianki Matyldy, którą mi tkliwie pokazała. Mimo niedostępności językowej uderzyła mnie niesłychana serdeczność tych wszystkich osób w stosunku do Mamy i do mnie. Szczegóły rozmów poznałam dopiero za powrotem do domu, gdy je Mama opowiadała Babci i Tatkowi. Między innymi uwagę hr. " Fryca" (wówczas austriackiego ambasadora przy Watykanie) na temat urody Babci, którą jako rówieśnik jej pamiętał podlotkiem jeszcze. Złożył hołd piękności Mamy, rzucił wdzięczny duser w kierunku moim, ale rzewnie zauważył, że żadna z nas nie może się równać z Babcią. " Sie war verblüffend schön ". On sam był - nawiasem mówiąc - najtypowszym okazem wielkiej rasy, jego rysy, ruchy, sposób mówienia niezmiernie mnie zachwycały, w przeciwieństwie do jego żony, małej, krępej blondynki o twarzy pospolitej i chmurnej, Rosjanki, Buturlin z domu. Ale jakże kochaną - odrazu kochaną stała mi się hrabianka Matylda !

Wielkie, zielone oczy w szczególnie smagłej twarzy, cygańskie brwi nad nimi i dziewczęcy uśmiech, mimo zmarszczek na przywiędłych skroniach, śnieżne zęby i czułość niewysłowioną z jaką mnie tuliła i pieściła - zachowałam na zawsze w pamięci. Jej niemieczczyznę, ponieważ dużo mówiła o Babci i Cioci, rozumiałam i wobec niej moje językowe braki mniej mnie krępowały. Pokazywała mi ogród, brzoskwinie na domu, psy domowe, akwarele ukochanej siedziby rodzinnej, Toiletu w Tyrolu, który znałam z opowiadań Cioci Tereni i którego mała akwarelka, także ręką hr. Matyldy robiona przed laty, czerwieni się staroświeckimi dachami i zieleni majowo od misternie wykończonych drzew w ciocinnym Quodlibecie. Na ścianie w saloniku widniała też w owalu złotej ramki litografia przedstawiające hr. Moszyńską, tak dobrze mi znajomą! Tłusta, nieładna damulka w budce z 30-tych lat i pęku strusich piór na niej... Ta sama, pamiętana, na którą zwykły były patrzeć moje oczy gdy mi Babcia lub Ciócia o swej związanej z nią młodości, opowiadały. Ona to zapozbała rodziny naszą i Reverterów ze sobą.

Hr. Antoni (ów z jedną brwią wyższą!) znalazł się z rodziną jako kapitan któregoś z austriackich pułków, we Lwowie. Hrabina Moszyńska ofiarowała przybyłym przyjaciołom apartament w swoim domu, rada z miłej, towarzyskiej, a na domiar muzykalnej akwizycji. Od tej pory datuje się ten związek serdeczny, który mnie jeszcze dostał się w spadku...

Podczas gdy Babcia przebywała stale u hr. Moszyńskiej, dostała ciocia Terenia za jej staraniem posadę u Hr. Antoniostwa. Choć jeszcze sama młodziutka, już wykształcona o tyle, że mogła uczyć młodszą dziatwę - Matyldę i Teofila, dokształcając się

ogromny, jasny dywan w salonie, na którym stały meble jasno żółte, obite malinowym aksamitem i fotografia cioci Tereni nad biurkiem mrociaski Matyldy, którą mi tkliwie pokazała. Mimo niedostępności językowej uderzyła mnie nieslychana serdeczność tych wszystkich osób w stosunku do Mamy i do mnie. Szczegóły rozmów poznałam do- piero za powrotem do domu, gdy je Mama opowiadała Baoci i Tatkowi. Między innymi uwagę hr. " Frycka" (wówczas austriackiego ambasado- ra przy Watykanie) na temat urody Baoci, którą jako rówieśnik jej pamiętał podlotkiem jeszcze. Złożył hołd piękności Mamy, rzucił wdzięczny duser w kierunku moim, ale rzewnie zauważył, że żadna z nas nie może się równać z Babcią. " Sie war verblüffend schön ". On sam był - nawiasem mówiąc - najtypowszym okazem wielkiej rasy jego rysy, ruchy, sposób mówienia niezmiernie mnie zachwycały, w przeciwieństwie do jego żony, małej, krępej blondynki o twarzy pos- politej i chmurnej Rosjanki, Buturlin z domu. Ale jakże kochana - odrazu kochaną stała mi się mrociaska Matylda !

Wielkie, zielone oczy w szczególnie smagłej twarzy, cygańs- kie brwi nad nimi i dziewczęcy uśmiech, mimo zmarszczek na przy- więdłych skroniach, śmieszne zęby i czułość niewysłowiona, z jaką mnie tuliła i pieściła - zachowałam na zawsze w pamięci xxxxxxxx jej niemieczyznę, ponieważ dużo mówiła o Baoci i Cioci, rozumiałam i wobec niej moje językowe braki mniej mnie krępowały. Pokazywa- ła mi ogród, orzoskwinie na domu, psy domowe, akwarele ukochanej siedziby rodzinnej, Tolletu w Tyrolu, który znałam z opowiadań Cioci Tereni i którego miała akwarelka, także ręką hr. Matyldy robio- na przed laty, czerwieni się staroświeckimi dachami i zieleni ma- jowo od misternie wykończonych drzew w cichutkim Ouodlibecie. Na ścianie w saloniku widniała też w owalu złotej ramki litogra- fia przedstawiająca hr. Moszyńską tak dobrze mi znajomą. Tłusta, niełądna damulka w modzie z 30-tych lat i pękiem strusich piór na niej... Ta sama, pamiętana, na którą zwykł był patrzeć moje oczy gdy mi Babcia lub Ciocia o swej związanej z nią młodości, opowia- dały. Ona to zapoznała rodziny naszą i Reverterów ze sobą.

Hr. Antoni (ów z jedną orlą wyższą!) znalazł się z ro- dziną jako kapitan któregoś z austriackich pułków, we Lwowie. Hra- bina Moszyńska ofiarowała przybyłym przyjaciołom apartam nt xxx w swoim domu, rada z miłej, towarzyskiej, a na domiar muzykalnej akwizycji. Od tej pory datuje się ten związek serdeczny, który xxx mnie jeszcze dostał się w spadku...

Podczas gdy Babcia przebywała stale u hr. Moszyńskiej, dostała ciocia Terenia za jej staraniem posadę u Hr. Antoniostwa. Choć jeszcze sama młodziutka już wykształcona o tyle, że mogła uczyć młodszą dziatwę - Matyldę i Teofilę, dokształcając się

jeszcze rówmocześnie sama. Fryc i Fryderyka byli - jak się rzekło - chrześniakami Fryderyki Hr. Moszyńskiej, która całą tę rodzinę tak pokochała z latami, że większą część ogromnego swego majątku im przekazała. Cały jej dom tworzył jakby jedno ognisko, pełne życia i myśli i od tej pory położenie Babci bardzo się poprawiło. Miała pod tym samym dachem ukochaną, starszą siostrę i całą serdeczną młodzież Reverterów, z którą uczyła się i bawiła. Latami płonęły im wspólne choinki, latami wyjeżdżano razem do dóbr podolskich hrabiny, uczyły się dziewczęta haftu przy głośnym czytaniu autorów klasycznych, - razem płatano - jakże anielsko naiwne! - psoty, urządzano baliki dziecinne, na których rolę kamerdynera odgrywał stale " Fryc", późniejszy ambasador w Petersburgu i przy Watykanie, nazywany bez pietyzmu przez siostry "kamerdureń"... Uchowały się jeszcze malowane kunsztownie zaproszenia, przesyłane z piętra na piętro, gdy się balik taki miał odbyć, ze wszystkimi tytułami kaligrafowanymi starannie przez młode comtessy i baronessy, na małych, wąskich kopertach. Pokazywała mi je w r. 1890 hrabianka Matylda, gdyśmy ją w drodze do Monachium, po latach odwiedziły z Mamą ponownie. Powtórzyła nam też znajome z opowiadań domowych pewne bohaterskie wystąpienie, które okryło chwałą ciocię Terenię.

Była z Teofilem i Adelą na spacerze, gdzieś, koło Pełczyńskiego stawu. Na rozległej łące, parkiem oddzielonej od drogi, pasło się zazwyczaj bydło. Adela miała malutką, pąsową parasolkę, którą wywijała radośnie. Wtedy pasący się za parkiem, spory byczek, wziąwszy ten gest do siebie, puścił się pędem ku parkowi, przełamał barierę i pędził ku dzieciom i ich towarzyszce. Wówczas ciocia Terenia zasłoniła sobą dzieci i stawiła czoło zwierzęciu. Przez moment zdawało się, że będzie po wszystkich, ale - o dziwo! - bydlę straciwszy z oczu czerwoną plamę, zaryło się racicami też przed pół żywą bohaterką i posapawszy chwilę - cofnęło się. Dzieci były już dość mądre by zrozumieć zajście i gdy za powrotem opowiedziały o nim rodzicom, Ciocia stała się przedmiotem najczulszych dziękczynień i starań, zwłaszcza, że po przeżytym wstrząsie zaniemogła.

Osobliwie brzmi dziś wzmianka o pasących się koło Pełczyńskiego stawu krowach i byczkach. Ależ to były czasy, gdy w miejscu dzisiejszego Hipotecznego Banku szumiał na Pełtwii malowniczy młyn - gdy opodal nieistniejącego już też, zabudowanego muzeami, Przemysłowym i Miejskim - placu Castrum, bito piloty dębowe w grzęzawisko, na którym stanął gmach Skarbkowskiego teatru. Plac Castrum jeszcze ja pamiętam, rozległy i pusty, ze stadkami małych oberwańców, grających na nim z zapałem "w kiczkę", podobnie jak na sporym, narożnym placyku, na którym za mej pamięci stanął

jeszcze równocześnie sama. Fryc i Fryderyka byli - jak się rzekło - chrześniakami Fryderyki Hr. Rosyńskiej, która całą tę rodzinę tak pokochała z latami, że większą część ogromnego swego majątku im przekazała. Cały jej dom tworzył jakby jedno ognisko, pełne życia i myśli i od tej pory położenie Babci bardzo się poprawiło. Miała pod tym samym dachem ukochaną, starszą siostrę i całą serdeczną młodzież Reverte=rów, z którą uczyła się i bawiła. Latami płonęły im wspólne choin=ki, latami wyjeżdżano razem do dóbr podolskich Hrabiny, uczyły się dziewczęta haftu przy głośnym czytaniu autorów klasycznych, -razem płatano - jakże anielsko naiwne! - psoty, urządzano baliki dziecinne, na których rolę kamerdynera odgrywał stale " Fryc", późniejszy ambasador w Petersburgu i przy Watykanie, nazywany bez pietyzmu przez siostry "Kamerdurech"... Urządzały się jeszcze malowane kunsz=townie zaproszenia, przesyłane z piętra na piętro, gdy się balik ta=ki miał odbyć, ze wszystkimi tytułami kaligrafowanymi starannie przez młode comtessy i baronessy, na małych, wąskich kopertach. Poka=zywała mi je w r. 1890 hrabianka Matylda, gdyśmy ją w drodze do Monachium, po latach odwiedziły z Mamą ponownie. Powtórzyła nam też znajome z opowiadań domowych pewne bohaterskie wystąpienie, które okryło chwałą ciocię Terenię.

Była z Teofilem i Adelą na spacerze, gdzieś koło Pełczyń=skiego stawu. Na rozległej łące, parkanem oddzielonej od drogi, pasło się zazwyczaj bydło. Adela miała malutką, pąsową parasolkę, którą wywijała radośnie. Tedy pasący się za parkanem, spory byczek, wzię=wszy ten gest do siebie, puścił się pędem ku parkanowi, przełamał barierę i pędził ku dzieciom i ich towarzyszce. Wówczas ciocia Te=renia zasłoniła sobą dzieci i stawiła czoło zwierzęciu. Przez mo=ment zdawało się, że będzie po wszystkich, ale - o dziwo! - bydlę straciwszy z oczu czerwoną plamę, zaryło się racicami też przed pół żywą bohaterką i posapawszy chwilę - cofnęło się. Dzieci były już dość mądre by zrozumieć zajście i gdy za powrotem opowiedzia=ły o nim rodzicom, Ciocia stała się przedmiotem najczulszych xxxxx= dziecinnych i starań, zwłaszcza, że po przeżytym xxxxxxxx wstrząsie za=niemogła.

Osobliwie brzmi dziś wzmianka o pasących się koło Pełczyń=skiego stawu krowach i byczkach. Ależ to były czasy, gdy w miejscu dzisiejszego Hipotecznego o Banku szumiał na Pełtwi walowniczy młyn - gdy opodal nieistniejącego już też, zabudowanego muzeum Prze=zdzieckim i Miejskim - placu Castrum, bito piloty dębowe w grzę=zawisko, na którym stanął gmach Skarbkowskiego teatru. xxxxxxxxxx Plac Castrum jeszcze ja pamiętam, rozległy i pusty ze stadkami małych obdartusów, grających na nim z zapałem "w kiczkę", podobnie jak na szerym, narożnym placyku, na którym za mej pamięci stanął

gmach Sokoła Macierzy.

Gdy hr. Antoni z awansem przeniesiony został do Wiednia podążyła Ciocia za nimi. Przedtem wszakże w r. 1840, na zaproszenie chorej i zapewne skruszałej wskutek stanu zdrowia ciotki Charlotty v.Jordan, pojechała do Pragi, aby ją odwiedzić i poznać. Wrażenia z tego pobytu, niektóre wielce ciekawe dla rodziny, znajdują się w dziesięciu listach Cioci, pisanych do sióstr we Lwowie, Babci zwanej Dulką i Celiny, której imię skracano na "Tyna" lub " Tynka". Tam znajduje się wzmianka o podarowanych wówczas Cioci przez "Tante Jordan " portretach familijnych, olejnych i miniaturze Luizy kanoniczki. Ciotka Liza była już zamężna za Antonim Korczyńskim i widzenie z nim po drodze, także opisane jest w tych listach z podróży do Pragi. Tante Jordan była - jak z nich wynika - nudną, zchorowaną, i całkiem nieciekawą "alte Dame", może skutkiem choroby zniedołężniałą fizycznie i duchowo. Miała być bardzo podobna z powierzchowności do brata Leopolda, co rozczulało ciocię Terenię, ruda jak i on, z wydatną dolną wargą i pięknymi rękami. Bawiła przy niej stale krewna przez Ehrenburgów, stara panna, Tekla La Motte de Frintrop?, której ciotka Charlotta cały swój majątek zapisała, czyniąc na rzecz bratanek tylko małe legaty. Z tych to legatów wszakże, przez Babcię i Ciocię nie roztrwonionych, kupioną została po 42 latach od praskiej wizyty - Storożka. Gdy ciocia bawiła w Pradze stary radca Jordan już nie żył.

Ale wracam do Reverterów...

Osiemnaście lat przebyła Ciocia w ich kochanym domu i choć wrócić zapragnęła w pobliże sióstr do Polski, najczulsza przyjaźń wzajemna trwała lat kilkadziesiąt, po której została olbrzymia - jak na dzisiejsze pojęcia - korespondencja, najstaranniej chowane nieprzeliczone arkusze, zapisane ręką starej hrabiny Anny, drobnym, przeźroczyście czytelnym pismem hr. Matyldy. Z Rzymu, Toiletu, Salzburga, z każdego miejsca pobytu, pełne najpoufniejszych relacji rodzinnych, uwag ogólnej natury, opisów życie sfer dyplomatycznych przy Watykanie - listy wielce zajmujące i jako dokument osobisty i jako źródło dla badacza epoki - kiedyś... Dla nas przede wszystkim jako rozczulające świadectwo jakości obu tych przyjaciółek, które się czule kochały do śmierci. Myślę, że i dla potomków wspaniałego " Fryca" mogłyby się tam znaleść niejedne ważne szczegóły. Gdy syn jego Mikołaj, zwany w domu Collie, żenił się w Paryżu z ks. Aldobrandini, przyszła do Cioci Tereni paczka spora z cukrami z uczty weselnej i dla mnie okrągłe, prześliczne pudełko z kandyzami ze słynnej cukierni " Marquis". Syn tegoż Mikołaja dał o sobie słyszeć z okazji afery ks. Sykstusa de Bourbon w czasie

gmach Sokoła Łacieszy.

Gdy hr. Antoni z awansem przeniesiony został do Wiednia podążyła Ciocia za nimi. Przedtem wszakże w r. 1840, na zaproszenie chorej i zapewne skruszałej wskutek stanu zdrowia cioci Charlotty v. Jordan, pojechała do Pragi, aby ją odwiedzić i poznać. Wrażenia z tego pobytu xxxx niektóre wielce ciekawe dla rodziny znajdują się w dziesiątku listach Cioci, pisanych do sióstr we Lwowie, bądź zwanej Dulką i Celestyny której imię skrócono na "Tyna" lub " Tynka". Tam znajduje się wzmianka o podarowanych wówczas Cioci przez "Tante Jordan " portretach familijnych, olejnych i miniatur e Luizy Ka=nomicski. Ciotka Liza była już zamężna za Antonim Forosiakim i widzimy ją z nim po drodze, także opisane jest w tych listach z podróży do Pragi. Tante Jordan była - jak z nich wynika - mądrą, schorowaną i całkiem nieciekawą "alte Dame", może skutkiem choroby zniedołężniałą fizycznie i duchowo. Miała być bardzo podobną z powierzchowności do brata Leopolda, co rozczuliło ciocię Terenię, rudą jak i on, z wydatną dolną wargą i pięknymi rękami. Bawiła przy niej stale krewna przez Ehrenburgów, stara panna Tekla la Motte de Printrop, której ciotka Charlotta cały swój majątek zapisała, czyniąc na xxxx rzecz bratanek tylko małe legaty. Z tych to legatów wszakże, przez Babcię i Ciocię nie roztrwonionych, kupioną została po 42 latach od praskiej wizyty - Stróżka. Gdy ciocia bawiła w Pradze stary radca Jordan już nie żył.

Ale wracam do Reverterów...

Osiemnaście lat przebyła Ciocia w ich kochanym domu i choć wrócić zapragnęła w pobliże sióstr do Polski, najczulsza przyjaźń wzajemna trwała lat kilkadziesiąt, po której została olbrzymia - jak na dzisiejsze pojęcia - korespondencja, najstaranniej chowane nieprzeliczone arkusze, zapisane ręką samej hrabiny Anny, drobnym, przeźroczystym czytelnym pismem hr. Matyldy. Z Rzymu, Toledu, Salzburga, z każdego miejsca pobytu pełne najpoufniejszych relacji rodzinnych, uwag ogólnej natury, opisów życia sfer dyplomatycznych przy Watykanie - listy xxxxxxxxxxxxx wielce zajmujące i jako dokument osobisty i jako źródło dla badacza epoki - kiedyś... Dla nas przede wszystkim jako rozczulające świadectwo jakości onej tych przyjaciółek, które się czule kochały do śmierci. Myślę, że i dla potomków wspaniałego " Fryca" mogłyby się tam znaleźć niejedne ważne szczegóły. Gdy syn jego Mikołaj, zwany w domu Colle, żenił się w Paryżu z ks. Aldobrandini, przysłała do Cioci Tereni paczka spora z cukrami z uczty weselnej i dla mnie okrągłe, xxxxxx prześliczne pudełko z landrynkami ze słynnej cukierni " Marquis". Syn tego Mikołaja dał o sobie słyszeć z okazji afery ks. Sykstusa de Bourbon w czasie

wielkiej wojny,a potem jako tragiczny aktor w dramacie rodzinnym, który się już po wojnie rozegrał we Wiedniu. Zastrzelił żonę i jej amanta... O jakże błogo,że świątobliwa hr.Madylda nie dożyła już tej epoki!

Za parokrotnych późniejszych moich pobytów w jej domu, w przemiłym Fontachhof koło Parsch pod Salzburgiem,miałam sposobność napatrzyć się jej cudownej poprostu pobożności. Była to pobożność najzupełniej franciszkańska. Wesoła- radosna -mądra -dziecinnie prosta zarazem, - jakieś przyswojenie do Bożej ręki,jakby ptaka,polegające nie na strachu,ale na " bliskiej znajomości" pojęć i spraw,które mają imiona Najwyższych Istot, oglądanych jakby na własne oczy i pozyskanych " na codzień". Cienia bigoterii,ckliwości.. Przeciwnie! Nie znosiła jej,nieraz czyniła ciężkie i śmiałe uwagi na temat księżej,niefortunnej reżyserii za kulisami wiary, reżyserji - nad której szkodliwością ubolewała wymownie,wielbicielka i dobra znajoma Leona XIII-go,który specjalnymi łaskami i przywilejami ją obdarzał. Miała n.p. pozwolenie,jako dama orderu Św. Anny, udzielania sobie samej Komunii św , co czyniła od lat w domowej kaplicy,codziennie. Pamiętam jej białe,śliczne zęby i zielone oczy pod cygańskimi brwiami,gdy się zaśmiewała z żydowskich anegdotek,opowiadanych jej przez Mamę. Pamiętała bowiem z młodości specjalny typ galicyjskiego Żyda z pejsami i w jarmułce,nie mogąc się nadziwić że jeszcze do dziś przetrwał...

Razem z nią zwiedzałyśmy też Salzburg,piękny,jak skomponowany z fantazji obraz, kute w ścianie Mönchsbergu pustelnie,cmentarzyk z grobem wielkiego Haydna,którego capstrzyk usypiał mnie cowieczora przez tyle szczęśliwych lat - zanim o innych,donioślejszych jego dziełach się dowiedziałam - oglądałyśmy dom Mozarta i jego pomnik na placyku, a potem wstąpiły do małej cukierenki,gdzie uczęstowana zostałam ciastkiem rozmiarów i cnót już dziś zaginionych...

Później znacznie dowiedziałam się o tajemnicy serca tej najmilszej,czarującej, świętej... Gdy młodszy brat Teofil umarł bezżenny,gdy wskutek jakichś przewrotów -nie wiem czy politycznych, czy innych,majątek Reverterów znacznie ucierpiał i cała ambicja rodziny - ojca zwłaszcza - skupiła się na najstarszym,pięknym, zdolnym Fryderyku, siostra zaś jego młodsza,owa też Fryderyka wyszła za świetnego markiza de Quinverchin - o Matyldę starać się zaczął profesor uniwersytetu (bodajże wiedeńskiego?) Ludwik von Arnim. Kochali się w sobie od dawna i byli naprawdę jak stworzeni dla siebie. Ładni,młodzi,mądrzy i oboje z ambicjami sięgającymi dużo wyżej umysłowo,niż to w wojsku i arystokracji wymagane. Tym=

wielkiej wojny, a potem jako tragiczny aktor w dramacie rodzinnym, który się już po wojnie rozegrał we Wiedniu. Zastrzelił żonę i jej amanta... O jakże błogo, że świętobliwa hr. Matylda nie dożyła już tej epoki!

Za parokrotnych późniejszych moich pobytów w jej domu, w przemiłym Fontachnof koło Parsch pod Salzburgiem, miałam sposobność napatrzyć się jej cudownej poprostu pobożności. Była to pobożność najzupełniej franciszkańska. Wesoła - radosna - mądra - dziecinnie prosta zarazem, - jakieś przyswojenie do Bożej ręki, jakoby ptaka, polegające nie na strachu, ale na " bliskiej znajomości" pojęć i spraw, które mają imiona Najwyższych Istot oglądanych jakby na własne oczy i pozyskanych " na codzień". Cienia bigoterii, ckliwości.. Przeciwnie! Nie znosiła jej, nieraz czyniła ciężkie i śmiałe uwagi na temat księży, niefortunnej reżyserii za kulisami wiary, reżyserji - nad której szkodliwością ubolewała wymownie, wielbicielka i dobra znajoma Leona XIII-go, który specjalnymi łaskami i przywilejami ją obdarzał. Miała n.p. pozwolenie, jako dama orderu Św. Anny udzielania sobie samej Komunii św., co czyniła od lat w domowej kaplicy, codziennie. Pamiętam jej białe, śliczne zęby i zielone oczy pod cygańskimi brwiami, gdy się zaśmiewała z żydowskich anegdotek, opowiadanych jej przez Mamę. Pamiętała bowiem z młodości specjalny typ galicyjskiego Żyda z pejsami i w jarmułce, nie mogąc się nadziwić że jeszcze do dziś przetrwał...

Razem z nią zwiedzałyśmy też Salzburg, piękny, jak skomponowany z fantazji obraz, kute w ścianie Mönchsbergu pustelnie, cmentarzyk z grobem wielkiego Haydna, którego capstrzyk usypiał mnie co wieczora przez tyle szczęśliwych lat - zanim o innych, donioślejszych jego dziełach się dowiedziałam - oglądałyśmy dom Mozarta i jego pomnik na placyku, a potem wstąpiły do małej cukierenki, gdzie uczęstowana zostałam ciastkiem rozmiarów i cnót już dziś zaginionych...

Później znacznie dowiedziałam się o tajemnicy serca tej najbliższej, czarującej, świętej... Gdy młodszy brat Teofil umarł bezżenny, gdy wskutek jakichś przewrotów - nie wiem czy politycznych czy innych, majątek Reverterów znacznie ucierpiał i cała ambicja rodziny - ojca zwłaszcza - skupiła się na najstarszym, pięknym, zdolnym Fryderyku, siostra zaś jego młodsza, owa też Fryderyka wyszła za świetnego markiza de Quinvercoin - o Matyldę starać się zaczął profesor uniwersytetu (bodajże wiedeńskiego?) Ludwik von Arnim. Kochali się w sobie od dawna i byli naprawdę jak stworzeni dla siebie. Ładni, młodzi, mądrzy i oboje z ambicjami sięgającymi dużo wyżej umysłowo, niż to w wojsku i arystokracji wymagane. Tym=

czasem stary hrabia - z jedną brwią dużo wyższą i srozszą od drugiej - uznał widocznie że i " Mädchen müssen sekiert werden" i sprzeciwił się pomysłowi. Hrabianka Revertera di Salandra, siostra markizy de Quiévrechin, siostra przyszłego ambasadora, którego marjaż w wysokiej mierze zawisł od skompletowania dobrowych nazwisk w najbliższej rodzinie - nie może sobie pozwolić na profesora, który jest tylko " von" i o którym Almanach Gotajski nie ma nic do powiedzenia... Tak czy owak, dość, że stanowczy sprzeciw ojca był wyrokiem, przeciw któremu nie było rekursu. Wszystko odbyło się cichusieńko, wzorowo, jak obyczaj każe, tylko hrabianka Matylda wypłakawszy się Panu Bogu w rękaw, zrezygnowała wprawdzie ze swego najmilszego profesora, ale również cichusieńko i wzorowo wykonała jakieś wiążące, choć świeckie śluby, mocą których nigdy nie miała wyjść zamąż, umykając ojcu tym bodaj sposobem swojej ręki, którą - tak jak wstrzymał - tak i rozporządzić był gotów samowolnie. Nie bardzo rozumiem dlaczego tak właśnie, a nie inaczej postąpiła, dlaczego nie zdołała się zdobyć, zamiast biernego oporu, na postanowienie czynne, ale tłumaczy się to pewno wielkim przywiązaniem do swoich, którym - kosztem osobistego szczęścia - nie chciała przynieść uszczerbku. Ci istotnie źle na tym (tej ofierze nie) wyszli. Hrabianka Matylda ślubów dotrzymała (nawiasem mówiąc nie ożenił się też nigdy Ludwik v. Arnim) i osobisty jej majątek stał się z czasem głównym, a wreszcie jedynym oparciem dla trzech bratanic, córek Fryderyka, które również zamąż nie wyszły i które już jako niemłode panny poznałam w Parsch, w r. 1902, gdyśmy bawiąc w pobliskim Reichenhall z Mamą, odwiedziły po raz ostatni Hr. Matyldę.

Najmłodsza z nich, Paula, jest świetnie utalentowaną akwarelistką, uczennicą słynnego Carlandiego w Rzymie. Najstarszą Mary malował Laszlö. Smutnie i dostojnie piękna. Średnia, Annie, najdowcipniejsza. Wszystkie trzy, istne " dziewice skał" d'Annunzia, starzejące się z godnością i wdziękiem pośród arcydzieł sztuki i cudownej, górskiej przyrody. Na ścianie ich salonu wisiał oryginał Rafaela : Madonna z dzieciątkiem - nad kanapą jasno żółtą z malinowym obiciem, profilek anioła Carlo Dolce. W apartamentach ich osobistych, pełnych słońca i mebli w jasne, wielkie kwiaty, wiszą oryginalne sangwiny Andrea del Sarto i stoi duża, żelazna okuta skrzynka, zawierająca wyprawne brylanty ich zmarłej matki, Buturlinówny, brylanty, które po niej odziedziczyły, ale których - jako niezamężne - nie włożą na siebie nigdy... Nie mają wbrew obyczajowi starych panien żadnych psów ani kotów, pieszczoną ich ulubienicą jest dziwnie piękna w kolorze i wymiarach, jedyna smukła kolumna z rudego, alpejskiego marmuru, którą w braku czego innego,

czasem stary hrabia - z jedną córką dużo wyższą i starszą od drug=
giej - uznał widocznie że i " Mädchen müssen geliebt werden" i xxxx
sprzeciwił się pomysłowi. Hrabianka Revertera di Salandra,siostra
markizy de Quieuvercuin, siostra przyszłego ambasadora,którego ma=
rzą w wysokiej mierze zawisł xx od skompletowania doborowych snaz=
wisk w najbliższej rodzinie - nie może sobie pozwolić na profesora,
który jest tylko " von" i o którym Almanach Gotajski nie ma nic do
powiedzenia... Tak czy owak, dość,że stanowczy sprzeciw ojca był
wyrokiem,przeciw któremu nie było rekursu. Wszystko odbyło się ci=
chuteńko,wzorowo,jak obyczaj każe, tylko hrabianka Matylda wypła=
kawszy się Panu Bogu w rękaw zrezygnowała wprawdzie ze swego naj=
milszego xxxxxxxx profesora,ale również cichuteńko i wzorowo
wykonała jakieś więźące,choć świeckie śluby,mocą których nigdy nie
miała wyjść zamąż, umykając ojcu tym sposobem swojej ręki,
którą - tak jak wstrzymał -tak i rozporządzić był gotów samowol=
nie. Nie bardzo rozumiem dlaczego tak właśnie,a nie inaczej postą=
piła, dlaczego nie zdobyła się zdobyć,zamiast biernego oporu,
na postanowienie czynne,ale tłumaczy się to pewno wielkim przywią=
zaniem do swoich,którym - kosztem osobistego szczęścia- nie chcia=
ła przynieść uszczerbku. Ci xxxxxx źle na xxx wyszli.Hrabianka
istotnie tej ofierze nie
Matylda ślubów dotrzymała (nawiasem mówiąc nie ożenił się też
nigdy Ludwik v.Arnim) i osobisty jej majątek stał się z czasem
głównym,a wreszcie jedynym oparciem dla trzech bratanic,córek
Fryderyka,które również zamąż nie wyszły i które już jako niemłode
panny poznałam w Paryżu, w r. 1902 gdyśmy bawiąc w polskim Rei=
chenhall z Mamą odwiedziły po raz ostatni Hr. Matyldę.

Najmłodsza z nich Paula, jest świetnie utalentowaną akwa=
relistką,uczennicą słynnego Carcandiego w Rzymie. Najstarszą Mary
malował Laszló. Smętnie i dostojnie piękna. Średnia,Annie, najdow=
cipniejsza. Wszystkie trzy, istne " dziewice skał" d Annunzia,sta=
rzejące się z godnością i wdziękiem pośród arcydzieł sztuki i cu=
downej,górskiej przyrody. Na ścianie ich salonu wisiał oryginał
Rafaela : Madonna z dzieciątkiem - nad kanapą jasno żółtą z malino=
wym obiciem,profilek aniołka Carlo Dolce. W apartamentach ich oso=
bistych,pełnych słońca i mebli w jasne,wielkie kwiaty,wiszą orygi=
nalne xxxxxxxx sangwiny Andrea del Sarto i stoi duża,zelazna okuta
skrzynka,zawierająca wyprawne bryllanty ich zmarłej matki xxxxxxx
Buturlinównej, bryllanty,które po niej odziedziczyły,ale których
jako nobliwe niewiasty - nie włożą na siebie nigdy... Nie mają wcale oby=
czajów starych panien żadnych psów a i kotów. Otaczające ich nie=
bieńce jest dziwnie piękne w kolorze i wymiarach,jedyna smukła
kolumna z rudego,alpejskiego marmuru,które w braku czego innego.

przyzwyczaiły do głaskania mimochodem..

- Sie hat sich schon daran gewönt...Sie hat's gern...- żarto=
wała smutnawo Paula...

X

X X

Pomimo starannej i użytecznej kuracji,zimę po niej prze=
byłam jeszcze jako rekonwalescentka. Co soboty miałam u siebie znowu
zebranie. Zamiast ruchomych gier zaprowadzili Rodzice deklamację -
w której odznaczał się zapałem i pamięcią Genio Piasecki,dziś pro=
fesor uniwersytetu w Poznaniu - oraz teatrzyk z papierowymi figur=
kami, na którym " grało się " Balladynę (skróconą oczywiście)nie=
które ze Śpiewów Historycznych Niemcewicza,"Powrót Taty" i różnoś=
ci,które rozmiar i dobór figurek umożliwiał. Biruta i Pojata Jakó=
bowiczówny, córki p.Fryni,z domu Maszkowskiej,Jadwiga Sawczyńska,
i Tyńcia Piasecka,choć dużo starsze odemnie,pomagały w tych
przedstawieniach. Duszą ich był też, wraz z siostrą Anielką,Karol
Maszkowski,późniejszy przyjaciel najbliższy Wyspiańskiego,zwany wówczas
jeszcze Lolem,który miał zawsze śmiałe a szczęśliwe w tej dziedzinie
pomysły. Raz wykleił mi osobny niby teatrzyk, portyk na greckich
kolumnach z metopami i tympanonem, jakby pudełko,ale bez jednej,
frontowej ściany. Na ścianie w głębi,wprost " wejścia" widniała na=
klejona owalna fotografia Madonny Sykstyńskiej... Do czego służyć
miała ta świątynia,już nie pamiętamy oboje... Byłam nią jednak za=
zwycona.

Po produkcjach i przedstawieniach następowała loteryjka
fantowa,przy której każdy zawsze coś wygrywał,aby nie było niczyjej
krzywdy,choć między fantami były zwykle jakieś bardziej pożądania
godne. Takie - niezmienne wygrywali goście - nigdy ja, domowa. Tatko
prowadził tę loteryjkę i zdumiewała mnie trafność z jaką każdy wygry-
wał to właśnie co najbardziej było dla niego odpowiednie,choć niby
traf o tym rozstrzygał... Nie odbywało się to za pomocą kart. Kart
jak długo dom Rodziców pamiętam,nawet na żart nigdy w nim nie
było ! Jeżeli jaka służąca czy krawcowa kłaść chciała kabałę,czyniła
to zawsze kartami własnymi. Rozdawano nam były wszystkim podłużne
tabliczki z numerami,oraz po garstce szklanych kwadracików. Tymi na=
krywało się - o ile były na tabliczce - numery przez Tatka wygłasza=
ne. Kto prędzej swoją tabliczkę tymi szklanymi łazankami pokrył,ten
wygrywał pierwszy. Potem następni. Fanty to był np.ładny kościany
scyzoryk,pularesik z pąsowej skórki, ołówek, notes,szczególnie pię=
kna pomarańcza lub gruszka bera, tabliczka czekolady w srebrnym pa=

przyzwyczaiły do głaskania mirochodem..

- Sie hat sich schon daran gewöhnt...Sie hat's gern..- żarto=
wała smutnawo Paula...

X

X X

Pomimo starannej i użytecznej kuracji, zimę po niej prze=
byłam jeszcze jako rekonwalescentka. Co soboty miała u siebie znowu
zebranie. Zamiast ruchowych gier zaprowadzili Rodzice deklamacje -
w której odznaczał się zapałem i pamięcią Genio Piasecki, dziś pro=
fesor uniwersytetu w Poznaniu - oraz teatrzyk z papierowymi figur=
kami, na którym " grało się " Balladynę (skróconą oczywiście) nie=
które ze Śpiewów Historycznych Niemcewicza, "Powrót Taty" i różnoś=
ci, które rozmiar i dobór figurek umożliwiał. Biruta i Pojata Jakó=
bowiczówny, córki p. Frymi, z domu Maszkowskiej, Jadwiga Sawczyńska,
i Tyńcia Piasecka, choć xxxxx dużo starsze odemnie, pomagały w tych
przedstawieniach. Duszą ich był też, wraz z siostrą Anielką, Karol
Maszkowski, późniejszy przyjaciel najbliższy Wyspiańskiego, zwany wówczas
jeszcze Lolem, który miał zawsze śmiałe a szczęśliwe w tej dziedzinie
pomysły. Raz wykleił mi osobny niby teatrzyk, portyk na greckich
kolumnach z metopami i tympanonem, jakby pudełko, ale bez jednej,
frontowej ściany. Na ścianie w głębi, wprost " wejścia" widniała na=
klejona owalna fotografia Madonny Sykstyńskiej... Do czego służyć
miała ta świątynia, już nie pamiętamy oboje... Byłam nią jednak za=
chwycona.

Po produkcjach i przedstawieniach następowała loteryjka
fantowa, przy której każdy zawsze coś wygrywał, aby nie było niczyjej
krzywdy, choć między fantami były zwykle jakieś parądzej pożądania
godne. Także - niezmiennie wygrywali goście - nigdy ja, domowa. Tatko
prowadził tę loteryjkę i zdumiewała mnie trafność z jaką każdy wygry=
wał to właśnie co najbardziej było dla niego odpowiednie, choć nigdy
trafu o tym rozstrzygał... Nie odbywało się to za pomocą kart. Kart
jak długo dom Rodziców pamiętam, nawet na żart nigdy w nim nie xxxxxx
było ! Jeżeli jaka służąca czy krawcowa kłaść chciała kabałę, czyniła
to zawsze kartami własnymi. Rozdawane nam były wszystkim podłużne
tabliczki z numerami, o aż po garstce szklanych kwadracików. Tymi na=
krywało się - o ile były na tabliczce - numery przez Tatka wygłasza=
ne. Kto prędzej swoją tabliczkę tymi szklanymi łazankami pokrył, ten
wygrywał pierwszy. Potem następni. Fanty to był np. ładny kościany
scyzoryk, pularesik z pąsowej skórki, ołówek, notes, szczególnie pię=
kna pomarańcza lub grzebień pers, tabliczka czekolady w srebrnym pa=

pierku, czasem nawet jakaś książka, czasem ładny garnuszek... Rodzice cały czas byli tym zebraniom obecni i tak znakomicie umieli się z nami bawić, że nie tylko obecność ich w niczym nikomu nie dolegała, ale przeciwnie, brak ich byłby dla programu klęską. Tatko nie szedł w ten dzień do swojej ulubionej kawiarni Schneidera, gdzie chadzał codzień na dzienniki i na pogwarek ze znajomymi, ale zawsze dowcipem swoim i łagodnym żartem dodawał uroku " sobocie".

Szalony mój temperament z przed choroby przygasł znacznie i łatwiejsza się stałam do prowadzenia. Kręcidło nie straciło jednak swej władzy nademną i wyobraźnia moja szalała dalej po wiadomych sobie drogach. Każdy wypadek zdawał się puchnąć za pomocą tego cudownego warsztatu na ~~którym~~ który go kładłam natychmiast i wykańczałam po swojemu. W związku z takim " wykańczaniem" zaszedł raz ubolewania godny wypadek, do którego trzeba się tu przyznać.

Oto na jednej z sobót nie zjawiła się, przychodząca jak zwykle z rodzeństwem, mała Zosia Piasecka, dziecko ociężałe i milczące, łagodne i nie biorące jakby udziału w zabawie, słowem dziecko, z którym można się było bawić akurat tak samo - jak bez niego. Palec ją bolał i wolała zostać. Rozpoczęły się produkcje. Bronek Maryański przetrzepał już „ Piotra Pszonkę Jasieńczyka", ja zrzuciłam z serca i pamięci rzecz przydługższą o królewiczu Kaźmierzu w katedrze ~~xxx~~ wawelskiej, Genio tocząc zwycięsko oczami, płynnie i z patosem rzeczoznawcy (ile że jeden z pośród nas znał naprawdę prawdziwe Tatry) głosił ich piękno wierszem Pola " Jak potopu świata fale..." gdy wtedy rozległ się głośny ~~xxxxxx~~ dźwięk dzwonka u wejściowych drzwi - dźwięk, który mnie zawsze do najwyższego stopnia podniecał, otwierając pole wyobraźni, rozległe jak Sahara... Bronek poleciał otworzyć. Kto to może być? Z czym? Zaraz zaczęłam motać... Może Fryc Spahr? Może jakaś pani, której nie znam, a która zaprosi nas wszystkich do swej willi koło Florencji ? Jednym słowem zator cudownych możliwości, w formie mieniącej się, tęczowej piguły, która ważyła się w powietrzu za drzwiami i - dzwoniła... Póki się nie wie, wszystko jeszcze może być ! Z twarzą ~~naszpanowaną~~ napiętą prawie jak jeden z tatkowych blejtramów, patrzyłam w drzwi za którymi zniknął Bronek. Do chłodnego przedpokoju nie było mi wolno... ~~Kiedy~~ Wtem weszła Mama mówiąc :

- Ależ się ucieszycie! Ani byście zgadli kto przyszedł...

Od drzwi szedł Bronek prowadząc za rękę małą Zosię, niosącą swój obandażowany palec, jak białą, sztywną laleczkę... Tylko Zosia!! Żal się jej zrobiło siedzieć samej w domu i poprosiła ani ją przecie przyprowadzić... Przyszła...

Nic nie wiem z jakich obłoków spadłam na jej widok, dość, że uraza do losu, rozczarowanie gwałtowne, zawód przerażliwy tak mi zakręciły

Hłgol str. 10

100

pieriu,czasem nawet jakaś ka gęka,czasem ładny garnuszek..Rodzice cały czas byli tym zebraniom obecni i tak znakomicie umieli się z nami bawić,że nie tylko obecność ich w niczym nikomu nie dolegała, ale przeciwnie, brak ich byłby dla programu klęską. Tatko nie szedł w ten dzień do swojej ulubionej kawiarni Schneidera,gdzie chadzał codzień na dzienniki i na pogwarek ze znajomymi,ale zawsze dowcipem swoim i łagodnym żartem dodawał uroku " sobocie".

Szalony mój temperament z prze chorowy przygasł znacznie i łatwiejsza się stałam do prowadzenia. Krócidło nie straciło jed=nak swej władzy nadernę i wyobraźnia moja szalała dalej po własnych sobie drogach. Każdy wypadek zdawał się puchnąć za pomocą tego cu=downego warsztatu na xxxxxx który go kładłam natychmiast i wykań=czałam po swojemu. W związku z takim " wykańczaniem" zaszedł raz ubolewania godny wypadek,do którego trzeba się tu przyznać.

Oto na jednej z sobót nie zjawiła się,przychodząca jak zwyk=le z rodzeństwem, mała Zosia Piasecka, dziecko ociężałe i milczące, łagodne i nie biorące jakby udziału w zabawie, słowem dziecko,z któ=rym można się było bawić akurat tak samo - jak bez niego.Palec ją bolał i wolała zostać. Rozpoczęły się produkcje. Bronek Maryański przetrzepał już " Piotra Pazonke Jasieńczyka", ja zrzuciłam z serca i pamięci rzecz przydługą o królewiczu Kazimierzu w katedrze xxxx wawelskiej, Genio tocząc zwycięsko oczami,płynnie i z patosem rze=czoznawcy (ile że jeden z pośród nas znał naprawdę prawdziwe Tatry) głosił ich piękno wierszem Pola " Jak potopu świata fale..." gdy wtedy rozległ się głośny xxxxxxx dźwięk dzwonka u wejściowych drzwi - dźwięk,który mnie zawsze do najwyższego stopnia podniecał,otwiera=jąc pole wyobraźni,rozległe jak Sahara... Bronek poleciał otworzyć. Kto to może być? Z czym? Zaraz zaczęłam motać... Może Eryc Spahr? Może jakaś pani,której nie znam,a która zaprosi nas wszystkich do swojej willi koło Florencji ? Jednym słowem zbiór cudownych możli=wości,w formie mieniącej się,tęczowej pigułki,która wsżyła się w po=wietrzu za drzwiami i - dzwoniła..Póki się nie wie,wszyst o jesz=cze może być ! Z twarzą niespokojną prawie jak jeden z tatkowych olejtramów,patrzyłam w drzwi za którymi zniknął Bronek. Do ciemne=go przedpokoju nie było mi wolno .. (wtem) xxxx weszła Mama mówiąc :

- Ależ się ucieszycie! Ani byście zgadli kto przyszedł...

Od drzwi szedł Bronek prowadząc za rękę małą Zosię,niosącą swój obandażowany palec,jak białą,sztywną laleczkę... Tylko Zosia!! Żal się jej zrobiło siedzieć samej w domu i poprosiła aby ją przecie przyprowadzić... Przyszła...

Nie nie wiem z jakich obłoków spadłam na jej widok,dość,że ura=za do losu,rozczarowanie gwałtowne,zawód przeraźliwy tak mi zakręcił

w głowie, żem się rzuciła na grube, spokojne dziecko, na tę " tylko Zo= się " i zaczęłam ją tłuc z całej siły... Oczywiście przez mgnienie oka tylko, bo mnie Tatko od małej oderwał, nierozumiejąc niczego i nic się nie dziwię, że reszta dzieci myślała żem zwariowała nagle. Ale czyż było możliwe wytłumaczyć czy im, czy starszym, właściwy powód uczynku ? Tylko Zosia! Tego nawet wymówić nie można było głośno.. A jednak tylko dlatego ją wytłukłam, że nie była kim innym, czym in= nym - Bóg wie czym wszystkim - co mogło stać za drzwiami..

Musiałam za karę pocałować Zosię w rękę, co mnie zupełnie nic nie kosztowało, bo istotnie nie o Zosię w gruncie rzeczy mi szło, tylko o to czego nie było. Potem dostałam szeroki kompres i musiałam się położyć na mojej żółtej sofce w drugim pokoju i słuchać przez drzwi, jak się tamci " dobawiają ".

Poza sobotami istniała też inna krynica uciech, stanowiąca jakby antydotum na moje własne bajania - oto słuchanie opowieści bez początku o którym zapomniałam, ani końca, który nigdy nie nastą= pił - z których jedną " O Kukurydzowiczach", drugą " O przygodach Szczypiańskiego" komponował Tatko dla mnie. Osobną zaś, cudowną bajkę "O Alfie i Marynku" wymyślała Mama.

Kukurydzowiecze to była kresowa szlachta, mieszkająca we dworze dostatnim, gdzieś na Podolu, rodzina ogromnie liczna, której ~~xxxxxxxxxx~~ wszystkich członków, gości i rezydentów znałam jak ~~xxxx~~ ~~xxxxxxxx~~ rzeczywistych ludzi. Prali się z hajdamakami, przeżywali wilcze napady w saniach, urządzali kuligi, żenili się, wyjeżdżali do szkół (momenta najbardziej rozdzierające !) Raz wśród największej zadymki, zjawił się na progu zbiegły z Sybiru syn najstarszy.. Do ~~xx~~ dziś pamiętam wstrząsający opis jednej Pasterki, na którą wzięty zos= tał któryś z małych Kukurydzowiczów - ~~xxxxx~~ wyczarowany świetnym słowem, ~~xxxx~~ nastrój mroźnej nocy podolskiej z niebieskim śniegiem i gwiazdami, wnętrze kościółka roziskrzone światłami - gdy wpadł posłaniec z dworu, wołając, że hajdamacy napadli... Opowieść ta za= chwycająca ~~xxxxxxxxxxxx~~ bywała czasem w sposób całkiem oryginalny ilustrowana przez Tatka. Oto np. gdy opowiadał, jak to raz wszyscy siedzą już przy wigilijnym stole, pod gwiazdą z opłatków u niskiego sufitu, gdy wtedy zdaleka odzywa się brzęk dzwoneczków u sanek... Równocześnie zaczynał Tatko dzwonić ~~xxxxx~~ zlekka nożem o szklankę, nie przerywając opowieści.. Zamykałam oczy i złuda była zupełna. Sanki były coraz bliżej i dzwonki coraz głośniejsze - wreszcie w jakiejś chwili zmieniały melodię i rytm - głośne i pomieszane -odzy= wały się tuż pod gankiem. Ktoś przyjechał...już dziś nie wiem kto, ale ktoś najmniej spodziewany, najdziwniejszy, najpożądańszy...Ach! Naprawdę - nie tylko ja sama, ale i dom Kukurydzowiczów winien był także ~~xxxx~~ żem Zosię Piasecką wybiła! Jeżeli opowieść o nim nazwałam

w głowie, żem się rzuciła na grubę, spokojne dziecko, na tę " Tylko Zosię " i zaczęłam ją tłuc z całej siły... Oczywiście przez mgnienie oka tylko, bo mnie Tatko od niej oderwał, nierozumiejąc niczego i nic się nie dziwię, że reszta dzieci myślała żem zwariowała nagle. Ale czyż było możliwe wytłumaczyć czy im czy starszym, właściwy powód uczynku ? Tylko Zosia ! Tego nawet wymówić nie można było głośno.. A jednak tylko dlatego ją wytłukłam, że nie była kim innym, czym innym - Bóg wie czym wszystkim - co mogło stać za drzwiami..

Musiałam za karę pocałować Zosię w rękę, co mnie zupełnie nic nie kosztowało, bo istotnie nie o Zosię w gruncie rzeczy mi szło, tylko o to czego nie było! Potem dostałam szeroki kompres i musiałam się położyć na mojej żółtej sofce w drugim pokoju i słuchać przez drzwi, jak się tamci " dobawiają ".

Poza sobotami istniała też inna krynica uciech, stanowiąca jakby antydotum na moje własne bajania - oto słuchanie opowieści bez początku o którym zapomniałam, ani końca, który nigdy nie nastąpił - z których jedną " O Kukurydzowiczach", drugą O przygodach Szczypińskiego" komponował Tatko dla mnie. Osobną zaś, cudowną bajkę "O Alfie i Marynku" wymyślała Mama.

Kukurydzowiczowie to była kresowa szlachta, mieszkająca we dworze dostatnim, gdzieś na Podolu, rodzina ogromnie liczna, której xxxxxxxxx wszystkich członków, gości i rezydentów znałam jak xxxx xxxxxxxxx rzeczywistych ludzi. Prali się z hajdamakami, przeżywali wilcze napady w saniach, urządzali kuligi, żenili się, wyjeżdżali do szkół (momenta najbardziej rozdzierające !) Raz wśród największej zadymki, zjawił się na progu zbiegły z Sybiru syn najstarszy.. Do xx dziś pamiętam wstrząsający opis jednej Pasterki, na którą wszyscy został któryś z małych Kukurydzowiczów - xxxx wyczarowany świetnym słowem, xxxx nastrój mroźnej nocy podolskiej z niebieskim śniegiem i gwiazdami, wnętrze kościółka rozjaśnione światłami - gdy wpadł posłaniec z dworu, wołając, że hajdamacy napadli... Opowieść ta zachwycająca xxxxxxxxx bywała czasem w sposób całkiem oryginalny ilustrowana przez Tatkę. Oto np. gdy opowiadał, jak to raz wszyscy siedzą już przy wigilijnym stole, pod gwiazdą z opłatków u niskiego sufitu, gdy wtedy zdaleka odzywa się brzęk dzwoneczków u sanek... Równocześnie zaczynał Tatko dzwonić xxxxx zlekka nożem o szklankę, nie przerywając opowieści.. Zamykałam oczy i złuda była zupełna. Sanki były coraz bliżej i dzwonki coraz głośniejsze - wreszcie w jakiejś chwili zmieniały melodię i rytm - głośne i pomieszane -odzywały się tuż pod gankiem. Ktoś przyjechał... już dziś nie wiem kto, ale ktoś najmniej spodziewany, najdziwniejszy, najpożądańszy...Ach! Naprawdę - nie tylko ja sama, ale i dom Kukurydzowiczów winien być także xxxx żem Zosię Piasecką wybiła! Jeżeli opowieść o nim nazwałam

" antydotum", to głównie dlatego, żem podczas słuchania sama niczego motać nie miałam czasu.

Przygody Szczypiańskiego to był znowu całkiem inny świat. Świat wspomnień szkolnych Tatka, gdy bywał "na stancji" w Samborze, gdy ślizganie się na gołoledzi, na podeszwie oczywiście, uważane było przez profesorów za krańcową rozpustę, - gdy mimo ~~xxxxxxxxx~~ sumiennie płaconego komornego, dawano chłopcom wciąż kaszę hreczaną, w której nierzadko knot od łojówki znajdowali - gdy raz na parę tygodni zajeżdżała fura z domu pełna wiwendy, której biedne smarkacze nie miały ~~xxxxx~~ gdzie i nie umiały konserwować, życie studencików w szkołach, ich dole i niedole, korowody z kolegami, typy profesorów, zimno "w stancji " takie, że woda w miednicach marzła -wreszcie ów postój w ~~xxxxxxxx~~ drodze do oddalonej szkoły, gdy fioletowy i zmieczulony mrozem uczniak wpadał na momnet do znajomego sklepiku, aby nad blachą kuchenki rozmrozić - lub chyba właśnie odmrozić -ręce, w które czasem sklepikarka, pani Mikułowa, wkładała gorący kartofel. Szczypiański, to było nazwisko jednego z istotnych kolegów Tatka, najpomysłowszego w klasie, którego coraz to nowe psoty, poznawane na raty w miarę przybywających " rozdziałów" eposu, tak mi się pomieszały z własnymi wspomnieniami, że zawsze muszę się chwilę zastanowić nim sobie ustalę, że mnie na plebańskiej, szarej berze nie było, gdy się ta gałęż złamała i Szczypiański ramęę zwichnął - i że nie wiem jaki naprawdę miały smak owe śliwki z kminkiem na rożenkach, wyjadane w spiżarni skąpej owej gospodyni, kraszącej hreczaną kaszę łojówkami...

Dziedzina " Alfa i Marynka" to było pogranicze między jawą a snem. Zaczęła się jeszcze ta opowieść gdym była chora i jak palacz papierosa zgłodniała kręcidła... Przecież to, że mi powlekają łóżko czystą bielizną, dają lekarstwo, czasem Tatko pokaże jakie ilustrowane pismo, Hózia naleje wiszącą lampę, a Mama wróci z miasta, pachnąca mrozem, z czymś szeleszczącym w zarękawku, co ma być dla mnie - to jeszcze nie jest żadnym " dzianiem się"... I wtedy zaczynała się bajka. Naturalnie dużo w niej było wpływu naszego najmilszego Andersena, ale były i oryginalne motywy. Np. -nie odwiedziny krainy Elfów, ale przeciwnie - Elfy w gościnie u zwykłych dzieci i wynikłe stąd konflikty. Ciocia małego wisusa Marynka i trochę mazgaja Alfa która nie orientując się w elfiku, ich przyjacielu, bawiącym się incognito z chłopcami i ich siostrą Różyczką (jakieś przeczucie Jasia na Zaświeciu...) posądza go o to, że uciekł z cyrku i psuje porządne dzieci uczeniem ich niebywałych psot, koziołków i tańców. Były jakieś psoty tegoż elfika wyczynione tej ciotce a potem pełne wdzięku zadośćuczynienia - ale ~~xxxxxxxxxxxxxx~~ niepodobieństwa

" ant dotum", to głównie dlatego, żem podczas słuchania sama niczego notować nie miałam czasu.

Przygody Szczypiańskiego to był znowu całkiem inny świat. Świat wspomnień szkolnych Tatka, gdy bywał "na stancji" w Samborze, gdy ślizganie się na gołoledzi, na podeszwie oczywiście, uważane było przez profesorów za krańcową rozpustę, - gdy mimo xxxxxxxxx sumien-nie płaconego komornego, dawano chłopcom wciąż kaszę hreczaną, w któ-rej nierzadko knot od łojówki znajdowali - gdy raz na parę tygodni zajeżdżała fura z domu pełna wiwendy, której biedne smarkacze nie miały xxxxx gdzie i nie umiały konserwować, życie studencików w szkołach, ich dole i niedole, korowody z kolegami, typy profesorów, zimno "w stancji" " taki", że woda w miednicach marzła - wreszcie ów postój w xxxxxxx drodze do oddalonej szkoły, gdy fioletowy i zmie-czulony mrozem uczniak wpadał na moment do znajomego sklepiku, aby nad blachą kuchenki rozgrzać - lub chyba właśnie odmrozić - ręce, w które czasem sklepikarka, pani Mikułowa, wkładała gorący kartofel.

Szczypiański, to było nazwisko jednego z istotnych kolegów Tatka, najpomysłowszego w klasie, którego coraz to nowe psoty, poznawane na raty w miarę przybywających " rozdziałów" eposu, tak mi się pomiesza-ły z własnymi wspomnieniami, że zawsze muszę się chwilę zastanowić nim sobie ustalę, że mnie na plebańskiej starej czereśni nie było, gdy się ta gałąź złamała i Szczypiański ramię zwichnął - i że nie wiem jaki naprawdę miały smak owe śliwki z kminkiem na rożenkach, wyjada-ne w spiżarni księżej owej gospodyni, trzęsącej hreczaną kaszę ło-jówkami...

Dziedzina " Alfa i Marynka" to było pogranicze między jawą a snem. Zaczęła się jeszcze ta opowieść gdym była chora i jak palacz papierosa zgłodniała krocidła...Przecież to, że mi powlekają łóżko czystą bielizną, dają lekarstwo, czasem Tatko pokaże jakie ilustrowa-ne pismo, Józia naleje wiszącą lampę, a Mama wróci z miasta, pachnąca mrozem z czymś szeleszczącym w zarękawku, co ma być dla mnie - to jeszcze nie jest żadnym " działaniem się"... I wtedy zaczynała się bajka. Naturalnie dużo w niej było wpływu naszego najmilszego An-dersena, ale były i oryginalne motywy. Np. - nie odwiedziny krainy Elfów, ale przeciwnie - Elfy w gościnie u zwykłych dzieci i wynikłe stąd konflikty. Ciocia małego wisusa Marynka i trochę mazgaja Alfa która nie orientując się w elfiku, ich przyjacielu, nawiącym się in-cognito z chłopcami i ich siostrą Różyczką (jakieś przeczucie Jasia na Zaświeciu...) posądza go o to, że uciekł z cyrku i psuje porządne dzieci uczeniem ich niebywałych psot, koziołków i tańców. Były jakieś psoty tegoż elfika wyczynione tej ciotce a potem pełne wdzięku zadośćuczynienia - ale xxxxxxxxxxxx niepodobieństwa

przecie przypomnieć sobie szczegółów tej Fata Morgany na horyzoncie moich dziecinnych oczu - dość, że była piękna, i nieporównana z żadną ówczesną książką, pośród których chyba jeden Andersen był hors concours !

Dawniejsi ludzie umieli całkiem inaczej opowiadać, niż dzisiejsi. To dla mnie pewne. Mniej myśleli cudzymi myślami, dużo mniej czytali, a bystrzej obserwowali sami. Kto by potrafił wyczarować dziś dziecku takimi kilkoma przelotnymi słowami wizję zimy i karnawału, jak mnie to uczyniła Żana Drobczyńska, dyniska przyjaciółka Mamy, gdy świeża od mrozu przyszła raz wieczorem do nas i odpowiadając na moje pytanie : jak tam wygląda na ulicy ? - sypnęła garścią paillettek :

- A cóż? Sanki jeżdżą, dzwoneczki dzwonią, panny w futrach jadą na bal, w nogi zimno, bo mają atłasowe trzewiczki, a w berlaczach pogubione guziki... Jednej wypadł wachlarz na śnieg. A Żydówka z maronami go dostrzegła, podniosła, woła..ale sanki już pojechały. Stara Żydówka została ze srebrnym wachlarzem...Dwóch panów w cylindrach śpieszy się... Postawili futrzane kołnierze. Dziad pod murem ich zaczepia...Weszli do sklepu z pomarańczami...Znowu sanki i dzwoneczki.. Przez szyby słychać muzykę. Zaczyna padać śnieg.. Świat widać jak przez tarlatan ... "

Panny Bronia i Anielka Skólimowskie darowały mi całe pudełko kotylionowych orderów, które im kuzynkowie znosili z balów - zaginione już dziś ze szczętem szkaradzieństwa, które mnie jednak bardzo zachwycały wówczas. Były to płaskie rozety z plisowanego tiulu, okrągłe i kwadratowe, rogate jak gwiazdy, marszczone jak róże, zarzucone złoconymi muszkami z papieru, w których środku widniał nieodmiennie jakiś " objekt" z kolorowego, wytłaczanego en bas relief papieru, bukiecik kwiatków, słońce z szeroko roześmianą gębą , jakaś scenka amoretkowa, owce, serce przebite strzałą...Z tymi, jak słyszałam, trzeba było uważać i nie można było przyszpilać takiego orderu lekkomyślnie...Orderom towarzyszyły bukieciki, owe kalafiorki z farbowanych nieśmiertelników w okrągłym, białym mankiecie z kartonu, obszytego brzegiem papierową koronką. Godne akcesoria do ohydnej mody ówczesnej ! Doprawdy historia kostiumów, jak długa i szeroka, nie zdobyła się na nic skończeniej szkaradnego, jak suknie z makartowskiej epoki ! Mało jaka ewolucja odbędzie się równie szybko, jak się odbyła w dziedzinie sukni kobiecej i podniesienia smaku wogóle. Obok damulek Maneta - taki Poiret czy Doucet ! Takie wreszcie stroje o liniach płomienia i orchidei, jakie przyniosła ostatnia Ilustracja francuska, zdjęte podczas partii Polo w paryskiej Bagateli ! Porównać je ze sukniami młodości Sary Bernardt, Pauliny Lukki i mego dzieciństwa...Nie! naprawdę nie wszystko z czasem jest gorsze !

przecie przypomnieć sobie szczegółów tej Fata Morgany na horyzoncie mojm dziecinnych oczu - dość, że była piękna, nieporównana z żadną ówczesną książką, pośród których chyba jeden Andersen był hors concours !

Dawniejsi ludzie umieli całkiem inaczej opowiadać niż xxxx dzisiejsi. To dla mnie pewne. Mniej myśleli cudzymi myślami, dużo mniej czytali, a bystrzej obserwowali sami. Kto by potrafił wyczarować dziś dziecku takiej mikroma przelotnymi słowami wxxgxx wizję zimy i karnawału, jak mnie to uczyniła Żama Drobczyńska, dymiska przyjaciółka Mamy, gdy świeża od mrozu przyszła raz wieczorem do nas i odpowiadając na moje pytanie : jak tam wygląda na ulicy ? - sypnęła garścią pailletek :

- A cóż? Sanki jeżdżą, dzwoneczki dzwonią, panny w futrach jadą na bal, w nogi zimno, bo mają atłasowe trzewiczki, a w berlaczach pogubione guziki... Jednej wypadł wachlarz na śnieg... Żydówka z naprzeciw nami go dostrzegła, podniosła, xxxxxx. ale sanki już pojechały. Stara Żydówka została ze srebrnym wachlarzem... Dwóch panów w cylindrach śpieszy się... postawili futrzane kołnierze. Dziad pod murem ich zaczepia... Weszli do sklepu z pomarańczami... Znowu sanki i dzwoneczki.. Przez szyby słychać muzykę. Zaczyna padać śnieg.. Świat widać jak przez tarlatan ... "

Panny Bronia i Amelka Skolimowskie darowały mi całe pudełko kotylionowych orderów, które im kuzynkowie znosili z balów - zaginione już dziś ze szczętem szkaradzieństwa, które mnie jednak bardzo zachwycały wówczas. Były to płaskie rozety z plisowanego tiulu, okrągłe i kwadratowe, rogate jak gwiazdy, marszczone jak róże, zarzucone złoconymi muszkami z papieru, w których środku widniał nieodmiennie jakiś " objekt" z kolorowego, wytłaczanego en bas relief papieru, bukiecik kwiatków, słońce z szeroko roześmianą gębą, jakaś scenka amoretkowa, owce, serce przebite strzałą.. Z tym, jak słyszałam, trzeba było uważać i nie można było przyszpilać takiego orderu lekkomyślnie... Orderom towarzyszyły bukieciki, owe kalafiorki z farbowanych nieśmiertelników w okrągłym, białym mankiecie z kartonu, obszytego brzegiem papierową koronką. Godne akcesoria do ohydnej mody ówczesnej ! Doprawdy historia kostiumów, jak długa i szeroka, nie zdobyła się na nic xxxxxxx skończeniej xxxxxxxxxx szkaradnego, jak suknie z makartowskiej epoki ! Mało jaka ewolucja odbędzie się równie szybko, jak się odbyła w dziedzinie sukni kobiecej i podniesienia smaku w ogóle. Cóż za różnica - taki Poiret czy Doucet ! Takie wiosenne stroje o liniach płomienia i orchidei, jakie przyniosła ostatnia Ilustracja francuska, zdjęte podczas partii Polo w paryskiej Bagateli ! Porównać je ze sukniami młodości Sary Bernardt, Pauliny Lucki i mego dzieciństwa.. Nie! naprawdę nie wszystko z czasem jest gorsze!

X

x x

Jak już raz ze wstydem wyznałam,uczyłam się w dzieciństwie bardzo niechętnie. Gniewały mnie oznaczone godziny i pewna solenność z jaką Ciocia Terenia zwłaszcza, odnosiła się do procederu nauki , czyli - jak mnie się to przedstawiało - przekładania z miejsca na miej= sce zapasu wiadomości. Uważałam, że całkiem wystarczy jeśli Ciocia bę= dzie to i tamto wiedziała... Każdej przecie chwili mogłam ją - gdyby zaszła tego potrzeba - zapytać o wszystko. Wiadomym mi było bowiem że Ciocia jest zupełną spiżarnią mądrości... Nie było zatem innej ra= dy, tylko wprowadzać mi w mózg rzeczy niezbędne jakby mimochodem, w formie opowieści,czy wspomnień osobistych. Najsłodsza ta istota - ciocia Terenia - czyniła to z czasem wysoce chytrze i skutecz= nie.

Geografii uczyłam się zatem z relacji o podróżach hrabiny Moszyńskiej i Reverterów,przy czym przemycało się podejrzanie dokładne szczegóły o krajach,miastach,mieszkańcach, różne cyfry i daty,z któ= rymi nieraz coś na rzadkim sitku mojej uwagi zatrzymane,przetrwało do dziś. Ilustracją do komentarzy bywał oszklony Quodlibet cioci,mapy, globus... Czechy,Pragę i Hradczyn poznałam dzięki osobistym wspomnie= niom Cioci z tych okolic,z czasów gdy tam bawiła u ciotki Charlotty Jordan. Wizje Katarzyny Emmerich,której kult w naszym domu był dawny i głęboki, stanowiły podstawę do poznania Pisma Świętego. Dwie były formy w jakich odbywała się ta cudaczna nauka. Zwykle,gdym sobie rysowała w kajecie,zjawiała się czatująca na tę chwilę Ciocia i z jakąś robotą w ręce,sadowiła się opodal.I zaczynał się "dyskurs". Dziś dopiero zrozumieć mogę jaki to był wysiłek z jej strony,to chwy= tanie " oczka" w ciągle prującej się uwadze, ta baczność abym nie zmiar= kowała zamiaru.. Druga forma to były gawędy po ciemku,na długiej, wąskiej kanapce.

Dziwaczny ten kompromis ze swawolą smarkacza,nie był wyni= kiem braku pedagogii u moich Rodziców. Powód był ten,że latami po przebytej chorobie płuc,po każdej,najlżejszej irytacji,dostawałam go= rączki i kłucia w powiększonej śledzionie. Bezradni Rodzice woleli wię= tę fuszerkę nauki,którą w tej formie znosiłam,niż łamanie buntu, lub wreszcie danie całkiem za wygraną. Dziś jeszcze żal mi moich później= szych nauczycielek ! Były to osoby albo już wtedy święte, albo dziś oddawna - dzięki wyszafowanej względem mnie cierpliwości -zbawione. Bardzo, bardzo nierychło miałam polubić naukę !

Ciocia tedy,w powyżej opisany sposób uczyła mnie religii, historii,geografii i języków. Do rachunków miałam nauczycielkę spe=

X

x x

Jak już raz ze wstydem wyznałam,uczyłam się w dzieciństwie bardzo niechętnie. Gniewały mnie oznaczone godziny i pewna solenność z jaką Ciocia Teremia zwłaszcza odnosiła się do ~~xxxxxxx~~ procedury nauki ; czyli - jak mnie się to przedstawiało - przekładania z miejsca na miej= sce zapasu wiadomości. Uważałam, że całkiem wystarczy jeśli Ciocia wę= dzie to i tamto wiedziała... Każdej przecie chwili mogłam ją - gdyby zaszła tego potrzeba - zapytać o wszystko. Wiadomym mi było bowiem że Ciocia jest zupełną spiżarnią mądrości... Nie było zatem innej ra= dy, tylko wprowadzać mi w mózg rzeczy niezbędne jakby mimochodem, w formie opowieści,czy wspomnień osobistych. Najsłodsza ta istota ~~xxx~~= ~~xxxx~~ - ciocia Teremia - czyniła to z czasem wysoce chytrze i skutecz= nie.

Geografii uczyłam się zatem z relacji o podróżach hrabiny Moszyńskiej i Revertertów,przy czym przemycało się podejrzanie dokładne szczegóły o krajach,miastach,mieszkańcach, różne cyfry i daty,z któ= rymi nieraz coś na rzadkim sitku mojej uwagi zatrzymane przetrwało do dziś. Ilustracją do komentarzy bywał oszklony Quodlibet cioci: mapy, globus... Czechy,Pragę i Hradczyn poznałam dzięki osobistym wspomnie= niom Cioci z tych okolic,z czasu gdy tam bawiła u ciotki ~~xxxxxxxxxx~~ Charlotty Jordan. Wizje Katarzyny Emmerich,której kult w naszym domu był dawny i głęboki, stanowiły podstawę do poznania Pisma Świętego. Dwie były formy w jakich odbywała się ta cudaczna nauka. Zwykle,gdym sobie rysowała w kajecie,zjawiała się czatując na tę chwilę Ciocia z jakąś robótką w ręce,sadowiła się opodal.I zaczynała się "gawęda". Dziś dopiero zrozumieć mogę jaki to był wysiłek z jej strony,to chwy= takie "oczka" w ciągle prującej się uwadze, ta oczność ~~xxx~~ swym mnie zniar kowała zamiaru. Druga forma to były gawędy po ciemku,na długiej, wąskiej kanapce.

Dziwaczny ten kompromis ze swawolą smarkacza,nie był wyni= kiem braku pedagogii u moich Rodziców. Powód był ten,że latami po przebytej chorobie płuc,po każdej,najlżejszej irytacji,dostawałam go= rączki i kłucia w powiększonej śledzionie. Bezradni Rodzice woleli więc tę fuszerkę nauki,którą w tej formie znosiłam,niż łamanie buntu, lub wreszcie danie całkiem za wygraną. Dziś jeszcze żal mi moich później= szych nauczycielek ! Były to osoby albo już wtedy święte, albo dziś oddawna - dzięki wyszafowanej względem mnie cierpliwości -zbawione. Bardzo, bardzo nierychło miałam polubić naukę !

Ciocia tedy,w powyżej opisany sposób uczyła mnie religii, historii,geografii i języków. Do rachunków miałam nauczycielkę spe=

cjalną, pannę Julię Abgarowiczównę. Odbywało się to już trochę później, byłam zdrowsza i musiałam cierpieć całe godziny. Rachunki to była zawsze moja najsłabsza strona i pozostała nią bez ratunku. Taki sam fizyczny odrzut jaki się miewa czasem do kota, węża, myszy - ja miałam do matematyki. I - pożal się Boże - co to była za matematyka ! Tabliczka mnożenia i krótkie, nadaremne mocowanie się z ułamkami. Nie mogłam ! I tępota wrodzona na tym punkcie i wstręt jakiś, uczyniły mnie w tej dziedzinie kaleką. Biedna panna Julia! Najczęściej bowiem, po godzinie anielskich wysiłków z jej strony i zawziętej bezmyślności z mojej, słyszała zuchwałe pytanie :

- Co pani na tym wszystkim właściwie zależy? Bo mnie nic a nic! Czy nie lepiej, żebym pani coś narysowała?

Chemii - w sztubackim oczywiście zakresie - fizyki z książki i takiej samej botaniki, uczyła mnie panna Helena Uścieńska. Łagodne, bladozłote stworzenie, które jakoś lepiej znosiłam od biednej panny Julii. Botanikę demonstrowała mi z wiosną na żywych kwiatach i trawach i to było zabawne. Natomiast dla opisywanych w książeczce stosów Volty, kociołków Pappina, tłoków i prądu Galvaniego pozostałam najzupełniej obojętna i dopiero w schodnickim warsztacie, dorosła, zrozumiałam że i one mogą być czymś w rodzaju cudu.

Muzyki uczyłam się zrazu u Mamy, ale gdy jej autorytet okazał się za słaby, dostałam nauczycielkę obcą, pannę Brulard. Pamiętam, że ślicznie grała, dziwnie aksamitnie, ale była niezaradna, brzydka, stara i kwaśna. Nic się jej nie dziwię! Dość, że te lekcje były raczej parodią nauki, niż czymś na serio. Za muzyką sama przepadałam, umiałam jej słuchać z pożytkiem i bardzo wcześnie - i nieobecność jej w moim dzisiejszym życiu, to jedna z najbardziej bolących wyrzeczeń, ubóstwo, jedno z najmniej spodziewanych. Nie byłabym uwierzyła, że można żyć bez muzyki - tej wielkiej, prawdziwej... Bardzo szybko uczyłam się na pamięć wszystkich utworów, lekceważąc nuty i jeżąc się nawet na tę szczyptę mizernego rachowania, konieczną aby zrozumieć podział taktu. Było we mnie jakieś nieuleczalne cygaństwo i całkiem nie pojmuję dlaczego, mimo jawnej beznadziejności wysiłków, uczono mnie jednak dalej.

Po p. Brulard wybrano mi nauczycielkę młodszą, przyjemniejszą. Była nią panna Paulina Lachner, uczennica ukończona szkoły L. Marka, która obok K. Mikulego, szopenisty, romantyka - reprezentował we Lwowie kierunek Lisztowski, kładąc raczej nacisk na temperament i siłę. Panna Paulina po kwaśnej i słusznie zwykle mną zgorszonej pani Brulard, wydała mi się miła i ciekawa. Oczywiście nie kieru=

nek, ani metoda jej gry zaważyły na tym wrażeniu. Działało tu cał kiem xxx co innego. Oto panna Lachner miała nieoceniony obyczaj poświęcania znacznej części godziny na wytrząsanie przede mną różnych sensacyjnych wieści z miasta. Była mi jakby arkuszem druckowej gazetki, którego chciwie czekałam. Fortepian był w tym wszystkim jedynie nieznośną przeszkodą. Każdy " straszny wypadek", oparzenie służącej, upadek z piętra, przejechanie i inne nowiny - jaskrawe i popularne jak oleodruk - umiała opowiedzieć niemal szybciej, niż się zdarzały. Prosta rzecz, że wiedziałam poza tym niemal wszystko odrazu o uczennicach panny Pauliny, które były liczne i niechybnie pilniejsze odemnie. Ulubienicą jej była Helenka Feiglówna, wzór pono talentu i cnót. Ojciec tejże Helenki, lekarz sądowy, miewał co moment obowiązek oględzin i orzeczeń po rozmaitych samobójstwach, czy morderstwach. Poprostu zawodowo parał się więcej z trupami, niż z żywymi.

Panna Lachner, bawiąc w owym domu bardzo często, miała zawsze z pierwszej ręki relacje o wypadkach i szczegółach podobnych. Co zaś działało najbardziej na moją wyobraźnię, to okoliczność, że Dr Feigl był jedynym we Lwowie specjalistą od balsamowania nieboszczyków. O tych to ponurych czynnościach dra. Feigla opowiadała mi panna Paulina z nieubłaganym, holenderskim realizmem. Zupełnie xxx tak samo byłam chciwa tych szczegółów, jak się ich bałam straszliwie. Jedynie też ze strachu przed własnymi słowami nie powtarzałam xxxxx niczego z tych okropności Rodzicom ani cioci. Napół świadomie zapewne lękałam się także, aby mi mojej ciekawej gazetki " nie zawieszono" nagle.

Jeden zwłaszcza taki opis balsamowania zmarłego we Lwowie jenerała Jósiki, zatruwał latami spokój moich codziennych zasypiań. Tak się złożyło, że doktor Feigl musiał wykonać swój zabieg nocą, sam na sam w ogromnym salonie ze zmarłym, przy blasku licznych lamp i świec i już dniało, gdy zastrzykiwał mu w policzki jakiś czerwony preparat, aby się wydawał tumiany i nie tak martwy... Ach! I mnóstwo jeszcze innych dodatków w opisie tej nocy... Okropne to było! Gdy austriacki ów dostojnik zachorował, pierwszy raz wówczas widziałam przed domem w którym leżał wysoką warstwę słomy rozłożoną na ulicy, aby go turkot pod oknami nie drażnił. Pamiętam też wspaniały pogrzeb potem, z oddziałem wojska i pułkową muzyką, rydwan pełen wieńców i jadącego konno za karawanem rycerza, zakutego w czarną zbroję, z tarczą herbową nieboszczyka na ramieniu. Ten Jósika był bowiem ostatnim z rodu i tarcza ta miała być strzaskana nad jego grobem. Ten czarny rycerz o zapuszczonej przyłbicy, na karym, zirytowanym koniu, sam mający w sobie coś z żywego trupa i strasz=

nek ani metoda jej gry zaważyły na tym wrażeniu. Działało tu ca=
kiem xkxx co innego. Oto panna Lachner miała niedoceniony obyczaj
poświęcania znacznej części godziny na wytrząsanie przede mną
różnych sensacyjnych wieści z miasta. Była mi jakby arkuszem bru=
kowej gazetki,którego chciwie czekałam. Fortepian był w tym
wszystkim jedynie nieznośną przeszkodą. Każdy " straszny wypadek",
oparzenie służącej, upadek z piętra,przejechanie i inne nowiny
- jaskrawe i popularne jak oleodruk - umiała opowiedzieć nieraz
szybciej,niż się zdarzały. Prosta rzecz,że wiedziałam poza tym
nieraz wszystko odrazu o uczennicach panny Pauliny,które były licz=
ne i niechybnie pilniejsze odemnie. Uczennicą jej była Helenka
Perglówna, wzór pono talentu i cnót. Ojciec tejże Helenki,lekarz
sądowy, miewał co moment obowiązek oględzin i orzeczeń po rozma=
itych samobójstwach,czy morderstwach. Poprostu zawodowo parał się
więcej z trupami niż z żywymi.

Panna Lachner, bywając w owym domu bardzo często,miała
zawsze z pierwszej ręki relacje o wypadkach szczegółach podobnych
Co zaś działało najbardziej na moją wyobraźnię, to okoliczność,że
Dr Pergl był jedynym we Lwowie specjalistą od balsamowania nie=
boszczyków. O tych to ponurych czynnościach dra. Pergla opowiada=
ła mi panna Paulina z nieulęknym,holenderskim realizmem. Zupeł=
nie xxxx tak samo byłam chciwa tych szczegółów,jak się ich ba=
łam straszliwie. Jedynie też ze strachu przed wszelkimi słowami
nie powtarzałam xxxxx niczego z tych okropności Rodzicom ani cio=
ci. Napół świadomie zapewne lękałam się także,aby mi mojej cieka=
wej gazetki " nie zawieszono" nagle.

Jeden zwłaszcza taki opis balsamowania zmarłego we Lwo=
wie jenerała Joski,zatruwał latami spokój moich codziennych za=
sypiań. Tak się złożyło,że doktor Pergl musiał wykonać swój zabieg
nocą,sam na sam w ogromnym salonie ze zmarłym,przy blasku licznych
lamp i świec i już dniało,gdy zastrzykiwał mu w policzki jakiś
czerwony preparat,aby się wydawał rumiany i nie tak martwy...Och!
I mnóstwo jeszcze innych dodatków w opisie tej nocy...Okropne to
było! Gdy austriacki ów dostojnik zachorował,pierwszy raz wówczas
widziałam przed domem w którym leżał wysoką warstwę słomy rozłożo=
nę na ulicy,aby go turkot pod oknami nie drażnił. Pamiętam też
wspaniały pogrzeb potem,z oddziałem wojska i pułkową muzyką,rydwan
pełen wieńców i jadącego konno za karawanem rycerza,zakutego w
czarną zbroję,z tarczą herbową nieboszczyka na ramieniu. Ten Joska
był bowiem ostatnim z rodu i tarcza ta miała być strzaskana nad
jego grobem. Ten czarny rycerz o zapuszczonej przyłbicy,na karym,
zarytowanym koniu,sam mający w sobie coś z żywego trupa i strasz=

nej ballady, ponura, wojskowa muzyka i te szczegóły o barwionych o zaranku policzkach umarłego - wszystko to pozostało mi w pamięci na lata, jak jakaś przerażająca, płochliwie omijana myślą ciemna wyspa - jak taki czasem jeden kąt w domu, niewiadomo czemu straszniejszy od innych...

Bo ostatecznie - niech sobie starsi mówią co chcą - pomimo że dziecko strachu unika i gwałtownie nieraz wskutek tego cierpi - przecie cudownie jest się bać ! Strach tak samo ciągnie, jak odpycha, ten ciekawy, rodzący się w nas - z niewiadomego... Ten który jest stanowczo najsilniejszym co dziecko - a może i człowiek wogóle ? - nerwami może odczuć. Całkiem słusznie czynią rodzice zakazując niańkom straszenia, w każdej jednak biografii dziecinnej znajdzie się taki jakiś balsamowany nocą, Bogu ducha winny jenerał Kosika i taka panna Paulina, która o pośmiertnych dziejach nieboszczyka, co wie i nie wie - opowie...

Z tych relacji panny Lachner, obok ponurych, medycznych guseł dra. Feigla, pozostał mi jeszcze we wspomnieniu ...mózg małej dziewczynki stróża, rozpryśnięty na deskach paki ze śmieciem w jakimś sąsiednim podwórzu.. Coś na nią spadło, skrzynia, czy brama, nie wiem - w same Zielone Święta. Panna Lachner była w domu i gdy w mgnienu oka całą ulicę Zimorowicza zalała wieść o nieszczęściu, ona naturalnie poszła co prędzej na pobliskie podwórko, obejrzała zabitą i przy pierwszej lekcji opowiedziała mi o wszystkim. Przedziwnie trwałe są takie pierwsze zdjęcia na świeżej kliszy dziecinnego umysłu ! Nie widziałam sama tej dziewczynki, znam jej żałosny koniec tylko z opowieści, a jednak ów czerwonawy mózg dziecka, rozpryśnięty na szarych deskach śmieciarki, nie " pamiętam" ale wprost widzę... Długo, długo kojarzyło mi się to widzenie z słodkim świegotem szuwaru i zapachem zwiędłej w słońcu zieleniny brzozowych liści na naszym ganku...

Fascynujące nowiny panny Lachner miały podczas moich lekcji znaczenie podobne do smaku malagi w rumbarbarum... Przynajmniej było mi lżej przełykać zło konieczne. Postępy moje były w dalszym ciągu znikome i to pewne, że nie one, tylko raczej moja widoczna chciwość na nowiny i towarzyskość, jednały mi serce panny Pauliny. Była to niewiasta bardzo " słuszna", o ówczesnej pięknej figurze, w stanie wcięta jak osa, z bardzo pudrowaną, obszerną twarzą, zdumiewająco czarnymi brwiami, która podczas lekcji - o ile nie opowiadała nowin i nie czyniła uwag fortepianowych - gryzła nieustannie cytrynowe pestki. Miała ich zawsze pełne kieszenie. Do dziś nie wiem dlaczego to robiła ?

Mieszkała z matką i dwiema starymi pannami, ciotkami, na=

nej osiady, ponura, wojskowa muzyka i te szczegóły o czerwonych
o szranku policzków umarłego - wszystko to pozostało mi na lata, w pamięci
jak jakaś przerażająca, płochliwie omijana wyspa ciemna wyspa- jak
taki czasem jeden kąt w domu niewiadomo czemu straszniejszy od
innych...

Bo ostatecznie - niech sobie starsi mówią co chcą- pomimo
że dziecko strachu unika i gwałtownie nieraz wskutek tego cierpi
- przecie cudownie jest się bać ! Strach tak samo ciągnie, jak od=
pycha, ten ciekawy, rodzący się w nas - z niewiadomego... Ten który
jest stanowczo najsilniejszym co dziecko - a może i człowiek wo=
góle ? - nerwami może odczuć. Całkiem słusznie czynią rodzice za=
kazując niańkom straszenia w każdej jednak biografii dziecinnej
znajdzie się taki jakiś całsarowany nocą Bogu ducha winny jenerał
Józika i taka panna Paulina, która o pośmiertnych dziejach nieboszczyka, co wie i nie wie - opowie...

Z tych relacji panny Lachner, obok ponurych, medycznych gu=
seł dra. Feigla, pozostał mi jeszcze we wspomnieniu ... mózg małej
dziewczynki stróża rozpryśnięty na deskach paki ze śmieciem w ja=
kimś sąsiednim podwórzu.. Coś na nią spadło, skrzynia, czy ciężar,
nie wiem - w same Zielone Święta. Panna Lachner była w domu i gdy
w mgnieniu oka całą ulicę Zimorowicza zalała wieść o nieszczęściu,
ona naturalnie poszła czym prędzej na podwórko, obejrzała za=
citą i przy pierwszej lekcji opowiedziała mi o wszystkim. Przedziw
nie trwałe są takie pierwsze zdjęcia na świeżej kliszy dziecinnego
umysłu ! Nie widziałam sama tej dziewczynki, znam jej żałosny
koniec tylko z opowieści, a jednak ów czerwonawy mózg dziecka, xxxx
rozpryśnięty na szarych deskach śmietnika, nie " pamiętam" ale
wprost widzę... Długo, długo kojarzył mi się to widzenie z słodkim
świergotem szuwaru i zapachem zwiędłej w słońcu zieleni brzo=
zowych liści na naszym ganku...

Fascynujące nowiny panny Lachner miały podczas moich lekcji
znaczenie podobne do smaku malagi w rumbarbarum.. Przynajmniej
było mi lżej przełykać zło konieczne. Postępy moje były w dalszym
ciągu znikome i to pewne, że nie one, tylko raczej moja widoczna
chciwość na nowiny i towarzyskość, jednały mi serce panny Pauli=
ny. Była to niewiasta bardzo " słuszna", o ówczesnej pięknej figu=
rze, w stanie wcięta jak osa, z bardzo pudrowaną, obszerną twarzą,
zdumiewająco czarnymi brwiami, która podczas lekcji - o ile nie
opowiadała nowin i nie czyniła uwag fortepianowych - gryzła nieus=
tannie cytrynowe pestki. Miała ich zawsze pełne kieszenie. Do dziś
nie wiem dlaczego to robiła.

Mieszkała z matką i dwiema starymi pannami, ciotkami, na=

przeciw nas w jednopiętrowej kamieniczce,na której tynk pomidorowy patrzyłam przez lat dwadzieścia kilka. Dom ten miał zielony,wąs=ki balkon właśnie przed salonikiem panny Lachner i kryty gontami dach o strychowych okienkach,z wygiętą powieką,niby oczy wieloryba. Nad tym dachem obserwowało się zawsze z zimie chmary kawek,z których zachowania stawiał Tatko horoskopy atmosferyczne.Nad jego ośnieżonymi gontami stale,przez szereg najmilszych lat,wypatrywało się gwiazdy trzykrólskiej,której mroźne jaśnienie było corocznym hasłem do Wilii...

Raz - pamiętam - stałam przy jednym z okien sypialnego pokoju Rodziców,patrząc z Tatkiem,poprzez szyby,całe w diamentowych zodiakach, na zimowe, granatowe niebo. Nagle Tatko pokazał mi nad tym gontowym dachem o wielorybich okienkach gwiazdę, dużo mniej=szą od trzykrólskiej i powiedział tonem zupełnie naturalnym,ale takim,który zapamiętałam do dziś :

- Popatrz no, tę gwiazdę ci darowuję ! Jest twoja własna. Niech ci ją kto spróbuje odebrać !

Póki byłam w domu zawsze wiedziałam która,to...Potem dom rodziców się skończył,znikła pomidorowa kamieniczka naprzeciw,inna wysoko na jej miejsce wyrosła, ja zamieszkałam gdzieindziej..Gdzieś mi się ta gwiazda od Tatka zamyliła na niebie.. Wiem jednak, że jest i że mi jej nikt zaprzeczyć nie zdoła...

...Istniał już wówczas obyczaj odwiedzania na imieniny i obdarowywania nauczycielek przez uczennice. Odbywało się to zawsze - o ile sądzić mogę - o wiele serdeczniej, samorzutniej i skromniej. CHadzałam na kwartalne " popisy" i takie właśnie imie=ninowe uroczystości naprzeciw (skąd dziwnie było mi popatrzeć na nasze cztery,kochane okna!) gdzie wywierały się na dwu ogoniastych fortepianach kilka razy do roku najzdolniejsze elewki panny Pauliny. Przy jednej z takich okazji, odbębniwszy mężnie na pamięć pamiętaną sonatinę Beethovena, poznałam się z ową niezwykłą Helenką. Nie lubiłam jej z góry,tak jak wszystkie dzieci nie znoszą takich,które im się daje za przykład,pokazało się jednak, że Helenka (szlachetna dzisiejsza artystka,pani Helena Ottawowa) jest dziewczynką bardzo przyjemną i grzeczną. Powiedziała mi nawet coś miłego o mojej sonatinie. Nosiła,tak jak ja,grzywkę czarną,przystrzyżoną nad brwiami,ale podczas gdy z mojego karku zwisał długi i gruby warkocz,ona nosiła włosy krótko obcięte,w kędziorach. Na szyi miała sznurek różowych pacio=rek z matowego szkła,których jej czas dłuższy skrycie i mocno zaz=drościłam. Już wtedy gra jej była bardzo niezwykła.

Mam wrażenie,że panna Paulina,jej matka i ciotki musiały

przeciw nas w jednopiętrowej kamieniczce,na której tyłem pomidorowy patrzyłam przez lat dwadzieścia kilka. Dom ten miał zielony,wąski balkon właśnie przed salonikiem panny Lachner i kryty gontami dach o strychowych okienkach,z wygiętą powieką,mnóy oczy wielorybia. Nad tym dachem obserwowało się zawsze w zimie chmury kawek,z których zachowania stawiał Tatko horoskopy atmosferyczne.Nad jego ośnieżonymi gontami stale,przez szereg najmilszych lat,wypatrywało się gwiazdy trzykrólskiej,której mroźne jaśnienie było corocznym hasłem do Wilii...

Raz - pamiętam - przy jednym z okien sypialnego pokoju Rodziców,patrzę z Tatkiem,poprzez szyby,całe w diamentowych wodziakach, na zimowe, granatowe niebo. Na le Tatko pokazał mi nad tym gontowym dachem o wielorybich okienkach gwiazdę, dużo mniejszą od trzykrólskiej i powiedział tonem zupełnie naturalnym,ale takim,który zapamiętałam do dziś :

- Popatrz no, tę gwiazdę ci daruję ! Jest twoja własna. Niech ci ją kto spróbuje odebrać !

Póki byłam w domu zawsze wiedziałam która,to...Potem dom rodziców się skończył,znikła pomidorowa kamieniczka naprzeciw,inna wysoko na jej miejsce wyrosła, ja zamieszkałam gdzie indziej..gdzieś mi się ta gwiazda od Tatka zamyliła na niebie.. Wiem jednak,że jest i że mi jej nikt zaprzeczyć nie zdoła...

...Istniał już wówczas obyczaj odwiedzania na imieniny i obdarowywania nauczycielek przez uczennice. Odbywało się to zawsze xxxx - o ile sądzić mogę - o wiele serdeczniej, samorzutniej i skromniej. Chadzałam na kwartalne " popisy" i takie właśnie imieninowe xxxxxxxxxxxxxx uroczystości naprzeciw (skąd dziwnie było mi popatrzeć na nasze cztery,kochane okna!) gdzie wywierały się na wu ogniastych fortepianach kilka razy do roku najzdolniejsze elewki panny Pauliny. Przy jednej z takich okazji, odegrawszy rzewnie na pamięć pamiętaną sonatinę Beethovena, poznałam się z ową niezwykłą Helenką. Nie lubiłam jej z góry tak jak wszystkie dzieci nie znoszą takich,które im się daje za wzór, pokazało się jednak,że Helenka (szlachetna dzisiejsza artystka pani Helena Ottawowa) jest dziewczynką bardzo przyjemną i grzeczną. Powiedziała mi nawet coś miłego o mojej sonatinie. Nosiła,tak jak ja,sukienkę czarną,przystrzyżoną nad brwiami,ale podczas gdy xxx z mojego karku zwisał długi i gruby warkocz,ona nosiła włosy krótko obcięte,w kędziorach. Na szyi miała sznurek różowych paciorek z matowego szkła,których jej czasem dłuższy szczerze i mocno zazdrościłam. Już wtedy gra jej była bardzo niezwykła.

Mam wrażenie,że panna Paulina,jej matka i ciotki musiały

mieć razem wziąwszy jakąś niesłychaną ilość lat. Niemniej oznajmiła mi pewnego razu panna Lachner, że wychodzi zamąż. Zdumiałam, a potem zaraz pojęłam dlaczego uderzyły mnie od pewnego czasu znaczne melioracje w jej powierzchowności. Dużo jeszcze czerniejsze brwi, policzki jeszcze bledsze, loczki krucze nad czołem, zawsze podobne do kudełków perskiego baranka - jeszcze bardziej krucze i pokrętne... I suknie w kolorach bardziej młodocianych, jakieś perfumy o zapachu czekolady, czasem świeże kwiaty przypięte do zarękawka i - jeszcze więcej cytrynowych pestek w kieszeni...

Pokazało się, że narzeczonego znałam już z widzenia. Jeszcze w jesieni widywałam to maleństwo z czarnymi baczkami i w żółtych trzewikach, siedzące między dwoma oleandrami na balkonie w żelazne smukłe " iksy", podczas gdy z głębi saloniku płynęło wspaniale smutne, przejmujące mnie zawsze " Zaproszenie do tańca" Webera. Panna Paulina grała naprawdę bardzo pięknie. Potem jawiły się na balkonie wszystkie trzy grube Parki i ona sama, co - zważywszy konkurenta i dwa oleandry - było nielada ściskiem. Wprawdzie zasiady te trwały długo w mrok i powtarzały się przy pogodzie stale i choć zawsze spostrzegałam naprzeciw tego samego misternego gościa - na myśl mi nie przyszło, żeby za niego można wyjść... A jednak...

Najwspanialsze było na nim nazwisko. Nazywał się Kościelecki. Piastował jakiś niewysoki, jak on sam urząd miejski i przyszłość oblubieńców układała się gładko. Pan młody miał się poprostu wprowadzić do poczciwego babińca naprzeciw, wnosząc do wspólnego menażu aport złożony z kilku starych konterfektów rodzinnych, pensyjki comiesięcznej, parawanu o sześciu skrzydłach, jak Cherubin - i samego siebie... Bardzo ciekawie sposobiłam się na ten ślub, na który mnie ciocia wziąć obiecała.. Jakaż była jednak cudowna niespodzianka, gdy mnie panna Lachner, razem z ciocią, zaprosiła na wesele ! Nigdy jeszcze dotąd na żadnym weselu nie byłam i już naprzód pławiła się moja wyobraźnia w jakichś niebywale malowniczych widzeniach.

Niestety, jedno z moich częstych wówczas jeszcze zaziębień nie pozwoliło mi na bytność w kościele i tylko, zawinięta, jak cebula, w futrze i szalu, przeszłam z ciocią od bramy do bramy i znalazłam się pośród weselnej parady. Panna Lachner nazywała się już panią Kościelecką. Przemiana ta, pierwszy raz tak naocznie oglądana, wydała mi się rodzajem cudu, który mnie przejął do głębi. Choć byłam łakoma, nie rychło otrząsnąć się zdołałam z wrażenia i rzucić okiem na ponęty, pod którymi " uginał" się stół, - ba! - cały archipelag mniejszych, biało okrytych stolików. Wszystkie malutnie pokoiki, znajome mi z poprzednich bytności, zapełniał

więc razem wszewszy jakąś miesięczną ilość lat. Niemniej oznajmi=
ła mi pewnego razu panna Lechner, że wychodzi zamąż. Zdumiałam, a
potem zaraz pojęłam dlaczego uderzyły mnie od pewnego czasu znacz=
ne melioracje w jej powierzchowności. Były jeszcze czerniejsze
brwi, policzki jeszcze bledsze, loczki krucze nad czołem, zawsze po=
dobne do kudełków perskiego baranka - jeszcze bardziej krucze i
pokrętne... I suknie w kolorach bardziej młodocianych, jakieś per=
fumy o zapachu czekolady, czasem świeże kwiaty przypięte do zare=
kawka i - jeszcze więcej cytrynowych pestek w kieszeni...

Pokazało się, że narzeczonego znałam już z widzenia. Jeszcze
w jesieni widywałam to maleństwo z czarnymi baczkami i w żółtych
trzewikach, siedzące między dwoma oleandrami na balkonie w żelazne
smukłe " liły", podczas gdy z głębi saloniku płynęło wspaniałe
smutne, przejmujące mnie zawsze " Zaproszenie do ~~xxxxx~~ tańca" Webera. Pan=
na Paulina grała naprawdę bardzo pięknie. Potem zjawiły się na bal=
konie wszystkie trzy grube Perki i ona sama, co zwabiwszy kon=
kurenta i dwa oleandry - było niełada sztuką. Wprawdzie zaś lady
nie trwały długo w mrok i powtarzały się przy pogodzie stale i choć
zawsze spostrzegałam naprzeciw tego samego misternego gościa - na
myśl mi nie przyszło, żeby za niego można wyjść... A jednak...

Najwspanialsze było na nim nazwisko. Nazywał się Kościele=
cki. Piastował jakiś niewysoki, ~~jxxxxxxxxxxxx~~ x jak on sam urząd
miejski i przyszłość oblubieńców układała się gładko. Pan młody
miał się poprostu wprowadzić do pokojowego saloniku naprzeciw,
wnosząc do wspólnego menażu aport złożony z kilku starych konter=
fektów rodzinnych, pensyjki cornesięcznej, parawanu o sześciu skrzy=
dłach jak Cherubin - no i samego siebie.. Bardzo ciekawie sposo=
biłam się na ten ślub, na który mnie ciocia wziąć obiecała.. Jakaż
była jednak cudowna niespodzianka, gdy mnie panna Lechner razem z
ciocią zaprosiła na wesele ! Nigdy jeszcze dotąd na żadnym weselu
nie byłam i już naprzód pławiła się moja wyobraźnia w jakichś nie=
bywale malowniczych widzeniach.

Niestety jedno z moich częstych wówczas jeszcze zaziębień
nie pozwoliło mi na bytność w kościele i tylko, zawinięta, jak ~~xxxu~~
cebula, w futrze i szalu, przeszłam z ciocią od bramy do bramy i
znalazłam się ~~pxxxxx~~ pośród weselnej parady. Panna Lechner nazy=
wała się już panią Kościelecką. Przemiana ta, pierwszy raz tak na=
ocznie oglądana, wydała mi się rodzajem cudu, który mnie przejął do
głębi. Choć byłam łakoma, nie rychło otrząsnąć się zdołałam z ~~xxxx~~
wrażenia i rzucić okiem na ponęty, pod którymi " uginał" się stół,
- bal ! - cały arcydzieł... blado okrytych stolików. Wszyst=
kie malutkie pokoiki, znajome mi z poprzednich bytności, zapełniał

szczelnie ścisk młodociany. W wesołej gromadzie gromadzie stawiły się wszystkie uczennice. My z Helenką liczyłyśmy się do młodszych, najmłodszą była, obecna także pięcioletnia Oktawcia Rojekówna. W tym kolorowym orszaku, błyszczącym grzywkami i warkoczami, motylami kokard i szarf, krążyła jak biały wodotrysk, opłyniętą przejrzystym welonem, czarno-brewa panna młoda. Postrojone bordeaux i brązowo, popielato i biało-koronkowo - przetaczały się z miejsca w miejsce trzy grube Parki, co było tym większym kunsztem, że wszystkiego było dość na tej fecie - prócz miejsca... Na kanapie i fotelikach pod ścianami rozlokowano mamy i przynależne do dziewcząt ciocie. Cały szczupły teren wyglądał jak spoisty marcepan, w którym główną inegrediencję stanowiły podlotki i tak zwane "smarkule". Spodem, między tą masą szmyrgał i nurkował pan młody...

Po wręczeniu pannie młodej jakiegoś zbiorowego upominku od uczennic, rozpoczął się obrzęd herbaciany. Wązka klitka, taki akurat tylko futerał na fortepian, wchłonął dziś cudem jakimś i stół i długiego jak krokodyl Bösendorfera. Na stole, wśród talerzy malowanych w bukiety kwiatów, stały owe zaginionego dziś gatunku, podwójne konchy porcelanowych etażer, złączone wykrętną, pozłacaną gałęzią, spiętrzone stosami ciastek, o kształtach już też zamierzchłych: wielkie banie kawowych pianek, makaronikowe łuki, osypane listkami krajanych migdałów, - twarde jak minerał, płaskie kreacje z czekolady na opłatku, cwibaki, mazurki żółte w rzucik drobnych korynckich rodzynków (zdaleka istne arkusze z muchami, połapanymi na lep..) Środkiem, na obrusie okrągliły się strojne torty, o a nazwach które też pustym stają się dźwiękiem. Torty skaliste, linckie, pomadkowe, daktylowe... Kosze pełne pomarańcz i ber, w białych zawojach serwet zdumiewające ilości gorących maronów.. Z domowych

osób nikt nie siadł, wszyscy starali się nieba i wszystkich tortów naraz przychylić gościom. Rodzina - jak wymiarkowaliśmy - miała się zajwić dopiero po nas, na kolację.

Po herbacie i tortach oznajmiono nam, że będzie przedstawienie. A zatem jeszcze jedna rozkoszna niespodzianka ! W głowę zachodziłyśmy kto i co będzie przedstawiał ? Lawirując nie bez przeszkód między skupionymi w ciasnocie sprzętami, ciągnąc za sobą każda swoje krzesło, zgęściłyśmy się w pokoju obok jadalni, dokąd nas skierowano. Za przepierzeniem improwizowanym z portretów rodzinnych pana młodego i jego wyprawnego parawanu, znajdowały się łóżka przed tą zas dyskretną kulisą widniał rodzaj szopki, mała scenka okryta draperiami z firanek, pusta i oświetlona niby kinkietami, szeregiem płonących stoczków. Zastanowił nas brak pana młodego

na widowni, zaraz wszakże stał się zrozumiałym, gdy z podłogi scenki umieszczonej nieco wyżej, niż nasze nosy, wynikły małe, kolorowo ~~xdzx~~ odziane laleczki i ozwał się z pomiędzy draperii głos p. Kościelec, kiego, naśladujący do złudzenia dialog szmacianych krasnoludków. On to, nadziawszy na palce te niby osobki, ruszał nimi, mówił za nie, kłócił się, czynił to wszystko tak zręcznie i uciesznie, żeśmy się zanosiły od śmiechu. Były to dwie sztuczki : " Berek zapieczętowany " i druga, w której rzecz szła o jakąś bardzo hałaśliwą i pomysłową Małgorzatę... Skakał koło niej diabeł i organista w szafirowej kapocie, ~~xx~~ który ostatecznie w zawikłaniu zwyciężył... Każda z lalek piszczała innym głosem, a najlepszy był szwargot Berka i porywczy dyszkant Małgorzaty. Dziwne wrażenie robiły duże, ciemne, majaczące za teatrzykiem, surowe oblicza antenatów pana młodego.

Notując to wszystko, sama ~~xxxxxxx~~ sobie nie dowierzam chwilami. Przecie nie tak to dawno jeszcze, a niech sobie kto spróbuje odtworzyć dzisiaj nastrój podobny ! Wnętrze skromniuteńkie, nasycone dobrocią i prostotą serc jakgdyby dziecinnych, mieszkanie ludzi żyjących wyłącznie ze swej pracy, którzy obchodząc wesele, pomyśleli przede wszystkim o tym aby zrobić przyjemność gromadzie takich dzieriatek, z których niejedną stokroć lepiej zaopatrzyło życie od nich - przyjemność, bądź co bądz, nawet w tamtych łatwych czasach kosztowną, po za którą nie było śladu wyrachowania ! I te ucieszne marionetki pana młodego w asyście starych, karmazynowych konterfektów! Niedawno, z największym rozczuleniem przypomniałyśmy sobie z p. Ottawową owo wesele, niewiarygodną dziś wręcz atmosferę tej chwili, blednącą w pamięci tak, jak smak i nazwy niemodnych już tortów, skalistych, linckich, pomadkowych...

Pogodnie zaczęta nowa era w mieszkaniu naprzeciw, nie trwała długo... Czy antenaci namotali coś na wąsach, czy sam los tak chciał, dość, że zdawało się czas jakiś, że w miejscu gdzie pieczętowano Berka stanie kołyska, a nowożeniec o nazwisku większym od siebie, zostanie ojcem...Czego tam w odpowiednim terminie dożył sześcioskrzydłowy parawan - nie wiem. Zasłyszałam tylko rozmowę babciów przy komodzie pod oknem, z której wynikało, jakoby jedna z dwu grubych ciotek pani Kościeleckiej wyznała cioci Tereni, że : " pocałowała by się tam gdzie nie dosięgnie, z radości, że zamąż nie wyszła..."

Lekcje z panią Pauliną na zawsze się przerwały. Jedynym zabytkiem moich z nią studiów jest owa słynna "polka nieśmiertelna" (która nadomiar była zawsze walcem...) grywana jeszcze przeze mnie do niedawna, ostatni, szczątkowy ślad mojej fortepianowej niesławy...

na widowni, zaraz wszystko stało się zrozumiałym, gdy z podłogi scenki umieszczonej nieco wyżej, niż nasze nosy, wynikły małe, kolorowo odziane laleczki i ozwał się z pomiędzy draperii głos p. Kościeleckiego, naśladujący do złudzenia dialog szmacianych krasnoludków. On to, nadziawszy na palce te miłe osóbki, ruszał nimi, mówił za nie i kłócił się, czynił to wszystko tak zręcznie i doskonale, żeśmy się zanosili od śmiechu. Były to dwie sztuczki: "Berek zapieczętowany" i druga, w której rzecz szła o jakąś bardzo hałaśliwą i pomysłową Małgorzatę... Skakał koło niej diabeł i organista w szafirowej kapocie, który ostatecznie w zawikłaniu zwyciężył... Każda z lalek przemawiała innym głosem, a najlepszy był szwargot Berka i porywczy dyszkant Małgorzaty. Dziwne wrażenie robiły duże, ciemne, majaczące za teatrzykiem, surowe oblicza antenatów pana młodego.

Notuję to wszystko, sama sobie nie dowierzam chwilami. Przecie nie tak to dawno jeszcze, a niech sobie kto spróbuje odtworzyć dzisiaj nastrój podobny! Wnętrze skromniutenkie, nasycone dobrocią i prostotą serc jakby dziecinnych, mieszkanie ludzi żyjących wyłącznie ze swej pracy, którzy obchodząc wesele, pomyśleli przede wszystkim o tym aby zrobić przyjemność gromadzie takich dzieciaków, z których niejedno stokroć lepiej zaopatrzyło życie od nich - przyjemność, nędz co nędz nawet w tamtych łatwych czasach kosztowną, po za którą nie było śladu wyrachowania! I te urocze marionetki pana młodego w sąsiedztwie starych, karmazynowych konterfektów! Niedawno z największym rozczuleniem przypomniałyśmy sobie z p. Ottawową owo wesele, niewiarygodną dziś wręcz atmosferę tej chwili, obecną w pamięci tak, jak smak i nazwy niemodnych już tortów, skalistych, linckich, pomadkowych...

Pogodnie zaczęta nowa era w mieszkaniu naprzeciw, nie trwała długo... Czy antenaci namotali coś na wąsach, czy sam los tak chciał, dość, że zdawało się czas jakiś, że w miejscu gdzie pieczętowano Berka stanie kołyska, a nowożeniec o nazwisku większym od siebie, zostanie ojcem... Czego tam w odpowiednim terminie dożył sześcioskrzydłowy parawan - nie wiem. Zasłyszałam tylko rozmowę służących przy komodzie pod oknem, z której wynikało, jakoby jedna z dwu grubych ciotek pani Kościeleckiej wyznała ciotce Tereni, że: "pocałowałaby się tam gdzie nie dosięgnie, z radości, że zamąż nie wyszła..."

Lekcje z panią Pauliną na zawsze się przerwały. Jedynym zabytkiem moich z nią studiów jest owa słynna "polka nieśmiertelna" (która nadomiar była zawsze walcem...) grywana jeszcze przeze mnie do niedawna, ostatni, szczątkowy ślad mojej fortepianowej niesławy...

X

X X

Z rozkoszą wspominam sobie wakacje w Mikuliczynie w ro=
ku 1881.

W drodze ze Lwowa Mama, Babcia, ja, czteroletni Adaś i
służąca Marcelka, nocowaliśmy w Kołomyi. Wstawszy o świcie w cud=
ny, czerwcowy poranek, zaprowadziła mnie Mama przed pomnik na ryn=
ku, cały w łunie wschodzącego słońca.

- Popatrz, to właśnie ten Karpiński, który napisał " Kiedy
ranne wstają zorze..."

Znałam go już z kochanego " Przyjaciela Ludu", którego czy=
tywała mi nieraz Ciocia. Pamiętałam, że gdy miał przyjść na świat,
napadł na dwór Karpińskich opryszek Dobosz. Usłyszawszy co się
święci, nikomu niczego nie zrobił, zażądał tylko, aby to dziecko mógł
trzymać do chrztu. Miałam już osiem lat, poprzednia podróż po
Styrii i Bawarii nauczyła mnie patrzeć z pożytkiem i całkiem do=
rzecznie orientować się w nowych wrażeniach. Wskutek tamtych prze=
żyć miałam się tylko za coś osobliwego... Korespondowałam z Fritzem
Spahrem - zrazu naturalnie z pomocą Mamy lub Cioci... Góry i la=
sy szpilkowe przypominały mi Gleicheberg i Aussee .. Byłam usz=
częśliwiona...

W Mikuliczynie mieszkaliśmy w domku niejakiego Greinera,
wysoko, nad zboczą okrytą łąkami, na razie same, gdyż Tatko na wa=
kacje nadążał zwykle później, terminem roku szkolnego skrępowany.
Poniżej tej rozległej zboczy, rozciągała się w dolinie wieś, jeszcze
wówczas typowa wieś huculska, niesłychanie rozrzucona, i nie podobna
zapewne do dzisiejszego Mikuliczyna. Żadnych will ani dworków,
od każdej chaty do następnej przestrzeń ogromna. Rychło odkryłam
koło naszej siedziby pewien karkołomny, wysoki przełaz i łączkę
za nim. Takiej masy niezabudek, szczawiów wyższych odemnie
jaskierów, firletek, kaszek nie widziałam nigdy z tak bliska. Buchnę=
łam w nie twarzą jak długa, tarzając się jak pies w zarosionej, wy=
sokiej trawie. Pamiętam użycie szalone, szelest fjoletowych
dzwonków koło uszu, niebieskość niezabudek pchających mi się między
rzęsy, zapach miętej, przygrzanej słońcem zieleniny... Mam
wrażenie, że tak od serca przywitałam się z tym wszystkim pierwszy
dopiero raz - na tej łączce. Trawa była tak wysoka, a ja tak mała,
że patrząc ku górom nie widziałam wcale drugiego planu, tylko od=
razu nad samymi kaszkami i jaskrami, daleki, niebieski łańcuch
gór nieznajomych... I to powietrze pierwszy raz zaznane - to po=
wietrze! Takie samo, umiłowane do śmierci, z jakim niestety w swoim

X

X X

Z rozkoszą wspominam sobie wakacje w Mikuliczynie w roku 1881.

W drodze ze Lwowa Mama, Babcia ja, czteroletni Adaś i służąca Marcelka, nocowaliśmy w Kołomyi. Wstawszy o świcie w cudny, czerwcowy poranek, zaprowadziła mnie Mama przed pomnik na rynku, cały w łunie wschodzącego słońca.

- Popatrz, to właśnie ten Karpiński, który napisał " Kiedy ranne wstają zorze..."

Znałam go już z kochanego " Przyjaciela Ludu", którego czytywała mi nieraz Ciocia. Pamiętałam, że gdy miał przyjść na świat, napadł na dwór Karpińskich opryszek Dobosz. Usłyszawszy co się święci, nikomu niczego nie zrobił, zażądał tylko, aby to dziecko mógł trzymać do chrztu. Miałam już osiem lat, poprzednia podróż po xxx Styrii i Bawarii nauczyła mnie patrzeć z pożytkiem i całkiem dorzecznie orientować się w nowych wrażeniach. Wskutek tamtych przeżyć miałam się tylko za coś osobliwego... Korespondowałam z Fritzem Spahrem - zrazu naturalnie z pomocą Mamy lub Cioci... Góry i lasy szpilkowe przypominały mi Gleichenberg i Aussee . Byłam uszczęśliwiona...

W Mikuliczynie mieszkaliśmy w domku niejakiego Greinera, wysoko, nad zboczą okrytą lasami, na razie sami, gdyż Tatko na wakacje nadejdzie zwykle później, terminem roku szkolnego skrępowany. Poniżej tej rozległej zboczy, rozciągała się w dolinie wieś, jeszcze wówczas typowa wieś huculska, niesłychanie rozrzucona, ani podobna zapewne do dzisiejszego Mikuliczyna. Żadnych willi ani dworów od każdej chaty do następnej przestrzeń ogromna. Rychło odkryłam koło naszej siedziby pewien karkołomny, wysoki przełaz i łączkę za nim. Takiej masy niezabudek, szczawiów xxxxxxxx wyższych odemnie jaskrów, firletek, kaszek nie widziałam nigdy z tak bliska. Buchnęłam w nie twarzą jak długa, tarzając się jak pies w zarośniętej, wyxxxxxx gorącej trawie. Pamiętam użycie szalone szelest fioletowych dzwonków koło uszu, niebieskość niezabudek pchających mi się między rzęsy, zapach xxxxx mięty, przygrzanej słońcem zieleniny... Mam wrażenie, że tak od serca przywitałam się z tym wszystkim pierwszy dopiero raz - na tej łące. Trawa była tak wysoka a ja tak mała, że patrząc ku górom nie widziałam wcale drugiego planu, tylko odrazu nad szczytami kaszkami i jaskrami, dalekie niebieskie łańcuch gór nieznajomych... I to powietrze pierwszy raz zaznane - to powietrze! Takie samo, umiłowane do śmierci, z jakim niestety w swoim

czasie - podobnie jak z Lukiem - pożegnać się dość przytomnie nie zdążyłam...

Nigdy już potem nie spotkałam takich polnych kwiatów. Była zwłaszcza jedna łąka spadzista bardzo, którą się szło w dół po wodę skośną ścieżką, między samymi kwiatami. Rumiany, mieczyki amarantowe, wielkie, białe, pachnące koniczyny, skabiozy liliowe i żółte - kwiaty jakieś kosmate, błękitno granatowe, podobne do grubych, krępych gąsienic. - czy ja już wiem dziś co za cuda i jak się one mogły nazywać ?! Dość, że się napatrzeć - nacieszyć nie mogłam. Wodę brało się ze źródła, popod prostopadłym obrywem leśnego jaru. Zarastała go świerczyna, kalina, maliny... Dostęp do samej wody śliski był i stromy, pokonanie tych przeszkód było zawsze satysfakcją osobną i rozkoszną. Łąkę tę i dróżkę wspominać będę zawsze jako jeden z ośmiu cudów mojego dziecinnego świata.

Tam też widziałam najpiękniejszą i najszczęśliwszą ze znanych mi kaczek ! Chowała się z kurami Greinerów i była dzika. Złapano ją przed rokiem, podcinano zawsze skrzydła, aby nie mogła polecieć. Po roku dano jej spokój i chodziła sobie swobodnie między domowym drobiem. Śliczna była jak jaki klejnot, mieniąca się w słońcu, tylko pono wielce nietykalna. Szłyśmy raz z Marcelką do źródła i mijały miejsce, które zawsze bardzo mnie inspirowało : zbocze obcięte jak nożem, skośny przekładaniec, warstwa ziemi i warstwa kamienia, różnobarwne pasy nachylone raz na zawsze w jedną stronę, po wierzchu porośnięte świerkowym lasem - zbocze, dla moich ówczesnych oczu niebotyczne wysokie i ginące gdzieś w tajemniczym jarze, którego dna nie śmiałam być ciekawa. Bardzo się lubiłam bać tego widoku, wyobrażając sobie zawsze dziwy na tym tle... W chwili gdym się raz zagapiła na ową pasiatą ścianę tonącą właśnie w cieniu, Marcelka wrzasnęła :

- Kaczka ! Nasza kaczka !

Istotnie zobaczyła dziką kaczkę lecącą ciężko przez słoneczne powietrze wprost ku groźnemu przekładańcowi. Leciała tam właśnie, jak w dym. Cudowne barwy świeciły na jej piórach, im pasiate tło było ciemniejsze o tej porze, tym ona jaskrawiej błyszczała. " Że też ona się nie boi ! " - pomyślałam z zachwytem i radością. Ale nie bała się, tylko najwidoczniej poczuwszy siłę w skrzydłach, skorzystała z pierwszej okazji aby drapnąć. Jakaż ona musiała być szczęśliwa ! - Są czasem jakieś bez zrozumiałej racji ostrzejsze klisze w kasecie pamięci... Ten kawałek bożego świata z lecącą przezeń kaczką - mam w oczach tak wyraźnie, jak jaki rzeczywisty obraz, któremu brakuje tylko ramy i gwoździa. "Szczęśliwa kaczka" nie wróciła już nigdy między kury, w mojej zato głowie została na zawsze...

czasie - podobnie jak z łukiem - pożegnać się dość przytomnie nie zdążyłam...

Nigdy już potem nie spotkałam takich polnych kwiatów. Była zwłaszcza jedna łąka spadzista bardzo, którą się szło w dół po wodę wąską ścieżką, między samymi kwiatami. Purpury, wieczyki amarantowe, wielkie białe, pachnące koniczyny, szałwie liliowe i żółte - kwiaty jakieś Kosmete, błękitno granatowe, podobne do grubych, krępych gąsienic. - czy ja już ~~xxx~~ wiem dziś co za cuda i jak się one mogły nazywać ?! Dość że się napatrzeć - nacieszyć nie mogłam. Wodę brało się ze źródła, popod prostopadłym oberwem leśnego jaru. Zarastała go świerczyna, kalina, maliny... Dostęp do samej wody śliski był i stromy, pokonanie tych przeszkód było zawsze satysfakcją osobną i rozkoszną. Także te i drożkę wspominać będę zawsze jako jeden z ośmiu cudów mojego dziecinnego świata.

Tam też widziałam najpiękniejszą i najszczęśliwszą ze znanych mi kaczek ! Chowała się z kurami Greinerów i była dzika. Złapano ją przed rokiem, podcinano zawsze skrzydła, aby nie mogła polecieć. Po roku dano jej spokój i chodziła sobie swobodnie między domowym drobiem. Śliczna była jak jakiś klejnot, mieniąca się w słońcu, tylko pono wielce nietykalna. Szłyśmy raz z Marcelką do źródła i mijały miejsce, które zawsze bardzo mnie inspirowało : zbocze obcięte jak olbrzymi, ukośny przekładaniec, warstwa ziemi i warstwa kamienia, różnobarwne pasy nachylone raz na zawsze w jedną stronę, po wierzch porośnięte świerkowym lasem - zbocze, dla moich ówczesnych oczu niebotycznie wysokie i ginące gdzieś w tajemniczym jarze, którego dna nie śmiałam być ciekawa. Bardzo się lubiłam oddać temu widokowi, wyobrażając sobie zawsze dziwy na tym tle... W chwili gdym się raz zagapiła na owe pasiaste ściane tonącą w własnym w cieniu, Marcelka wrzasnęła :

- Kaczka ! Nasza kaczka !

Istotnie zobaczyła dziką kaczkę lecącą ciężko przez słoneczne powietrze wprost ku groźnemu przekładańcowi. Leciała tam właśnie, jak w dym. Cudowne barwy świeciły na jej piórach, im pasiaste tło było ciemniejsze o tej porze, tym ona jaskrawiej odbijała.

" Że też ona się nie boi! " - pomyślałam z zachwytem i radością. Ale nie bała się, tylko najwidoczniej poczuwszy siłę w skrzydłach skorzystała z pierwszej okazji aby drapnąć. Jakże ona musiała być szczęśliwa ! - Sączasem jakieś bez zrozumiałej racji ostrzejsze lisze w kasecie pamięci... Ten kawałek bożego świata z lecącą przez niego kaczką - mam w oczach tak wyraźnie, jak jaki rzeczywisty obraz, któremu brakuje tylko ramy i gwoździa. "Szczęśliwa kaczka" ~~xx~~ nie wróciła już nigdy między kury, w mojej ~~xxx~~ za to głowie została na zawsze...

Z domkiem Greinera sąsiadowało gospodarstwo zasobnego hu = cuła, który hodował mnóstwo owiec. Owce te pasły trzy dziewczyny pod= rostki. Codzień widywałam jak wieczorem wracały z całym stadem z pastwiska. Musiało być odległe, bo przed zachodem nigdy nie schodzi= ły z połoniny. Bardzo mnie korciło zapoznać się z nimi. Podniecały mnie wielce jaskrawe stroje huculskie. Po płótniankach dyniskich i żurawieńskich, wydawali mi się ci ludzie jakby jakimś teatrem, ogrom = nymi krasnoludkami, zaczarowanymi lalkami, które chodziły i gadały, a chaty ich, całe z ciemnego drzewa pachniały mi bajką o chałupce z piernika. Długo nie mogłam się uspokoić po widoku niedzielnego nabo żeństwa w cerkwi i tego ścisku, który wyglądał napraw= dę jak scena jakiejś sztuki. Po latach czterdziestu pięciu - myślę dziś, że - jakkolwiek jeszcze i teraz jaskrawy - tłum ten musiał po= szarzeć. Nie wiem czy noszą jeszcze Huculi w Mikuliczynie szafirowe lub czerwone sukienne hajdawery, jak wówczas, - pasy nabijane mo= siądzem, czy jawią się na kobiecych głowach dwie czerwone włóczko= we przepaski, jakby greckie, plecione w warkocz i przetykane mosięż= nymi guzami ? Czy od warkoczy dziewczęcych wiszą w niedzielę grube, długie chwasty z pąsowej włóczki? Nie chyba... Usłużna, tania, żydow= ska tandeta w kramach, gasi przecie wszędzie koloryt wsi. Błogie, zdrowe, roślinne barwy dawnej chłopskiej odzieży, przedrzeźnia obrzy= dle tru[t]ka anilinowych grynszpanów, różów, gumigut..

Poznajomiłam się wreszcie z małymi Hucułkami. Najstarsza z nich nazywała się Katryna, miała chudą, przyjemną twarz z bystrymi siwymi oczyma, włosy tak jasne, że aż białawe, schowane zawsze pod czerwoną chuściną, związaną w węzeł pod brodą. Dwa wełniane, pąsowe fartuszki, jeden przedni, drugi tylny, czyniły ją podobną do półot = wartego, smukłego strąka. Na ramionach nosiła zwykle szarą, jak i koszula, płócienną płachetkę. Bardzo była śmiała i zabawna. Nie u= miałam jednak zrazu po rusku i trudno nam się było porozumieć. Ba= wiło mnie, że zna wszystkie owce zosobna, jak ja znałam swoje lalki i książki, że o każdej coś potrafi powiedzieć. Wszystkie trzy dziew= czynki były najętymi pastuszkami, których płacę pobierały matki, mieszkające daleko w górach. Straszną miałam ochotę pójść z nimi kiedy na to wysokie, odległe pastwisko...

Pragnienie to było o tyle zrozumiałe, że nie było żadnych in= nych dzieci w pobliżu. Mama, dla cierpienia serca, nigdy po gó= rach chodzić nie mogła, Tatko miał jakieś zamówienia artystyczne, które go zajmowały, Babcię absorbował Adaś - ja zaś, zdana jedynie na moje kręcidło i własny przemysł, żądna byłam przygód. Rozstrzygnął wreszcie wątpliwości Rodziców sąd panny Filipki, dojrzałej wielce córki ruskiego proboszcza, która bawiła u Greinerów, mówiła czysto

Z domkiem Greinera sąsiadowało gospodarstwo zacnego Hu=cuła, który hodował mnóstwo owiec. Owce te pasły trzy dziewczyny pod Rostki. Odd też widziałam jak wieczorem wracały z całym stadem z pastwiska. Musiało być odległe, bo przed zachodem nigdy nie schodzi=ły z połoniny. Bardzo mnie korciło zapoznać się z nimi. Podniecały mnie wielce jaskrawe stroje huculskie. Po płóciankach dymiskich i żurawiejskich, wydawali mi się ci ludzie jakby jakimś teatrem, ogrom=nym kramem ludkami, zaczarowanymi lalkami, które chodziły i gadały, a chaty ich, całe z ciemnego drzewa pachniały mi bajką o chatupce z piernika. Długo nie mogłam się uspokoić po widoku niedzielnego nabo=żeństwa xxxxxxxx w cerkwi i tego ścisku, który wyglądał napraw=dę jak scena jakiejś sztuki. Po latach czterdziestu pięciu - myślę, że - jakkolwiek jeszcze i teraz jaskrawy - tłum ten musiał po=szarzeć. Nie wiem czy noszą jeszcze Hucuły w Mikuliczynie szafirowe lub czerwone sukienne najdawniejszy jak wówczas, - pasy nabijane mo=siądzem, czy jawią się na kobiecych głowach dwie czerwone włóczko=we przepaski, jakby greckie, plecione w warkocz i przetykane mosięż=nymi guzami ? Czy od warkoczy dziewczęcych wiszą w niedzielę grube, długie chwasty z pąsowej włóczki? Nie chyba... Usłużna, tania, żydow=ska tandeta w kramach, gasi przecie wszędzie koloryt wsi. Błogie, zdrowe, roślinne barwy dawnej chłopskiej odzieży, przedrzeźnia obrzy=dle trutka anilinowych grynszpanów, różów, dum i ut..

Poznajomiłam się wreszcie z małymi Hucułkami. Najstarsza z nich nazywała się Kaftyna, miała cudną, przyjemną twarz z bystrymi siwymi oczyma, włosy tak jasne, że aż białawe, schowane zawsze pod czerwoną chuścinę, związaną w węzeł pod brodę. Dwa wełniane pąsowe fartuszki, jeden przedni, drugi tylny, czyniły ją podobną do połot=wartego, smukłego stręka. Na ramionach nosiła zwykle szarą, jak i koszula, płócienną płachetkę. Bardzo była śmiała i zabawna. Nie u=miałam jednak zrazu po rusku i trudno nam się było porozumieć. Ba=wiło mnie, że zna wszystkie owce z osobna, jak ja znałam swoje lalki i książki, że o każdej coś potrafi powiedzieć. Wszystkie trzy dziew=czynki były najętymi pastuszkami, których płacę pobierały matki, mieszkające dalej w górach. Straszną miałam ochotę pójść z nimi kiedy na to wysokie, odległe pastwisko...

Pragnienie to było o tyle zrozumiałe, że nie było żadnych in=nych dzieci w pobliżu. Mama xxx, dla cierpienia serca, nigdy po go=rach chodzić nie mogła. Tatko miał jakieś zamówienia artystyczne, x które go zajmowały, Babcię absorbował Adaś - ja zaś, zdana jedynie na moje kredki i własny przemysł, żądna byłam przygód. Rozstrzygnęt wreszcie wątpliwości Rodziców sąsiadka panny Filipki dojrzałej wielce córki ruskiego proboszcza, która bawiła u Greinerów, mówiła często

po polsku,miała mimo brzydoty dotkliwej humor bajeczny i bardzo mi sprzyjała. Zaręczała,że mogę iść z tymi dziewczętami nie na dzień, ale na tydzień choćby i ani krzywdy,ani zgorszenia nie zaznam. I rzeczywiście. Choć potem na całe dnie przepadałam w tej krasej kompanii,nigdy ani oczy moje ani uszy nie zaznały nijakiego uszczerbku.. Co do uszu,to nawet wręcz przeciwnie...

Zaczęły się wspaniałe czasy. Raniuteńko przylatywała po mnie Kataryna - i ta wczesna pora była jedyną,niełatwo stroną całej imprezy... Szłyśmy między płotami z dranic,kamienistą dróżką, pełną drepcących owiec,ku lasowi, przez który trzeba się było piąć dość długo. Świerki w nim rosły ogromne,obwieszone brodami bladozielonych mchów, rosły paprocie piórzaste,sięgające moich uszu, grzyby i - pod koniec lata - wisiory szafirowej gencjany. My z Kataryną szłyśmy zwykle z tyłu, potem owce,a przodem tamte dwie, świecące pąsowymi łupinami swoich zapasek. Każda z pastuszek miała wełnianą torbinę w kratki czarno białe,zawieszoną na postronku przez plecy,w niej zapasy ubogie na cały dzień,siarniczki i kozik. Ja miałam także tórbkę podobną,tyle że pąsową. Dostałam też z czasem kierpce,które tam nazywają się postoły.

Pastwisko do którego się szło -to była bardzo spadzista połonina,porosła jałowcami,na którą wychodziło się z lasu. Pobrzeże tego lasu to był jakby jeden wał kwiatów,przerosłych maliniakiem. Z najwyższego punktu polany rozciągał się na góry widok przecudny. Zmiarkowałam rychło,że pasienie owiec nie jest taką znowuż najprostszą robotą. Rzadkie były chwile,kiedyśmy się wszystkie cztery mogły zgromadzić na miejscu. Ale zdarzało się,że dziewczęta bawiły się ze mną w gry jakieś,których nazw nie pamiętam,a zasad nie zupełnie dobrze rozumiałam i wówczas. Zupełnie odrębne,dość nawet skomplikowane mi się wydały. Dużo było przy tym biegania i śmiechu,szybkiej gadaniny i śpiewanek. W południe rozpalało się ostrożny ogieniek gdzieś w cieniu a nie na wietrze,piekło kukurudzę, ziemniaki i grzyby czasem,opiekało placki z mamałygi,podgryzało bundzem - owczym serem -poczem występowała na deser czekolada z mej tórbki,lub blaszane pudełko z lepkimi rocks-dropsami...

Nauczyły mnie wycinać kozikiem z młodych świerków kawały kory na króbki,które potem, gładko ostruganymi patyczkami,spinało się po bokach, - ze szczytu świerczka sporządzić zgrabną kołotuszkę, mątewkę do kwaśnego mleka...Dowiedziałam się,że biała,jodłowa żywica,gdy na niej węgielek położyć,pachnie najpiękniej, że nie wolno- broń Boże! - pluć na ogień,że grzyb znaleziony w lesie trzeba na miejscu oczyścić kozikiem,żeby się nowe nasiały - nauczyły mnie wreszcie grać na drewnianej fujarce,tak jak same umiały. Tylko do

po polsku, miała mimo przydomku dotkliwej humor bajeczny i bardzo mi
sprzyjała. Zaręczała, że mogę iść z tymi dziewczętami nie na dzień,
ale na tydzień chodzić i ani krzywdy, ani zgorszenia nie zaznam. xxxx
I rzeczywiście. Choć potem na całe dnie przepadałam w tej krasej
kompanii, nigdy ani oczy moje ani uszy nie zaznały najmniejszego uszczer-
bku. Co do uszu, to nawet wręcz przeciwnie...

Zaczęły się wspaniałe czasy. Raniuteńko przylatywała po
mnie Katarzyna - i ta xxx wczesna pora była jedynie niełatwą stroną
całej imprezy... Szłyśmy między płotami z drutu kamienistą drożką
pełną drepcących owiec, ku lasowi, przez który trzeba się było xxxx
piąć dość długo. Świerki w nim rosły ogromne, owieszone brodami sza-
dziejonych mchów, rosły paprocie przerosłe sięgające końca uszu,
grzyby i - pod koniec lata - wiciorki szafirowej gencjany. My z Ka-
tarzyną wszłyśmy zwykle z tyłu, potem owce, a przodem tamte dwie, xx
świecące pąsowymi łupinami swoich zapasek. Każda z pastuszek miała
wełnianą torbinę w kratki czarno białe, zawieszoną na postronku
przez plecy, w niej zapasy ubogie na cały dzień, siarniczki i kozik.
Ja miałam także torbę podobną, tyle że pąsową. Dostałam też z cza-
xxxxx sem kierpce, które tam nazywają się postoły.

Pastwisko do którego się szło - to była naraz spadzista
połonina, porosła jałowcami, na które wychodziło się z lasu. Pobrze-
że tego lasu to był jakby jeden wał kwiatów, przerosłych malinniakiem
Z najwyższego punktu polany rozciągał się na góry widok przecudny.
Zmiarkowałam rychło, że pasienie owiec nie jest xxxxxx takie znowu
najprostszą robotą. Rzadkie były chwile, kiedyśmy się wszystkie
cztery mogły zgromadzić na miejscu. Ale zdarzało się, że dziewczęta
bawiły się ze mną w gry jakieś, których nazw nie pamiętam, a zasad
nie zupełnie dobrze rozumiałam i wówczas. Zupełnie odrębne, dość na-
wet skomplikowane mi się wydały. Dużo było przy tym biegania i śmie-
chu, szukania, zgadywanki i śpiewanek. W południe rozpalało się ostro-
ny ogieniek gdzieś w cieniu a nie na wietrze, piekło się kukurudzę,
ziemniaki i grzyby czasem, opiekało placki z mamałygi, podgryzało
bundzem - owczym serem - potem występowała na deser czekolada z
mej torebki lub blaszane pudełko z lepkimi rocks-dropsami...

Nauczyły mnie wycinać kozikiem z młodych świerków kawał
kory na kroki, które potem, gładko ostruganymi xxxxxxxxx patyczkami, spinało
się po bokach, - ze szczytu świerczka sporządzić zgrabną kołotuszkę,
mątewkę do kwaśnego mleka... Dowiedziałam się, że biała jodłowa ży-
wica, gdy na niej węgielek położyć, pachnie najpiękniej, że nie wol-
no - broń Boże! - pluć na ogień, że grzyb znaleziony w lesie trzeba
na miejscu oczyścić kozikiem, żeby się nowe rosły - nauczyły mnie
wreszcie grać na drewnianej fujarce, tak jak same umiały. Tylko do

owiec nie nabrałam przekonania...Odrażały mnie ich czarcie jakby twarze, bek niepokojąco ludzki, brudna, skołtuniona wełna, moc pcheł i zapach. One też były winne, że nie można się było ciągle bawić z pastuszkami....

Najcudowniejsze jednak czego zaznałam na tych moich pastersskich włóczęgach - był głos Kataryny.

Pierwszy raz usłyszałam go znienacka, zdaleka i pewna byłam że to ktoś obcy, całkiem dorosły zaśpiewał. Zapędziłyśmy się trochę w jar z tamtymi, Kataryna przyzostała pod lasem i nagle, stamtąd gdzie była, nadniósł się nie śpiew żaden, nie wołanie, ale to coś, co tylko górale umieją - melodyjny okrzyk jakby, z kilku wysokich nut złożony, dobyty nie z głowy, ale z piersi - silny, tak cudnie przeczysty, taki jakiś masywnie złoty- że do dziś, po latach, poznałabym chyba go natychmiast. Doprawdy pojąć było trudno skąd w tym trzynasto- czternastoletnim, chudym strąku, bierze się taka rakieta dźwięków, świetlista, wysoka, lekka a mocna, która potem w drugim i trzecim echu, wracała słabsza, ale tak samo nieskażenie czysta, nieprawdopodobnie wysoka.

Nie umiałabym była jeszcze wówczas tak tego powiedzieć, alem stanęła, jak wryta. Kataryna zdziwiona było moim zdziwieniem. Cud, na moje prośby powtórzył się zaraz kilkakrotnie, zawsze jednako zdumiewający. Choć mała - śpiew słyszałam często, oswojona byłam z głosem Mamy i pani Ledererowej, pamiętałam skrzypce Fryca, nie było więc dla mnie wątpliwości, że to co robi Kataryna jest niesłychane ! Wytłumaczyła mi potem, że to się nazywa " wiukać" i że trzeba to w lesie koniecznie umieć. Inaczej- ktoś kto się zgubił, czy przyzostał - nie usłyszą...

Gdy zaś Mama usłyszała to "wiukanie", osłupiała jeszcze bardziej odemnie. Nie zaznała już od tego chwili spokoju i - choć to było szaleństwem w naszych skromniuteńkich warunkach - wymogła zgodę Tatka, abyśmy Katarynę zabrali ze sobą do Lwowa i żeby się śpiewu uczyła. W kole naszych znajomych dość było przecie artystów i pedagogów muzyki, co by się na takim cudzie poznali i co by go poprowadzili bezinteresownie. Kataryna miała kopalnię złota w krtani, Mama zaś energii i entuzjazmu całkiem dość, aby zdobyć dla niej wykształcenie i przyszłość świetną. Muzykalność słuchu, niezawodną u Rusinów, posiadała też Kataryna w najwyższym stopniu.

Rozpoczęły się rokowania najpierw z chlebodawcami Kataryny, potem z jej matką, po którą do trzeciej wsi trzeba było posyłać. Kataryna sama gotowa była odrazu. Korowody bez końca, jak przy kupnie gruntu chytra, chłopska, pozorna tępota dla zyskania czasu do namysłu. W każdym razie wypadek niebywały. I znowu z ruskiej plebanii przyszedł sukurs. Tym razem sam kanonik, ojciec panny Filipki, zaczął

owiec nie nabrałam przekonania... Odrażały mnie ich czarne jakby twarze, pęk niepokojących ludzi, brudna, skołtuniona wełna, moc i zapach. One też były winne, że nie można się było ciągle bawić z pastuszkami...

Najcudowniejsze jednak czego zaznałam na tych moich pasterskich włóczęgach - był głos Katarzyny.

Pierwszy raz usłyszałam go znienacka, zdaleka i pewna byłam że to ktoś obcy, całkiem dorosły zaśpiewał. Zapędziłyśmy się trochę w jar z tamtymi, Katarzyna przysiadła pod lasem i nagle, stamtąd gdzie była nadmoc! się nie śpiew żaden, nie wołanie, ale to coś, co tylko górale umieją - melodyjny okrzyk jakby z kilku wysokich nut złożony, dobyty nie z głowy, ale z piersi - silny, tak cudnie przejrzysty, taki jakiś masywnie złoty - że do dziś, po latach, poznałabym go natychmiast. Doprawdy pojąć było trudno skąd w tym trzynasto-czternastoletnim chudym stworku, bierze się taka rakieta dźwięków, świetlista, wysoka, lekka a mocna, która potem w drugim i trzecim echu, wracała słabsza, ale tak samo nieskalanie czysta, nieprawdopodobnie wysoka.

Nie umiałabym była jeszcze wówczas tak tego powiedzieć, alem stanęła jak wryta. Katarzyna zdziwiona było moim zdziwieniem. Cud, na moje prośby powtórzył się zaraz kilkakrotnie, zawsze jednako zdumiewający. Choć mała - śpiew słyszałam często, oswojona byłam z głosem Mamy i pani Ledererowej, pamiętałam skrzypce Fryca, nie było więc dla mnie wątpliwości, że to co robi Katarzyna jest niesłychane! Wytłumaczyła mi potem, że to się nazywa "wiukać" i że trzeba to w lesie koniecznie umieć. Inaczej - kogoś kto się zgubił, czy przyzostał - nie usłyszą...

Gdy zaś Mama usłyszała to "wiukanie", osłupiała jeszcze bardziej odemnie. Nie zaznała już od tego chwili spokoju i - choć to było szaleństwem w naszych skromniutkich warunkach - wymogła zgodę Tatka, abyśmy Katarzynę zabrali ze sobą do Lwowa i żeby się śpiewu uczyła. W kole naszych znajomych dość było przecie artystów i pedagogów muzyki, co by się na takim cudzie poznali i co by go poprowadzili bezinteresownie. Katarzyna miała kopalnię złota w krtani, Mama zaś energii i entuzjazmu całkiem dość, aby zdobyć dla niej wykształcenie i przyszłość świetną. Muzykalność słuchu niezawodna u Rusinów posiadała też Katarzyna w najwyższym stopniu.

Rozpoczęły się rokowania najpierw z chlebodawcami Katarzyny, potem z jej matką, po którą do trzeciej wsi trzeba było posyłać. Katarzyna sama gotowa była odrazu. Korowody bez końca, jak przy kupnie gruntu czy krowy, chłopska pozorna tępota dla zyskania czasu do namysłu. W każdym razie wypadek niebywały. I znowu z ruskiej plebanii przyszedł ratunek. Tym razem sam Kanonik, ojciec panny Filipki, zaczął

tłumaczyć właścicielom Kataryny, że dziewczyna los zrobi i że to łaska, nie interes ze strony " państwa" ...Wreszcie doszło do zgody. Mama napisała do p. Ledererowej, do panny Żłobickiej, do panny Róży Ziętkiewiczówny - prostując ścieżki złotemu głosowi Kataryny. Było tu już niemal na samym odjezdnym. Wtem - najniespodziewaniej i matka i chlebodawcy rozwiedli lamenty gwałtowne, pierwsza za " doczką", której i tak cały rok bo=ży nie widywała, widując tylko jej biedny zarobek - drudzy za tanią sługą, łatwą wszakże do zastąpienia przy baranach przez byle kogo. Oświadczono bez ogródek, że " państwo" musi coś płacić rocznie za Katarynę matce. Ręce Mamie opadły. Nie była tak naiwną aby uwierzyć, że baba na tym żądaniu poprzestanie. Zaczęłyby się licytacje bez końca, a tu i na początek ledwie by było starczyło środków....

Kataryna została przy swoich owcach...

I ani się domyśliła kiedy, że ominęła ją dola świetna, kto wie jak świetna, może taka jak sława innej pasterki owiec, szwedzkiej śpiewaczki Jenny Lind, tej samej, którą Andersen uwiecznił w swej bajce " Pod wierzbą" i w której do końca życia pono się miłował.

Z wakacji w Mikuliczynie zachowałam wspomnienie jakiejś mało wyraźnej grupki osób, w którą Rodzice w ciągu lata się zaznajomili, jacyś państwo Eminowicze, Święciccy - panna Wanda Święcicka pływała ślicznie w czarno zielonej wodzie Prutu pod skalistym urwiskiem lasu- bodaj-że w Jamnie? - profesor Bąkowski, który badał górskie kałuże i bagna, znawca wymoczków, w dziwnym okryciu głowy z jakiejś osobliwej plecionki - młody pan Menda, panny Łempickie.. W gronie tym odbywały się spacery i duża wycieczka na Czarnohorę, na którą i ja zostałam wzięta. Jechaliśmy wszyscy konno, na drewnianych terlicach, przez las, stromo, jak piec, potem przez kamienistą zbocz...Ale wyprawa skończyła się ucieczką z powrotem w dół, na łeb na szyję, gdyż straszliwa ulewa spłukała nas poprostu z pochyłości. Ja odbyłam powrotną drogę w worku z ziemniaków, przytroczonym do pleców Hucuła, który ze mną biegł pędem - już nie drogą, ale korytem górskiego strumienia, w który się zmieniła w momencie...

Potem mokry, nieznośny nocleg w pobliżu szluzy na Prucie, huczącej jak piekło...

X X

X

Po kolei, czy nie po kolei - dość, że przymykam oczy i przypominam...

Nasz salon przy ulicy Zimorowicza. Chwila : już po dniu, a jeszcze przed zapaleniem światła. Wielki pokój tonie w mroku. Gdzieniegdzie błyskają wąskie prążki ram na znajomych obrazach, błękitnieje bladawe odbicie okien w politurze fortepianu. Widzę coraz mniej, czuję wszakże wszystkie domowe sprzęty, jak obecność osób, do których mamy zaufanie bez granic i kochamy je, ani myśląc, tak jak się bez myśli oddycha. Czułam, że cokolwiek stanie się ze mną i tym pokojem, dla mnie b ę d z i e on zawsze. Nie zapomnę jego przestrzeni, jego zapachu, rozmieszczenia obrazów i mebli... Dziwnie mocno wiem, że na pamięć moją mogę tu liczyć i uświadamiam to sobie, jak rodzaj zasobu i udręki równocześnie.

Obok pieca trymódka z białą lampą, nad nią grottgerowski portret Marcela i wokół niego na ścianie fotografie Lituanii. W trymotce " gościnna" porcelana, wyjmowana zawsze w czwartki, gdy wieczorem, co tydzień, przychodzili goście... Za piecem rulon transparentów, wysokich niemal jak on sam, nadpalony brzegami. Jeden : Jagiełło i Zygmunt August w koronach i paradzie., drugi : Polska, Ruś i Litwa. Stały te osoby w zwiniętym rulonie, namalowane w swoim czasie przez Tatka do jakiejś narodowej okazji i gdy podczas jednego z czwartków rzucił ktoś z palaczy niedogasłą zapałkę za piec, oliwą napuszczone, płótno buchnęło wysokim płomieniem. Podczas gdy, nerwowy do śmieszności Chochlik Zagórski uciekł na widok ognia i zemdlał gruntownie w przedpokoju, otoczony ratującymi go paniami - Tatko z panią Aszpergerową wydobyli gorejącą trąbę na środek salonu i ugasili dość prędko. Niemniej Tatko oparzył sobie mocno palce, a pani Aniela osmaliła "filuty", jak nazywała swe siwe loczki nad czołem...

Na głównej ścianie nad kapapą " Wojna", z lewej serwantka prababki, z prawej biurko Mamy. Po śmierci pana Tadeusza Żulińskiego, kupili je rodzice na pamiątkę. Na nim kałamarz z Centaurem, obok długi liść chrzanu z francuskiej majoliki z pełzającym przez jego rozdziałek ślimakiem. Na liściu pióra i ołówki, mała muszelka z pieczątką herbową i wązkie, żłobkowane pudełko na pocztowe znaczki. Nad biurkiem smutny chłopczyk Grottgera, Grabińskiego " Brzoza", okrągły widoczek olejny na miedzi, jakoby Claude Lorain (jedyny pono, poza jego miniaturą, przedmiot w domu pochodzący od Jacques`a Monné i tej rodziny) - medalion matki Dory,

śpiący piesek Grottgera i tamte wszystkie kochane obrazki...

W szafie orzechowej, tej koło drzwi od pracowni Tatka, leży na półce maminej szafy grottgerowskie Album. Rzadko kiedy ogląda je ktokolwiek, ale wówczas zawsze jestem przy tatkowym łokciu, gdy sam obraca kartki ostrożnymi, rozumnymi rękami - i patrzę. Jest to zawsze jakby jakieś nabożeństwo rzadkie i solenne. Mało kto umie tak patrzeć, jak trzeba. Mnie, z oglądających najnabożniejszymi wydały się oczy nieładnej, niemłodej literatki Malwiny Ogonowskiej, córki profesora literatury w uniwersytecie bolońskim, która parę dni była u nas gościem w domu, potem Anny Potockiej z Rymanowa, z domu Działyńskiej, a wreszcie mojej najmilszej, niezapomnianej uroczej, dobrej Stasi Tarnawieckiej, Szwarcównej z domu, córki dyrektora Twa. Muzycznego, jednej z ostatnich tego typu i polotu entuzjastek na świecie...

W tamtej szafie, koło pieca, na zwój ze strojami Matejki nawinięty, schowany jest ów czwarty, ocalały smok chiński, faworyt wielki Tatka, i wisi tatkowe futro z szopów. Tak cudownie wpaść ciepłą twarzą w jego podniesiony, ośnieżony kołnierz, gdy Tatko do domu wraca i wiedzieć że już dziś nigdzie nie wyjdzie!! Że niedługo wyjmę szachy z pudełka i przy jasnej lampie z trzema sfinksami na postumencie, grać zaczniemy oboje, a gdy zbliżać się będzie pora mego dobrze zasłużonego mata, Tatko uroczyście i nieco ponuro zanuci marsza weselnego z Lohengrina, - znak umówiony między nami, gdy klęska już bliska.. A po partji wywiady bez końca i kochane, niewyczerpane wspominki o Tatkowej młodości.

Strasznie kochałam tę ojcową młodość.

Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których szczęśliwy był i wesoły, znałam z rysunków mnogość ludzi, którzy go otaczali którzy mi byli bliscy i drodzy.

Więc najpierw dziadków : Babkę - Karolinę z Komarnickich, męża jej, Dziadka Ignacego, siostry Tatkowe Emilię i Anielę, brata Edmunda... Potem dzieciństwo Tatka w Daszawie, gdy to już wówczas prawy aż do sztywności, sprawiedliwy dla samego siebie, po zbiciu jakiejś z cennych porcelan w serwantce, sam, nie czekając na karę, stanął sobie w kąciku salonu na pokucie. W Daszawie umarła najmłodsza siostrzyczka Tatka, Sabinka, zażywszy dane jej przez pomyłkę z rąk niańki, palące jakieś lekarstwo zapisane dla konia i do stajni jeszcze nie zabrane... Pamiętałam jak się Tatko dzieckiem bał organów w Żydaczowie, gdy go zabierano na sumę, - jak raz, po wilii na sianie pod stołem zasnął, pod namiotem zwisa=

jącego obrusa,wśród bakalii i podarków,a potem,gdy brak dziecka spostrzeżono,sądny dzień się zrobił i szukanie od strychu do piwnic,dopiero pies,mądry kondel domowy,odszukał " Lolućia". Jednego zwłaszcza epizodu lubiłam słuchać po niezliczone razy.. Był to obraz nocy miesięcznej w Lubieńcach,w którą,gdy była pogoda,Ojciec ze stryjem Edmundem uciekali wbrew zakazowi niskim oknem w sad,a potem w pola " do księżyca". Stryj ze skrzypcami -Tatko z gitarą. Małe chłopcy,podrostki zaledwie,lecieli w koszulach daleko miedzami,między zboża i konopie i tam dopiero urządzali sobie koncert,jak polne koniki,jak jakie chochły łąkowe...

Strasznie ich lubiłam i czasem wręcz trudno mi pojąć dlaczego nie byłam tam razem. Znam tak dobrze krajobraz,równinę wesołą,przez którą płynie spokojny,szafirowy Stryj, pola żółtych owiesków i konopi,olbrzymie zawieruchy ślazu o bladoróżowych kwiatach,podobnych do róż polnych, jarzębiny strojne koralami przy gościńcu...

A i te ,dużo późniejsze wakacje Tatkowe w Skolem,gdy ciotki moje były ślicznymi pannami, gdy się Lucjan Tatomir starał o ciotkę Anielę,a babka,rozmiłowana w literaturze i poezji,obdarzona konspiracyjną pamięcią ówczesnych ludzi,całymi pieśniami deklamowała " Pana Tadeusza",umiejąc go całego na pamięć. Książkom Mickiewicza nie wolno było bowiem krążyć swobodnie i zwykle tylko jakiś jeden śmielszy egzemplarz kursował ukradniem po okolicy. Stryj akompaniował na skrzypcach,a Tatko na gitarze do chóralnych śpiewów, także niezbyt cenzuralnych... Śpiewało się " Za Niemen" "Warszawiankę" już głośniej,a także i Ständchen Schuberta.. Babka w towarzystwie Hanusi,sługi dawnego typu,która jeszcze i mnie - już jako staruszka - wodziła po latach z okładem czterdziestu - zbierała z pasją grzyby.. Wieczorami czytało się głośno dobierane umiejętnie przez pana Lucjana dzieła naukowe i historyczne.. Raz na tydzień przynosiła urzędowa i jedyna w Galicji gazeta " Lembergerka" dodatek " literacki",do tejże " Lwowskiej Gazety",biedne, skrępowane cenzurą jak powrozem,ale niedwuznacznie na ruch polskiej myśli ciekawe " Rozmaitości.".

Pamiętam też niemal, pewien zimowy przyjazd Tatka ze Stryja do Skolego, kiedy to,naprzeciw żółtego dyliżansu (było to na zjeździe z ośnieżonej Kłódki ...) wyszedł dziadek Ignacy i zamiast powitania wymówił tylko dwa słowa :

- Mickiewicz umarł !

Czułam zawsze razem z Ojcem to nagłe ściśnienie młodzień-

czego serca i niemożność wyrzeczenia słowa przez resztę powrotnej drogi...

A potem Bereżnica, macierzyński dom pani Sabiny z Pawlikowskich Korzelińskiej, 1-o voto Dobrzańskiej. Jej zacny mąż, poszukiwacz złota w Australii, który wszakże tylko z cnotą z za mórz powrócił, a którego pani Sabina dlatego jedynie poślubiła, że mieszkając po owdowieniu sama w pobliżu Karpat, bała się straszliwie słynnego opryszka Neczczuperowicza, który wówczas na podgórzu grasował. Roił się zawsze jej dom od gości kochanych. Więc: pani Julia z Cukrowiczów Śliwińska z mężem Alojzym, tzw. "poczciwym Lolkiem", magnaci, nie znający wręcz wartości swego majątku, który utracili później ze szczętem w sławnym bankructwie Heferna, - pan Feliks Kremarski, rejent, pan Tytus Jachimowski, skrzypek doskonały z ułomną siostrą muzyczką panną Olimpią, - panny Mila i Aniela Młodnickie, przyjaciółka ich Stasia Berska i cały bukiet ślicznych dziewcząt, których gładko uczesane, ołówkowe portreciki znałam z tek ojcowych, jak osobiste znajome. Widzę ich wszystkich tam, gdzie i mnie, przeszło w pół wieku później, olśniła oczy pierwsza, wielka, nagła radość życia... Oni również umieli zbierać na żórawkowskich polach posępne tulipany "tureckiego ziela", ciemno purpurową Fritillaria meleagris, musieli widzieć je nisko nad wilgotną ziemią, w pierwszych dniach maja płonące o zachodzie, zapalone jak cudowne lampiony na to powrotne święto wiosny...

I ten humor wspominam, co minął, co się prześnił bezpowrotnie usty w proch dziś rozsypanymi...

X

X X

Powołanie Tatka artystyczne wcześnie poczęło się zaznaczać. Rysował w szkole karykatury profesorów, w Bolechowie malował miniaturowe martwe naturki do panieńskich sztambuchów, W Skolem narysował z natury ciekawą bramę wjazdową zaginionego już typu, na modnym wówczas papierze pelé, podłożonym warstewką białej kredy, do której po skończeniu rysunku dobierał się ostry scyzoryk dla wyskrobiania tak zwanych "bliczków", czyli światełek na końcu nosa, w tęczówce oka - robił portreciki sióstr, widoczki księżycowe gór nad Oporem, okopiska pod lasem...Bardzo protegowały talent Ojca panie Sabina Korzelińska i Felicja z Sozańskich Dobrzańska, poznał się na nim światły i przemiły Emil Strzelecki, guwerner młodych Pietruskich z Błoni,..On to zainteresował dla chłopca ich ojca, pana Teofila, oraz przedstawił go

czego serca i niemożność wyrzeczenia słowa przez resztę powrot=
nej drogi...

A potem Bereźnica, macierzyński dom pani Sabiny z xxxxxm Pawlikowskich Korzelińskiej, 1-o voto Dobrzańskiej. Jej zacny mąż, poszukiwacz złota w Australii, który wszakże tylko z cnotą z za mórz powrócił, a którego pani Sabina dla tego xxxxxxx jedynie poślubiła, że mieszkając po owdowieniu sama w pobliżu Karpat, bała się straszliwie słynnego opryszka Neczesuperowicza, który wówczas na podgórzu grasował. Roi się zawsze jej dom od xxxxxxx= gości kochanych. Więc : pani Julia z Cukrowiczów Śliwińska z mę=żem Alojzym, tzw. "poczciwym Lolkiem", magnaci, nie znający wręcz wartości swego majątku, który utracili później ze szczętem w sławnym bankructwie Heferna, - pan Feliks Krerarski, rejent, pan Tytus Jachimowski, skrzypek doskonały z ułomną siostrą muzyczką panną Olimpią, - panny Lila i Aniela Młodnickie, przyjaciółki ich Staśka Berska i cały bukiet ślicznych dziewcząt, których gładko uczesane, ołówkowe portreciki xxxxxxxx znałam z tek ojcowych, jak osobiste znajome. Widzę ich wszystkich tam, gdzie i mnie, przeszło w pół wieku później, olśniła oczy pierwsza, wielka, nagła radość życia.. Oni również umieli zbierać na jorawkowskich po=lach posępne tulipany " tureckiego ziela", ciemno purpurowe Fri=tillaria meleagris, musieli widzieć je nisko nad wilgotną zie=mią, w pierwszych dniach maja płonące o zachodzie, zapalone jak cudowne lampiony na to powrotne święto wiosny..

I ten humor wspominam, co minął, co się prześnił bezpowrot=nie usły w proch dziś rozsypanych...

X

X X

Powołanie Tatka artystyczne wcześnie poczęło się zazna=czać. Rysował w szkole karykatury profesorów w Bolechowie malo=wał miniaturowe martwe natury do pamiętników sztambuchów, w Sko=lem rysował z natury ciekawą bramę wjazdową zaginionego xxxx już typu, na modnym wówczas papierze pełć podłożonym warstewką białej kredy do której po skończeniu rysunku dobierał się ostry scyzoryk dla wyskrobania tak zwanych " błyszczków", czyli świate=łek na końcu nosa, w tęczówce oka - robił portreciki sióstr, wi=doczki księżycowe gór nad Oporem, okopiska pod lasem.. Bardzo pro=tegowały talent Ojca panie Sabina Korzelińska i Felicja z Sozań=skich Dobrzańska, poznał się na nim światły i przemiły Emil Strzelecki, guwerner młodych Petruskich z Bolni.. On to zainte=resował dla chłopca ich ojca, pana Teofila oraz przedstawił go

tam panu Mieczysławowi Darowskiemu, przyszłemu opiekunowi ojcowej młodości, przyjacielowi najukochańszemu naszego domu, który nim pozostał do śmierci - dobremu duchowi mojego dzieciństwa i wszystkich lat dziewczęcych. Pan Darowski, z własnej, zasobnej jeszcze wówczas szkatuły, mając - jak to u narodowego obywatela było wówczas z zwyczaju - paru młodzieńczyków na oku i pieczy, wykształceniem ich i wychowaniem duchowym kierował. Jego to najusilniejszym, najczulszym staraniem, wyjechał Ojciec w r. 1857 w kwietniu, razem z Marcelem Maszkowskim do Monachium.

Stypendiów krajowych nie było, rodzice albo niezbyt ufali artystycznej karierze, albo - jak to było u moich dziadków - nie bardzo na podobne ryzyko mieli.. Dla żadnego z uczących się nie stanowiło ujmy, gdy w zastępstwie własnego rządu, który nie istniał, troskę o kształcenie ich brali na siebie ochotniczo światli a bogaci ludzie prywatni, jak np. Włodzimierz Dzieduszycki, Gwalbert a potem syn jego Mieczysław Pawlikowscy z Medyki, Lewicki z Barszczowic, Pietruski z Błonia - łożąc na ten cel sami, bądź tak jak M. Darowski, częściowo, zbierając brakującą resztę pośród bliskich sobie rodaków i " dam ".

Malarzyki miały obowiązek przysyłać od czasu do czasu mecenasowi dowody swoich postępów, za co wzamian otrzymywały albo pochwałę i sumkę jakąś nadliczbową, albo - bo i to się zdarzało - list z krytyką i morałami.

Stary Maszkowski Jan, portrecista dobry a pedagog znakomity, z pod którego szczęśliwej ręki wyszli Kossak, Grottger, Tepa i innych szereg, wyróżniał Ojca wielce i dużą przywiązywał wagę do wpływu jego na swego najmilszego, najmłodszego syna, Marcela...

Marcel...

Właściwie Marceli Zyndram z Maszkowic, herbu Słońce... Praszczurem jego był istotnie ów luty rycerz z pod Grunwaldu...

"Marcel" wszelako - zwany tak i w domu i przez kolegów - mało miał zmysłu na tę świetną parantelę. Sam jaśnie-dziedzic talentu i szampańskiej fantazji, dzierżący swą przyszłość we własnej, mistrzowskiej garści, mógł nie dbać o przeszłość i przodków, choćiaż by z pod Grunwaldu. Nigdy też nie fatygował swego słonecznego herbu na codzień, posługując się tylko skromną pieczątką, z małym gotyckim "m." która okopcona nad świecą i przyłożona na rożku kartki, dawała rysunkom Marcela znajomą sygnaturę.

Nigdy się nie pogodzę z tą posępną prawdą, żem go nie znała ! Skoro kawaler umarł w r 1862, niepodobna mu było przedstawić się pannie, która przyszła na świat o jedenaście lat później...To

tam panu Mieczysławowi Darowskiemu, przyjacielowi opiekunowi ojcowej młodości, przyjacielowi najukochańszemu naszego domu, który nim pozostał do śmierci - dobremu duchowi mojego dzieciństwa i wszystkich lat ~~xxxxxxxxx~~ dziewczęcych. Pan Darowski z własnej, zasobnej jeszcze wówczas szkatuły, mając - jak to u narodowego obywatela było wówczas z zwyczaju - parę młodzieńczyków na oku i pieczy, wykształceniem ich i wychowaniem duchowym kierował. Jego to najusilniejszym, najczulszym staraniem, wyjechał Ojciec w r 1857 w kwietniu, razem z Marcelem Maszkowskim do Monachium.

Stypendiów krajowych nie było; rodzice albo nieraz ulali artystycznej karierze, albo - jak to było u moich dziadków - nie bardzo na podobne ryzyko mieli.. Dla żadnego z uczących nie stanowiło ujmy, gdy w zastępstwie własnego rządu, który nie istniał, troskę o kształcenie ich brali na siebie ochotniczo światli a bogaci ludzie prywatni, jak np. Włodzimierz Dzieduszycki, Gwalbert ~~xxxxxxxxxxx~~ a potem syn jego Mieczysław Pawlikowscy z Medyki, Lewicki z Berszczowic, Pietruski z Błonia - łożąc na ten cel sami, bądź tak jak M. Darowski, częściowo, zbierając brakującą resztę pośród określonych sobie rodaków i " dam ".

Malarzyki miały obowiązek przysyłać od czasu do czasu mecenasowi dowody swych postępów, za co wzamian otrzymywały albo pochwałę i sumkę jakąś nadzwyczajną, albo - bo i to się zdarzało - list z krytyką i morałami.

Stary Maszkowski Jan, portrecista dobry a pedagog znakomity, z pod którego szczęśliwej ręki wyszli Kossak, Grottger, Tepa i innych szereg, wyróżniał Ojca wielce i dużą przywiązywał wagę do wpływu jego na swego najmilszego, najmłodszego syna, Marcela...

Marcel...

Właściwie Marceli Zyndram z Maszkowic herbu Słońce...
Praszczurem jego był istotnie ów luty rycerz z pod Grunwaldu...

"Marcel" wszelako - zwany tak i w domu i przez kolegów - mało miał [illegible] na tę świetną parantelę. Sam jaśnie-dziedzic talentu i szampańskiej fantazji, dzierżący swą przyszłość we własnej, mistrzowskiej garści, mógł nie dbać o przeszłość i przodków, choćby z pod Grunwaldu. Nigdy też nie fatygował swego słonecznego herbu na codzień, posługując się tylko skromną pieczątką, z małym gotyckim "M", która okopcona nad świecą i przyłożona na rożku kartki, dawała rysunkom Marcela znajomą sygnaturę.

Nigdy się nie pogodzę z tą posępną prawdą, żem go nie znała! Skoro kawaler umarł w r 1862, niepodobna mu było przedstawić się pannie, która przyszła na świat o jedenaście lat później...To

proste.. A i wówczas jeszcze,Ojciec mój,nosząc mnie małą,rozkrzyczaną kukłą po pokoju, na którego ścianie wisiał olejny, grottgerowski portret Marcela,uważał za wskazane powtarzać z naciskiem:

- Wszystko dobrze,ale Maszkowskich sobie wyperswaduj ! Bawić się - dobrze. Tańczyć - dobrze. Ale resztę sobie wyperswaduj !"

Było to tym zabawniejsze,że sam mało kogo tak bardzo kochał jak Maszkowskich,a Marcela przede wszystkim - i że Ojciec sam później zapoznał mnie z nim tak blisko i serdecznie,jak z rówieśnym kolegą. Marcel niestety nie słynął wcale statkiem i tymi cnotami,które " zdobić" zwykły młodzieńców. I ostrzeżenie owo wygłaszane żartem nad kukłą w powiciu, miało zapewne na celu uchylenie wczas możliwych niebezpieczeństw,grożących jej w przyszłości ze strony nowej,podrastającej generacji Maszkowskich,której stateczność Ojciec,jako doświadczony rzeczoznawca,miał prawo kwestionować...

Ale tak samo przestroga jak i obawa okazały się zbyteczne. Pokochałam Maszkowskich i żywych i umarłych,bez żadnego dla wzajemnej doli uszczerbku,tak,jak ich kochał mój Ojciec.

I nie ma na to rady : mimo wszystkie,dzielące mnie odeń lata, Marcel był moim znajomym - więcej! - był naszym domownikiem, kimś stale między nami przytomnym,o kim mówiło się,jak o żywym człowieku,bardziej swojskim i rzeczywistym od wielu,którzy u nas naprawdę bywali, jakkolwiek nad trymotką w salonie wisiał tylko jego portret... Namalował go Grottger w Barszczowicach,w r. 1860. Zagapiony po malarsku profil w żółtej konfederatce,z białym rękawem koszuli,widnym z pod kamizelki. Nosili się tak Maszkowscy podczas malowani. W czerwonej rogatywce przedstawił się też na autoportrecie ojciec,tak zwany " stary Maszkowski" Jan. Taka była pracowniana ich moda. Skorzystał z niej Grottger malując wedle głowy kolegi studium do swej " Modlitwy konfederatów",podczas gdy Marcel,aby nie tracić czasu,rysował kogo innego. Ma on też na grottgerowskim wizerunku wyraz doskonale znajomy każdemu,kto kiedykolwiek malarzowi pozował. Takie malarskie oczy patrzą całkiem inaczej,niż zwyczajne. Jest w nich wytężenie zmysłu,podobne do nasłuchiwania. Tak i na tym portrecie.Ruch zadartej głowy,wyciągnięta szyja,wszystko pomaga wzrokowi,aby lepiej dosłyszał,dośledził, przychwycił... Usta nieco otwarte,brew lekko podniesiona,oko skupione na jednym jakimś punkcie. Zwyczajnie jak kiedy malarz zagapi się w modela i o bożym świecie zapomni.

Nie tylko wzrok ale i dusza Marcela zagapić się tak umiała i zaciekać we wszystkim,widzianym,czy żytym, -do bezpamięci. Nic dziwnego,że świat boży zapominał co moment o nim i że o nie=

proste.) A i wówczas jeszcze Ojciec mój nosząc mnie na rękach, rozkrzycza
nie po pokoju, na którego ścianie wisiał ~~xxx~~ olejny ~~xxxxxxx~~ grot=
tgerowski portret Marcela, uważał za wskazane powtarzać z naciskiem:

\- Wszystko dobrze, ale Mieszkowskich sobie wyperswaduj ! Bawić
się - dobrze. Tańczyć - dobrze. Ale resztę sobie wyperswaduj !"

Było to tym zabawniejsze, że sam mało kogo tak bardzo kochał
jak Mieszkowskich, a Marcela przede wszystkim - i że Ojciec sam
później zapoznał mnie z nim tak blisko i serdecznie, jak z równe=
nym kolegą. Marcel nieszczęśliwie nie słynął wcale ~~xxx~~ statkiem i tymi
cnotami, które " zdobić" zwykły młodzieńców. I ostrzeżenie owo wy=
głaszane żartem nad kołyską w powiciu, miało zapewne na celu uchyle=
nie wczas możliwych niebezpieczeństw, grożących jej w przyszłości
ze strony nowej, podrastającej generacji Mieszkowskich, której sta=
teczność Ojciec, jako doświadczony rzeczoznawca, miał prawo kwestio=
nować...

Ale tak samo przestroga jak i obawa okazały się zbyteczne.
Pokochałam Mieszkowskich i żywych i umarłych, ale żadnego dla wza=
jemnej doli uszczerbu, tak, jak ich kochał mój Ojciec.

I nie ma na to rady ! mimo wszystko, dzieląca mnie odeń la=
ta, Marcel był mi znajomym - więcej ! - był naszym domownikiem,
kimś stale między nami przytomnym, o kim /mówiło się, jak o żywym
człowieku, bardziej swojskim i rzeczywistym od wielu, którzy u nas
naprawdę ~~xxx~~ bywali, jakkolwiek nad trymotką w salonie wisiał
tylko jego portret... Namalował go Grottger w Barszczowicach, w r.
1860. Zagapiony po malarsku profil w żółtej konfederatce, z białym
rękawem koszuli, widnym z pod kamizelki. Nosili się tak Mieszkowscy
podczas malowania. W czerwonej rogatywce przedstawił się też na
autoportrecie ojciec, tak zwany " stary Mieszkowski" Jan. Taka była
przecowniana ich moda. Skorzystał z niej Grottger malując według
głowy kolegi studium do swej " Modlitwy konfederatów", podczas gdy
Marcel, aby nie tracić czasu, rysował kogo innego. Ma on też na grot
tgerowskim wizerunku wyraz doskonale z głowy każdemu, kto kiedykol=
wiek malarzowi pozował. Takie malarskie oczy patrzą całkiem i=
naczej, niż zwyczajne. Jest w nich wytężenie zmysłu, podobne do na=
słuchiwania. Tak i na tym portrecie. Ruch zadartej głowy, wyciągnię=
ta szyja, wszystko pomaga wzrokowi, aby lepiej dostrzegał, dośledził,
przyswoił... Usta nieco otwarte, brew lekko podniesiona, oko sku=
pione na jednym jakimś punkcie. Zwyczajnie jak kiedy malarz zaszpi
się w modelu i o bożym świecie zapomni.

Nie tylko wzrok ale i dusza Marcela zaczęła się tak umie=
ła i zaciekać we wszystkim widzianym, czy żytym, - do bezpamięci.
Nic dziwnego, że świat o niej zapomniał co moment o nim i że o nie=

jedną twardą latarnię po drodze uderzyć musiał głową. Dziwniejsze, że się sam temu nigdy nie dziwił, że na obczyźnie, w najczarniejszych nawet godzinach, gdy tyle tylko świeciło nad nim słońca, ile go miał w swym herbie - nie złorzeczył światu, ale tak dziecinnie szczerze i rozdzierająco bezradnie, oskarżać się potrafi przed kolegą przyjacielem :

- Nie umię ja żyć, nie umię...

Istotnie żyć nie umiał. Umiał natomiast - bodajże już w powijakach, tak rysować, że oczom wierzyć trudno.

Przedziwnyż bo wogóle był dom tych Maszkowskich. Zapewne. Ojciec sam tęgi malarz, pedagog wytrawny, człowiek zagospodarowany w sztuce, jak w domu - matka wykształcona, muzykalna, entuzjastka, umiejąca patrzeć i czuć i mówić (n b. Niemka z rodu). Ale ani wysoka kultura obojga, ani stopień zdolności ojca nie tłumaczą jeszcze bengalskich światłotrysków tej fantazji i tych talentów, jakie im się po kołyskach zalęgły.

Było z tego - oczywista- wiele pociechy, ale i zmartwienia nie mało. Zupełnie jak bajka : Był raz jeden malarz, miał trzech synów i trzy córki...

Karol, w męskim szeregu najstarszy, umysł leonardowej jakiejś rasy na słowiańskim wydmuchu zabłąkany. Więcej ziarna, niż zbioru. Inżynier, muzyk, rzeźbiarz, malarz, poeta, żołnierz z 1863 r , społecznik i organizator, który z pod lawiny darów bożych do końca życia wydobyć się nie mógł. Umarł jako profesor politechniki we Lwowie.

Młodszy, Rafał, wysokiej miary skrzypek, artysta pełnej krwi, później wytrawny teoretyk muzyki, przez całe wybredne Niemcy podziwiany dyrygent, koncertmistrz i znawca. Na domiar o rysach takiej urody, że idealista Grottger wyznaje z zachwytem, że piękniejszego nadeń człowieka nie widział.

Wreszcie Marcel, mistrz ołówka, wirtuoz rysunku, o technice wręcz jedynej w Polsce, nad którego " główkami" -gdy on sam w usta nie miał co włożyć - nieraz gęby otwierały Bawary i inne Szwaby, jak mawiał.

Talent trzech córek pana Jana ograniczał się - czego bynajmniej lekceważyć nie należy ! - do czułego i ofiarnego kochania swoich genialnych braci. Naturalnie, że wszystkie były muzykalne i - jakkolwiek Bóg je ustrzegł same od talentów, miały w mniejszym lub większym stopniu słoneczny humor Maszkowskich, ich dobroć i jedyną w swoim rodzaju życiową fantazję.

Najwcześniejszy znany mi wizerunek Marcela własny, wykonany w roku 1855, gdy miał lat 18 - zachował się na rzadkiej dziś wielce

a i wówczas w podobno ośmiu zaledwie egzemplarzach odbitej lito=grafii. Jest to grupa ówczesnych przyjaciół, której ośrodek świetlany stanowiła dusza Mieczysława Pawlikowskiego, aczkolwiek na rysunku, choć sam niewątpliwy iniciator i fundator tej wspólnej pamiątki, ustąpił pierwszego miejsca poecie Romanowskiemu. Są tam : Mieczysław Romanowski, Pawlikowski, Wolski Ludwik, Ignacy Kamiński, Kałmucki, Sztymer, Bruno Bielawski, August Bielowski, Karol Maszkowski i Marcel . Pośród dziesiątka postaci Marcel jest najmłodszy. Zupełnie jeszcze pacholęca, ładna twarz, z długimi, zaczesanymi za uszy włosami... Wierzyć się nie chce, że to on narysował te żywe, tak rozmaite głowy, te oczy patrzące każde po swojemu, twarze z których kilka stanowi do dziś dokument doskonały rodzinnych podobieństw... Naturalnie, że zaważył tu wpływ Kriehubera i gładkie akwarele starego Rejchana, przede wszystkim jednak zaważyło to, że stary Maszkowski umiał ustawić wzrok, jak Garcia stawiała głos, - że codzienna tresura młodych oczu patrzących na " porządne" rysowanie w pracowni Ojca, dopomagała do absolutnie pewnego widzenia i przytrzymywania na gorąco natury i prawdy.

Dom Maszkowskich żył sztuką w dosłownym znaczeniu tych wyrazów. Obraz nowy, książka, utwór muzyczny, odegrany porywająco, to były najważniejsze wypadki, jakie się mogły zdarzyć. Dobra muzyka zwłaszcza była potrzebna tym ludziom, jak innym posiłek. Postacie Schillerowskich tragedii i liryka Heinego były źródłem, z którego czerpali nigdy nie słabnący zachwyt i moc codziennych cytatów. Maszkowscy, zaprzyjaźnieni z Teofilem Januszewskim, mieli -jedni z pierwszych - dostęp do niewydanych jeszcze wówczas pism pośmiertnych Słowackiego. Karol wyrzeźbił pierwszy i najlepszy dotąd biust Juliusza, obaj z moim Ojcem byli jednymi z pierwszych zaprzysięgłych we Lwowie jego wielbicieli. Poza tym, wskutek niemieckości szkół i podświadomego może nawet wpływu matki, Niemki, pomimo konfederatek - nazbyt po polsku w domu nie było... Karol tłumaczył Heinego, komponował do jego wierszy muzykę. Jedną pieśń " Der Fichtenbaum steht einsam.." śpiewała nieraz Mama z jego akompaniamentem. Podobała mi się, ale nie musiała być prosta, bo jej nie zapamiętałam. Rafał grywał na skrzypcach - akompaniowały siostry : Frynia, Minia i Joasia, a przy każdej nadarzonej okazji, gdy się tylko parę osób zeszło, wieczorem czy popołudniu, tańcowano na zabój. Maszkowscy, Grottger - z którym przyjaźń zawiązała się była na długo przed wyjazdem na studia tamtych - Ojciec mój, mieli sławę świetnych tancerzy, a już niedoścignionych wprost mazurzystów.

a i wówczas w podobno ośmiu zaledwie egzemplarzach odbitej lito=grafii. Jest to grupa ówczesnych przyjaciół, której ośrodek świetlany stanowiła dusza Mieczysława Pawlikowskiego, acz=kolwiek na rysunku, chociaż sam niewątpliwy inicjator i fundator tej wspólnej pamiątki, ustąpił pierwszego miejsca pośrodku Romanowskiemu. Są tam : Mieczysław Romanowski, Pawli-kowski, Wolski Ludwik, Ignacy Kamiński, Kalinucki, Sztymer, Bruno Bie=lawski, August Bielowski, Karol Maszkowski i Marcel. Pośród dzie=siątka postaci Marcel jest najmłodszy. Zupełnie jeszcze pacholęca, ładna twarz, z długimi, zaczesanymi za uszy włosami... Ierzyć się nie chce, że to on narysował te żywe, tak rozmaite głowy, te oczy pa=trzące każde po swojemu, twarze z których kilka stanowi do dziś dokument doskonały rodzinnych podobieństw... Naturalnie, że zaważy tu wpływ Kriehubera i gładkie akwarele starego Rejchana, przede wszystkim jednak zaważyło to, że stary Maszkowski umiał ustawić wzrok, jak Garcia stawiała głos, - że codzienna tresura młodych oczu patrzących na " porządne" rysowanie w pracowni ojca, dopomagała do absolutnie pewnego widzenia i przytrzymywania na gorąco natury i prawdy.

Dom Maszkowskich żył sztuką w dosłownym znaczeniu tych wyrazów. Obraz nowy, książka, utwór muzyczny, odegrany porywająco, to były najważniejsze wypadki, jakie się mogły zdarzyć. Dobra muzyka zwłaszcza była potrzebna tym ludziom, jak innym posiłek. Posta=cie Schillerowskich tragedii i liryka Heinego były źródłem, z któ=rego czerpali nigdy nie słabnący zachwyt i moc codziennych cytatów. Maszkowscy, zaprzyjaźnieni z Teofilem Januszewskim, mieli - jedni z pierwszych - dostęp do niewydanych jeszcze wówczas praw pośmiert=nych Słowackiego. Marcel wyrzeźbił pierwszy i najlepszy dotąd biust Juliusza, obaj z moim Ojcem byli jednymi z pierwszych zaprzysięgłych we Lwowie jego wielbicieli. Poza tym, wskutek niemieckości szkół i podświadomego może nawet wpływu matki, Niemki, pomimo konfederatek - nazwyt po polsku w domu nie by=ło... Karol tłumaczył Heinego, komponował do jego wierszy muzykę. Jedną pieśń " Der Fichtenbaum steht einsam.. " śpiewała mierze Mama z jego akompaniamentem. Podobała mi się, sie nie musiała być prosta, bo jej nie zapamiętałam. Rafał grywał na skrzypcach - akompaniowały siostry : Tryma Minia i Józsia, a przy każdej nadarzonej okazji, gdy się tylko parę osób zeszło, wieczorem czy popołudniu, tańczono na zabój. Maszkowscy, Grottger - z którym przyjaźń zawiązała się była na długo przed wyjazdem na studia tam=tych - Ojciec mój, mieli sławę świetnych tancerzy, a już niedości=gnionych wprost mazurzystów.

Materialnie stale bywało kuso, co jednak nigdy nie krępowało gościnności i rzadki bywał w tym domu zasiad bez jakichś gości nadarzonych czy przygarniętych. Warsztat sztuki nie spoczywał nigdy. Zawsze się coś ciekawego zaczynało, działo, czy kończyło. Ktoś komuś pozował.. Ktoś coś głośno czytał, czy deklamował. Muzyka rozmaita, do tańca i do różańca rozlegała się niemal zawsze w zimnawych często, niedopalonych pokojach. Dopiero z małżeństwem Fryni, która wyszła za Ignacego Jakubowicza, zamożnego ormianina, człowieka nieporównanego serca, który pokochawszy całą rodzinę żony, otworzył jej i te serce poczciwe i kieszeń - zrobiło się nieco swobodniej wszystkim. Potrzeba wrażeń i zachwytu była u tych ludzie tak wielka, że starzy już - miewali jeszcze fantazje szesnastoletnie...

Przypomniano sobie naprzykład pewnego dnia, że "stary Maszkowski" nie był w życiu we Włoszech. Pod wpływem tego faktu, pod działaniem nagłej, zbiorowej tęsknoty do słońca i piękna, zabrał Jakubowicz oboje starych Maszkowskich, żonę i dwie małe córeczki coprędzej i pojechali wszyscy do Neapolu.

Chłopcy kończyli szkoły we Lwowie. Karol świetnie, tamci ociągliwie, zwłaszcza Marcel. Gdyby tego chłopca wziął był wtedy kto za łokieć, jakiś impresario opatrznościowy i wywiózł zagranicę, karmił, pilnował, odziewał i uczył - byłby się Marcel napewno gorzej bawił, ale byłby żył dłużej, było by po nim zostało więcej, i jeszcze świetniejszego niż te brylantowe opiłki talentu, który szlifował się samorzutnie, dopadkami, a którego całego zapasu Marcel nawet rozpakować nie zdążył. Był, jak cudowne dziecko puszczone samopas w świat, rozbawione i beztroskie, które każda przeszkoda wprawiała w osłupienie.

Wartości pieniędzy nie pojmował zupełnie. Dużo-mało-nie ma -- to były pojęcia. Pamiętał conajwyżej cyfry sum potrzebnych do wykupienia zastawionych rzeczy. A bywały pośród nich takie skarby, jak paltot zimowy i - o zgrozo! - ukochane skrzypce Rafała. Pieniądze to było powietrze do oddychania, takie jakieś złośliwe powietrze, którego raptem umiało zabraknąć i gdy on się dusił wtedy, inni jakimś cudem oddychali swobodnie. Coś się robi podobno, żeby nie mieć niespodzianek, ale jak i co, tego nie dociekał nigdy. I do rozsprzedaży rysunków byłby potrzeby impresario. Opowiadał mi Tatko, jak nieraz w monachijskiej piwiarni, do której chadzali, robił się ścisk koło ich stolika. Marcel rysował błyskawicznie szkice głów obecnych, a potem królewskim gestem rozdawał każdemu, kto sięgnął. gdy brakło papieru w teczce, rysował na marmurze stolika, z którym potem zachwycony gospodarz nie wiedział co począć. Rozumiał pewien związek między obrazem a kupującym, ale go ten proceder niee

cierpliwił i mierził.

Jak dalece oryginalne były jego poglądy na sprawy tego świata, dowiódł pewnego razu, gdy jeszcze w szkołach, nie mając własnego grosza przy duszy, wybrał z pięknej, rodzicielskiej biblioteki naręcz książek - dla niepoznaki każdego dzieła po jednym tomie! - aby sprzedawszy je za bezcen na tandecie, kupić mamie na imieniny nowe rękawiczki... Fakt! Ostatnią parę butów były się podzielił z kolegą, gdyby wogóle buty jego przedstawiały częściej jakąś uchwytną wartość.. Wydać - pożyczyć - nie mieć... Tak szło zawsze w kółko. Naturalnie, że póki było w domu, niedaleko mamy i sióstr, każda sytuacia przedstawiała się lżej. Zagranicą dopiero stanął oko w oko lekceważonym mocom.

Monachium było wprawdzie tanie, ale obyczaj płacenia istniał. Co gorsza, istaniały pokusy we Lwowie bądź nieznane, bądź niedostępne. Monachijski karnawał w zimie, gromadne wycieczki z wiosną, modelki, ("piękne mnichowianki" jak je określa przemiły trzpiot Dylczyński w swych listach do Ojca,) jakieś Emilie i Pepi - ta Pepi której żałosne wspomnienie spać nie daje Marcelowi w Lipsku i w pustym żołądku potomka Zyndrama w Maszkowic budzi głód okrutny. Marcel bowiem zakochany był stale, zmieniał się tylko przedmiot jego afektu i to w tempie dość szybkim.

Raz, zagorzał dla jakiegoś vis-a-vis... Dla istoty, którą widywał szyjącą w oknie. Szyła albo czytała... widział jedynie jej profil, ale za to przecudny. En face'u nie był już nawet ciekaw. Rysował - kochał ! Koledzy zadali sobie trudu by wytropić objekt z bliska, po czym wyszło na jaw, że "cudna" miała tylko jedno oko. Druga połowa twarzy bez oka była jakimś wypadkiem uszkodzona.

-Ależ Marcel! Ona ma tylko jedno oko! -szydzili bez litości

- Ale jakie ! - odpowiadał niezłomny wielbiciel.

Cała młoda malaria, oraz znajomi serdeczni z innych zawodów trzymali się wiernie razem, tak jak ich widać na dwu małych dagueretypach, które posiadam i jakich replika znajduje się w Ossolineum. Izydor Jabłoński, Pentner, Antoni Rejcheberg, nieoszacowany, najpoczciwszy " świątek", pogotowie ratunkowe kolegów! - Grottger, Marcel, mój Ojciec, Póżniej przybyli Matejko, Wołłowicz, Filippi Dylczyński, Rafał i kochany przez wszystkich Oleś Gryglewski.

Działo się bractwu rozmaicie, bo wydatki były różnolite, a posyłki pieniężne z kraju spaźniały się nieraz dotkliwie. Mecenasi jak Dzieduszycki, Pawlikowski, Pietruski, Lewicki - każdy miał swego ptaka niebieskiego albo i kilku na wikcie, któremu od czasu do czasu przygarść siemienia sypnął.. Utuczyć się tym było trudno, ale żyć

cierpliwi i mierzi.

Jak dalece oryginalne były jego poglądy na sprawy tego świa-
ta,dowiódł pewnego razu,gdy jeszcze w szkołach nie mając własnego
grosza przy duszy,wybrał z pięknej,rodzicielskiej biblioteki na-
ręcz książek - dla niepoznaki każdego dzieła po jednym tomie! - aby
sprzedawszy je za bezcen na tandecie,kupić mamie na imieniny nowe
rękawiczki.. Fakt! Ostatnią parę but w byłby się podzielił z ko-
legą,gdyby w ogóle buty jego przedstawiały cząstkę jakąś uchwytną
wartość.Wydać - pożyczyć - nie mieć... Tak szło z wasze w kółko.
Naturalnie,że póki było w domu niedzielo mamy i siostr,każda xxxx
sytuacja przedstawiała się inaczej. Zagranicą dopiero stanął oko w
oko lekceważonym mocom.

Monachium było wprawdzie tanie,ale obyczaj płacenia iste-
niał. Co gorsza,istniały pokusy we Lwowie bądź nieznane,bądź nie-
dostępne. Monachijski karnawał w zimie, gromadne wycieczki z wios-
ną,rodelki,("piękne monachowianki" jak je określa przemiły trzpiot
Dyleczyński w swych listach do Ojca,)jakieś Fritzie i Pepi -ta Pepi
której żałosne wspomnienie spać nie daje Marcelowi w Lipsku i w
pustym żołądku potomka Zyndrama w Maszkowic budzi głód okrutny.
Marcel bowiem zakochany był stale,zmieniał się tylko przedmiot
jego afektu i to w tempie dość szybkim.

Raz zagorzał dla jakiegoś vis-a-vis..(dla istoty,która wi-
dywał szyjącą w oknie."Szyła albo czytała.. widział jedynie jej
profil,ale za to przecudny. xxxxxxxx znajomie był już nawet ob-
kraw. Rysował - kochał ! Koledzy zadali sobie trudu by wytropić xx
xxxjąx obiekt z bliska,xxxxx po czym wyszło na jaw,że "cudna"miała
tylko jedno oko. Druga połowa twarzy xxx bez oka była jakimś wy-
padkiem uszkodzona.

-Ależ Marcel! Ona ma tylko jedno oko! -szydzili bez litości

- Ale jakie ! - odpowiadał niezłomny wielbiciel.

Cała młoda malarnia,oraz znajomi serdeczni z innych zawodów
trzymali się wiernie razem,tak jak ich widać na dwu małych dagero-
typach,które posiadam i jakich replika znajduje się w Ossolineum.
Izydor Jabłoński,Pentner Antoni Rejchenberg,nieoszacowany,najpocz-
ciwszy "świętek",pogotowie ratunkowe kolegów!- protegé Marcel,
mój Ojciec.xxxxxxxx Później przybyli Batłko,Wołłowicz,Filippi
Dyleczyński Rafał i kochany przez wszystkich Oleś Gryglewski.

Działo się bractwu rozmaicie,bo wydatki były różnolite,a
pożyczki pieniężne z kraju spadały nie mniej dotkliwie. Naczelni
ak Dziedzuszycki,Pawlikowski,Pietruski Dewicki - każdy miał swego
ptaka niebieskiego albo i kilku na wikcie,i trzeba od czasu do cza-
su przygarść ziemniaków sypnąć.. Utrzymać się tym było trudno,ale żyć

się dało i błogie było poczucie, że jakieś tam " pańskie oko" śledzi chudzinę aż z kraju i do ostatniej zagłady nie dopuści. Maszkowscy dostawali zasiłki głównie od rodziny, co miało swoje dobre ale i złe strony. Lżej było sumieniu, jeżeli się na lekkoducha obruszał mecenas, niż gdy się zgryźli rodzice.

Gdy Marcel i Ojciec - z wielkimi, przez siostry włóczką haftowanymi torbami w ręku, w płaskich czapkach z lakierowanym daszkiem, szkatułkami farb, w rozwianych surducikach i spodeńkach w duże kraty - przybyli do Monachium, gdy - jak to uwiecznił Marcel w karykaturze - stanęli z zadartymi głowami przed mariackim tumem " Mnichowa", z dwiema, charakterystycznymi dla sylwety miasta wieżycami, podobnymi do smukłych kufli piwa, - gdy się rozlokowali w nowej kwaterze i Ojciec mój przybił na gołej ścianie pracowni swój z dwu kawałków składany, czarny krzyż "podróżny", który go nigdy nie opuszczał - pierwszą pielgrzymką obydwu była oczywiście stara Pinakoteka.

Szwagier Maszkowskich - z niewiadomych mi dziś powodów, podążył też na studia aż do Monachium i słuchał tam wykładów chemii słynnego Liebiga. Znając wszelako temperament rodzinnych uczuć Maszkowskich, skłonna jestem przypuścić, że zaważyła tu nie tyle firma Liebiga, ile kochająca intryga Fryni, która, tęskniącym w Mnichowie braciom, chciała tam stworzyć od zniechcenia przytulną, własną ambasadę...

A było to oparcie nielada! Bo i dom ciepły, swojski, rodzony, - ludzie dobrzy i wykształceni, towarzyscy i zamożni - słowem: przystań, do której zawijały nieraz lwowskie okręty w różnym, przeróżnym stanie.

I Jakubowiecze właśnie zapoznali zczasem ich obu z bawiącą w bawarskiej stolicy Polonią. Rozpoczęła się nauka a równocześnie, z wiosną zwłaszcza, wycieczki w prześliczne okolice miasta - do Nymphenburga i Grosshesslohe... Muzykowano, zwiedzano gromadnie piękne zbiory - tańczyło się często i namiętnie.

Strasznie kochałam tę ojcową młodość ! Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których był wesoły i szczęśliwy, znałam z rysunków i dagerotypów wszystkich ludzi, którzy go otaczali wówczas, którzy mu byli bliscy i drodzy, którzy kochali go wzajemnie. Czasy, gdy mu się jawiła wielka pani Sztuka, jak owa przecudna a kusząca " Królowa Śniegu " z bajki Andersena, za którą biedny chłopak w zadymkę i noc, na ubożuchnych swoich saneczkach podąża..
I jemu marzyło się jakieś wielkie dzieło życia, o jakim później pisał z Lipska Marcel..." dzieło wielkie, ukończone, przemyślane,

się dało i błogie było poczucie, że jakieś tam " pańskie oko" śledzi chudzinę aż z kraju i do ostatniej zaglądy nie dopuści. Paszkows=cy dostawali paczki głównie od rodziny, co miało swoje dobre xxxx ale i złe strony. Lżej było sumieniu, jeżeli się na lekkoducha obru=szał mecenas, niż gdy się zgryzli rodzice.

Gdy Marcel i Ojciec - z walizkami, przez siostry włóczką haftowanymi torbami w ręku, w płaskich czapkach z lakierowanym daszkiem, szlachetkami herb w rozmaitych surducikach i spodeńkach w duże kraty - przybyli do Monachium, xxx gdy - jak to uwiecznił Marcel w karykaturze - stanęli z zadartymi głowami przed mariackim turem " Münchenwa", z daleka, charakterystycznymi dla sylwety miasta wieżycami, podobnymi do smukłych kufli piwa, - gdy się rozlokowali w xx nowej kwaterze i Ojciec mój przybił na gołej ścianie pracowni xxx swój z dwu kawałków składany, czarny krzyż "podróżny", który go nigdy nie opuszczał - pierwszą pielgrzymką obydwu była oczywiście stara Pinakoteka.

Szwagier Paszkowskich - z niewiadomych mi dziś powodów, podążył też na studia aż do Monachium i słuchał tam wykładów chemii słynnego Liebiga. Znając wszelako temperament rodu moich uczuć Paszkowskich, skłonna jestem przypuścić, że zaważyła tu nie tyle xxxxx firma Liebiga, ile kochająca intryga Fryni, która, tęskniącym w Monachowie braciom, chciała też stworzyć od umieszczenia przytulną, własną ambasadę...

A było to oparcie niełada! Bo i dom otwarty, swojski, rodzinny - ludzie dobrzy i wykształceni towarzyscy i zamożni - słowem: przystań do której zawijały niejedne lwowskie okręty w różnym, prze=różnym stanie.

I Jakubowicze właśnie zapoznali zaraz tych obu z bawią=cą w bawarskiej stolicy Polonią. Rozpoczęła się nauka a równocześ=nie, z wiosną zwłaszcza, wycieczki w prześliczne okolice miasta - do Nymphenburga i Grosshesselohe... Muzykowano, zwiedzano przepiękne zbiory - tańczyło się często i namiętnie.

Strasznie kochałam tę ojcowską młodość! Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których był wesoły i szczęśliwy, znałam z rysun=ków i dagerotypów wszystkich ludzi, którzy go otaczali wówczas, którzy mu byli bliscy i drodzy, którzy kochali go wzajemnie. Czasy, gdy mu się jawiła wielka pani Sztuka, jak owa przecudna a kusząca " Królowa Śniegu " z baśni Andersena, za którą biedny chłopak w zadymkę i noc, na ubożuchnych swoich saneczkach xxxxxxxx podąża.

I jemu marzyło się jakieś wielkie dzieło życia, o jakim później pisał z Lipska Marcel..." dzieło wielkie, ukończone, przemyślane,

xxxxxxxxxxxxxxx

imponujące..." Niestety Życie - mecenas bogaty, lecz diablo kapryś=ny, i jednemu i drugiemu nie pozwoliło wyśnić marzenia...

W jednej z najgłębszych, najmniej dostępnych szuflad Ojca, spoczęło po latach wszystko : teki ojcowe, szkicowniki, świetne studia i karykatury ówczesne, a w nich ta ich wspólna szczęśliwa młodość " monachijskie czasy" o których opowiadał doskonale, acz rzadko... Człowiek wielkiego dowcipu i pogodnego napozór humoru, taił w sobie głęboką i dośmiertną melancholię, której toń ciemna dzieliła go od tamtych czasów bezpowrotnie... Marcel umarł młodzieńcem, spalił się, jak świetny ogniotrysk, umarł na własne swoje -życie! Ojcu wypadło wybrać między dalszym, żmudnym dążeniem ku ideałom i Sztuce, a stworzeniem sobie rodziny i domu, które, w jego warunkach zwłaszcza ciasnych i mozolnych - tamtą swobodę wykluczały na zaw=sze. Wybrał dom. Wybrał nas. Zamiast zdobywczego pędu, utalentowany i w kunszt niepośledni zasobny, zaprzągł swe siły i umiejętność do pracy niekochanej, do szkolnej nauki rysunku, gdzie wśród ornamen=tów i gipsów -on - entuzjasta, przyjaciel i towarzysz największych, służebnik wolnego piękna, miłośnik ideału i poezji - niepocie=szony, choć milczący zachodził w cień, starzał się i nieraz, gdy jaka zręczna a wygadana miernota zdobywała sobie w jego oczach, pod jego ręką nieomal uznanie, rozgłos ba! nawet i sławę - cierpiał pewno głęboko, ale zawsze bez słów... Żył domem, wspomnieniami, dobrą lekturą, muzyką - kochający, przemiły, przeważnie pogodny a Marcel żył razem z nami...

Do tek ojcowych zachodziło się rzadko. Zwłaszcza do tej jednej, wyszarzałej...Między twardszy papier jej czystych stronnic powkładane starannie, jak wiązki opłatków, leżały pożółkłe brzegami karteluszki z Marcelowymi szkicami. Nazywało się to "szkice" a było nieraz wykończone, jak banknot.

Pamiętam sposób z jakim Tatko nabożnie i umiejętnie, ujmo=wał w palce te arkusiki cienkiego papieru, z ciemnym, gotyckim "m" na prawym rożku. A na nich szarzały arcydzieła humoru, semtymentu i tej wirtuozowskiej marcelowej techniki, polegającej na zatrzęsie=niu kresek ostrych, jak igła, lekkich jak włos, świadomych każda z osobna zbiorowego sensu i wyrazu głowy. Wyraz ! Otóż to właśnie. Jak się to działo, że ten lekkomyślny chłopiec, naiwny dzieciak w ży=ciu, rozbawiony wiecznie, o ile nie głodny, tak mógł rozumieć duszę ludzką, tak ją podpatrzeć do korzenia ? Jakim cudem, rysując z natu=ry młodzieńczą głowę mego ojca w Monachium -dał jej - już wówczas - wyraz hardego, zatajonego smutku, który miał jego duszą zawładnąć dopiero po latach? Rysunek ten przepyszny, darowałam do Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie przepadł bez śladu.

imponujące..." Niestety życie - mecenas bogaty lecz dziwnie kapryśny, i jednemu i drugiemu nie pozwoliło wyśnić marzenia...

W jednej z najgłębszych, najmniej dostępnych szuflad Ojca, spoczęło po latach wszystko : teki ojcowe, szkicowniki, świetne studia i karykatury ówczesne, a w nich ta ich wspólna szczęśliwa młodość " monachijskie czasy" o których opowiadał doskonale, acz rzadko... Człowiek wielkiego dowcipu i pogodnego na pozór humoru, taił w sobie głęboką i dośmiertną melancholię, której też cierpnął dzielił go od tamtych czasów bezpowrotnie... Marcel umarł młodziem, spalił się, jak świetlny ogniotrysk, umarł na własne swoje - życie. Ojcu wypadło wybrać między dalszym, żmudnym dążeniem ku ideałom i Sztuce, a stworzeniem sobie rodziny i domu, które, w jego warunkach zwłaszcza ciasnych i mozolnych - tamte swobodę wykluczały na zawsze. Wybrał dom. Wybrał nas. Zamiast zdobywczego pędu, utalentowany i w kunszt niepośledni zaczony, zaprzągł swe siły i umiejętność do pracy niekochanej, do szkolnej nauki rysunku, gdzie wśród ornamentów i gipsów -on - entuzjasta, przyjaciel i towarzysz najświetszych, służebnik wolnego piękna, miłośnik ideału i poezji - niepocieszony, choć milczący zachodził w cień, starzał się i mierzał, gdy jakże zręczna a wygadana miernota zdobywała sobie w jego oczach, pod jego ręką niemal uznanie rozgłos na! nawet i sławę - cierpiał pewno głęboko, ale zawsze bez słów... Żył domem, wspomnieniami, dobrą lekturą, muzyką - kochający, przemiły, przeważnie pogodny a Marcel żył razem z nami...

Do tek ójcowych zachodziło się rzadko. Zwłaszcza do tej jednej wyszarzałej... Między twardszy papier jej czystych stronnic powkładane starannie jak wiązki opłatków leżały pożółkłe urzędami karteluszki z Marcelowymi szkicami. Nazywało się to "szkice" a były niemal wykończone jak pamiątki.

Pamiętam sposób z jakim Tatko nabożnie i umiejętnie, ujmował w palce te arkusiki cienkiego papieru z ciemnym gotyckim "M" na prawym rożku. A na nich szarzały arcydzieła humoru, sentymentu i tej wirtuozowskiej marcelowej techniki, polegającej na zatrzęsieniu kresek ostrych, jak igła, lekkich jak włos, świadomych każda z osobna zbiorowego sensu i wyrazu głowy. Wyraz ! Otóż to właśnie jak się to działo, że ten lekkomyślny chłopiec, naiwny dzieciak w życiu, rozbawiony wiecznie, o ile nie głodny, tak mógł rozumieć duszę ludzką, tak ją podpatrzeć do korzenia ? Jakim cudem, rysując z natury młodzieńczą głowę ojca w Monachium mego - dał jej - już wówczas - wyraz hardego, zatajonego smutku, który miał jego duszę zawładnąć dopiero po latach? Rysunek ten przeczyszczony darowałam do Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie przepadł bez śladu.

Gdyby nie pokwitowanie dra. Kopery, mógłbym przypuszczać, że mi się tylko śniło. Albo taka głowa Schillera ! Profil bujnowłosy, młody, o wyrazie skupionej ekstazy, rysunek-wizja, oparty w równej mierze na materiałach do Schillerowskiej ikonografii, jak na własnym, medialnym odczuciu rysów ukochanego poety, najbardziej może mistrzowski okaz kreskowej Marcelowej maniery, modelujący ostrym ołówkiem w niewiarygodnie subtelny sposób " wywoływane" rysy.

Nie był Marcel zapoznany w Monachium. Niczym osobliwym nie zastanawiał wówczas profesorów Matejko, nie bardzo się poznawali na Grottgerze, zwłaszcza, że obaj nazwani, do zbyt pilnych bywalców Akademii nie należeli. Marcel jeden zdumiewał i radował pedagogów takich jak Moritz Schwind i stary Kaulbach, budził niepokój i ciekawość kolegów, jak np. Lienzen Mayer, Węgier, o niemieckim nazwisku, tęgi malarz , z czasem i szlachetny rysownik ilustrator.

Gdyby tylko nie te " piękne Miechowianki" , nie ta nieuchwytność pieniądza, nie ta nieodporność na pokusy, tak w skutkach swoich żałosne ! I te zupełnie- ale to zupełnie opaczne poglądy, na " ma " i " winien" ! Po tym ostatnim następowało nieodmiennie słowo " pożycz" ! -proste i krótkie, którego chybiony często efekt raczej rozżalał, niż obrażał. Gdy między najbliższymi kredyt wysechł apelowało się przez Olesia Gryglewskiego do Fryni, a przez nią do Jakubowicza. Niewyczerpanie poczciwy szwagier bywał jednak czasem zacięty, pewno dla pedagogiki raczej, niż skąpstwa, czasem i Fryni już bywało za dużo i wtedy rozlegał się lament w listach do domu i nieobecnych kolegów. W tych terminach jednakże, podobnych żywcem do niektórych scen " Cyganerii" (bo i Marcel i pracownia i pożegnanie z odzieżą idącą do lombardu i różne Mimi i Musetty, nazywające się tu Pepi i Emilie...) kruszyło się i marnowało niezbyt zresztą stalowe od urodzenia zdrowie i życie Marcela.

Powoli kolonia malarska urosła do sporej gromadki" rodaków ". Epokę tę opisał sumiennie acz niezbyt wprawnie Izydor Jabłoński we wspomnieniach swoich, ogłoszonych w " Lamusia". Różne były stopnie talentów, różnolite charaktery pośród tej grupy, bardzo nierówne drogi, jakimi się rozproszyła później po świecie, ale ciepło przyjaźni jaka złączyła tych ludzi już wtedy, nie ostygła z latami i w rękach moich znalazły się całe stosy jej śladów, do pożółkłych papierów i starych fotografii przywarłych, w których dusza tamtych czasów, dziecinna trochę, ale lotna, wesoła, jak ptak, choć przygłodna czasem - dusza Tatkowych " monachijskich czasów" i tamtych wszystkich lekko i piękno- duchów, żyje i albo się śmieje wgłos, albo się skarży rozdzierająco...

Gdyby nie pokwitowanie dra. Kopery,rog abym przypuszczać,że mi się tylko śniło. Albo taka głowa Schillera ! Profil bujnowłosy,młody, o wyrazie skupionej ekstazy rysunek-wizja oparty w równej mierze na materiałach do Schillerowskiej ikonografii,jak na własnym medialnym odczuciu rys w ukochanego poety. Najbardziej może mistrzowski oraz kreskowej Marcelowej maniery, podkreślający ostrym ołówkiem w niewiarygodnie subtelny sposób " wywoływane" rysy.

Nie był Marcel zapoznany w Monachium. Niczym osobliwym nie zastanawiał wówczas profesorów Matejko, nie bardzo się poznawali na Grottgerze, zwłaszcza że ową nazwami,do zbyt pilnych bywalców Akademii nie należeli. Marcel jeden zdumiewał i radował pedagogów takich jak Moritz Schwind i stary Kaulbach, budził niepokój i ciekawość kolegów jak np.Liezen Mayer, Węgier,o niemieckim nazwisku,tego malarza ,z czasem i szlachetny rysownik ilustrator.

Gdyby tylko nie te " piękne Miechowianki" , nie ta nieuchwytność pieniędza, nie ta nieodporność na pokusy,tak w skutkach swoich żałosne ! I te zupełnie- ale to zupełnie opaczne poglądy,na "me " i " winien" ! Po tym ostatnim następowało nieodmiennie słowo " pożycz" ! -proste i krótkie którego chybiony często efekt rzeczy rozżalał niż obrażał. Gdy między najbliższymi kredyt wyczerpał apelowało się przez Olesia Grylewskiego do Fryni,a przez mnie do Jasnowicza. Niewyczerpanie poczciwy szwagier bywał jednak czasem zacięty,pewno dla pedagogiki raczej,niż skąpstwa. czasem i Fryni już bywało za dużo i wtedy rozlegał się lament w listach do domu i nieobecnych kolegów. W tych terminach jednakże,podobnych żywcem do niektórych scen " Cyganerii" (bo i Marcel i pracownia i pożegnanie z odzieżą idącą do lombardu i różne Mimi i Musetty,nazywające się tu Pepi i Emilie...) kruszyło się i marnowało niezbyt zresztą stalowe od urodzenia zdrowie i życie Marcela.

Powoli kolonia malarska urosła do sporej gromadki rodaków Epokę tę opisał sumiennie acz niezbyt wprawnie Izydor Jabłoński we wspomnieniach swoich,ogłoszonych w " Tamusia". Różne były stopnie talentów różnolite charaktery pośród tej grupy,bardzo nierówne dzieje,którzy się rozproszyli później po świecie,ale ciepło przyjaźni tak złączyła tych ludzi już wtedy, nie ostygła z latami i w rękach moich znalazły się całe stosy jej śladów,do pożółkłych papierów i starych fotografii przywarłych,w których dusza tamtych czasów,dziecinna trochę,ale lotna,wesoła jak ptak choć przygłodna czasami - dusza Tatkowych " monachijskich czasów" i tamtych wszystkich lekko i pięknoduchów, żyje i znów się śmieje wgłos,albo się skarży rozdzierająco...

Tatko mieszkał zrazu z Marcelem. Lokal był jakiś sympatyczny, że zaś obaj lubieni przez wszystkich (mieli w sobie magnes humoru i towarzyskości, który pociągał..) u nich gromadziła się wieczorami " malaria". Każdy przynosił jakie tam miał zapasięta i szło to uczciwie do podziału. Tatko miał gitarę, więc była i muzyka na tych sympozjonach. Daniel Penther deklamował niemieckich klasyków, którymi się chłopcy entuzjazmowali srodze. " Des Sängers Fluch " Uhlanda, " Schilflieder " Lanaua...Schiller zwłaszcza był ukochaniem wszystkich lwowian. Zjawiał się Matejko, któremu, gdy jechał za granicę, dał był M. Darowski list do mego Ojca, kierujący doń pana " Maciejkę " przyswojony serdecznie, ale cihy i jakiś " osobny", przepadnięty całymi dniami po bibliotekach i zakrystiach, muzeach i zaułkach, zbierający motywy i materiały do wydanych później "Strojów polskich ". Na zebraniach koleżeńskich mało był wydatny, czasem tylko, gdy się kto najmniej spodziewał, zaciął dowcipem, jak szpicrutą. Występował z reguły jako tępiciel zagranicy, drwił z entuzjastów niemieckiej literatury, po niemiecku jakby z umysłu, gadał byle jak, ścigał szkolne makaronizmy, którymi grzeszyli lwowianie w niemieckich gimnazjach " uszkoleni"... Przeciwległe pendent do Matejki stanowił Pentner. Ten, rzecz prosta, jako Niemiec z rodu choć mówił dość dobrze po polsku, po za kulturą niemiecką świata nie widział i widzieć nie chciał. Na tym tle bywały lekkie przygryzki..

Raz, na jednym z takich zebrań u Tatka i Marcela, wydobył Tatko swój zabrany z sobą tom Wypisów Cegielskiego, w którym wydrukowany był cały " Jan Bielecki ". Tatko, jak i Maszkowscy, znał już Słowackiego i uwielbiał go fanatycznie, że zaś doskonale czytał głośno, zaproponował że ten utwór, reszcie obecnych nieznany, - przeczyta. Matejko, który ze Słowackim wogóle się był się jeszcze zeszedł - olśnił poprostu. Dobrze znający go Tatko, twierdził, że tak uniesionym nigdy go nie widział. Blada zazwyczaj jak pergamin twarz zabarwiła się, wielkie, ciemne oczy błyszczały :

- Otóż to jest poezia! Co wobec tego Schiller !Te kolory, ten charakter rodzimy ! Musisz mi pożyczyć do domu tę książkę. !

Na krótko przed śmiercią opowiadał mi Tatko raz jeszcze wspomnienie tego wieczoru. Ostatnią książką, jaką czytał w życiu były Listy Słowackiego do Matki. Bieleckiego wiele ustępów umiał na pamięć i wówczas też zacytował mi jeszcze końcowe strofy tego poematu .

- Zawsze mi Bielecki Matejkę przypomni...- mówił - To jest naprawdę jakby wizia jego własnej sztuki. Ta sama technika i patos!

Oprócz Jakubowiczów, gdzie się polska młodzież zbierała i tańcowano w karnawale na umor choć bez dam -jak relacjonuje Jabłoński - przy zimnej zakąsce i piwku,ale za to przy skrzypcach Rafała i takim taperze jak Matejko,który nie tańczył wcale, grał za to świetnie do tańca - bywała swojska gromadka u pułkownikowstwa Chohorznickich.

Pani domu, nr.Buttler z domu i jej bardzo dobrze ułożona córka,czyniły atmosferę trochę mniej domową,niż u Jakubowiczów. Trzeba było dbać bardziej o strój, mozolny,wiadomo czasami,gdy się jest na studiach i ma wiele przeszkód do elegancji. Pan pułkownik natomiast bywając już bez swoich pań,na różnych wycieczkach i wieczorynkach malarskich,był zgoła nie uroczysty...Jawiła się tu u jego boku niejaka Alma von Westphalen jedna z tych komecich istot,których nie lubią żony,a za którymi przepadają starsi panowie.. Rzeczona Alma stała się osełką,na której języki młodzianków ostrzyły się do woli. Stary pułkownik,srodze o jej względy zazdrosny, ona po za jego szerokimi plecami mrugająca oczkiem do Marcela...Ten miał wprawdzie swoją Pepi,ale dlaczegóż nie odpowiedzieć zaczepce ?". Oczywiście,nikt dziś nie dojdzie,jak to tam ono było naprawdę - dość,że dbały o spokój w domu pułkownik,choć jątrzyły go wielce niepokojące symptomy spostrzegane bądź u Almy, bądź u Marcela a podkreślane z umyślną,szatańską nonszalancją przez resztę wtajemniczonych trzpiotów - bolał z godnością i opanowując się dla pozorów,dostarczał swym zachowaniem rozkosznych emocji,śmiejącemu się w kułak audytorium. W pewnej burej wąskiej teczce z Monachium znajduje się szereg ilustracji do tej, na spisku opartej komedii,z których można powziąć wyobrażenie o jej aktorach... Jest tam i Alma,jakaś " westfalska" Idalia z " Nieporawnych "- obstarnia zalotnica z jastrzębim,szwabskim profilem, twardymi,jasnymi oczyma,w sentymentalnej berżerce i pelerynce w kraty , - jest Tako w swoim berecie przy sztaludze,w furji tworzenia, - Marcel śpiący,któremu przez sen jawi się Alma uduchowiona, są jakieś niemieckie dopiski i wiersze niedocieczonego dziś sensu,.- jest ołówkowy portret pułkownika...

Nie ma wątpliwości,że nie wszystkiemu co się działo w Monachowie mogli były przyklasnąć " mecenasi" z Galicji. Toteż gdy Marcel,po jakiejś serji psot przygrubszych uznał za właściwie przenieść się z talentem i pudełkiem farb do Lipska, gdzie mieszkał Rafał, podczas gdy mój Ojciec został jeszcze w Monachium - nadszedł - bez daty,bo pocóż ? - list od Marcela takiej treści :

Oprócz Jakubowiczów, gdzie się polska młodzież zbierała i tańcowano w karnawale na xxxxx tror choć bez dam - jak relacjonuje Jabłoński - przy zimnej zakąsce i piwku się za to przy skrzypcach Rafała i takim taperze jak Matejko, który nie tańczył wcale, grał za to świetnie do tańca - bywała swojska gromadka u pułkownikowstwa Tomorznickich.

Pani domu, mr. Buttler z domu i jej bardzo dobrze ułożona córka, czyniły atmosferę trochę mniej domową, niż u Jakubowiczów. Trzeba było dbać bardziej o strój, xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx mozolny, wiadomo czasami, gdy się jest na studiach i ma wiele przeszkód do elegancji. Pan pułkownik natomiast bywając już bez swoich poł, na różnych wycieczkach i ~~xxxxxxxxxx~~ wieczorynkach malarskich, był zgoła nie uroczysty... Zjawiła się tu u jego boku niejaka Alma von Westphalen jedna z tych ~~xxxxxxxx~~ kobiecych istot, których nie lubią żony, a za którymi przepadają starsi panowie.. Rzeczona Alma stała się osełką, na której języki młodzianków ostrzyły się do woli. Stary pułkownik, srodze o jej względy zazdrosny, ona po za jego szerokimi plecami kopcąca oczkiem do Marcela... Ten miał wprawdzie swoją Pepi, ale dlaczegóż nie odpowiedzieć zaczepce ?. Oczywiście, nikt dziś nie dojdzie, jak to tam ono było naprawdę - dość, że dbały o spokój w domu pułkownik, choć jątrzyły go wielce niepokojące symptomy spostrzegane bądź u Almy, bądź u Marcela a podkreślane z umyślną, szatańską nonszalancją przez resztę wtajemniczonych tryplotów - bolał z godnością i opanowując się dla pozorów, dostarczał swym zachowaniem roz=osznych emocji, śmiejącemu się w kułak audytorium. W pewnej burej wskiej teczce z Monachium znajduje się szereg ilustracji do tej, na spisku opartej komedii, z których można powziąć wyobrażenie o ta jej aktorach... Jest tam i Alma jakaś "westfalska" Idalia z "Niepoprawnych" - ostatnia zalotnica z jastrzębim szwabskim profilem, twardymi, jasnymi oczyma w sentymentalnej berterce i pelerynce w kraty, - jest tako w swoim obrecie przy sztaludze, w furii tworzenia, - Marcel śpiący, któremu przez sen jawi się Alma uduchowiona, ~~xxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~ są jakieś niemieckie dopiski i wiersze niedoczytelnego dziś sensu.. - jest ołówkowy portret pułkownika.

Nie ma wątpliwości, że nie wszystkiemu co się działo w Monachowie mogli byli przyklasnąć "mecenasi" z Galicji. Toteż gdy Marcel, po jakiejś serii psot przygruszczych uznał za właściwe przenieść się z talentem i pudełkiem farb do Lipska, gdzie mieszkał Rafał, podczas gdy mój Ojciec został jeszcze w Monachium - nadszedł - bez daty, bo pocóż ? - list od Marcela takiej treści :

Kochany Karolu !

Posłuchaj pierwej, a potem sądź, bo musisz pewno myśleć o nas niewiedzieć co, że tak długo nie piszemy, pomimo, żeś nas prosił w ostatnim liście o prędką odpowiedź. Otóż słuchaj :

Najpierw dlatego tak długo nie pisaliśmy, bo nie mieliśmy czym zamarkować listu; nie dlatego abyśmy nie chcieli wydać tych 9,-bo obiad za nie dostać można, tylko dlatego, bośmy wcale nie mieli tych 9. I jeszcze się gniewasz na mnie, że nie odpowiadam? Oj, Karolu! My tu kiepskie czasy przeżyli, bardzo kiepskie ! Może to kara za to wszystko co narobiłem do tej pory, a dałby Bóg aby koniec na tym był, ale mnie się zdaje, że to dopiero początek. Cóż ja się mam rozpisywać nad tą biedą, na cóż Cię mam detajlami smutnym robić, bo wątpię abyś szedł za przykładem Ostrowskiego i z tej strony na rzecz patrzył, jak on . - ja znam Twoje serce i wiem, że u Ciebie głowa z sercem razem pracuje ! - Muszę Cię jednak jako tako obeznać z dotychczasowém naszém życiem tutaj, a niech Ci tych kilka faktów służę za miarę.:

Nasze rzeczy wszystkie w zastawie, prócz tych, które na sobie mamy, a drugie : żeśmy przez 4 - sage " vier Tage, nic nie jedli, prócz herbaty, którą Rafał dostawał rano od gospodyni, będąc przymuszonym udawać słabego, bo butów nie miał i przez 14 dni w domu biedaczysko siedział. Więc wygłodziwszy się przez kilka dni, a co przez tydzień najmniej ! na suchym chlebie /!/ pościliśmy nareszcie tych 4 dni o pół porcji herbaty rano. Może się spytasz czego do gospodyni nie poszedłem ? Zaraz Ci odpowiem na to.

Jak wiesz Rafał nie ma skrzypców i okropnie przytym cierpiał, bo przy kiepskim wegetowaniu musiał siedzieć z założonemi rękami i słuchać, jak mu w żołądku gra - to mnie spowodowało na wszystkie strony miny popodkładać, ale żadna nie poszła w górę. Najpierw zrobiłem parę aquarelle i dałem za einem Spottpreis na Kunstverein tutaj. - potem zrobiłem naszej gospodyni córkom portrety, aby kto widział i może głupi dał się zrobić...chciałem koniecznie tych 30 f. skąd dostać, aby skrzypce Rafałowi sprokurować. Tymczasem mi się nie udało, z Kunstvereinu do tej pory niema odpowiedzi, a za portrety, które już wiszą w ramach ładnych, nie wiedzą jak dziękować (chociaż wyprosiłem sobie jede Erkenntlichkeit) ale nikt się nie pytał o cenę.

Więc jak ta bieda na nas nastała, nie mogłem się w żaden sposób do gospodyni udać - wolelibyśmy byli pochorować się z głodu, jak do niej się udać. Aber der Mensch denkt, Gott lenkt...Ja czwartego dnia leżę już osłabiony na sofie, a Rafał mi z łóżka powiada, że jemu się słabo robi - ja klałem na los za..... i poszedłem do gospodyni -ona

Kochany Karolu !

Posłuchaj pierwej a potem sądź bo musisz xxxxxx pewno myśleć o nas niewiedzieć co, że tak długo nie piszemy, pomimo, że nas prosił w ostatnim liście o prędką odpowiedź. Otóż słuchaj :

Najpierw dlatego tak długo nie pisaliśmy, bo nie mieliśmy czym zamarkować listu; nie dlatego gdyśmy nie chcieli wydać tych 3,-bo obiad za nie xxxx dostać można, tylko dlatego, bośmy wcale nie mieli tych 3. I jeszcze się gniewasz na mnie, że nie odpowiadam? Oj, Karolu! My tu kiepskie czasy przeżyli, bardzo kiepskie ! Może to xxxxxxx ka= ra za to wszystko co narobiłem do tej pory, a dałby Bóg aby koniec na tym był, ale mnie się zdaje, że to dopiero początek. Cóż ja się mam rozpisywać nad tą biedą, na cóż Cię mam detajlami smutnymi robić, bo wątpię abyś szedł za przykładem Ostrowskiego i z xxxx tej strony na rzecz patrzył, jak on. - Ja znam Twoje serce i wiem, że u Ciebie gło= wa z sercem razem pracuje ! - Muszę Cię jednak jako tako obeznać z dotychczasowem naszem życiemx tutaj, a nieco xxx Ci tych kilka faktów służą za miarę.:

Nasze rzeczy wszystkie xxxxxxxxxx w zastawie, prócz tych, któ- re na sobie mamy, a drugie : jedliśmy przez 4 - sage ' vier Tage, nic nie jedli prócz herbaty które Rafał dostawał rano od gospodyni, będąc przymuszony udawać xxxxxxx słabego bo butów nie miał i przez 14 dni w domu biedaczysko siedział. Więc wygłodziwszy się przez kilka dni, a co przez tydzień najmniej ! na suchym chlebie /!/ pościliśmy nareszcie tych 4 dni o pół porcji herbaty rano. Może się spytasz czego do gospodyni nie poszedłem ? Zaraz Ci odpowiem na to.

Jak wiesz Rafał nie ma skrzypców i okropnie przytem cierpiał, bo przy kiepskim wegetowaniu musiał siedzieć z założonemi rękami i słuchać, jak mu w żołądku gra - to mnie spowodowało na wszystkie stro= ny miny xxxxxxxx popodkładać, ale żadna nie puszła w górę. Najpierw zrobiłem parę aquarelle i dałem za einen Spottpreis na Kunstverein tutaj. - potem zrobiłem naszej gospodyni córkom portrety, aby kto wie= dział i może głupi dał się zrobić. Chciałem koniecznie tych 30 f. skąd dostać, aby skrzypce Rafałowi sprokurować. Tymczasem mi się nie udało, z Kunstvereinu do tej pory niema odpowiedzi, a za portrety, które już wiszą w ramach ładnych, nie wiedzą jak dziękować (chociaż wyprosiłem sobie xxxx jede Erkenntlichkeit) ale nikt się nie pytał o cenę.

Więc jak ta bieda na nas nastała nie mogłem się w żaden sposób do gospodyni udać - wolelibyśmy byli pochorować się z głodu, jak do niej się udać. Aber der Mensch denkt Gott lenkt.. Ja czwartego dnia leżę już osłabiony na sofie, a Rafał mi z łóżka powiada, że jemu się słabo robi - ja kiełem na los za.... i poszedłem do gospodyni -ona

nas wyratowała od głodu. Ale, jak wczoraj przekonaliśmy się, to tylko początek był, ein komisches Vorspiel zum Drama : dostajemy wczoraj list z domu z pieniędzmi, pierwszy list z domu w Lipsku. Nie mogłem się doczekać i na ulicy czytałem, - ale włosy mi na głowie stają... co tu gadać, co powtarzać ! tylko tyle wiedz że Tato do nas obydwuch razem, bez przedmowy " moi kochani" ect. w krótkich słowach powiada, że ostatni raz do nas pisze! Niech Pan Bóg Fryni to zapomni !

Moje szczęście, że nie posłałem roboty te, które tutaj robiłem, bo to są zwyczajne lekkie aquarelle, lepsze jak do tej pory robiłem, bo więcej rysowałem niż malowałem, ale posłać do Lwa na pokaz - to nie można. To bez przesady musi być dzieło wielkie, ukończone, przemyślane - imponujące ! To jedno może mnie wyratować ! Jeżeli Bóg mnie dopomoże do takiego dzieła, jeżeli On nie jest zagniewany na mnie i ja będę mógł takie dzieło posłać - to jestem wyratowanym i mogę z czystym sumieniem i czołem na łono moich kochanych, biednych rodziców wrócić - jeżeli zaś to przekleństwo, które na mnie ciąży - i ja nie znajdę w sobie dość sił, aby wykonać te dzieło, wtedy sobie w łeb palnę, albo o mnie nikt nie będzie wiedział.

Ale do tego czasu potrzeba, a moi Mecenassy już są na granicy cierpliwości... Dzieduszycki coś komuś mówił, że tylko ten rok mnie wspierać będzie, a Lewicki zaczyna zwątpiać o moim talencie. I tak wszystko przeciwko mnie teraz się skupia, właśnie gdy powinieniem mieć głowę najspokojniejszą ! Ale to jest chwila decydująca - tu się pokaże czy ja wart żyć na świecie i czy mam charakter i silną wolę?

....

Karolu! Ja Ciebie nie przeprosił za wszystko co musisz dla mnie wycierpieć, ale cóż to Tobie pomoże, jeżeli przytym pieniędzy nie będzie, abyś mógł pozaspakajać dłużników - a ja nie mam teraz pieniędzy, ale niezadługo sam im pozapłacam. Powiedz mnie mój kochany Karolu, czy nie mam napisać do Hakla i do drugich ? Może by to ich zaspokoiło? Powiedz mi co ja mam robić, a ja zupełnie Ciebie się będę trzymał.

Co tam z Pepi ? Nie śmiem nawet myśleć o tym wszystkim, to mi po nocach spać nie daje - nawet w nocy czułem żem głodny. Nie umię ja żyć, nie umię... Z tyloma ludzmi stykałem się w życiu razem, a żaden o mnie z szacunkiem nie wspomina - a o kochaniu ani mowy.. Olesia przeproś że do tej pory nie dotrzymałem słowa i nie pisałem, ale moje usposobienie nie po temu, pocałuj wszystkich jaknajserdeczniej od nas a jeżeli pieniądze przyjdą, to na miłość

nas wyratowała od głodu. Ale, jak wczoraj przekonaliśmy się, to tylko początek był, ein komisches Vorspiel zum Drama : dostajemy wczoraj list z domu z pieniądzmi, pierwszy list z domu w Lipsku. Nie mogłem się doczekać i na ulicy czytałem, - ale włosy xxxnxuma mi na głowie stają... co tu gadać, co powtarzać ! tylko tyle wiedz że Zxxjxx Tato do nas odydwóch razem, bez przedmowy " moi kochani" ect. w krótkich słowach powiada, że ostatni raz do nas pisze! Niech Pan Bóg Frym to zapomni !

Moje szczęście, że nie posłałem roboty te, które tutaj robiłem, bo to są zwyczajne lekkie aquarelle lepsze jak do tej pory robiłem bo więcej rysowałem niż malowałem, ale posłać do Lwowa na pokaz - to nie można. To bez przesady musi być dzieło wielkie, ukończone przemyślane - imponujące ! To jedno może mnie wyratować ! Jeżeli Bóg mnie dopomoże do takiego dzieła, jeżeli On nie jest zagniewany na mnie i ja będę mógł xxxxxxxxxxxxx takie dzieło posłać - to jestem wyratowanym i mogę z czystym sumieniem i czołem na łono moich kochanych, biednych rodziców wrócić - jeżeli zaś to przekleństwo, które na mnie ciąży - i ja nie znajdę w sobie dość xxxx sił, aby wykonać te dzieło, wtedy sobie w łeb palnę, albo o mnie nikt nie będzie wiedział.

Ale do tego czasu potrzeba, a moi Mecenasy już są na granicy cierpliwości... Dzieduszycki coś komuś mówił, że tylko ten rok mnie wspierać będzie, a Lewicki zaczyna zwątpiać o moim talencie I tak wszystko przeciwko mnie teraz się skupia, właśnie gdy powinienem mieć głowę najspokojniejszą ! Ale to jest chwila decydująca - tu się pokaże czy ja wart żyć na świecie i czy mam charakter i silną wolę?

....

Karolu! Ja Ciebie nie przeproszę za wszystko co musisz dla mnie wycierpieć, ale cóż to Tobie pomoże, jeżeli przytym pieniędz nie będzie, abyś mógł pozaspakajać dłużników - a ja nie mam teraz pieniędzy, ale niezadługo się im pozapłacam. Powiedz mnie mój kochany Karolu, czy nie mam napisać do Rakla i do drugich może by to ich zaspokoiło? Powiedz mi co ja mam robić, a ja zupełnie Ciebie się będę trzymał.

Co tam z Pepi ? Nie śmiem nawet myśleć o tym wszystkim, to mi po nocach spać nie daje - nawet w nocy czułem iem głodny. Nie umię ja żyć, nie umię... Z tyloma ludźmi stykałem się w życiu razem, a żaden o mnie z szacunkiem nie wspomina - a o kochaniu ani mowy.. Olesia przeproś że do tej pory nie dotrzymałem słowa i nie pisałem, ale moje usposobienie nie po temu, pocałuj wszystkich ja najserdeczniej od nas a jeżeli pieniądze przyjdę, to na miłość

boską zaraz mi przyślij, abyśmy mogli rzeczy wykupić, bo chodzimy jak draby. Napisz mi także czy przyjedziesz i kto więcej i kiedy? wiele masz zrobionego w robotach. A Odpisz prędko bracie i dosyć a schonnend pisz, bo dość kiepskich listów otrzymałem. Mój nowy adres Dresdenerstrasse nro 63 III bei Frau Knauer.

Do Państwa Wilkoszewskich będę teraz niedługo pisał, bo trudno było do tej pory to zrobić..."

A teraz drugi list z Lipska, bez daty, jak zwykle :

wtorek, zaraz po obiedzie.

Kochany Karolu!

Wystaw sobie, ja do Ciebie znowu muszę pisać o to o pieniądze. My mamy teraz w kieszeni 2 talary !! A w policii nie byliśmy jeszcze, co nie wiemy ile kosztować będzie. Kawę kiepską w domu pijemy, stancię na miesiąc naprzód musieliśmy dać - ale obiad i podwieczorek musimy zaraz płacić. Nam włosy na głowie stają, gdy sobie pomyślimy, co to będzie, jak pieniędzy nie będzie - o jutrze ani myśleć. Musiałem wydać na niektóre rzeczy do rysowania, które tutaj są drogie, jeżeli tak w Dreźnie - to padam do nóg. Jemy obiady za 15 f. (5 Silbergrosz) taki o jakim w Monachium nie śniłem - kawa droższa, ale dobra, mieszkamy we dwóch ciupach na 4 p. i oglądamy się za inną stancią, bo jak Rafał grać będzie miał na czym, to tutaj nie można zostać... Żeby on tylko miał na czem, to bieda! Bardzo cierpi bez skrzypców, a to trzeba 30 f. na wykupienie - ale co tam o skrzypcach myśleć, kiedy się niema co jeść.. Wiesz, ta myśl mnie sprawia zawrót głowy, że my może za dwa dni nie mamy ani dutka w obcym mieście. Dlaczego też drogi Olesiu drogi lass alle Minen springen i przyślij nam, staraj się, bo tu nas nikt nie poratuje. Od naszej gospodyni nie możemy żądać gdybyśmy mieli z głodu umierać, bo wymówiliśmy stancię, czego widać gniewała się - sprzedać - słowo honoru - nie ma co. Uważże sam Kochanku, czy nie byłoby nasze położenie okropne ?

Tak nam tu Was brakuje, także Olesia mit seinem praktischen Sinn, ale co ! każden, moja największa antypatia byłaby mi tutaj wilkommen, tylko aby można do kogoś powiedzieć: jak się masz ? co tam robią? - Dlatego kto ma przyjechać, niech przyjeżdża prędko, bo pieniądzy nie wyda więcej, niż w Monachium, a jest miasto miłe i ciekawe. Muzeum co 2 dni otworzone, a Delaroche, Calame i Vernet zasługują aby parę tygodni tu zabawić.

Karolu drogi ! co tam moje interessa, czy nie oblęgają Cię jeszcze ? Jak to miło być w mieście, gdzie się jest w tym względzie spokojnym. Nie ma to jak być porządnym ! Od teraz daleko mniej długów robię, jak do tej pory. Bądźże zdrów Ty i oznajm zaraz ~~Olesia i wszystkich innych o naszym stanie, więc którem~~

boczy zaraz mi przysłali,abyśmy mogli rzeczy wykupić,bo chodzimy
jak dziady. Napisz mi także czy przyjedziesz b kto więcej i kiedy
wiele masz zrobionego w robotach. A odpisz prędko bracie i dosyć
a sonnenend pisz,bo dość kiepskich listów otrzymałem. Mój nowy
adres Dresdenerstrasse nro 63 III bei Frau Knauer.

Do Państwa Wilkoszewskich będę teraz niedługo pisał,bo
trudno było do tej pory xxxx to zrobić..."

A teraz drugi list z Lipska,bez daty,jak zwykle :

wtorek,zaraz po obiedzie.

Kochany Karolu!

Wystaw sobie, ja do Ciebie znowu muszę pisać a to o
pieniądze. My mamy teraz w kieszeni 2 talary !! A w policji nie
byliśmy jeszcze,bo nie wiemy ile kosztować będzie. Kawę k[illegible]
domu pijemy,stancję na miesiąc naprzód musieliśmy dać -ale obiad
i podwieczorek musimy zaraz płacić. Nam włosy na głowie stają,gdy
sobie pomyślimy,co to będzie,jak pieniądzy nie będzie - o jutrze
ani myśleć. Musiałem wydać na niektóre rzeczy do rysowania,któ=
re tutaj są drogie,jeżeli tak w Dreźnie - to padam do nóg.Jemy
obiady za 15 f. (5 Silbergrosz) taki o jakim w Monachium nie
śniłem - kawa droższa,ale dobra,mieszkamy we dwóch ciupach na
4 p. i oglądamy się za inną stancją,bo jak Rafał grać będzie xxx
miał na czym ,to tutaj nie można zostać... Gdy on tylko miał na
czem, to bieda! Bardzo cierpi bez skrzypców,a to trzeba 30 f.na
wykupienie - ale co tam o skrzypcach myśleć,kiedy się niema co
jeść.. Wiesz, ta myśl mnie sprawia zawrót głowy,że my może za dwa
dni nie mamy ani dutka w obcym mieście. Dlaczego też xxxxxxxxx
Olesiu drügi lass alle Minen springen i przyślij nam,staraj się,
bo tu nas nikt nie poratuje. Od naszej gospodyni nie możemy żądać
gdybyśmy mieli z głodu umierać,bo wymówiliśmy stancję,czego wi=
dać xxx gniewała się - sprzedać swego honoru - nie ma co. Uważże
sam Kochanku,xxxx czy nie byłoby nasze położenie okropne ?

Tak nam tu Was brakuje,także Olesia mit seinem prakti=
schen Sinn, ale co ! każdem,moja największa antypatia byłaby xx
mi tu aż willkommen, tylko aby można do kogoś powiedzieć: jak się
masz ? co tam robię ? - Dlatego kto ma przyjechać,niech przyjeżdża
prędko,bo pieniądzy nie wyda więcej,niż w Monachium,a jest miasto
miłe i ciekawe. Muzeum co 2 dni otworzone a Delaroche,xxxxxxxx
Calame i Vernet zasługują aby parę tygodni tu zabawić.

Karolu drogi ! co tam moje interesa,czy nie obiegają? Ojć
jeszcze ! jak to miło być w mieście,gdzie się jest w tym względzie
spokojnym. Nie ma to jak być porządny ! Od teraz daleko mniej
długów robię,jak do tej pory. Bądźże zdrów Ty i oznajm zaraz
Olesiowi i wszystkich [illegible]

Olesia i wszystkich innych o naszym stanie, może któren będzie miał choć cokolwiek, a posełaj tak jak Cię prosiłem : poste restante pieniądze, a list z oznajmnieniem do nas pod adres Wintergartenstrasse No. 5 .4th Etage.

Napisz nam kiedy przyjedziesz, a my możemy Ci tanią stancię mając na tydzień, dwa. Bywaj zdrów Lubciu

Marcell

I jeszcze jeden list z Lipska :

Czwartek 18

"Mało brakowało a byłbyś już przedwczoraj od nas list dostał, ale nie chciałem Cię nudzić tak często i wolałem sprzedać burnus za bezcen i pod najprzykrzejszymi dla nas formalnościami i odczekać jakiś czas na pieniądze od Olesia. Dziś te pieniądze ku schyłkowi, trudno mi zatem dłużej milczeć a nie mamy nic, co by my mogli sprzedać albo zastawić. Jeżeli zaś Oleś nie wystara się do 23, to jest w najkrótszym czasie pieniędzy, to słowo honoru daję, nie wiem co będzie. 20 mamy się stąd wyprowadzić, a tu ani śniadania i inne małe rzeczy nie są zapłacone. Na przeprowadzenie także potrzeba będzie coś - a na życie ?!! Karolu, dalibóg znajdujemy się w najdjabelniejszym sosie i spuszczam się na Ciebie, że z pewnością Olesiowi ten list przeczytasz, a koniecznie spodziewamy się pieniędzy, innego nie możemy się spodziewać, dlatego też na pewne rachujemy, że zaraz po odebraniu tego listu odeślecie pieniądze, bo próżny list to byłby głód.

List Twój odebrałem i cieszyłem się nim, choć był krótki trochę. Co Wy tam porabiacie, czy nie myśli nikt z Was tutaj przyjechać, bo my bardzo na tem cierpimy, że jesteśmy sami. Może Ostrosio albo Rajcheberg ? A Ty kochany kiedy do nas zagościsz? Czy zacząłeś olejno malować swój obraz ? Wystaw sobie do czego ja się odważył ? - z biedy - zrobiłem akwarelle i oddałem na wystawę na sprzedaż, ale będę mógł czekać długo nim dostanę pieniądze, choć cena bardzo mała w porównaniu do tamtych : 20 talarów. Teraz robię drugi i trzeci obrazek -tylko do Judyty potrzeba mi koniecznie modelki- bo Rafał za chudy. On biedak cierpi bardzo, że nie ma skrzypców, albo fortepianu bodaj, nima nic robić, nudzi się okropnie, - wczoraj jak się dorwał fortepianu u sąsiada, to grał do ciemnej nocy, a ja śpiewał.. ale co ja tu gadam, a tu nie ma co jeść i butów niema .Wystaw sobie, ja chodzę w butach podartych, czy nie możnaby jakim sposobem dostać się do moich grubych, które zastawiłem?

Olesia i wszystkich innych o naszym stanie, może którem będzie
miał choć cokolwiek, a poeślij tak jak Cię prosiłem ; poste restan
te pieniądze, a list z oznajmieniem do nas pod adres Hintergarten
strasse No. 5. 4te Etage.

Napisz nam kiedy przyjedziesz a my możemy Ci tanią stancję
nająć na tydzień, dwa. Bywaj zdrów Lubciu

Marceli

I jeszcze jeden list z Lipska :

Czwartek 18

Mało brakowało a byłbyś już przedwczoraj od nas list dostał,
ale nie chciałem Cię nudzić tak często i wolałem sprzedać ourmus
za bezcen i pod najprzykrzejszymi dla nas formalnościami i odcze=
kać jakiś czas na pieniądze od Olesia. Dziś te pieniądze ku
schyłkowi, trudno mi zatem dłużej milczeć a nie mamy nic, co by my
mogli sprzedać albo zastawić. Jeżeli zaś Oleś nie wystara się do
23, to jest w najkrótszym czasie pieniędzy, to słowo honoru daję,
nie wiem co będzie. 20 mamy się stąd wyprowadzić a tu ani śniada=
nia i inne małe rzeczy nie są zapłacone. Na przeprowadzenie także
potrzeba będzie coś - a na życie ?!! Z roku dalibóg znajdujemy
się w najdziwniejszym sosie i spuszczamy się na Olesia, że z pew=
nością Olesiowi ten list przeczytasz, a koniecznie spodziewamy
się pieniędzy; innego nie możemy się spodziewać, dlatego też na
pewne rachujemy, że zaraz po odebraniu tego listu odeślecie pie=
niądze, bo próżny list to byłby głód.

List Twój odebrałem i cieszyłem się nim choć był krót=
ki trochę. Co Wy tam porabiacie, czy nie myśli nikt z Was tutaj
przyjechać, bo my bardzo na tem cierpimy, że jesteśmy sami. Może
Ostrowski albo Rajchenberg ? A Ty rocznie kiedy do nas zajedziesz?
Czy zacząłeś olejno malować swój obraz ? Wystaw sobie do czego
ja się odwołał ? - z biedy - zrobiłem akwarelkę i oddałem na wy=
stawę na sprzedaż, ale będę mógł czekać długo nim dostanę pienią=
dze choć cena bardzo mała w porównaniu xxxxxxx do tamtych : 20 ta=
larów. Teraz robię drugi i trzeci obrazek - tylko do ludzi potrze-
ba mi koniecznie modelu - bo natał za chudy. On biedak cierpi bar
dzo, że nie ma skrzypiec, albo fortepianu bodajniby nie robić, nu=
dzi się okropnie - wczoraj jak się dorwał fortepianu u sąsiada,
to grał do ciemnej nocy, a ja śpiewał.. ale co ja tu gadam, a tu
nie ma xxxx co jeść i butów niema. Wystaw sobie, ja chodzę w bu=
tach podartych, czy nie możesz jakim sposobem dostać się do mo=
ich gruszych, które zostawiłem?

A jeszcze jedno : jeżeli Oleś da pieniądze, to u fotografa są moje fotografie, które zostawiłem u niego, weź je, a jeżeli nie zechce dać, to poszlę Ci kartkę dla niego.

Bywaj zdrów kochany i nie gniewaj się na twego Marcella.

Jak Matejko? Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie.

Olesiu ! Olesiu ! ój Olesiu ! "

....

Takie się to dostawało listy z " monachijskich czasów". Marcelowe chowane były zawsze osobno w małej, płaskiej, mahoniowej skrzyneczce i głód jego, jego dziecinny krzyk o ratunek, rozdzierał Ojcu serce nawet po latach. Naturalna rzecz, że takie życie nie konserwowało, że nieubłagany los upomniał się w końcu o ostatni przyodziewek Marcela, ten w którym się tłukła jego znękana, niedokarmiona, niedośpiewana dusza artysty -ptaka, głodna radości i kochania, cudownie prosta i szczera, kajająca się w gorzkiej pokucie za swoje naiwne winy.

Cztery lata żył jeszcze Marcel od tamtej, monachijskiej doby. Ratowano go pewno w suchotach, jak to wtedy był zwyczaj - żętycą - ba! nawet do Wenecji wysłali rodzice biedaka, aby miał i " południe" lecznicze i piękne... Ale już go ten pobyt nie cieszył. Sił nie miał na zwiedzanie. W 26-tym roku życia dogasał.

Gdy w 1862 w marcu umarł we Lwowie, Ojciec mój bawił na studiach w Paryżu i tylko w liście od Jakubowiczowej i jego odpowiedzi pani Fryni utrwalił się głęboki ślad tego ciosu.

W liście pod datą 23/ 3 pisanym tego roku przez siostrę Tatka młodszą, Anielę, do przyjaciółek Cyryli i Julii Płoszczakównych w Mikołajowie, mam też świadectwo wystawione tej chwili. Silnie odczuwająca ucisk moralny, gniotący kraj w przededniu powstania, wrażliwa i bardzo lotna umysłowo panna Młodnicka, tak się odzywa do bliskich sobie dziewcząt :

....." piszęc do Was, chciałam żeby list był w treść bogaty, i- w dobrym humorze i spokojnie napisany. W przeciwnym usposobieniu nie chciałam pisać,- bo wiem, że i Wy macie swego mola, na co ja mam dodawać ? bo w smutku myśli się, że smutny każden, tak jak w szczęściu nie wierzy się w nieszczęście - otóż i ja byłam przekonana, że i Wy macie pewnie dość swego i nie chciałam pisać o mojem. Na objaśnienie tego co powiedziałam, dość gdy dodam, czem Lwów mnie przywitał : pogrzebem Marcela Maszkowskiego. Więcej Wam pisać nie potrzebuję...."

Na grób Marcela z prostym, drewnianym krzyżykiem i oblaszaną paletką z nazwiskiem i datami, kładło się rokrocznie wianek

A jeszcze jedno : jeżeli Oleś da pieniądze, to u fotografa są moje fotografie, które zostawiłem u niego, weź je, a jeżeli nie zechce dać, to poszlę Ci kartkę dla niego.

Bywaj zdrów kochany i nie gniewaj się na twego Marcelia. Jak Matka? Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie.

Olesiu! Olesiu! oj Olesiu ! "

....

Takie się to dostawało listy z " romantycznych czasów". Marcelowe chowane były zawsze osobno w małej, płaskiej, mahoniowej skrzyneczce i głód jego, jego dziecinny krzyk o ratunek rozdzierał Ojcu serce nawet po latach. Naturalna rzecz, że takie życie nie konserwowało, że nieubłagany los upomniał się xxxxxxx w końcu o ostatni przyodziewek Marcela, ten w którym się tłukła jego zmęczona, niedokarmiona, niedoceniana dusza artysty - ptaka, głodna radości i kochania, cudownie prosta i szczera, kajająca się w gorzkiej pokucie za swoje naiwne winy.

Cztery lata żył jeszcze Marcel od tamtej, romantycznej doby. Ratowano go pewno w suchotach, jak to wtedy był zwyczaj - etycą - ba! nawet do Wenecji wysłali rodzice biedaka, aby miał i " południe" lecznicze i piękne... Ale już go ten pobyt nie ucieszył. Sił nie miał na zwiedzanie. W 26-tym roku życia dogasał.

Gdy w 1862 w marcu umarł w xxxxxx Lwowie, Ojciec mój bawił na studiach w Paryżu i tylko w liście od Jasinowiczowej i jego odpowiedzi pani Frymi utrwalił się głęboki ślad tego ciosu.

W liście pod datą 23/3 pisanym tego roku przez siostrę Tatka młodszą, Anielę, do przyjaciółek Cyryli i Julii Płoszcza=kownych w Mikołajowie, mam też świadectwo wystawione tej chwili. Silnie odczuwająca ucisk moralny, gniotący kraj w przededniu pow=stania, wrażliwa i bardzo lotna umysłowo panna Włodnicka, tak się odzywa do bliskich sobie dziewcząt :

"..... Piszę do Was, chciałam żeby list był w treści bogaty, i - w dobrym humorze i spokojniej napisany. W przeciwnym usposo=bieniu nie chciałam pisać, - bo wiem, że i Wy macie swego mola, na co ja mam dodawać ? bo w smutku myśli się, że smutny każden, tak jak w szczęściu nie wierzy się w nieszczęście - otóż i ja byłam przekonana, że i Wy macie pewnie dość swego i nie chciałam pisać o moim. Nie objaśni nie tego co powiedziałam, dość gdy dodam, czem Lwów mnie przywitał : pogrzebem Marcela Nesztowickiego. Więcej Wam pisać nie potrzebuję...."

Na grób Marcela z prostym, drewnianym krzyżykiem i nia=szczą paletką z nazwiskiem i datami, kładło się rokrocznie wian k

zielony i paliło światełko zaduszne. A gdy z latami krzyż spróchniał, Tatko postarał się o nowy, blaszana paletka została odmalowana i świeżym opatrzona napisem. Pojechaliśmy z tym krzyżykiem na cmentarz Łyczakowski, aby w Tatka obecności został ustawiony. Paletę przybił sam na nowo. Podczas wojny dopiero, straciwszy z oczu mogiłkę, już jej teraz odszukać nie mogę. Przekopana niechybnie...

Ale po domu jeszcze pełno Marcela. Jego portret w żółtej konfederatce, cudny profil Schillera, ołówkowy portrecik profilu Ojca, karteluszki wątłe z karykaturami, ręce Grottgera, podobizna mistrzowska Jakubowicza, Liszt według fotografii Kriehubera, ojcowe rysunki, daguerotypy, listy.. I jeden jeszcze przedmiot od niego pochodzący : żelazne wieszadełko na siarniczki z niezgrabnym motywem nietoperza, które gdzieś zawsze w pobliżu Tatka wisiało i miało nazwę " poczwary". Mogło to służyć równie dobrze za schowek dla zapałek, jak za jakąś czarnoksięską popielnicę. "Poczwara " ocalała i wisi ze czcią należną na jednej z moich ścian.

Przepadł natomiast kałamarz o wieczku z czterema rybkami - kałamarz po Marcelu - który mi służył całą młodość i był powiernikiem moich pierwszych wierszy, chowanych po schowkach przemyślnych, z których wszelako zawsze wydobyć je umiał Adaś i opatrzywszy wykrzyknikami czerwonymi, pękatymi jak balony, podrzucał na widoczniejszych miejscach mieszkania...

Z kałamarzem tym kochanym rozeszłam się po zamęściu i już go na Zaświeciu nie pamiętam....

X

X X

Niecierpliwi mnie samą chaotyczność tego mego gadania. Jak koronczarka, mam przed sobą rój klocków, każdy owinięty inną nicią...W miarę jak się wzór snuje, biorę to ten klocek, to drugi, z każdego ciągnie się nić odrębna, wszystkie zosobna są potrzebne i co chwila znów się po ten sam sięga...

Po Marcelu najbliższym przyjacielem Ojca był Grottger. W życiu, równolegle do wysoczyzny i głębi swego ducha, był Arthur tej samej rasy, co Marcel. O ile umysłowo górował nad nim o całe nieba i skalą talentu przewyższał go bez porównania, w stosunku do samego siebie, do sił i zapasów na życie od Boga wziętych był takim samym rozrzutnikiem i "putał " sobą nieopatrznie, jak tamten.. W przeciwieństwie do nich obu, Ojciec mój, choć pełen humoru, świetny kompan do zabaw, młody i urodziwy, miał w sobie dziw=

zielony i paliło światełko zaduszne. A gdy z latami krzyż spróch=
niał, Tatko postarał się o nowy, olszana paletka została odmalowa=
na i świeżym opatrzona napisem. Pojechaliśmy z tym krzyżykiem na
cmentarz łyczakowski, aby w Tatka obecności został ustawiony. Pa=
letę xxxxxxxxxx przybił sam na nowo. Podczas wojny dopiero, stra=
ciwszy z oczu mogiłkę, już jej teraz odszukać nie mogę. Przekop=
na niechybnie...

Ale po domu jeszcze pełno Marcela. Jego portret w żółtej
konfederatce, cudny profil Schillera, ołówkowy portrecik profilu
Ojca, karteluszki wątłe z karykaturami, ręce Grottgera, podobizna
mistrzowska Jakubowicza, Liszt wedle fotografii Kriehubera, ojcowe
rysunki, dagerotypy, listy.. I jeden jeszcze przedmiot od niego
pochodzący : żelazne wieszadełko na szarniczki z niezgrabnym mo=
tywem nietoperza, które gdzieś zawsze w pobliżu Tatka wisiało i
miało nazwę " poczwary". Mogło to służyć równie dobrze za xxxxxxxx
schowek dla zapałek, jak za jakąś czarnoksięską kropielnicę. "Po=
czwara " ocalała i wisi ze czcią należną na jednej z moich ścian.

Przepadł natomiast kałamarz o wieczku z czterema rybkami
- kałamarz xxxxxxxx po Marcelu - który mi służył całą młodość i
był powiernikiem moich pierwszych wierszy, chowanych po schowkach
przemyślnych, z których wszelako zawsze wydobyć je umiał Adaś i
opatrzywszy wykrzyknikami czerwonymi, pękatymi jak balony, podrzu=
cał na widoczniejszych miejscach mieszkania...

Z kałamarzem tym kochanym rozstałam się po zamęściu i już
go na Zaświeciu nie pamiętam...

X

X X

Niecierpliwi mnie samą chaotyczność tego mego gadania.
Jak koronczarka, mam przed sobą rój klocków, każdy owinięty inną
nicią.. W miarę jak się wzór snuje, biorę to ten klocek, to drugi,
z każdego ciągnie się nić odrębna, wszystkie zosobna są potrzebne
i co chwila znów się po ten sam sięga...

Po Marcelu najbliższym przyjacielem Ojca był Grottger.
W życiu, xxxxxx równie lekki do wysoczyzny i głębi swego ducha, był
Artur tej samej rasy, co Marcel. O ile myślowo górował nad nim o
całe niebo i skalą talentu przewyższał go bez porównania, w sto=
sunku do samego siebie, do sił i zapasów na życie od Boga wziętych
był takim samym rozrzutnikiem i "putał" sobą nieopatrznie, jak
tamten.. W przeciwieństwie do xxx nich obu Ojciec mój choć pełen
humoru, świetny kompan do zabaw, młody i urodziwy miał w sobie dziw=

nie wcześnie tę równowagę charakteru, ten spokój sądu i rozumu, które tak cenili jego koledzy, które nieraz w późniejszych latach Ojca, opierali się niejedni w środowisku w którym żył. Podobnie jak Marcel poddający się ślepo jego zdaniu w opresji, tak i Grottger szukał nieraz towarzystwa Ojca, aby się czy wyskarżyć, czy poradzić, czy choćby tylko wydyszeć w jego pobliżu po jakichś szalonych tygodniach... Umysł Ojca jasny i precyzyjnie sprawiedliwy, rozwadzał często poważnionych, rozsądzał różne przewlekłe zwady. I, o dziwo ! - szaławiły serdeczne rozumiały się na tych cnotach - i po latach, kilka takich słów uznania, z jakimi Grottger wymienił przed panną Wandą Monné nazwisko Karola Młodnickiego, jako jednego z najlepszych ludzi, jakich znał, człowieka jeszcze wówczas nieznajomego jej zupełnie sprawiło, że gdy jej go po śmierci Grottgera przedstawił w swej pracowni Parys Filippi, odczuła uścisk jego dłoni jakby jakieś przekazanie z zaświata.

Kult Ojca dla pamięci Grottgera był też czymś głęboko wzruszającym. Pamiętam, gdy kartony z albumu Mamy szły na wystawę którąkolwiek, - Ojciec sam wkładał je pod szkło i nigdy żaden introligator nie tknął ram z nimi. Sam na gumowanych paseczkach kitajki przytwierdzał je do paspartusów, sam zaklejał tekturę na plecach obrazu. Gdy ciężkie położenie materialne i niedomaganie Ojca skłoniło Mamę do rozstania się z całym szeregiem tych rysunków w r. 1894 - odczuł to Ojciec jako moralną katastrofę, której nie przebolał nigdy. Zwłaszcza gdy w roku 1893 Karol Lanckoroński z Rozdołu przybył wybrać któryś w grottgerowskich rysunków - pamiętam wrażenie tej chwili w domu...

Nad kanapą w salonie wisiała wstępna karta " Wojny" - ów widmowy hufiec klęsk otaczających jadącą konno niewieścią postać o zasuniętej na profil przyłbicy... Na pierwszym planie postacie Artysty i Muzy. Na tym jedynym rysunku pozostawił Grottger własne swoje rysy Artyście... Pamiętam ten obraz od chwili gdym zaczęła patrzeć i spostrzegać... W jego szybie odbijały się wszystkie świeczki naszych choinek.. Nie był nigdy przeznaczony na sprzedaż. Nic wogóle z tego co wisiało na naszych ścianach...

Przyszedł Lanckoroński. Oczywiście nie była Mama obecna, tylko sam Ojciec go przyjmował. Wyjęte już naprzód kartony Albumu zostały mu pokazane, jako te jedyne, które były do nabycia. Pamiętam wysoki, zabawnie krzykliwy głos mecenasa i w niezbyt pewnej polszczyźnie wygłaszane zachwyty. Byłyśmy obie z Mamą w przyległym do salonu pokoju i serce ściskała nam żałość okrutna. Czas jakiś trwało oglądanie, poczem wynikła rozmowa, w której nie odrazu wyzna=

Do s.
135

łyśmy się. Wreszcie nie było wątpliwości. Pamiętam oczy Mamy, gdy na mnie popatrzyła, rozszerzone strachem. Lanckoroński, obejrzawszy wszystko, co było do nabycia, oświadczył Ojcu, że nabyć gotów tylko ów pierwszy karton do " Wojny", ten ze ściany, który do kupienia nie był... Tatko tłumaczył, przedstawiał... Bez żony oczywiście decydować nie mógł. Kupiec - kaprysem magnata i zbieracza - uparł się. Wyszedł Tatko z salonu. Miał na twarzy wypieki i oczy strwożone, bezradne.. Niedomagał już wtedy często na serce. Prawie bez słów wydała Mama wyrok na obraz kochany.

Gdy znikł ze ściany było w domu, jak po pogrzebie.

X

X X

Chodzili jeszcze tacy ludzie po Lwowie, jak taka np. pani Brühlowa... Właścicielka wybornego korzennego sklepu naprzeciw ulicy Halickiej, matka pani Andrzejowej Grabowskiej, żony malarza " Grabca" - sama doskonała muzyczka, której dom zasobny gromadził u siebie przez lata całe muzykalny Lwów.

Grywali tu pani Leonia Wildowa, Antym Nikorowicz, Rudolf Schwarz, śpiewała pani Marcela Ledererowa, Ujejski czytał najnowsze swoje utwory... Otóż pani Brühlowa, gdy za mojej już pamięci szła przez miasto malutka, stara a gruba, jak dzwon, w swej czarnej, jedwabnej, bramowanej sobolami, opiętej salopie, miała zawsze pod pachą torbę papierową, pełną hiszpańskich winogron, daktyli, fig czy rodzynków, lub bodaj migdałów w łupce, którymi częstowała znajomych. Ileż razy korzystałam z tych słodkich spotkań ! Tu wspomnę - bo już się z nią, ani z jej winogronami nie zejdę chyba w tych zapiskach - jak raz, idącą drobnym kroczkiem, odzianą w tę samą salopę z sobolami, zaczepiła ją jakaś żebraczka z trojgiem małych dzieci, domagając się jałmużny.

- Jeszcze mam czworo w domu, proszę pani dobrodziejki... Co roku mam przybytek...

- Po cóż miewasz? - zauważyła spokojnie pani Brühlowa, dając babie centy a dzieciom daktyle. To " po cóż miewasz?" pani Brühlowej zostało między nami jako bon mot, nieraz przy różnych okazjach stosowane...

X X X

Gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych sprowadzili się na pierwsze piętro pod nami państwo Bełzowie.. (+- 1885)

Pan Władysław Bełza był mi znajomy jeszcze pierwej... Tatko

w czasach gdy rysował ilustracje do " Strzechy", a potem do " Różowego Domina", czasopism wydawanych przez F.H. Richtera, bywał już w kontakcie z Bełzą, tkwiącym od młodości pośród książek, nakładców, wydawnictw... On to zresztą redagował przez lat szereg swego doskonałego " Towarzyszła Młodzieży", którego komplet dostałam od niego w podarku, czytałam z upodobaniem i wiele ważnych pierwszych wiadomości tyczących polskich spraw, zawdzięczam tym rocznikom. I do " Towarzystwa" też narysował Tatko niejedno... Znaczna także część dziecinnych książek, które się stały zawiązkiem mej osobistej biblioteczki w białej, wąskiej szafce, której wierzch zdobiła latami zielona klatka z kanarkami Fucem i Mucą, pochodziła z poczciwych darów pana Bełzy. Nieraz, gdyśmy go spotykali na ulicy, wyjmował z kieszeni jakąś wydawniczą, dziecinną " nowość" i zaraz mi ją ofiarowywał z czułością. Sam bezdzietny osobliwie kochał dzieci, które podziwiał i rozpieszczał, darząc tym na co go stać było najczęściej - książkami.

Wielka była tedy uciecha w nowego sąsiedztwa na pierwszym piętrze. Znajomość z latami zmieniła się na przyjaźń serdeczną i przetrwała do końca. Bełza był to jeden z tych ludzi, o jakich Tatko mawiał :"Wiecie - on jest nadzwyczajny, ale takich już nie ma.." Istotnie do nadzwyczajności sam nie miał pretensji, ale dziś wspominam go ze ściśnieniem serca żałosnym, jako typ przemiły, nieodżałowany, zaginiony już całkowicie. Czy można wyobrazić sobie dziś człowieka, któryby był zasadniczo, do gruntu, przychylny i życzliwy drugiemu ? Człowieka, który lubił- naprawdę lubił- zrobić - czy powiedzieć bodaj - tamtemu przyjemność ? Bełza taki był. A to, że miał powierzchowność ujmującą, godną i ogładę na codzień, nie odświętną, ale tę nie będącą fornirem- masywną, dziedziczną - to już był tylko naddatek miły.

Kilkanaście lat, aż do mego zamęścia, przeżyłam z tymi dwojgiem kochanych ludzi pod jednym dachem i doprawdy -z wyjątkiem tylko wakacji - nie było dnia aby ktoś z nas u nich, albo od nich u nas się nie pokazał. Bodaj jakaś książka odesłana z góry, z paroma słowami na świstku, bodaj talerz świeżych ptysiów, które z dołu ruda Lola przy niosła dla mnie od pani Bełzowej. Otrzymywał ~~xxxBakxxx~~ i Bełza czasem jakieś takie jadalne pozdrowiania, na które odpowiadał wierszem. Początek jednego ocalał mi w pamięci :

" Przez słodycze i przez pluszcze
rym mój słodki do Was pluszcze..."

Bełza miał wszelako daleko większy talent bycia i słowa, niż tak zwanego " pióra ". Był jak najciekawszy, żywy ~~xxxxxxxxxxxx~~ raptularz który można było czytać z pożytkiem zawsze, na którejbądź stronni=

w czasach gdy rysował ilustracje do " Strzechy",a potem do " Ró=
żowego Domina",czasopism wydawanych przez F.H.Richtera, bywał
już w kontakcie z Bełzą,tkwiącym od młodości pośród książek,na=
kładców,wydawnictw... On to zresztą redagował przez lat szereg
swego doskonałego " Towarzysza Młodzieży" którego komplet dos=
tałam od niego w podarku czytałam z upodobaniem i wiele ważnych
pierwszych wiadomości tyczących polskich spraw,zawdzięczam tym
rocznikom. I do " Towarzystwa" też narysował Tatko niejedno...
Znaczną także część dziecinnych książek,które się stały zawiąz=
kiem mej osobistej biblioteczki w białej wąskiej szafce,której
wierzch zdobiła latami zielona klatka z kanarkami Pucem i Mucą
pochodziła z pocztowych darów pana Bełzy. Nieraz,gdyśmy go spo=
tykali na ulicy,wyjmował z kieszeni jakąś wydawniczą,dziecinną
" nowość" i zaraz mi ją ofiarowywał z czułością. Sam bezdzietny
osobliwie kochał dzieci,które podziwiał i rozpieszczał,darząc tym
na co go stać było najczęściej - książkami.

Wielka była tedy uciecha z nowego sąsiedztwa na pierwszym
piętrze. Znajomość z latami zmieniła się na przyjaźń serdeczną
i przetrwała do końca. Bełza był to jeden z tych ludzi,o jakich
Tatko mawiał :"Wiecie - on jest nadzwyczajny ale takich już nie
ma.." Istotnie do nadzwyczajności sam nie miał pretensji,ale
dziś wspominam go ze ściśnieniem serca żałosnym,jako typ prze=
ły,niedoceniony,zaginiony już całkowicie.Czy można wyobrazić
sobie dziś człowieka, który był zasadniczo,do gruntu,przychyl=
ny i życzliwy drugiemu ? Człowieka,który lubił - naprawdę lubił -
zrobić - czy powiedzieć podobnej - tamtemu przyjemność ? Bełza taki
był. A to,że miał powierzchowność budzącą,godną i ogładę na co
dzień, nie odświętną, ale tę nie będącą fornirem- maskującą,dzie=
dziczną - to już był tylko naddatek miły.

Kilkanaście lat,aż do jego zgonu,przeżyłam z tymi dwoj=
giem kochanych ludzi pod jednym dachem i dopóki - z wyjątkiem
tylko wakacji - nie było dnia aby ktoś z nas u nich albo od nich
u nas się nie pokazał. Bodaj jakaś książka odesłana z góry,z pa=
roma słowami na świstku, bodaj talerz świeżych pączków,które z
dołu ruda Tola przyniosła dla mnie od pani Bełzowej. Otrzymywał
~~xxxxxxxx~~ i Bełza czasem jakieś takie jadalne pozdrowienia, na
które odpowiadał wierszem. Początek jednego ocalał mi w pamię=
ci :

" Przez schodyce i przez busze
Płyń mój słodki d was plusze.."

Bełza miał wszelako daleko większy talent bycia i słowa niż tak
zwanego " pióra ". Był jak najciekawszy, ~~xxxxxxxxxx~~ żywy [illegible]
który można było czytać z pożytkiem zawsze,na którejś stroni=

cy by się otworzył. Był słuszny, trzymał się niezmiernie prosto, miał śliczny dźwięk głosu, dykcję i polszczyznę znakomitę (w młodości próbował sił przez czas pewien na scenie poznańskiego teatru) co wszystko podnosiło jeszcze użycie słuchacza. Znał Warszawę i Paryż, znał moc najciekawszych ludzi, o każdym pamiętał mnóstwo, każdego sposób mówienia, gesty, głos umiał naśladować. Do takich arcydzieł odtwórczych Bełzy liczył się czcigodny jąkała Platon Kostecki, hr. Karol Lanckoroński, a wreszcie koledzy z Ossolineum, np. stary Pawłowicz, Kętrzyński i inni, których " pokazywał " tak bajecznie, że się nie raz sami z siebie zaśmiewali...

Żona pana Bełzy była z domu Ostrowska, siostra nie żyjącego oddawna rzeźbiarza, po którym zaadoptowali oboje synka sierotę, nazywającego się po ojcu Kazimierz. Udało im się to nad podziw. Wyrósł z tego Kazia naprawdę syn, jakoby najrodzeńszy, kochający najwdzięczniej, człowiek rozumny, zacny i dzielny. Wtedy gdyśmy się poznali, był jeszcze chłoptasiem z grzywką i kłapouszkami czarnymi, naszał marynarskie kołnierze i krótkie spodeńki. Dziś jest dyrektorem tytoniowego monopolu w Warszawie.

Szukam słów na wizerunek pani Bełzowej, ale wszystko na nic.. Trzeba było ją znać. Najmilsza i najszczersza mieszanina rozsądku z naiwnością, dobroci z dowcipem. Bystrość niespodzianą a zarazem łagodność w sądach o ludziach, która to kombinacja sprawiała, że potrafiła mówić o bliźnich w sposób taki, jak nikt, robić ze słodyczą istotną spostrzeżenia tak nieocenione, zdumiewające humorem i trafnością, a zarazem takie prostoduszne i dobrotliwe, że nie była to nigdy obmowa.

Dzięki tym niezwykłym przymiotom, możliwymi były stosunki ścisłe z bezprzykładnie liczną rodziną, których cnoty i zalety znała pani Bełzowa na wylot i radziła sobie z nimi wybornie. Codzień po herbacie po piątej, liczne grono krewnych zasiadało z nią do " labeta". Z całego tego zastępu najbardziej mnie zaciekawiał brat pani Bełzowej, pan Jan, radca kolei de facto, a wedle przeznaczenia jeden z najbardziej utalentowanych komików, najdowcipniejszych ludzi jakich znałam. Chudy, czarny jak cygan, z ponurą twarzą - coś à la Słowacki - gdyby się był postarzał - i mówiący z miną niezłomnie grobową głupstwa najrozkoszniejsze. Inna w tym zespole osoba, która mnie zaciekawiała, to była żona Antoniego, drugiego z licznych braci pani Bełzowej, pani Rafaela z Żółkowskich, najmłodsza wnuczka słynnego Alojzego, aktora i twórcy " Momusa", zwana w rodzinie " Rafcią". Miała także dzieci bez liku i umiała to jakoś tak, że była długo najładniejsza ze swoich córek...

by by się otworzył. Był słuszny, trzymał się niezmiernie prosto, miał śliczny dźwięk głosu, dykcję i polszczyznę znakomite xxxxxx (w młodości próbował sił przez czas pewien na scenie poznańskiego teatru) co wszystko podnosiło jeszcze użycie słuchacza. Znał Warszawę i Paryż, znał moc najciekawszych ludzi, o każdym pamiętał mnóstwo, każdego sposób mówienia, gesty, głos umiał naśladować. Do takich szczytów odtwórczych Bełzy liczył się oczigodny jakiś Platon Kostecki, hr. Karol L nckoroński, a wreszcie koledzy z Ossolineum, m. stary Pawłowicz, Kętrzyński i inni, których " pokazywał " tak uajecznie, że się nie raz sami z siebie zaśmiewali...

Żona pana Bełzy była z domu Ostrowska, siostra nie żyjącego oddawna rzeźbiarza, po którym zaadoptowali ob je synka sierotę, nazywającego się po ojcu Kazimierz. Udało im się to nad podziw. Wyrósł z tego Kazia naprawdę syn, jakby najrodzeńszy, kochający najwdzięczniej, człowiek rozumny, zacny i dzielny. Kiedy gdyśmy się poznali, był jeszcze chłoptasiem z grzywką i klapouszkami czarnymi, nosił marynarskie kołnierze i krótkie spodenki. Dziś jest dyrektorem tytoniowego monopolu w Warszawie.

Szukam słów na wizerunek pani Bełzowej ale wszystko na xx nic.. Trzeba było ją znać. Najmilsza i najszczersza mieszanina rozsądku z naiwnością, dobroci z dowcipem. Bystrość niespodziana a zarazem łagodność w sądach o ludziach, która to kombinacja sprawiała, że potrafiła mówić o bliźnich w sposób taki, jak nikt, robić ze słodyczą istotną spostrzeżenia tak niecodzienne, zadziwiające humorem i trafnością, a zarazem takie prostoduszne i dobrotliwe, że nie była to nigdy obmowa.

Dzięki tym niezwykłym przymiotom, możliwymi były stosunki ścisłe z bezprzykładnie liczną rodziną, których cnoty i zalety znała pani Bełzowa na wylot i radziła sobie z nimi wybornie. Co dzień po herbacie po piątej, liczne grono krewnych zasiadało z nią do "labeta". Z całego tego zastępu najbardziej mnie zaciekawiał brat pani Bełzowej, pan Jan, radca kolei de facto, z wedle przeznaczenia jeden z najbardziej utalentowanych komików, najdowcipniejszych ludzi jakich znałam. Chudy, czarny jak cygan, z ponurą twarzą - coś z la Słowacki - gdyby się był postarzał - i mówiący z miną niezłomnie grobową głupstwa najrozkoszniejsze. Inna w tym zespole osoba, która mnie zaciekawiała to była żona Antoniego, drugiego z licznych braci pani Bełzowej, pani Rafaela z Żółkowskich, najmłodsza wnuczka słynnego Alojzego, aktora i twórcy " Momusa", zwana w rodzinie " Rafcią". Miała także dzieci bez liku i umiała to zarazem tak, że była długo najładniejsza ze swoich córek...

Podczas gdy w jadalnym, przy udziale wszelakich Ostrowskich, Hofmoklów, pani Studzieńskiej siostry Bełzy i pani Gottliebowej Julii, jednej z sióstr pani (jak się później pokazało chrzestnej matki Wacka...) szła codzienna partia labeta, Bełza miał także swą godzinę przyjęć u siebie. Cały dzień od świtu niemal zajęty w umiłowanym Zakładzie czyli Ossolineum, zaraz popołudniu o piątej, kładł się do łóżka,- tak, bez żadnej choroby, poprostu z obyczaju - a wtedy szło się do niego na pogawędkę.

Leżał w bardzo zawsze starannej bieli, pod błękitną kołdrą, miał na czole zieloną umbrelkę, obok na stoliku paliła się świeca, gdyż lampy do czytania nie znosił, i piętrzyły się stosy wydawniczych nowości. Ileż takich godzin pamiętam przegwarzonych przez Mamę i Bełzę, z moim coraz większym z latami udziałem! Czułam zawsze, że wracam bogatsza, czy o jakąś znamienną wieść polityczną ze świata - do jakiej niteczkę nadziei czy obucny doczepiało się wtedy tak ochotnie! - czy o żywe jakie wspomnienie o kimś z ludzi wybitnych, czy świeżo dobyty jaki szczegół historyczny, czy o treści jakiejś najnowszej książki - a choćby tylko o Bełzy własne, aktualne przeżycia w Zakładzie.

Ossolineum ówczesne była to kopalnia typów tak dostojnych jak stary Małecki lub tak charakterystycznych, jak jego niemiej a może bardziej wiekowa żona - czy też smutnawo śmiesznych, jak stary Antoni Pawłowicz, kustosz muzeum, istny " biały okularnik" z historii o " Ankusie królewskim" Kiplinga... Galeria tych postaci była mi w relacji Bełzy tak plastyczna, że słuchając o nich siedziałam jakby na coraz to nowej odsłonie sztuki.

Oboje Małeccy, sędziwi wielce i mający życie do ostatka błogie i dostatnie, chorowali ciągle, raz on, raz ona, nie koniecznie na choroby rzeczywiste, ale lęk, że to już może " TA właśnie choroba..." Była między staruszkami, jakby konkurencja cicha, podobna do owej w bajce o Dziadu i Babie Kraszewskiego : " Które pierwej? "... Najpierw - streszczam wedle Bełzy - wmawiali w siebie samych dolegliwości, aby wywołać zaprzeczenie drugiego, co ich nawzajem uspokajało. Potem zaczynali podejrzewać się o ukrywanie przed tamtym bądź zdrowia, bądź choroby... Czasem istotnie któreś zaniemogło. Wtedy sądny dzień nastawał w Zakładzie! To - z dwojga chwilowo zdrowe, posyłało natychmiast po księdza, który najczęściej przychodził daremnie, bo poprawa następowała na jego widok prawie natychmiast. Zdarzało się, że gdy pani Małecka zasłabła i już od księcia kuratora aż do woźnego Michała wiedziało się o nowinie, gdy ktoś poleciał wysłany

przez pana Małeckiego po doktora i księdza, staruszka, dotknięta do żywego posądzeniem, że to mogło by być "już" wstawała czem prędzej, a nadchodzący ksiądz i doktor zastawali ją siedzącą przy fortepianie i wygrywającą najsiarczystsze mazury... Hulała bowiem za młodu szalenie, a za danserów miewała dość powiedzieć wszystkich trzech Maszkowskich, Grottgera i mego Ojca. (Nieraz o nią Marcel zapytuje w swoich listach z Monachium) Mam wrażenie że żyli oboje tak długo jak chcieli, pomarli zaś tylko dlatego, że już mieli ochotę. Ona pierwsza, on po niej.

Starego Pawłowicza znałam także jak i staruszków Małeckich, nie tylko z opowiadań Bełzy. Gorzki, jak proszek chininy, zasuszony w starokawalerstwie, warował na straży swego muzeum, nie mogąc ukryć pasji wobec zwiedzających. Ze śmiercią był na stopie podobnej co PP. Małeccy, tyle, że samotnikowi brakło emulacji... Najbliżej żył z rodziną dyrektora Kętrzyńskiego, którego syn Staś, był jego chrześniakiem. W braku innych dziedziców, postanowił Pawłowicz przekazać wszystko co posiadał temuż Stasiowi. "Wszystko" Pawłowicza był to jakiś chromy stolik, krzesła nie lepsze, trochę papierów, pamiętnik, trochę gratów... Napisał testament i poprosił Bełzę, aby się podpisał jako świadek. Aliści mieszkanie Kętrzyńskich znajdowało się akurat nad głową starego Litwina, Staś zaś był małym chłopcem, który się ruszał i biegał właśnie wtedy, gdy to wadziło Pawłowiczowi. Po pewnym czasie otrzymał Bełza od Pawłowicza wezwanie, aby do niego zaszedł. Okazało się, że testator postanowił zmienić zapis. Przeliczył się,.. Chłopcu który takie brewerie wyprawia nad głową skołatanego starca, niepodobna powierzać pamiątek... Bełza opanował wesołość i począł orędować za Stasiem, przedkładać okoliczności łagodzące... Biały okularnik był jednak nieubłagany i głosem, którym niegdyś zachęcał swoje uczennice rysunku przy lekcji, mówiąc: "Stawiaj panna pałki..." kazał też i Bełzie "postawić" swe nazwisko pod dokumentem. Staś najformalniej został wydziedziczony. -" Sam sobie winien..." objaśnił z irytacją Pawłowicz. Minął znów pewien czas i Bełza znów dostaje wezwanie od Pawłowicza... Czy następny spadkobierca okazał się jeszcze mniej godny od Stasia, czy tenże poskromił swe obyczaje - dość, że poprzedni zapis uległ znów zmianie. Bełza miał tym razem podpisać po raz wtóry testament, mocą którego "wszystko" dziedziczy Staś Kętrzyński... I nie byłoby w tych falowaniach woli białego okularnika nic tak znów dziwnego, gdyby nie okoliczność, że proceder ten odbył się wiele, wiele razy, tak że Staś do ostatniej chwili ży=

przez pana Małeckiego po doktora i księdza, staruszka, dotknięta do żywego posądzeniem, że to mogło by być " już " wstawała czem prędzej, a nadchodzący ksiądz i doktor zastawali ją siedzącą przy fortepianie i wygrywającą najsiarczystsze mazury... Hulała powiem za młodu szalenie a ze danserów miewała dość powiedzieć wszystkich trzech Wieszkowskich, Grottgera i mego Ojca. (Nieraz o nią Marcel zapytuje w swoich listach z Monachium) Mam wrażenie że żyli oboje tak długo jak chcieli, pomarli zaś tylko dlatego, ~~xxxxxxxxx~~ że już mieli ochotę. Ona pierwsza, on po niej.

Starego Pawłowicza znałam także jak i staruszków Małeckich, nie tylko z opowiadań Bełzy. Garbaty, jak proszek chininy, zasuszony w starokawalerstwie, warował na straży swego muzeum, nie mogąc ukryć pasji wobec zwiedzających. Ze śmiercią był na stopie podobnej co PP. Małeccy, tyle że samotnikowi brakło emulacji... Najbliżej żył z rodziną dyrektora Kętrzyńskiego, którego syn Staś, był jego chrześniakiem. W braku innych dziedziców, postanowił Pawłowicz przekazać wszystko co posiadał temuż Stasiowi. " Wszystko" Pawłowicza był to jakiś chromy stolik, krzesła nie lepsze, trochę papierów, pamiętnik, trochę gratów... Napisał testament i poprosił Bełzę, aby się podpisał jako świadek. Alićci mieszkanie Kętrzyńskich znajdowało się akurat nad głową starego Litwina. Staś zaś był małym chłopcem, który się ruszał i biegał właśnie wtedy, gdy to wadziło Pawłowiczowi. Po pewnym czasie otrzymał Bełza od Pawłowicza wezwanie, aby do niego zaszedł. Okazało się, że testator postanowił zmienić zapis. Przeliczył się... Chłopcu który takie brewerie wyprawia nad głową skołatanego starca, niepodobna powierzać pamiątek... Bełza opanował wesołość i począł orędować za Stasiem, przedkładać okoliczności łagodzące... Biały okularnik był jednak nieubłagany i głosem, który niegdyś zaczepiał jego uczennice rysunku przy lekcji, mówiąc " Stawiaj panna pałki.. " kazał też i Bełzie " postawić" swe nazwisko pod dokumentem. Staś najformalniej został wydziedziczony. - " Sam sobie winien..." objaśnił z irytacją Pawłowicz. Minę znów pewien czas i Bełza znów dostaje wezwanie od Pawłowicza... Czy następny spadkobierca okazał się jeszcze mniej godny od Stasia, czy też poskromił swe obyczaje - dość, że poprzedni zapis uległ znów zmianie. Bełza miał tym razem podpisać po raz wtóry testament, mocą którego " wszystko" dziedziczy Staś Kętrzyński... I nie było w tych falowaniach woli białego okularnika nic tak znów dziwnego, gdyby nie okoliczność, że proceder ten odbył się wiele, wiele razy, tak że Staś do ostatniej chwili ży=

cia swego chrzestnego ojca pozostawać musiał w napięciu. A i mnie nie wiadomo kto ostatecznie stał się dziedzicem " wszystkiego " po Pawłowiczu.

To były rzeczy zabawne, ale ileż innych, charakterystycznych szczegółów nasypać umiał Bełza na poczekaniu! Został po nim pamiętnik, bardzo dokładny z całego życia, który prowadził o ile wiem do śmierci. Tam pewno znajdą się zczasem te ważniejsze relacje o Kraszewskim, Goszczyńskim, o Kaczkowskim, Lenartowiczu, Polu, rodzinie Mickiewicza... Trudno dać mi pojęcie o tym, jak innym treściwszym, ciekawszym, świeższym umysłowo był sam Bełza, w porównaniu z tym co napisał. Myślę tu przede wszystkim o jego prozie i o tym co wydał o Mickiewiczu. Są ludzie, którzy muszą pisać, aby się ich zobaczyło. Są, na odwrót tacy, którzy aby się stali sobą, muszą " pióro" odłożyć.... Właśnie takim był Bełza. Mam przekonanie, że jedynie jego "Katechizm polskiego dziecka"- do pewnej mety oczywiście ! -próbę czasu wytrzyma. Podobnie jak po Konopnickiej - zczasem zostanie tylko " Rota", wzięta przypadkowo na skrzydła muzyki. Pamięć o Bełzie zatrzyma się najdłużej na powadze owego patrzącego dzieciom w oczy pytania : Kto ty jesteś ?

Zastrzegam się tu oczywiście przed posądzeniem, jakobym te dwie firmy literackie stawiała obok siebie na równi. Konopnicka była " większa", ale po obojgu zostanie tylko to, co w zwięzłych słowach potrafili powiedzieć o rzeczy " Największej".

Co wiosny, na wielkanocne ferie, wyruszał Bełza do Wenecji. Rzadko gdzieś dalej... To był adres, pod który dowoził zazwyczaj bez szwanku swoje coraz mniej pewne serce. Wyrzucam sobie, żeśmy sobie dworowali z niego, posądzając o urojenie, gdy czasem wracał z Wiednia, przepłoszony lękiem, aby gdzieś po drodze nie zamrzeć, - gdyśmy patrzyli, jak na dziwactwo, na jego przesadnie powolny chód... A to była choroba, podchodząca coraz śmielej...

Z Wenecji wracał zawsze odświeżony, odmłodniały, rad, że się nawłóczył po antykwarniach i miał dla każdego za powrotem jakiś ładnie obmyślany gościniec. Dostałam raz przy takiej okazji autentyczny, starorzymski " stylos", nie kupiony, ale otrzymany wprost od znajomego archeologa. Taki kościany rylec do pisania na woskowych tabliczkach...

W roku 1897 zjechaliśmy się raz, ja i Wacek, z Bełzami i Gawalewiczem w Wenecji. Akurat biedna pani Bełzowa zasłabła na żołądek i Bełza wezwał doktora, Niemca. Ani ona, ani on, królewiak, nie mówili dobrze po niemiecku. Miał konsyliarz zabawę, gdy mu pacjentka oznajmiła na wstępie, że ma "kranke Wurste". Doktor

pojąwszy o co chodzi,a słysząc że chora nie wyrzuca sobie żadne=
go przestępstwa kulinarnego zagadnął, czy to aby nie zaziębie=
nie ?

- W hotelu było zimno,to prawda - przyznała - ale ich habe
mit einem Jäger geschlagen..."

Tu, gdy już doktor nie zdołał pohamować ra=
dości,zmiarkował i Bełza,że coś nie w porządku i nauczywszy się
na pamięć tej weneckiej niemieczczyzny żony,uf̆etował nie następnie
i nas i Gawalewicza..

Gawalewicz! Także taki typ,który dopiero wtedy zaczynał
być oryginalny i ciekawy,mieć swój kontur i talent,gdy mówił,
gdy się zapominało i gdy on zapominał o powieściach Gawalewicza!
Świetna,cięta,bystra pleciuga,znająca swoją Warszawkę
jak własną biografię, kronika nieoszacowana o żywych ludziach
i rzeczach, człowiek,który tracił wszystek czas na wymyślanie
rzeczy i ludzi - nieżywych.

Czegoż on nam wszystkim nie naopowiadał wtedy u Sandwirtha
lub w czarnym kaloszu gondoli! Choćby tę anegdotkę o Deotymie
i Henryku Sienkiewiczu,jej np. kuzynku.

Pytał ktoś Sienkiewicza jak wygląda Deotyma ?Zaczął ją te=
dy Sienkiewicz opisywać,ostrożnie,gdyż była już wtedy niemłoda,
zatrzymując się głównie nad szatą w jakiej się jawiła na
swoich słynnych wieczorach literackich,powłóczystą z "greckim"
rękawem i złotą przepaską.

-We włosach miała - mówił - diadem i różę tu..."dot=
knął swej piersi. W tejże chwili poprawił się i pokazał palcem
locum róży o piędź dalej od kamizelki. - " Nie! -- poprawił się
ponownie. Tu ! -- i wyciągnął ramię na całą długość. Poetessa
była bowiem gruba i sięgała daleko w przestrzeń nie tylko samą
wyobraźnią... Koncept był dobry,więc poszedł na Warszawę i zna=
lazł się rychło u stóp wieszczki,która bardzo długo potem robiła
chłód Sienkiewiczowi.

Potoczyła się rozmowa o Sienkiewiczu,o niemiłych małoś=
ciach wielkiego pisarza.

- To jest taki człowiek, - powiedział pan Maryś -- że
gdyby ktoś z jego wielbicieli,zrobił sobie w jego oczach hara=
kiri i ginął u jego stóp ze słowami : Mistrzu! Dla ciebie! -
Sienkiewicz bez słowa zatkałby sobie nos chusteczką i przeszedł
mimo,nie obejrzawszy się..."

W wiele lat później opowiadała mi pani Gawalewiczowa,jak
to - gdy była cudną,młodziutką panną,Sienkiewicz kochał się w

niej, jak jej widoku szukał, towarzyszył jej wszędzie jak cień, on - skromny literacik na dorobku, ona zamożna, świetna - piękność poprostu. Wyszła za Gawalewicza i drogi ich rozeszły się daleko... Lata minęły, Gawalewicz był dyrektorem teatru w Łodzi, żona jego zaś rozczarowana, złamana, piękna tylko zawsze cudownie, znosiła z męstwem artystyczną biedę, byleby tylko on - Marian - miał dom wygodny i życie gładkie... Jednego ranka, Gawalewicz miał jechać rano do Warszawy, a szło o zaoszczędzenie paru kopiejek na dorożkę. Wyszła tedy pani Marianowa jeszcze wcześniej, aby własnoręcznie odnieść mężowską walizkę na dworzec. Gdy szła, wlokąc się z ciężkim bagażem, wprost siebie ujrzała nadchodzącego Sienkiewicza. Był już wtedy u szczytu sława, a ona jeszcze może bardziej dojrzała urodą. Nie można było jej nie poznać. Ulica była jeszcze pustawa, więc tym bardziej wpaść mu w oczy musiała śliczna, młoda kobieta z ciężką walizką w ręku. Ta sama o której marzył studentem... Sienkiewicz, z mgnieniem ambarasu na twarzy, minął ją bez słowa, ni gestu.

Zgadało się także o Paderewskim. Posypały się szczegóły, jak z rękawa. Przypominam tylko niektóre, bo i zapomniałam wiele i wolę niejednego nie pamiętać, raczej ze względu na niego, którego można pod światło potrzymać jak kryształ - niż ze względu na panią Helenę... Latami nie brałam na serio tych warszawskich jej i egipskich tradycji, wierząc, że on był w jej życiu jeden, że tylko zawiść ludzka skubie jej suknie - dopiero opłakana rola pani prezydentowej polskich ministrów uczyniła mnie podejrzliwszą i wstecz... Niestety, choć i zamilczę niejedno, pewna jestem, że się znajdą tacy, którzy w swoim czasie, gdy wzgląd na niego ustanie, a przynajmniej osłabnie, wrócą i pozbierają wszystko. Za ciężkie ma historia polska porachunki z panią Heleną !

Paderewskiego znał już Gawalewicz w czasie, gdy był wdowcem po swej pierwszej żonie, Korsakównej - i ubogi jak mysz kościelna, sławny był na razie tym tylko, że go Noskowski za talent zbyt wybitny i tupet wyrzucił z konserwatorium. Nie uczniem już był wtedy, ale jednym z młodszych profesorów. Ożenił się był - wbrew woli, czy pono nawet bez wiedzy rodziców żony, z panną Korsakówną, która żyła z nim bardzo krótko i umarła na płuca. Syn ich jedyny, Alfred, umarł mając lat dwadzieścia. Gawalewicz był na pogrzebie pierwszej pani Paderewskiej i pamięta jego, jak szedł za trumną w wyświarzanym paltocinie, butach z cholewami i cylindrze. Przytaczam te szczegóły na wyłączną odpowiedzialność pana Marysia.

Już na horyzoncie Warszawy widać było i panią Paderewską

niej, jak xxxxx jej widokiem sztuka, towarzyszył jej wszędzie jak cień on - skromny literacik na dorobku, ona z można, świetna - piękność poprostu. Wyszła za Gawalewicza i drogi ich rozeszły się daleko... Lata mijały, Gawalewicz był dyrektorem teatru w Łodzi, żona jego zaś rozczarowana, z samą piękną tylko zawsze xxxxx cudownie, znosiła z męstwem artystyczną biedę, gdy tylko on - marian - miał dom wygodny i życie gładkie... Jednego ranka Gawalewicz miał jechać rano do Warszawy, a szło o zaoszczędzenie paru kopiejek na dorożkę. Wyszła tedy pani Marianowa jeszcze wcześniej, aby własnoręcznie odnieść mężowską walizkę na dworzec. Gdy szła, wlokąc się z ciężkim bagażem, wprost siebie ujrzała nadchodzącego Sienkiewicza. Był już wtedy xxxxxxx uszczytu sła= wy, a ona jeszcze może bardziej dojrzała urodą. Nie można było jej nie poznać. Ulica była jeszcze pustawa, więc tym wyraźniej wpaść mu w oczy musiała śliczna młoda kobieta z ciężką walizką w ręku. Ta sama o której marzył studentem... Sienkiewicz, z mgnieniem ambarasu na twarzy, minął ją bez słowa, ni gestu.

Zgadało się także xxxxxxxxx o Paderewskim. Posypały się szczegóły jak z rękawa. Przypominam tylko niektóre, bo i zapomniałam wiele i wolę niejednego nie pamiętać, raczej ze względu na niego, którego można pod światło potrzymać jak kryształ - niż ze względu na panią Helenę... Latami nie grałam na serio tych warszawskich jej i egipskich tradycji, wierząc, że on był w jej ży- ciu jeden, że tylko zawiść ludzka szarpie jej suknię - dopiero opłakana rola pani prezydentowej polskich ministrów uczyniła mnie podejrzliwszą i wstecz... Niestety, choć i zamilczę niejedno, pew- na jestem, że się znajdą tacy, którzy w swoim czasie, gdy wzgląd na niego ustanie, a przynajmniej osłabnie, wrócą i pozbierają wszyst- ko. Za ciężkie ma historia polska porachunki z panią Heleną !

Paderewskiego znał już Gawalewicz w czasie, gdy był wdow- cem po swej pierwszej żonie, Korsakównej - i ubogi jak mysz kościelna, sławny był na razie tym tylko, że go Noskowski za talent zbyt wybitny i tupet wyrzucił z konserwatorium. Nie uczniem już był wtedy, ale jednym z młodszych profesorów. Ożenił się był - wbrew woli, czy pono nawet bez wiedzy rodziców żony, z panną Kor= sakówną, która żyła z nim bardzo krótko i umarła na płuca. Syn ich jedyny, Alfred, umarł mając lat dwadzieścia. Gawalewicz był na pogrzebie pierwszej pani Paderewskiej i pamięta jego, jak szedł za trumną w wyszarzanym paltocinie, butach z cholewami i cylindrze. Przytaczam te szczegóły na wyłączną odpowiedzialność pana Mariana.

Już na horyzoncie Warszawy widać było i panią Paderewską

przyszłą... Nazywała się wtedy pani Górska, a mąż jej Władysław, był cenionym skrzypkiem. Pamiętano ją jako baronównę Rosen, bywającą pod opieką starej cioci, przez długi szereg bezowocnych karnawałów, piękną, ale nie lubianą... Tymczasem kędyś w zaułku mieścił się sklepik, którego właścicielem był przyszły teść pani Heleny, Górski. Sprzedawał ptaszki i białe myszy, morskie świnki wiewiórki... Wielkie też było zdumienie, gdy się jego syn zaręczył z baronówną Rosem. Zapewne, dosyć już dojrzała panna, której ciotka wolała iść spać, niż na bal, obliczyła minione karnawały i wyszła za skrzypka, który i jako sybirak i jako zacny człowiek i wirtuoz ceniony, ogólną miał sympatię. Że zaś żył z tej racji ostatniej w świecie sztuki i artystów, otwierało się dla pięknej, muzykalnej panny pole wcale nęcące... I zaczęła się dola pani Heleny, którą już znamy wszyscy...

X

X X

Ale wracam na Zimorowicza, do Bełzy.

W miarę mijających lat podnosił się też mój poziom i na zawsze zachowuję wdzięczność dla kochanego Bełzy za tę masę najlepszych książek, do jakich- dzięki jego dobroci - miałam dostęp bezprzestanny. Wszelkie nowości polskie, wszystkie najlepsze przekłady, czasopisma - były do mojej dyspozycji. A także i pierwsze kity bzu otrzymywałam zwykle " z dołu", Gdy się rozkwitły przed Ossolineum, woźny, Michał Saturski, taki sam jak dziś, różowy i przychylny, tyle, że młodszy o lat z okładem trzydzieści, przynosił ich bukiet dla pani Bełzowej... Kazikowi z pierwszego piętra zawdzięczam także jedną radość dozgonną ! On to zaznajomił mnie w czasach, gdym była raczej dziewczyną jeszcze niż panną, z najmilszym " Bajarzem Polskim" Glińskiego. Cóż to było za odkrycie cudowne !

Nasz ganek, na drugim piętrze, na który wychodziło się od klatki schodowej i naszej kuchni, był słoneczniejszy od dolnego, miał widok na caluteńki Lwów i lewy jego kąt obok kuchni, zwieszony nad dachem szopy pod którą nocowały fiakry gospodyni,- kąt gdzie stała moja drewniana kanapka dziecinna i dwie konewki, zawsze pełne wody, w której pływała pałka chrzanu -- był ulubionym miejscem zasiadów. Popołudnia całe prażyło tu słońce, za to ranki i pozachodnie godziny bywały rozkoszne. Tu był też prawomocny teren Katuli, mojej ukochanej suczki-przyjaciółki, matki Nolki, a babki Kadurci , - tu w Zielone Święta

przyszłą... Nazywała się wtedy pani Górska, a mąż jej Władysław, był cenionym skrzypkiem. Pamiętano ją jako baronównę Rosen, bywającą pod opieką starej ciotki, przez długi szereg bezowocnych karnawałów piękną, ale nie lubianą... Tymczasem kiedyś w zaułku mieścił się sklepik, którego właścicielem był przyszły teść pani Heleny Górski. Sprzedawał ptaszki i białe myszy, morskie świnki wiewiórki... Wielkie też było zxxxxxxxxxxxxxxxxx zdumienie, gdy się jego syn zaręczył z baronówną Rosen. Zapewne, dosyć już dojrzała panna, której ciotka wolała iść spać, niż na bal, odliczyła minione karnawały i wyszła za skrzypka, który i jako [illegible] i jako zacny człowiek i wirtuoz ceniony, ogólną miał sympatię. Że zaś żył z tej racji ostatniej w świecie sztuki i artystów, otwierało się pxxxxxxxxxxxxxxxxx dla pięknej, muzykalnej panny pole wcale nęcące... I zaczęła się dola pani Heleny, którą już znamy wszyscy...

X

X X

Ale wracam na Zimorowicza, do Bełzy.

W miarę mijających lat podnosił się też poziom mój umysłowy xxxx i na zawsze zachowuję wdzięczność dla kochanego Bełzy za tę masę najlepszych książek, do jakich - dzięki jego dobroci - miałam dostęp nieprzerwany. Wszelkie nowości polskie, wszystkie najlepsze przekłady, czasopisma - były do mojej dyspozycji. A także i pierwsze kwiaty bzu otrzymywałam zwykle "z dołu" gdy się rozkwitły przed Ossolineum, a woźny, Michał Saturski, taki sam jak dziś, różowy i przygarbiony, tyle, że młodszy o lat z okładem trzydzieści, przynosił ten bukiet dla pani Bełzowej... Łazikowi z pierwszego piętra zawdzięczam także jedną radość dozgonną: On to zaznajomił mnie w czasach, gdym była raczej dziewczyną jeszcze niż panną, z najmilszym "Bajarzem Polskim" Glińskiego. Cóż to było za odkrycie cudowne!

Nasz ganek na drugim piętrze, na który wychodziło się od klatki schodowej i naszej kuchni, był słoneczniejszy od dolnego, miał widok na całutki Lwów i lewy jego kąt obok kuchni, zwieszony nad dachem szopy pod którą nocowały fiakry gospodyni, - kąt gdzie stała moja drewniana kanapka dziecinna i dwie konewki, zawsze pełne wody, w której pływały pałki chrzanu - był ulubionym miejscem [illegible]. Popołudnia całe prażyło tu słońce, za to ranki i pozachodnie godziny bywały rozkoszne. Tu był też prawowocny teren Katuli, mojej ukochanej xxxxxxxxxxxxxxxxxx suczki-przyjaciółki, matki Molki, a babki Fadurci - tu w Zielone Święta

pachła liściasta altana z grabiny i brzóz i skrzypiał pod piętami, podsypany białym piaskiem szuwar...

Pewnego lata wymyśliliśmy sobie z Kazikiem i Adasiem - choć obaj chłopcy młodsi byli znacznie ode mnie - wspólną zabawę czarnoksięsko- medyczną. Polegała na tym, żeśmy flaszki napełnione czystą wodą stawiali na górnym, najbardziej na spiekę eksponowanym ganku i w świetle naszej wiary, tudzież słonecznych promieni, zabieg ten czynił jakoby z wody zwykłej, wodę leczniczą o uniwersalnych skutkach. Choć nie znajdowała poparcia u starszych, fabrykacja naszego wynalazku trwała aż do wakacji i -jak dziś widzę - była dość genialnym przeczuciem praktykowanych obecnie szeroko, konfidencji ze słońcem...

Otóż raz, gdy się bateria naszych flaszek " nasłoneczniała" na ganku , a my wedle zwyczaju, poszliśmy na ostatnie, najstromsze cztery schodki pod naszym strychem, gdzie było chłodno, zatulnie i - co najważniejsze -niezwykle - i gdzie dla zabicia czasu czytało się coś wspólnie - pokazał mi Kazio"Bajarza." Dwa tomy oprawne razem , jak cegła, pierwsze wileńskie wydanie. Jakżeśmy dali nura w ten cud ! Jakże mi się fantazja w tym chlapać zaczęła, jak kaczka ! Kochany Bajarz! Przyjaciel wypróbowany, któregom dostała potem do wyprawy, ten sam znów "wyprawny " Bajarz Leli !

Nie ma już słonecznego naszego ganku ! Przeróbka kamienicy skasowała oba, a i patrzeć, co prawda, nie ma tak dalece już na co... Kamienice wypiętrzyły się bezczelnie i brudne parawany ich pleców zasłoniły widok prześliczny.

W miarę lat i postępu sercowej choroby, która go miała - jak mego Tatka - zabrać przedwcześnie, kochany pan Bełza dziwaczał. Wstawał w nocy i z jakiejś niedocieczonej przyczyny, nie zapalając świecy, dążył do salonu, gdzie na ogonie fortepianu stały zawsze, przygotowane umyślnie w tym a nie innym miejscu -konfitury...Spożywszy je, szedł - również po ciemku - do jadalni, aby wypić tam szklankę mleka, którą co wieczór stawiało się dla niego na bufecie. Po tych czynnościach kładł się znowu i zasypiał.

Owe dziwaczne wyprawy " na łów" po omacku byłyby może usprawiedliwione, gdyby je motywował lęk, by nagłe błyśnięcie światła nie zbudziło pani Bełzowej. Ten wzgląd niestety odpadał. Pani Bełzowa - o ile się nie mylę - na tle zaniku nerwu wzrokowego - ociemniała biedaczka tak dokładnie, że do śmierci poruszała się po znajomym mieszkaniu także po omacku, pogrążona raz na zawsze w takiej ciemności, w jakiej on grążył się czasem tylko i dlatego, że chciał. Nie zrażało go przy tym bynajmniej, że z powodu

braku światła zdarzały mu się w czasie nocnych łowów fatalne , spożywcze pomyłki i że niejeden - cały z wieczora talerzyk - budził się rano w czerepach...

Pan Bełza natomiast - przeciwnie! Budził się świeży i wypoczęty o godzinie czwartej rano. Wstawał, zasiadał do biurka i jak codzień od niepamiętnych czasów, dopisywał w swym pamiętniku dzieje dnia wczorajszego...

Tymczasem lata mijały. Ja wyszłam zamąż, wyjechałam do Schodnicy. Znaleźli się na świecie Luk, Kazio, Dziodzia. Rodzice mieszkali już na Zaświeciu. Niebawem mieliśmy tam nadążyć i my..I znowu - choć dalsze o dwie ulice - odżyło dawne, kochane sąsiedztwo. Znowu chodziło się o piątej na pogwarek do Bełzy. Jak ongiś mnie, tak samo Luka teraz -swego pochrześnika -Bełza począł obdarzać książkami. ..Gdy już Kazio dużą głową stołu dosięgał, zaczęło się i jemu obrywać...Nie kto inny, tylko Bełza uczcił pierwszym madrygałem Beatę.

" Takam piękna, takam gładka
i nazywam się Beatka.
Istny portret mojej mamy
tylko mnie oprawić w ramy...
I cóż warta marna sława
pana Bełzy, Władysława ?

Wszystkie dzieła w piec by włożył
gdyby takie dzieło stworzył!!

Gdy Bełza napisał swój słynny " Katechizm "który dedykowany Lukowi rozejść się miał z czasem po świecie polskim w tysiącach i tysiącach odbitek, Luk był pierwszym dzieckiem w Polsce, który go umiał na pamięć.

Pamiętam ten popis...Poszłyśmy z Mamą i obydwoma chłopcami około piątej do Bełzy. Leżał już oczywiście pod swoją błękitną kołdrą, założoną książkami, czyściutki, w zielonym daszku nad oczyma i złotym pince-nez. Ona, mimo ślepoty niezmiennie pogodna i miła, " oglądała" życzliwymi rękami pyszczki malców, doszukując się rodzinnych podobieństw i dziwując różnicy między miękkimi kudełkami Luka a wątłym meszkiem na łebku Kaziowym.

Luk śmiało wyrecytował wstępny wiersz " Katechizmu". Bełza wzruszył się mocno, wciągnął go na kołdrę, wyściskał i wycałował, a potem, półżartem, pół serio, zapytał :

- No cóż? Jakby tak kiedyś naprawdę przyszli Moskale, czy byś oddał życie?

- Oddałbym...- napuszył się z przekonaniem Luk.

- A ty? - zwrócił się Bełza do Kazia.

- A pan ? - odpalił głowacz spokojnie, godząc w Bełzę tłus=

uraku światła zdarzały mu się w czasie nocnych łowów fatalne ,
spożywcze pomyłki i że niejeden - cały z wieczora talerzyk -
uderzył się rano w czerepach...

Pan Bełza natomiast - przeciwnie! Budził się świeży i wypo=
częty o godzinie czwartej rano. Wstawał, zasiadał do biurka i jak
codzień od niepamiętnych czasów, dopisywał w swym pamiętniku dzie
je dnia wczorajszego...

Tymczasem lata mijały. Ja wyszłam zamąż, wyjechałam do Sonod=
nicy. Znaleźli się na świecie Luk, Kazio, Dzidzia. Rodzice miesz
kali już na Zaświeciu. Nieczęsto mieliśmy tam nadążyć i my.. I zno
wu - choć dalsze o dwie ulice - odżyło dawne, kochane sąsiedztwo.
Znowu chodziło się o piątej na pogawędkę do Bełzy. Jak ongiś mnie,
tak samo Luka teraz - swego pochrześniaka - Bełza począł obdarzać
książkami. Gdy już Kazio dużą głową stołu dosięgał, zaczęło się
i jemu dorywać... Nie kto inny, tylko Bełza uczcił pierwszym madry
gałem Beatę.

" Takam piękna, takam gładka
i nazywam się Beatka.
Istny portret mojej mamy
tylko mnie oprawić w ramy...
I cóż warta marna sława
pana Bełzy, Władysława ?

Wszystkie dzieła w piec by włożył
gdyby takie dzieło stworzył !!

Gdy Bełza napisał swój słynny " Katechizm " który dedykowa=
ny Lukowi rozejść się miał z czasem po świecie polskim w tysią=
cach i tysiącach odbitek, Luk był pierwszym xxxxxx dzieckiem
w Polsce, który go umiał na pamięć.

Pamiętam ten popis. Poszłyśmy z mamą i obydwoma chłopcami
około piątej do Bełzy. Leżał już oczywiście pod swoją błękitną
kołdrą, założoną książkami, czyściutki w zielonym daszku nad oczy
ma i złotym pince-nez. Oni, mimo ślepoty niezmiennie pogodna i
miła " oglądała" życzliwymi rękami pyszczki malców, doszukując
się rodzinnych podobieństw i dziwiąc różnicy między miękkimi
kędziorkami Luka a wątłym meszkiem na łebku Kaziowym.

Luk śmiało wyrecytował wstępny wiersz " Katechizmu". Bełza
wzruszył się mocno, wciągnął go na kołdrę, wyściskał i wycałował,
a potem, półżartem pół serio zapytał :

- No cóż, jakby tak kiedys naprawdę przyszli Moskale, czy
byś oddał życie?

- Oddałbym... - namyślił się z przekonaniem Luk.

- A ty - zwrócił się Bełza do Kazia.

- A pan ? - odpalił główcz spokojnie, godząc w Bełzę [illegible]

tym, niebieskim okiem.

- Poszedłbym razem z wami ! A jakże ! - śmiał się Bełza.

A na to Kazio :

- Jak my pójdziemy, to pan już..oho !", i uciął, czując, że się zapędził nieładnie...

- Masz rację ,obywatelu ! - rad nie rad, śmiejąc się wykrzyknął Bełza. - Mnie już wtedy nie będzie...

Bardzośmy były oburzone za trzeźwą śmiałość naszego "twardego" kocura, ale jakże się było nie śmiać ?

A po latach, spełniło się i to, za co ręczył Luk i to co Bełzie przepowiedział Ziuba...

Umarł Bełza w sam czas, jeden z tych szczęśliwych, którzy czekali wierząc - zniewagi spełnienia nie dożywszy !

....
....

Przerywam te zapiski, ten brulion wspomnień w najczarniejszej, najstraszniejszej dobie polskiej historii. W przeddzień Zgromadzenia Narodowego w Warszawie d. 30 maja 1926 roku.

Jestem w Medyce, w domu z którego wywozi się na zachód cenniejsze dzieła sztuki, pamiątki, archiwum. Z nimi idą i te zapiski. Czy się zejdę kiedy jeszcze z tymi kartkami? Czy dopiszę co jeszcze ? Bogu jedynie wiadomo ! Czy warto będzie jeszcze żyć na tej ziemi najdroższej, splugawionej, okrwawionej, nowym, najhaniebniejszym z rozbiorów, spętanej, opętanej, wydanej wrogom na łup - wrogom mówiącym po polsku !

Im straszniejsza, nikczemniejsza teraźniejszość, tym niżej kłaniam się w podzięce szczęśliwemu, bogatemu, pięknemu życiu, jakie mi Bóg przeżyć pozwolił, tym wdzięczniej błogosławię pamięć Ich wszystkich, którzy je tak szczęśliwym, bogatym, pięknym uczynili !

Niechże mi Oni jeszcze i śmierć niezapóźną, miłosierną uproszą !

Amen

Medyka 30 maj 1926

153

Drukowane już w książce
Maryli Wolskiej i Beaty Obertyńskiej
"Wspomnienia"
(Warszawa 1974)

Wyjątek z rękopisu Młodości Quodlibeta

Maszkowscy

Marcel... Właściwie Marceli Zyndram z Maszkowic, herbu Słońce... Praszczurem jego był bowiem istotnie ów luty rycerz z pod Grunwaldu. "Marcel" wszelako - tak zwany i w domu i przez kolegów - mało miał zmysłu na tę świetną parentelę. Sam jaśnie-dziedzic talentu i szampańskiej fantazyi, dzierżący swoją przyszłość we własnej, mistrzowskiej garści, mógł nie dbać o przeszłość i przodków, chociażby z pod Grunwaldu. Nigdy też nie fatygował swojego słonecznego herbu na codzień, posługując się tylko skromną pieczątką z małem gotyckiem "m", która okopcona nad świecą i przyłożona na rożku kartki, dawała rysunkom Marcela znajomą sygnaturę.

Nigdy się nie pogodzę z tą posępną prawdą żem go nie znała. Skoro kawaler umarł w r. 1862, nie podobna mu było przedstawić się pannie, która przyszła na świat o jedenaście lat później... To proste. A i wówczas jeszcze Ojciec mój, nosząc mnie, małą, rozkrzyczaną kukłę po pokoju, na którego ścianie wisiał olejny, grottgerowski portret Marcela, uważał za wskazane powtarzać z naciskiem:

- "Wszystko dobrze, ale Maszkowskich sobie wyperswaduj! Bawić się -dobrze! Tańczyć - dobrze! Ale resztę sobie wyperswaduj!"

Było to tem zabawniejsze, że sam mało kogo tak bardzo kochał jak Maszkowskich, a Marcela przedewszystkiem,- i że Ojciec sam później zapoznał mnie z nim tak blizko i serdecznie, jak z rówieśnym kolegą. Marcel niestety nie słynął wcale statkiem i temi cnotami, które "zdobić" zwykły młodzieńców. I zastrzeżenie owo wygłaszane żartem nad kukłą w powiciu, miało zapewne na celu uchylenie wczas możliwych niebezpieczeństw, grożących jej w przyszłości ze strony nowej, podrastającej już generacyi Maszkowskich, której stateczność Ojciec, jako doświadczony rzeczoznawca, miał prawo kwe-

styenować.

Ale tak samo przestroga, jak i obawa okazały się zbyteczne. Pokochałam Maszkowskich i żywych i umarłych, bez żadnego dla wzajemnej doli uszczerbku, tak jak ich kochał mój Ojciec.

I niema na to rady: Mimo wszystkie, dzielące mnie odeń lata, Marcel był moim znajomym,- więcej: był naszym domownikiem, kimś stale między nami przytomnym, o kim mówiło się jak o żywym człowieku, bardziej swojskim i rzeczywistszym od wielu, którzy u nas naprawdę bywali, jakkolwiek nad trymotką w salonie wisiał tylko jego portret. Namalował go Grottger w Barszczowicach w r. 1860. Zagapiony po malarsku profil w żółtawej konfederatce, z białym rękawem koszuli widnym z pod kamizelki. Nosili się tak Maszkowscy podczas malowania. W czerwonej rogatywce przedstawił się tež na autoportrecie ojciec, tak zwany "stary Maszkowski", Jan. Taka była pracowniana ich moda. Skorzystał z niej Grottger, malując wedle głowy kolegi studyum do swej "Modlitwy Konfederatów", podczas gdy Marcel, any czasu nie tracić, rysował kogo innego. Ma on też na grottgerowskim wizerunku wyraz doskonale znajomy każdemu, kto kiedykolwiek malarzowi pozował. Takie malarskie oczy patrzą całkiem inaczej niż zwyczajne. Jest w nich wytężenie zmysłu, podobne do nasłuchiwania. Tak i na tym portrecie. Ruch zadartej głowy, wyciągnięta szyja, wszystko pomaga wzrokowi, aby lepiej dopatrzył, dośledził, przychwycił. Usta nieco otwarte, brew lekko podniesiona, oko skupione na jednym jakimś punkcie. Zwyczajnie jak kiedy malarz zagapi się w modela i o bożym świecie zapomni.

Nietylko wzrok, ale i dusza Marcela zagapiać się tak musiała i zaciekać we wszystkiem, widzianem czy żytem, do bezpamięci. Nic dziwnego że świat boży zapominał co moment o nim i że o niejedną twardą latarnię po drodze uderzać musiał głową. Dziwniejsze że się sam temu nigdy nie dziwił, że na obczyźnie, w najczarniejszych nawet godzinach, gdy tyle tylko świeciło nad nim słońca, ile go miał w swym herbie, nie złorzeczy światu, ale tak dzie-

cinnie szczerze i rozdzierające bezradnie oskarżyć się potrafi przed kolegą przyjacielem:

- Nie umię ja żyć, nie umię!

Istotnie, żyć nie umiał. Umiał natomiast, bodaj że już w powijakach, tak rysować, że oczom wierzyć trudno.-

Przedziwnyż bo wogóle był dom tych Maszkowskich. Zapewne. Ojciec sam też malarz, pedagog wytrawny, człowiek zagospodarowany w sztuce, jak w domu. Matka wykształcona, muzykalna, entuzyastka, umiejąca i patrzeć i czuć i mówić, /n.b. niemka z rodu/. Ale ani wysoka kultura obojga, ani stopień zdolności ojca nie tłómaczą jeszcze bengalskich światłotrysków tej fantazyi ~~i tych talentów~~ i tych talentów, jakie im się po kołyskach zalęgły. Było z tego - oczywista- wiele pociechy, ale i zmartwienia niemało. Zupełnie jak bajka: Był raz jeden malarz, miał trzech synów i trzy córki...

Karol, w męskim szeregu najstarszy, umysł leonardowej jakiejś rasy na słowiańskim wydmuchu zabłąkany. Więcej ziarna niż zbioru. Inżynier, muzyk, rzeźbiarz, malarz, poeta, żołnierz w 1863cim, społecznik nadto i organizator, który z pod lawiny darów bożych do końca życia wydobyć się nie mógł. Umarł jako profesor (uniwersytetu) politechniki we Lwowie.

Młodszy, Rafał, wysokiej miary skrzypek, artysta pełnej krwi, później wytrawny teoretyk muzyki, przez całe wybredne Niemcy podziwiany dyrygent, koncertmistrz i znawca. Na domiar o rysach takiej urody, że idealista Grottger wyznaje z zachwytem, że piękniejszego nadeń człowieka nie widział.

Wreszcie Marcel, mistrz ołówka, wirtuoz rysunku, o technice wręcz jedynej w Polsce, nad którego "główkami" - gdy on sam w usta nie miał co włożyć,- nieraz gęby otwierały Bawary i inne takie "Szwaby", jak mawiał.

Talent trzech córek pana Jana ograniczał się,- czego bynajmniej lekceważyć nie należy!- do czułego i ofiarnego kochania swoich genialnych braci. Naturalnie że wszystkie były muzykalne i, jakkolwiek Bóg je ustrzegł same od talentów, miały w mniejszym lub większym stopniu słoneczny humor

Maszkowskich, ich dobroć i jedyną w swoim rodzaju życiową fantazyę.

Najwcześniejszy znany mi wizerunek Marcela własny, bo z r. 1855., wykonany gdy miał lat 18, zachował się na rzadkiej dziś wielce, a i wówczas w podobno ośmiu zaledwie egzemplarzach odbitej litografii. Jestto grupa ówczesnych przyjaciół, której ośrodek świetlany stanowiła dusza Mieczysława Pawlikowskiego, aczkolwiek na rysunku, choć sam niewątpliwy inicyator i fundator tej wspólnej pamiątki, ustąpił pierwszego miejsca poecie Romanowskiemu. Są tam: Mieczysław Romanowski, Pawlikowski, Ludwik Wolski, Ignacy Kamiński, Kałmucki, Sztyrmer, Bruno Bielawski, August Bielowski, Karol Maszkowski i Marcel. Pośród dziesiątka postaci Marcel jest najmłodszy. Zupełnie jeszcze pacholęca, ładna twarz, z długiemi, zaczesanemi na uszy włosami.- Wierzyć się nie chce że to on narysował te żywe, tak rozmaite głowy, te oczy, patrzące, każde po swojemu, twarze z których kilka stanowi do dziś dokument doskonały rodzinnych podobieństw. Naturalnie że zaważył tu wpływ Kriehubera i gładkie akwarele starego Rejchana, przedewszystkiem jednak zaważyło to że stary Maszkowski umiał ustawić wzrok ucznia, jak Garcia stawiała głos,- że codzienna tresura młodych oczu, patrzących na "porządne" rysowanie w pracowni Ojca, dopomogła do absolutnie pewnego widzenia i przytrzymania na gorąco natury i prawdy.

Dom Maszkowskich żył sztuką w dosłownem znaczeniu tych wyrazów. Obraz nowy, książka, utwór muzyczny, odegrany porywająco, to były najważniejsze wypadki jakie się mogły zdarzyć. Dobra muzyka zwłaszcza była potrzebna tym ludziom jak innym posiłek. Postacie Schillerowskich tragedyi i liryka Heinego były źródłem, z którego czerpali nigdy nie słabnący zachwyt i moc codziennych cytatów. Maszkowscy, zaprzyjaźnieni z Teofilostwem Januszewskimi, mieli, jedni z pierwszych dostęp do niewydanych jeszcze wówczas pism pośmiertnych Słowackiego. Marcel wyrzeźbił pierwszy i najlepszy dotąd biust Juliusza, obaj z moim Ojcem byli jednymi z pierwszych zaprzysięgłych we Lwowie jego wielbicieli. Pozatem, wskutek niemieckości szkół i podświadomego może

nawet wpływu matki, Niemki, pomimo konfederatek, nazbyt po polsku w domu nie było... Karol tłómaczył Heinego, komponował do jego wierszy muzykę. Jedną pieśń: "Der Fichtenbaum steht einsam" śpiewała nieraz Mama z jego akompaniamentem. Podobała mi się, ale nie musiała być prosta, bo jej nie zapamiętałam... Rafał grywał na skrzypcach,- akompaniowały siostry: Frynia, Minia albo Joasia, a przy każdej nadarzonej okazyi, gdy się tylko parę osób zeszło, wieczorem czy popołudniu, tańcowano na zabój. Maszkowscy, Grottger,- z którym przyjaźń zawiązała się była na długo przed wyjazdem na studya tamtych -, Ojciec mój, mieli sławę świetnych tancerzy, a już niedoścignionych wprost mazurzystów.

Materyalnie stale bywało kuso, co jednak nigdy nie krępowało gościnności i rzadki bywał w tym domu zasiad bez jakichś gości nadarzonych czy przygarniętych. Warsztat sztuki nie spoczywał nigdy. Zawsze się coś ciekawego zaczynało, działo, czy kończyło. Ktoś komuś pozował. Ktoś coś czytał głośno, czy deklamował. Muzyka rozmaita, do tańca i do różańca rozlegała się niemal zawsze w zimnawych często, niedopalonych pokojach. Dopiero z małżeństwem Fryni, która wyszła za Ignacego Jakubowicza, zamożnego ormianina, człowieka nieporównanego serca, który pokochawszy całą rodzinę żony, otworzył jej i to serce poczciwe i kieszeń, zrobiło się nieco swobodniej wszystkim. Potrzeba wrażeń i zachwytu była u tych ludzi tak wielka, że starzy już miewali jeszcze fantazye szesnastoletnie... Przypomniano sobie naprzykład pewnego dnia że "stary Maszkowski" nie był w życiu we Włoszech. Pod wpływem tego faktu, pod działaniem nagłej, zbiorowej tęsknoty do słońca i piękna, zabrał Jakubowicz oboje starych Maszkowskich, żonę i dwie małe córeczki coprędzej i pojechali wszyscy do Neapolu.

Chłopcy kończyły szkoły we Lwowie. Karol świetnie, tamci dwaj ociągliwie, zwłaszcza Marcel. Gdyby tego chłopca wziął był kto wtedy za łokieć, jakiś impressaryo opatrznościowy i wywiózłszy zagranicę, karmił, pilnował, odziewał, uczył - byłby się Marcel napewno gorzej bawił, ale byłby żył

dłużej, byłoby po nim zostało więcej i jeszcze świetniejszego niż te brylantowe opiłki talentu, który szlifował się samorzutnie, dopadkami, a którego całego zapasu Marcel nawet rozpakować nie zdążył. Był, jak cudowne dziecko puszczone samopas w świat, rozbawione i beztroskie, które każda przeszkoda wprawiała w osłupienie.

Wartości pieniędzy nie pojmował zupełnie. Dużo, mało, niema,- to były pojęcia. Pamiętał conajwyżej cyfry sum potrzebnych do wykupienia zastawionych rzeczy. A bywały pośród nich takie skarby jak paltot zimowy, jak - o zgrozo! - ukochane skrzypce Rafała. Pieniądze, to było powietrze do oddychania, takie jakieś złośliwe powietrze, którego raptem umiało zabraknąć , i gdy on się dusił wtedy - inni jakimś cudem oddychali swobodnie. Coś się robi podobno, żeby nie mieć niespodzianek, ale jak i co, tego nie dociekł nigdy. I do rozsprzedaży rysunków byłby potrzebny impressaryo. Opowiadał mi Tatko jak nieraz w monachijskiej piwiarni, do której chadzali, robił się ścisk koło ich stolika. Marcel rysował błyskawiczne szkice głów obecnych, a potem królewskim gestem rozdawał każdemu kto sięgnął. Gdy brakło papieru w tece, rysował na marmurze stolika, z którym potem zachwycony gospodarz nie wiedział co począć. Rozumiał pewien związek między obrazem, a kupującym, ale go ten proceder niecierpliwił i mierził.

Jak dalece oryginalne były jego poglądy na sprawy tego świata, dowiódł pewnego razu, gdy jeszcze w szkołach, nie mając własnego grosza przy duszy, wybrał z pięknej rodzicielskiej biblioteki naręcz książek, - dla niepoznaki każdego dzieła po jednym tomie!- aby sprzedawszy je za bezcen na tandecie, kupić Mamie na imieniny nowe rękawiczki... Fakt. Ostatnią parą butów byłby się podzielił z kolegą, gdyby wogóle buty jego przedstawiały częściej jakąś uchwytną wartość. Wydawać - pożyczać - niemieć... Tak szło zawsze w kółko. Naturalnie, że póki się było w domu, niedaleko mamy i sióstr, każda sytuacya przedstawiała się lżej. Zagranicą dopiero stanął oko w oko lekceważonym mocom.

Monachium było wprawdzie tanie, ale obyczaj płacenia istniał. Co gorsza, istniały pokusy, we Lwowie bądź nieznane, bądź niedostępne. Monachijski karnawał w zimie, gromadne wycieczki z wiosną, modelki, "piękne mnichowianki" jak je określa przemiły trzpiot Cypryan Dylczyński w swych listach do Ojca, jakaś Emilie, i Pepi - ta Pepi, której żałosne wspomnienie spać nie daje Marcelowi w Lipsku - i w pustym żołądku potomka Zyndrama z Maszkowic budzi głód okrutny. Marcel bowiem zakochany był stale, zmieniał się tylko przedmiot jego afektu, i to w tempie dość szybkiem.

Raz, zagorzał dla jakiegoś vis-a-vis... Dla istoty, którą widywał szyjącą w oknie. Szyła, lub czytała... widział jedynie jej profil, ale zato przecudny. Na en face nie był już nawet ciekaw. Rysował - kochał!- Koledzy zadali sobie trudu by wytropić objekt z blizka, przyczem wyszło na jaw że "cudna" miała tylko jedno oko. Druga połowa twarzy bez oka była jakimś wypadkiem uszkodzona.

- Marcel! Ależ ona ma tylko jedno oko! - szydzili bez litości.

- Ale jakie! - odpowiadał niezłomny wielbiciel.

Cała młoda malarya, oraz znajomi serdeczni z innych zawodów trzymali się wiernie razem, tak jak ich widać na dwu małych dagerotypach, które posiadam i jakich replika znajduje się w Ossolineum. Izydor Jabłoński, Ostrowski, Penther, Antoni Rejchenberg, nieoszacowany, najpoczciwszy "świątek", pogotowie ratunkowe kolonii,- Grottger, Marcel, mój Ojciec, później przybyli Matejko, Wołłowicz, Filippi, Dylczyński, Rafał i kochany przez wszystkich Oleś Gryglewski.

Działo się bractwu rozmaicie, bo wydatki były różnolite, a posyłki pieniężne z kraju spaźniały się nieraz dotkliwie. Mecenasi jak Dzieduszycki, Pawlikowski, Pietruski, Lewicki,- każdy miał swojego ptaka niebieskiego, albo i kilku na wikcie, któremu od czasu do czasu przygarść siemienia sypnął. Utuczyć się tem było trudno, ale żyć się dało i błogie było poczucie że jakieś tam "pańskie oko" śledzi chudzinę aż z kraju i do ostatniej za-

głady nie dopuści. Maszkowscy dostawali zasiłki głównie od rodziny, co miało swoje dobre, ale i złe czasem strony. Lżej było sumieniu jeżeli się na lekkoducha obruszył mecenas, niż gdy się zgryźli rodzice.

Gdy Marcel i Ojciec z wielkiemi, haftowanemi włóczką przez siostry torbami w ręku, w płaskich czapkach z lakierowanym daszkiem, szkatułkami farb, w rozwianych surducikach i spodeńkach w duże kraty, przybyli do Monachium, gdy -jak to uwiecznił Marcel w karykaturze- stanęli z zadartemi głowami przed maryackim tumem "Mnichowa", dwiema charakterystycznemi dla sylwety miasta wieżycami, podobnemi do smukłych kufli piwa, gdy się rozlokowali w nowej kwaterze i Ojciec mój przybił na gołej ścianie pracowni swój, z dwu kawałków składany, czarny krzyż "podróżny", który go nigdy nie opuszczał, pierwszą pielgrzymką obydwu była oczywiście stara Pinakoteka...

Szwagier Maszkowskich z niewiadomych mi dziś powodów podążył też na studya aż do Monachium i słuchał tam wykładów chemii słynnego Liebiga. Znając wszelako temperaturę rodzinnych uczuć Maszkowskich, skłonna jestem przypuścić że zaważyła tu nietyle firma Liebiga, ile kochająca intryga Fryni, która tęskniącym w Mnichowie braciom, chciała tam stworzyć od niechcenia przytulną własną ambasadę. A było to oparcie nielada. Bo i dom ciepły, swojski, rodzony- ludzie dobrzy i wykształceni, towarzyscy i zamożni, słowem: przystań, do której zawijały nieraz lwowskie okręty w różnym, przeróżnym stanie.- I Jakubowicze właśnie zapoznali zczasem obydwu z bawiącą w bawarskiej stolicy Polonią. Rozpoczęła się nauka a równocześnie, z wiosną zwłaszcza, wycieczki w prześliczne okolice miasta,-Wycieczki do Nymphenburga i Grosshesslohe. Muzykowano, zwiedzano gromadnie piękne zbiory,- tańczyło się często i namiętnie...

Strasznie kochałam tę ojcową młodość. Znałam jak żywo z opowiadań, miejsca w których był wesoły i szczęśliwy, znałam z rysunków i dagerotypów wszystkich ludzi, którzy go otaczali wówczas, którzy mu byli blizcy i drodzy, którzy kochali go nawzajem. Czasy gdy mu się jawiła wielka pani Sztuka,

jak owa przecudna a kusząca "Królowa Śniegu" Andersena, za którą biedny chłopak w zadymkę i noc na ubożuchnych swoich saneczkach podąża. I jemu marzyło się jakieś wielkie dzieło życia, o jakiem później pisał z Lipska Marcel... "dzieło wielkie, ukończone, przemyślane - imponujące!" Niestety życie, mecenas bogaty lecz dyablo kapryśny, i jednemu i drugiemu nie pozwoliło wyśnić marzenia.

W jednej z najgłębszych, najmniej dostępnych szuflad Ojca, spoczęło po latach wszystko: teki ojcowe, szkicowniki, świetne studya i karykatury ówczesne, a w nich ta ich wspólna szczęśliwa młodość- "monachijskie czasy", o których opowiadał doskonale, acz rzadko. Człowiek wielkiego dowcipu i pogodnego na pozór humoru, taił w sobie głęboką i dośmiertną melancholię, której toń ciemna dzieliła go od tamtych czasów bezpowrotnie. Marcel umarł młodzieńcem, spalił się jak świetny ogniotrysk, umarł na własne swoje - życie. Ojcu wypadło wybrać między dalszem, żmudnem dążeniem ku ideałom i Sztuce, a stworzeniem sobie rodziny i domu, które, w jego warunkach zwłaszcza ciasnych i mozolnych, tamtą swobodę wykluczało na zawsze. Wybrał dom, wybrał - nas. Zamiast zdobywczego pędu, utalentowany i w kunszt nieposledni zasobny, zaprzągł swe siły i umiejętność do pracy niekochanej, do szkolnej nauki rysunku, gdzie wśród ornamentów i gipsów, on, entuzyasta, przyjaciel i towarzysz największych, służebnik wolnego piękna, miłośnik ideału i poezyi, niepocieszony choć milczący zachodził w cień, starzał się i nieraz gdy jaka zręczna a wygadana miernota zdobywała sobie w jego oczach, pod jego ręką niemal, uznanie, rozgłos, ba nawet i sławę, cierpiał pewno głęboko, ale zawsze bez słów... Żył domem, wspomnieniami, dobrą lekturą, muzyką,- kochający i przemiły, przeważnie pogodny, a Marcel żył razem z nami...

Do tek ojcowych zachodziło się rzadko. Zwłaszcza do tej jednej, wyszarzanej, Między twardszy papier jej czystych stronnic powkładane starannie jak wąskie opłatki, leżały pożółkłe brzegami karteluszki z Marcelowemi

szkicami. Nazywało się to "szkice", a było nieraz wykończone jak banknot.

Pamiętam sposób z jakim Tatko nabożnie i umiejętnie ujmował w palce te arkusiki cienkiego papieru, z ciemnem gotyckiem "m" w prawym rożku. A na nich szarzały arcydzieła humoru, sentymentu i tej wirtuozowskiej Marcelowej techniki, polegającej na zatrzęsieniu kresek ostrych jak igła, lekkich jak włos, świadomych, każda z osobna, zbiorowego sensu i wyrazu głowy. Wyraz... Otóż to właśnie. Jak się to działo że ten lekkomyślny chłopiec, naiwny dzieciak w życiu, rozbawiony wiecznie, o ile nie głodny, tak mógł rozumieć duszę ludzką, tak ją podpatrzeć do korzenia? Jakim cudem, rysując z natury młodzieńczą głowę mego Ojca w Monachium, dał jej -już wówczas- wyraz hardego, zatajonego smutku, który miał jego duszą zawładnąć dopiero po latach? Rysunek ten przepyszny darowałam do Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie przepadł bez śladu. Gdyby nie pokwitowanie dyr. Kopery, mogłabym przypuszczać że mi się tylko śniło.- Albo taka głowa Schillera! Profil bujnowłosy, młody, o wyrazie skupionej ekstazy, rysunek-wizya, oparty w równej mierze na materyałach do Schillerowskiej ikonografii, jak na własnem, medyalnem odczuciu rysów ukochanego poety. Najbardziej może mistrzowski okaz kreskowej Marcelowej maniery, modelującyo ostrym ołówkiem w niewiarogodnie subtelny sposób rysy "wywoływane".

Nie był Marcel zapoznany w Monachium. Niczem osobliwem nie zastanawiał wówczas profesorów Matejko, nie bardzo się poznawali na Grottgerze, zwłaszcza że obaj nazwani, do zbyt pilnych bywalców akademii nie należeli. Marcel jeden zdumiewał i radował pedagogów takich jak Moritz Schwind i stary Kaulbach, budził niepokój i ciekawość kolegów jak np. Liezen Mayer, Węgier o niemieckiem nazwisku, tęgi malarz z czasem i szlachetny rysownik ilustrator.

Gdybyż tylko nie te "piękne mnichowianki", nie ta nieuchwytność pieniądza, nie ta nieodporność na pokusy tak w skutkach swoich żałosna! I to zupełnie, ale to zupełnie opaczne poglądy na "ma" i "winien"! Po tem os-

tatniem następowało nieodmienne słowo "pożycz"!, proste i krótkie, którego chybiony często efekt, raczej rozżalał niż obrażał. Gdy między najbliższymi kredyt wysychał, apelowało się przez Olesia Gryglewskiego do Fryni, a przez nią do Jakubowicza. Niewyczerpanie poczciwy szwagier bywał jednak czasem zacięty, pewno dla pedagogii raczej niż skąpstwa , czasem i Fryni już bywało za dużo i wtedy rozlegał się lament w listach do domu i nieobecnych kolegów. W tych terminach jednakże, podobnych żywcem do niektórych scen "Cyganeryi" /bo i Marcel i pracownia i pożegnanie z odzieżą idącą do lombardu i różne Mimi i Musetty, nazywające się tu Pepi i Emilie/ kruszyło się i marnowało, niezbyt zresztą stalowe od urodzenia, zdrowie i życie Marcela...

Powoli kolonia malarska urosła do sporej gromadki "rodaków". Epokę tę opisał sumiennie acz niezbyt wprawnie Izydor Jabłoński we wspomnieniach ^x^ swoich, ogłoszonych w "Lamusie". Różne były stopnie talentów, różnolite charaktery pośród tej grupy, bardzo nierówne drogi, jakiemi się rozproszyło po świecie później, ale ciepło przyjaźni, jaka złączyła tych ludzi już wtedy, nie ostygło z latami i w rękach moich znalazły się całe stosy jej śladów, do pożółkłych papierów i starych fotografii przywarłych, w których dusza tamtych czasów, dziecinna trochę, ale lotna, wesoła jak ptak, choć przygłodna czasami, dusza Tatkowych "monachijskich czasów" i tamtych wszystkich lekko i piękno-duchów żyje i albo się śmieje w głos, albo się skarży rozdzierająco...

Tatko mieszkał zrazu z Marcelem. Lokal był jakiś sympatyczny, że zaś obaj lubieni przez wszystkich, mieli w sobie magnes humoru i towarzyskości, który pociągał, u nich gromadziła się wieczorami "Malarya". Każdy przynosił, jakie tam miał zapasięta jadalne i szło to uczciwie do podziału. Tatko miał gitarę, Rafał Maszkowski, przybyły w czas jakiś z kraju, swoje wytworne skrzypce, więc była i muzyka na tych sympozyonach. Daniel Penther deklamował niemieckich klasyków, którymi się chłopcy entuzyazmowały srodze. "Des Sängers Fluch" Uhlanda, "Schilflieder" Lenaua... Schiller zwłaszcza był u-

^x^ Lamus Rocznik III str. 285-298

kochaniem wszystkich lwowian. Zjawiał się i Matejko, któremu, gdy jechał zagranicę, dał był M. Darowski list do mego Ojca, kierujący doń pana "Maciejkę"- przyswojony serdecznie, ale cichy i jakiś "osobny", przepadnięty całymi dniami po bibliotekach i zakrystyach, muzeach i zaułkach, zbierający motywy i materyały do wydanych później "Strojów Polskich". Na zebraniach koleżeńskich mało był wydatny, czasem tylko, gdy się kto najmniej spodziewał, zaciął dowcipem jak szpicrutą. Występował z reguły jako tępiciel zagranicy, drwił z entuzyastów niemieckiej literatury, po niemiecku, jakby z umysłu, gadał byle jak, ścigał szkolne makaronizmy, którymi grzeszyli lwowianie w niemieckich gimnazyach "uszkodzeni"... Przeciwległe pendent do Matejki stanowił Penther. Ten, rzecz prosta, jako Niemiec z rodu, choć mówił dość dobrze po polsku, poza kulturą niemiecką świata nie widział i widzieć nie chciał. Na tem tle bywały lekkie przegryzki.

Raz, na jednem z takich zebrań u Tatka i Marcela, wydobył Tatko swój zabrany tom Wypisów Cegielskiego, w którym wydrukowany był cały "Jan Bielecki". Tatko, jak i Maszkowscy znał już Słowackiego i uwielbiał go fanatycznie, że zaś doskonale czytał głośno, zaproponował że ten utwór, reszcie obecnych nieznany, przeczyta. Matejko, który ze Słowackim wogóle nie był się jeszcze zeszedł,- olśnął poprostu. Dobrze znający go Tatko twierdził że tak uniesionym nigdy go nie widział. Blada zazwyczaj jak pergamin twarz zabarwiła się, wielkie, ciemne oczy błyszczały.

-"Otóż jest poezya! Co wobec tego Schiller! To kolory, ten charakter rodzimy! Musisz mi pożyczyć do domu tę książkę"!

Na krótko przed śmiercią opowiedział mi Tatko raz jeszcze wspomnienie tego wieczora. Ostatnią książką, jaką czytał w życiu były Listy Słowackiego do Matki. Bieleckiego wiele ustępów umiał na pamięć i wówczas też zacytował mi jeszcze końcowe wiersze tego poematu. -"Zawsze mi Bielecki Matejkę przypomni"- mówił- "To jest naprawdę jakby wizya jego własnej sztuki! Ta sama technika i patos!".

14
166
162

Oprócz Jakubowiczów, gdzie się polska młodzież zbierała i tańczono w karnawale na umór choć bez dam, jak relacyonuje Jabłoński,- przy zimnej zakąsce i piwku, ale zato przy skrzypcach Rafała i takim taperze jak - Matejko, który nie tańczył wcale, grał zato świetnie do tańca,- bywała swojska gromadka u pułkownikostwa Tchórznickich. Pani domu, hr Buttler z domu i jej bardzo dobrze ułożona córka, czyniły atmosferę trochę mniej domową niż u Jakubowiczów. Trzeba było dbać bardziej o strój, mozolny -wiadomo- czasami, gdy się jest na studyach i ma wiele przeszkód do elegancyi. Pan pułkownik natomiast bywając już bez swoich pań, na różnych wycieczkach i wieczorynkach malarskich, był zgoła nie uroczysty... Jawiła się tu u jego boku niejaka Alma von Westphalen, jedna z tych komecich istot, których nie lubią żony, a za którymi przepadają starsi panowie... Rzeczona Alma stała się osełką na której języki młodzianków ostrzyły się do woli. Stary pułkownik, srodze o jej względy zazdrosny, ona poza jego szerokiemi plecami kopcąca oczkiem do Marcela... ten miał swoją Pepi, ale dlaczegóż nie odpowiedzieś zaczepce?... Oczywiście, nikt dziś nie dojdzie jak to tam ono było naprawdę, dość, że dbały o spokój w domu pułkownik, choć jątrzyły go wielce niepokojące symptomy spostrzegane bądź u Almy, bądź u Marcela - i podkreślanr z umyślną a szatańską nonszalancyą przez resztę wtajemniczonych trzpiotów,- bolał z godnością i opanowując się dla pozorów, dostarczał swem zachowaniem rozkosznych emocyi śmiejącemu się w kułak audytoryum. W pewnej burej, wąskiej teczce z Monachium znajduje się szereg ilustracyi do tej na spisku opartej komedyi, z których można powziąć wyobrażenie o jej aktorach... Jest tam i Alma, jakaś"westfalska"Idalia z "Niepoprawnych", obstarnia zalotnica z jastrzębim, szwabskim profilem, twardemi, jasnemi oczyma w sentymentalnej berżerce i pelerynce w kraty,- jest Tatko w swoim berecie przy sztaludze, w furyi tworzenia, Marcel śpiący, któremu przez sen jawi się Alma uduchowiona, jakieś niemiecki dopiski i wiersze niedocieczonego dziś sensu... jest ołówkowy profil pułkownika...

Niema wątpliwości że niewszystkiemu co się działo w Mnichowie mogli byli przyklasnąć "Mecenasi" w Galicyi. Toteż gdy Marcel po jakiejś seryi psot przygrubszych uznał za właściwe przenieść się z talentem i pudełkiem farb do Lipska, gdzie mieszkał Rafał, podczas gdy mój Ojciec został jeszcze w Monachium, nadszedł -bez daty, bo i pocóż?- list od Marcela takiej treści:

"Kochany Karolu!

Posłuchaj pierwej, a potem sądź; bo musisz już pewno myśleć o nas niewiedzieć co, że tak długo nie piszemy, pomimo żeś nas prosił w ostatnim liście o prędką odpowiedź.- Otóż słuchaj:

Najpierw dlatego tak długo nie pisaliśmy, bo nie mieliśmy czym zamarkować listu; nie dlatego abyśmy nie chcieli wydać tych 9, bo obiad za nie dostać można, tylko dlatego, bośmy wcale nie mieli tych 9. I jeszcze się gniewasz na mnie że nie odpowiedziałem? - Oj Karolu! My tu kiepskie czasy przeżyli, bardzo kiepskie! Może to kara za to wszystko co nabroiłem do tej pory, a dałby Bóg aby koniec na tém był, ale mnie się zdaje że to dopiero początek. Cóż ja się mam rozpisywać nad tą biedą, na cóż Cię mam detajlami smutnym robić, bo wątpię abyś szedł za przykładem Ostrowskiego, i z tej strony na rzecz patrzał jak on,- ja znam twoje serce i wiem że u Ciebie głowa z sercem razem pracuje! - Muszę Cię jednak jako tako obeznać z dotychczasowém naszém życiem tutaj, a niech Ci tych kilka faktów służą za miarę: Nasze rzeczy wszystkie w zastawie, prócz tych które na sobie mamy, a drugie: żeśmy przez 4 -sage: vier Tage, nic nie jedli, prócz herbaty, które Rafał dostawał rano od gospodyni, będąc przymuszonym udawać słabego, bo butów nie miał i przez 14 dni w domu biedaczysko siedział. Więc wygłodziwszy się przez kilka dni, a co przez tydzień najmniej! na suchym chlebie /!/ pościliśmy nareszcie tych 4 dni o pół porcii herbaty rano. Może się spytasz czego do gospodyni nie poszedłem? Zaraz Ci odpowiem na to.

Jak wiesz Rafał niema skrzypców i okropnie przytem cierpiał, bo przy

nb: jeśli list jest w całości to może go tu skrócić!

kiepskiem wegetowaniu, musiał siedzieć z załamanemi rękami i słuchać jak mu w żołądku gra - to mnie spowodowało na wszystkie strony miny popodkładać,- ale żadna nie poszła w górę. Najpierw zrobiłem parę aquarelle i dałem za einen Spottpreis na Kunstverein tutaj,- potem zrobiłem naszej gospodyni córkom portrety, aby kto widział i może głupi dał się zrobić... chciałem koniecznie tych 30 f skąd dostać, aby skrzypce Rafałowi sprokurować. Tymczasem mi się nie udało, z Kunstvereinu do tej pory niema odpowiedzi, a za portrety, które już wiszą w ramach ładnych, nie wiedzą jak dziękować /chociaż wypresiłem sobie jede Erkenntlichkeit/, ale nikt się nie pytał o cenę.

Więc jak ta bieda na nas nastała,nie mogłem się w żaden sposób do gospodyni udać - wolelibyśmy byli pochorować się z głodu jak do niej się udawać.- Ale der Mensch denkt, Gott lenkt... Ja czwartego dnia leżę już osłabiony na sofie, a Rafał mi z łóżka powiada że jemu się słabo robi - ja kląłem na los za.... i poszedłem do gospodyni - ona nas wyratowała z głodu. Ale, jak wczoraj przekonaliśmy się, to tylko początek był, ein komisches Vorspiel zum Drama: Dostajemy wczoraj list z domu z pieniędzmi, pierwszy list z domu w Lipsku. Nie mogłem się doczekać i na ulicy czytałem,- ale włosy mi na głowie stają... co tu gadać, co tu powtarzać! tylko tyle wiedz że Tate do nas obydwuch razem, bez przemowy "moi kochani" etc. w krótkich słowach powiada że ostatni raz do nas pisze!- Niech Pan Bóg Fryni to zapomni!

Moje szczęście że nie posłałem roboty te które tutaj zrobiłem, bo to są zwyczajne lekkie aquarelle, lepsze jak do tej pory robiłem, bo więcej rysowałem jak malowałem, ale, aby posłać do Lwowa na pokaz - to nie można. To, bez przesady, musi być dzieło wielkie, ukończone, przemyślane,- imponujące! To jedynie może mnie wyratować! Jeżeli Bóg mnie dopomoże do takiego dzieła, jeżeli On nie jest zagniewany na mnie i ja będę mógł takie dzieło posłać - to jestem wyratowanym i mogę z czystym sumieniem i czołem na łono

moich kochanych, biednych rodziców wrócić - jeżeli zaś to przekleństwo, które na mnie ciąży - i ja nie znajdę w sobie tych sił, aby wykonać to dzieło, wtedy sobie w łeb wypalę, albo o mnie nikt nie będzie wiedzieć.-

Ale do tego czasu potrzeba, a moi Mecenassy już są na granicy cierpliwości. Dzieduszycki coś komuś mówił że tylko ten rok mnie wspierać będzie, a Lewicki zaczyna zwantpiać o moim talencie.- I tak wszystko przeciwko mnie teraz się skupia, właśnie gdy powinienem mieć głowę najspokojniejszą! Ale to jest chwila decydująca,- tu się pokaże czy ja wart żyć na świecie i czy ja mam charakter siłę wolę?!

. . . .

Karolu! Ja Ciebie nie przeprosił za wszystko co musisz dla mnie wycierpieć, ale cóż to Tobie pomoże, jeżeli przytem pieniędzy nie będzie abyś mógł pozaspakajać dłużników - a ja niemam teraz pieniędzy, ale niezadługo sam im pozapłacam.- Powiedz mnie mój kochany Karelu czy nie mam napisać do Hakla i do drugich? Możeby to ich zaspokoiło? Powiedz mi co ja mam robić, a ja zupełnie Ciebie się będę trzymał.-

Co tam z Pepi? Nie śmiem nawet myśleć o tem wszystkiem - to mi po nocach nie daje spać, nawet w nocy czułem żem głodny. Nie umię ja żyć, nie umię... Z tyloma ludźmi stykałem się w życiu razem, a żaden o mnie z szacunkiem nie wspomina - a o kochaniu ani mowy. Olesia przeproś że do tej pory nie dotrzymałem słowa i nie pisałem, ale moje usposobienie nie po temu, pocałuj wszystkich jaknajserdeczniej od nas a jeżeli pieniądze przyjdą, to na miłość boską zaraz mi przyszlij, abyśmy mogli rzeczy wykupić, bo chodzimy jak draby. Napisz mi także czy przyjedziesz i kto więcej i kiedy, wiele masz zrobionego w robotach. A odpisz prędko bracie i dosyć a schohnend pisz, bo dość kiepskich listów otrzymałem. Mój nowy adres:Dresdnerstrasse nro 63 III bei Frau Knauer.

Do Państwa Wilkoszewskich będę teraz niezadługo pisał, bo trudno było mi do tej pory to zrobić."

A teraz drugi list z Lipska, bez daty, jak zwykle:

"Wtorek zaraz po obiedzie.

Kochany Karolu!

Wystaw sobie, ja do Ciebie znowu muszę pisać i to o pieniądze. My mamy teraz w kieszeni 2 talary!! A w policii nie byliśmy jeszcze, co nie wiemy ile kosztować może. Kawę kiepską w domu pijemy, stancię na miesiąc naprzód musieliśmy dać - ale obiad i podwieczorek musiemy zaraz płacić. Nam włosy na głowie stają gdy sobie pomyślémy co to będzie jak pieniędzy nie będzie - o jutrze ani myśleć. Musiałem wydać na niektóre rzeczy do rysowania, które tutaj są drogie, jeżeli tak w Dreźnie - to padam do nóg. Jemy obiady za 15 g. /5 Silbergrosz/ taki o jakim w Monachium nie śniłem - kawa droższa ale dobra, mieszkamy w dwuch ciupach na 4 p. i oglądamy się za inną stancią, bo jak Rafał grać będzie miał na czem, to tutaj nie można zostać... Żeby on tylko miał na czem, to bieda! Bardzo cierpi bez skrzypców, a to trzeba 30 f. na wykupienie - ale co tam o skrzypcach myśleć, kiedy się niema co jeść. Wiesz, ta myśl mnie sprawia zawrót głowy że my może za dwa dni nie mamy ani dutka w obcem mieście. Dlatego też Olesiu drogi, lass alle Minen sprengen i przyślij nam, staraj się, bo tu nas nikt nie poratuje; od naszej gospodyni nie możemy żądać gdybyśmy mieli z głodu umierać, bo wymówiliśmy stancię, czego widać gniewała się,- sprzedać -słowo honoru - nie ma co. Uważże sam Kochanku czy nie byłoby nasze położenie okropne?-

Tak nam tu Was brakuje, takiego Ostrosia mit seinem praktischen Sinn, ale co! każden, moja największa antypatja byłaby mi tutaj wilkommen, tylko aby można do kogoś powiedzieć: "jak się masz, co tam robią".- Dlatego, kto ma przyjechać, niech przyjeżdża prędko, bo pieniędzy nie wyda więcej jak w Monachium, a jest miasto miłe i ciekawe. Muzeum co 2 dni otworzone, a Delaroche, Calame i Vernet zasługują aby parę tygodnie tu zabawić.

19 171

Karolu drogi, co tam moje interessa, czy nie oblęgają Cię jeszcze? Jak to miło być w mieście, gdzie się jest w tym względzie spokojnym. Niema to jak być porządnym! Od teraz daleko mniej długów robię jak do tej pory.- Bądźże zdrów mój Ty, i oznajm zaraz Olesia i wszystkich innych o naszym stanie, może któren będzie miał choć cokolwiek, a posełaj tak jak Cię prosiłem: poste restante pieniądze, a list z oznajmieniem nas pod adress Wintergartenstrasse No 5 4te Etage.

Napisz nam kiedy przyjedziesz, a my możemy Ci tanią stancią nająć, na tydzień dwa.- Bywaj zdrów Lubciu

Marcell"

I jeszcze jeden list z Lipska:

"Czwartek 18

Mało brakowało a byłbyś już przedwczoraj od nas list dostał, ale nie chciałem Cię nudzić tak często, i wolałem sprzedać burnus za bezcen i pod najprzykrzejszemi dla nas formalnościami, i odczekać jakiś czas na pieniądze Olesia. Dziś te pieniądze ku schyłkowi, trudno mi zatem dłużej milczeć, a nie mamy nic, coby my mogli sprzedać, albo zastawić. Jeżeli zaś Oleś nie wystara się do 23, to jest w najkrótszym czasie pieniędzy, to słowo honoru daję, nie wiem co to będzie. 20 mamy się ztąd wyprowadzić, a tu ani śniadania i inne małe rzeczy nie są zapłacone. Na przeprowadzenie także potrzeba będzie coś - a na życie?!! Karolu dalibóg znajdujemy się w najdjabelniejszym sosie i spuszczam się na Ciebie że z pewnością Olesiowi ten list przeczytasz, a koniecznie spodziewamy się pieniędzy, innego nie możemy się spodziewać, dlatego też na pewno rachujemy, że zaraz po odebraniu tego listu odeszlecie pieniądze, bo próżny list, to byłby głód.

List twój odebrałem i cieszyłem się nim, choć był za krótki trochę. Co Wy tam porabiacie, czy nie myśli nikt z Was tutaj przyjechać, bo my bardzo na tem cierpiemy że jesteśmy sami. Może Ostrosio, albo Rajchenberg?

A Ty kochany kiedy do nas zagościsz? Czy zacząłeś olejno malować swój obraz?- Wystaw sobie do czego ja się odważył - z biedy - zrobiłem akwarelle i oddałem na wystawę na sprzedaż, ale będę mógł czekać długo nim dostanę pieniądze, choć cena bardzo mała w porównaniu do tamtych: 20 talarów. Teraz robię drugi i trzeci obrazek - tylko do Judyty potrzeba mi koniecznie modelki - bo Rafał za chudy. On biedak cierpi bardzo że niema skrzypców, albo fortepianu bodaj, nima nic robić, nudzi się okropnie,- wczoraj, jak się dorwał fortepianu sąsiada, to grał do ciemnej nocy, a ja śpiewał... ale co ja tu gadam, a tu niema co jeść i butów niema. Wystaw sobie, ja chodzę w butach podartych, czy nie możnaby jakim sposobem dostać się do moich grubych, które zostawiłem?

A jeszcze jedno: jeżeli Olesio da pieniądze, to u fotografa są moje fotografie, które zostawiłem u niego, weź je, a jeżeli nie zechce dać, to poszlę Ci kartkę dla niego.

Bywaj zdrów, kochany i nie gniewaj się na twego Marcella.

Jak Matejko?

Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie

Olesiu! Olesiu! oj Olesiu! "

Takie się to dostawało listy za "monachijskich czasów". Marcelowe chowane były zawsze osobno w małej,płaskiej, mahoniowej skrzyneczce i głód jego, jego dziecinny krzyk o ratunek, rozdzierał Ojcu serce nawet po latach. Naturalna rzecz, że takie życie nie konserwowało, że nieubłagany los upomniał się w końcu o ostatni przyodziewek Marcela, ten w którym się tłukła jego znękana, niedokarmiona, niedośpiewana dusza artysty-ptaka, głodna radości i kochania, cudownie prosta i szczera, kajająca się w gorzkiej pokucie za swoje naiwne winy.

Cztery lata żył jeszcze Marcel od tamtaj, monachijskiej doby. Ratowano go pewno w suchotach, jak to wtedy był zwyczaj, żętycą,- ba nawet do Wenecyi wysłali rodzice biedaka, aby miał i "południe" lecznicze i piękne.

Ale już go ten pobyt nie cieszył. Sił nie miał na zwiedzanie. W 26tym roku życia dogasał. Gdy w 1862 w Marcu umarł we Lwowie, Ojciec mój bawił na studyach w Paryżu i tylko w liście od Jakubowiczowej i jego odpowiedzi pani Fryni utrwalił się głęboki ślad tego ciosu. W liście pod datą 23/3 pisanym tego roku przez siostrę Tatka młodszą, Anielę do przyjaciółek Cyryli i Julii Płoszczakówmych w Mikołajowie mam też świadectwo wystawione tej chwili. Silnie odczuwająca ucisk moralny, gniotący kraj w przededniu powstania, wrażliwa i bardzo lotna umysłowo panna Młodnicka, tak się odzywa do blizkich sobie dziewcząt:

"..... pisząc do Was chciałam żeby list był w treść bogaty - i w dobrym humorze i spokojnie napisany. W przeciwnem usposobieniu nie chciałam pisać - bo wiem że i Wy macie swego moła - na co ja mam dodawać; bo w smutku myśli się że smutny każden - tak jak w szczęściu nie wierzy się w nieszczęście - otóż i ja byłam przekonana że i Wy macie pewnie dość swego i nie chciałam pisać o mojem. Na objaśnienie tego co powiedziałam, dość gdy dodam czem Lwów mnie przywitał: pogrzebem Marcela Maszkowskiego - więcej Wam pisać nie potrzebuję."

Na grób Marcela z prostym, drewnianym krzyżykiem i blaszaną paletką z nazwiskiem i datami, kładło się rokrocznie wianek zielony i paliło światło zaduszne. A gdy z latami krzyż spróchniał, Tatko postarał się o nowy, blaszana paletka została odmalowaną i świeżym opatrzoną napisem. Pojechaliśmy z tym krzyżykiem na łyczakowski cmentarz aby w Tatka obecności został ustawiony. Paletę sam przybił na nowo. Podczas wojny dopiero straciwszy z oczu mogiłę, już jej teraz odszukać nie mogę. Przekopana niechybnie.

Ale po domu jeszcze pełno Marcela. Jego portret w żółtej konfederatce, cudny profil Schillera, ołówkowy portrecik profilu Ojca, karteluszki wątłe z karykaturami, ręce Grottgera, podobizna mistrzowska Jakubowicza, Liszt wedle litografii Kriehubera, ojcowe żartobliwe rysunki, daguerety-

py, listy... I jeden jeszcze przedmiot od niego pochodzący: żelazne wieszadełko na zapałki z niezgrabnym motywem nietoperza, które gdzieś zawsze w pobliżu Tatka wisiało i miało nazwę "poczwary". Mogło to służyć równie dobrze na schowek dla zapałek, jak za jakąś czarnoksięską kropielnicę. "Poczwara" ocalała i wisi ze czcią należną na jednej z moich ścian. Przepadł natomiast kałamarz o wieczku z czterema rybkami, kałamarz po Marcelu, który mi służył całą młodość i był powiernikiem pierwszych moich wierszy, chowanych po schowkach przemyślnych, z których wszelako zawsze wydobyć je umiał Adaś i opatrzywszy wykrzyknikami czerwonemi, pękatemi jak balony, podrzucał na widniejszych miejscach mieszkania...

Z kałamarzem tym kochanym rozeszłam się po zamęściu i już go na Zaświeciu nie pamiętam.

. . . .

Niecierpliwi mnie samą chaotyczność tego mego gadania. Jak koronczarka, mam przed sobą rój klocków, każdy owinięty inną nicią. W miarę jak się wzór snuje, biorę to ten klocek, to drugi, z każdego ciągnie się nić odrębna, wszystkie zosobna są potrzebne i co chwila znów się po ten sam sięga...

Po Marcelu najbliższym przyjacielem Ojca był Grottger. W życiu, równolegle do wysoczyzny i głębi swego ducha, był Arthur tej samej rasy co Marcel. O ile umysłowo górował nad nim o całe niebo i skalą talentu przewyższał go bez porównania, w stosunku do samego siebie, do sił i zapasów na życie od Boga wziętych, był takim samym rozrzutnikiem i "putał" sobą nieopatrznie jak tamten. W przeciwieństwie do nich obu, Ojciec mój, choć pełen humoru, świetny kompan do zabaw, młody i urodziwy, miał w sobie dziwnie wcześnie tę równowagę charakteru, ten spokój sądu i rozum, które tak cenili jego koledzy, o które nieraz w późniejszych latach Ojca, opierali się niejedni z środowiska w którem żył. Podobnie jak Marcel poddający się ślepo jego zdaniu w opresyi, tak i Grottger szukał nieraz towarzystwa

Ojca, aby się czy wyskarżyć, czy poradzić, czy choćby tylko wydyszeć w jego pobliżu po jakich szalonych tygodniach... Umysł Ojca jasny i precyzyjnie sprawiedliwy, rozwadzał często poważnionych, rozsądzał różne przewlekłe zwady. I, o dziwo! szaławiły serdeczne rozumiały się na tych cnotach - i po latach, kilka takich słów uznania, z jakiem Grottger wymienił przed panną Wandą Monné nazwisko Karola Młodnickiego, jako jednego z najlepszych ludzi, jakich znał, człowieka jeszcze jej wówczas nieznajomego zupełnie, sprawiło że gdy jej go już po śmierci Grottgera przedstawił w swej pracowni Parys Filippi, odczuła uścisk jego dłoni jakby jakieś przekazanie z zaświata.

Kult Ojca dla pamięci Grottgera był też czemś głęboko wzruszającem. Pamiętam,gdy kartony z albumu Mamy szły na wystawę którąkolwiek - Ojciec sam wkładał je pod szkło i nigdy żaden introligator nie tknął ram z niemi. Sam na gumowanych paseczkach kitajki przytwierdzał je do paspartusów, sam zaklejał tekturę na plecach obrazu. Gdy ciężkie położenie materyalne i niedomaganie Ojca skłoniło Mamę do rozstania się z całym szeregiem tych rysunków w r. 1894 - odczuł to Ojciec jako moralną katastrofę, której nie przebolał nigdy. Zwłaszcza gdy w r 1893 Karol Lanckoroński z Rozdołu przybył wybrać któryś z Grottgerowskich rysunków. Pamiętam wrażenie tej chwili w domu. Nad kanapą w salonie wisiała wstępna karta "Wojny"- ów widomy hufiecklęsk otaczający jadącą konno jej niewieścią postać o zasuniętej na profil przyłbicy... Na pierwszym planie postacie Artysty i Muzy. Na tym jedynym rysunku pozostawił Grottger własne swoje rysy Artyście... Pamiętam ten obraz od chwili gdym zaczęła patrzeć i spostrzegać, w jego szybie odbijały się wszystkie świeczki naszych choinek. Nie był nigdy przeznaczony na sprzedaż. Nic wogóle z tego co wisiało na naszych ścianach.

Przyszedł Lanckoroński. Oczywiście nie była Mama obecną, tylko sam Ojciec go przyjmował. Wyjęte już naprzód kartony Albumu zostały mu poka-

24

zane, jako te jedynie, które były do nabycia. Pamiętam wysoki, zabawnie krzykliwy głos mecenasa i w niezbyt pewnej polszczyźnie wygłaszane zachwyty. Byłyśmy obie z Mamą w przyległym do salonu pokoju i serca ściskała nam żałość okrutna. Czas jakiś trwało oglądanie, poczem wynikła rozmowa w której nie odrazu wyznałyśmy się. Wreszcie nie było wątpliwości. Pamiętam oczy Mamy gdy na mnie popatrzyła, rozszerzone strachem. Lanckoroński, obejrzawszy wszystko co było do nabycia, oświadczył Ojcu że nabyć gotów tylko ów pierwszy karton do "Wojny", ten ze ściany, który do kupienia nie był. Tatko tłómaczył, przedstawiał. Bez żony oczywiście decydować nie mógł. Kupiec kaprysem magnata i zbieracza, uparł się. Wyszedł Tatko z salonu. Miał na twarzy wypieki i oczy strwożone, bezradne.. Niedomagał już wtedy często na serce. Prawie bez słów wydała Mama wyrok na obraz kochany.

Gdy znikł ze ściany, było w domu jak po pogrzebie....

. . . .

/Nb: Tu w rękopisie skreślone długie opowiadanie o Grottgerze, jako że zostało już zużytkowane po ściślejszem opracowaniu w "scenaryuszach" i przypisach do dzieła "Arthur i Wanda"/

Ewent. jako przypis dłuższy do „Artura i Wandy"

178

WYKAZ (ku ułatwieniu!) grubszych zmian,poprawek,"przerzutów i motywacja niektórych proponowanych retuszów.

(dotyczy "Quod libetu" Mamy)

Strona:

20 Jest mnóstwo małych ale ważnych stylistycznych poprawek. Na dobrą sprawę warto by całą stronę przepisać.

26 (sam dół strony)Zdanie to ma brzmieć : "Zaprosiła nas tam pani Ewelina z Siemianowskich.".itd

NB : o zmianę tę prosiła c.Lena Czatr.Jakieś rodzinne finazje,których nie rozumiem. Owa P.Ewelina (jej prababka) nie była pono ani właścicielką ani dożywotniczką Żurawna.

43 (sama góra) Tych 11 wierszy przepisanych wedle stylistycznych poprawek,może by było najprościej dokleić ?

45 Począwszy od 10 wiersza od góry 12 wierszy tak jak powyższe -dokleić,przepisane wedle zmian.

NB : Zwrot " nędza doprowadzona do perfekcji" - tak można powiedzieć, " chlapnąć" -napisane razi i krzywi zupełnie stosunek Mamy do ludziej biedy.

45 (sam dół) W 8-u doklejonych wierszach są pewne stylst. zmiany."Doklejka" najłatwiejsza.

47 (sam środek strony) Rozbity na krótsze,jaśniejsze zdania opis zabawy "w aptekę" Bardzo było brulionowe

48 NB. Szczegóły dotyczące Antoniny Szeptyckiej (które Mama wpuściła w tok opowiadania,straszliwie rozdymały i tak dość długie już zdanie.Przerzuciłam je więc (albo) w odnośnik (albo) gdyby miały być na końcu książki aneksy- to tam.

48 14 wierszy od dołu przepisać czy dokleić wedle poprawek

50 i 51 (całe strony do przepisania)

52 (sama góra)

NB: Owa Fryderyka Moszyńska była napewno Ignacową, a nie jak Mamy mylnie podaje :Fryderykową.Była za to córką Fryderyka. To trzeba poprawić.Może zdążę dołączyć notatkę o tym zawiłym rodzinnym zakalcu Moszyńskich bo zabawny.

52 (7-y wiesz od dołu) poprawić "wzdłuż" Na:W POPRZEK to językowe " przeoczenie.

54 (sam dół) Trzy ostatnie wiersze na tej stronie trzeba by uzupełnić wedle doklejanek" (to ważne)

Strona -- 55(od góry)NB :
Tu się zaczyna stopiony przeze mnie z paru słowami " spięcia" -autentyczny tekst pamiętnika mojej Babci (Wamdy Monné) szerszy i żywszy niż krótka i nie całkiemścisła wersja Mamy? Babcia wszystkie te szczegóły znała wproat do swego dziadka -owego Józefa- i dlatego takie żywe...Nie upieram się przy tym

"podrzutku",ale myślę,że miałby tu sens(.Mama n.p. wprowadza w tekst Quod libetu całe spłachcie auten= tycznych listów Maszkowskich,więc precedens by był...) Gdbyś jednak uznał,że to narusza autentyczność Q-t trzebaby z naszego maszynopisu wyrzucić str 55 i 6 wierszy od góry ze str 55 A - i zostawić wszystko tak jak jest w czystopisie. Gdybyś się jednak zgodził miapoby to te gorżkie następstwa,że trzebaby CAŁE obie str 55 i 55 A przepisać, -xxxxxxxxxxxxxxxxxxx xxxxxxxxx UFFFFFFF!

74 (sam dół) przenieść na ostatnią linię tej strony słowa : " całe dramaty,wszystkie polskie poematy, i wiersze - był jakby automatem " (tak jak są xxx xxx wklejone w nasz maszynopis) względnie -prze= nieść je na str 75 od góry, którą i tak trzeba CAŁA przepisać. Przy doklejankach nie zmieściły mi się inaczej - i stąd wiersz ten znalazł się tam, gdzie go łatwo przeoczyć.

75 (całą stronę przepisać.)

85,86,87

NB: Na tych stronach dokonałam plastycznej ope= racji,przerzucając we właściwej kolejności opisywa= ne przez Mamę wypadki (do których n.p. po kilku stronach znów wracała)Wobec czego wszystkie trzy strony 85,86 i 87 trzebaby przepisać,bo na środku 87 - po słowach: " jeszcze wyżej położone " musi się wpuścić cały ustęp,zaczynający się od słów : " Aussee ani w częścinie okazało się....." - a kończący się słowami : " do tej ładności dość szybko..." - który to ustęp został wycięty z po= przednich stron.Tu wlepiony siedzi wedle sensu i wraca w tok opowiadania od słów : " Na jednej z tych wycieczek..."

89

(dolna połowa strony) Znowu 9 wierszy doklejonych po lekkim przesypaniu brulionowych dłużyzn w zdaniu

134

(4 wiersz od dołu) proszę skreślić " zabawnie krzykliwy " zostawić tylko : wysoki głos mecenasa"

135

(6-t wiersz od góry) PROSZE KONIECZNIE dać : " magnat,znawca i zbieracz"(czy kolekcjoner) ?

NB : Lanc. "kupcem" nie był,choć w tej chwili istotnie "kupował". Słowo "kupiec" robi z niego handlarza,a to nieścisłe.

2.

Wypisy z Maryli "Quodlibetu"

str 13: /Staś Niewiadomski/ Miał wtedy może lat szesnaście. Nosił długie włosy, były jasne i układały się pięknie...Ubrany chadzał ówczesną letnią modą prawie uawsze całkiem biało. Wydawał mi się przejmująco piękny, podobny do różnych "główwnych" twarzy na obrazach i to podobieństwo kłoptało mnie w jego obecności w sposób przyjemnie przykry. Lubiłam kiedy grał przypatrywać się jego podniesionej głowie, której rysy niepokoiły mnie impociągały dziwnie. Raz - pamiętam, narwałam garść stokrótek. same główki bez ogonków, po dziecinnemu, i nasypałam tę skubankę na klawisze aby go uczcić. Nie domyślił się jednak owacji i bez ceremonii strzepnął wszystko pod fortepian.

str 16: ~~Zaczęło mi się myśleć~~ Bodaj że już wtedy także pewien lekki haczyk z pieca, dał mi poznać tajemniczą władzę wydoskonalonego z czasem "kręcidła", zaczarowanej różdżki mojej młodości. Brałam go w prawą rękę, gramoliłam się na jakiś podnóżek lub paczkę - krzesło było na ten cel za wysokie, a na podłodze szło gorzej!- i zaczynało mi się myśleć... myśleć tak płynnie jak leci woda z pod kurka, a co najdziwniejsze, prawie bez udziału woli, jakby coś myślało mną, nie jakbym ja coś wymyśliwała. Stałam jakby nad jakimś płynącym strumieniem, sama ciekawa co nadniesie.

Zaczęło się to, jak moc o wiele ważniejszych odkryć, przypadkiem. Ścisnąwszy mocno w prawej ręce zakrzywiony haczyk, odczuwałam doraźnie jakgdyby napływ czegoś z poza mnie i równocześnie myśli zaczynały się układać w kalejdoskop scen, zrazu oderwanych jak obrazki, potem spojonych konsekwentnie w długie opowieści. Z początku nie umiałam tego tak analizować jak dziś, dość mi było wiadomości, że ścisnąwszy haczyk w garści, wpatrzywszy się przytem w jego zakrzywiony koniec, naopowiadam sobie różności, o których mi się przed momentem nie śniło. Trzeba tylko było wykonywać mocno ściskanym haczykiem ruch w powietrzu, jakgdyby się je wierciło i to w tym kierunku jak klucz w otwieranym zamku. O swobodzie i obfitości z jaką mi się wymysły i słowa sypały w takich transach, nikomu nie mogę dać pojęcia.

Zrazu zdawało mi się że każdy tak potrafi i wcale się z moim obrzędem nie kryłam. Stawałam całkiem jawnie na podnóżku i z haczkiem w ręce wyplatałam głośno niestworzone historje. Mama protegowała to dziwadło, Tatko bał się go trochę, sługi się wyśmiewały...

Str 18: Gdym się znalazła z rodzicami w pracowni Matejki, całą ścianę nawprost wejścia zapełniało ogromne płótno Grunwaldu. Przed niem stało coś jak przezroczysta ambona z galeryjką i schodkami. .....

No cóż tam widzisz? zagadnął Matejko, obracając ku obrazowi.

Nic nie widzę, tylko same kolory...

A ludzi nie widzisz? - dziwił się.

Nie, nie widzę...

Jak to może być, musisz zobaczyć! i wyniósł mnie po

schodkach na ambonę, czyli podjum, na którem stojąc malował wyższe partje obrazu.

Cóż, lepiej widzisz?

Zobaczyła teraz za dużo. Ogromne, wytrzeszczone oczyma, brodate twarze, zawieruchę ludzi, koni, wszystko za blizkie, za wielkie...

Tak, teraz widzę - przyznałam, ale musiał dostrzedz że mi nieswojo, bo mnie znowu zniósł napowrót po schodkach, prowadząc brzegiem wzdłuż obrazu.

~~Cóż, lepiej widzisz?~~ Popatrz - mówił -wszyscy na górze,to Polacy, a ci na dole to Niemcy pobici! Musisz powiedzieć co ci się tu najlepiej podoba?

Ten biedny Niemiec, powiedziałam, pokazując na Lichtensteina. Błękitno-biała suknia i złota czupryna rycerza walącego się wstecz z konia na widza, zachwyciła mnie.

A bójże się Boga, Niemiec! - zgorszył się Matejko, a potem dodał żartem: Otóż to, znowu gust niewieści nie godzi się z polityką!

Całą tę rozmowę zanotowała Mama pokrótce w ówczesnym kalendarzu ale i mnie samej wrażenie i słowa, oprócz ostatniej refleksji o kobiecym guście utkwiły dziwnie wyraźnie w pamięci. W liście do Ujejskiego wraca Mama szerzej do tej scenki dobrze mi pamiętnej, ale i wtedy opuszcza ów żartobliwy okrzyk "A bójże się Boga, Niemiec!" - Wrócił mi on wspomnieniem po latach, na rozstajnej drodze życia, wobec dziwnie podobnej, zwichrzonej, złotej czuprynie Niemczyka... Mój Lichtenstein nazywał się inaczej, ale przegrał tak samo...

Str 21: Wcześnie byłam obznajomiona z boskiemi sprawami, znałam wiele obrazów, pieśni, lubiłam oglądać procesje, ale wolałam że ani Pana Jezusa, ani nikogo z nieba nie można zobaczyć. Połową dszy potrzebowałam zawsze rozumieć i wiedzieć. Drugą połową wielbiłam tajemniczość i bajkę...

Str 34: Mnie samej nigdy nie było w tych bajaniach! Zostawałam zawsze na brzegu jako widz i słuchacz. Coraz bardziej zagospodarowywałam się w tej dziedzinie fantazji, powoli stawała mi się jakgdyby drugim światem i sprawiała żem miała życie rozdzielone na dwie połowy, jedną rzeczywistą, szarą, drugą urojoną, pełna barw i wspaniałości...

Nie rozumiem zupełnie czemu nie zwarjowałam, lub nie zdziwaczałam doszczętnie, bo dziś nie ulega dla mnie wątpliwości, że żem połowę dzieciństwa i młodości spędziła w hypnotycznym transie, na marnotrawstwie nerwów szalonem i bezpożytecznem. Przychodziło mi zbyt łatwo, więc nie chciało mi się tego spisywać, siedziało w pamięci płytko jak sny i przepadało bez śladu. Ja sama tylko miałam użycie z niczem nie porównane, użycie i wyżycie się w dziejach zmyślonych, ciekawych, malowniczych, w których roiło się od twarzy, postaci o imionach i losach narzuconych mej wyobraźni jakby obcą siłą. Losy tych istot i mowa zdawały się nie bardzo należeć nawet od stopnia mojego rozwoju, gdyż dobrze pamiętam że się zdarzały wypadki w tym świecie, które były dla mnie niezrozumiałe, Zupełnie tak jakby się dziecko dorwało jakiejś książki o treści zawczesnej.

schodkach na ambonę, czyli podjum, na którem stojąc malował wyższe partje obrazu.

Och, lepiej widzieć!

Zobaczyła teraz z bliska, [illegible], wytrzeszczone oczy, groźne twarze, zamieszanie ludzi, koni, wszystko za blisko, wielkie...

Tak, teraz widzę - przyznałam, ale musiałam ostrożnie zejść, nie mogąc, bo mnie znowu zniosło naprzód po schodkach, prowadząc brzegiem wzdłuż obrazu.

[illegible] - mówił - wszyscy na górze, to Polacy, a on na dole to Niemcy pobici! Musisz powiedzieć co ci się tu najlepiej podoba?

Ten [illegible] Niemiec, powiedziałam, pokazując na lichtensteina. Błękitno-biały [illegible] i złota czupryna [illegible] jednego się [illegible] z konia na widok, zachwyciła mnie.

A, może się [illegible], Niemiec! - zgorszył się [illegible], a potem dodał [illegible]: Otóż to, znowu gust niewieści nie zdał się, z [illegible].

Gdy we rożnowy [illegible] mego [illegible] ow czesnym [illegible] nie i mała samej wrażenie i słowa, oprócz ostatniej refleksji o kobiecym guście utkwiły dziwnie wyraźnie w pamięci. W [illegible] do ojcowskiego wraca dziś szerzej do tej sceni lotrze mi pamiętnej, ale i wtedy [illegible] żartobliwy okrzyk "[illegible] Niemiec!" - [illegible] mi on [illegible] po [illegible], na pozostałej drodze życia, wobec dziwnie podobnej, zwichrzonej, złotej czupryny [illegible]... [illegible] nazywał się inaczej, ale przegrał tak samo...

[illegible] 21: W szkole byłam obarczona z [illegible] sprawami, zmieniam wiele obrazów, pieśni, lubiłam [illegible] procesję, ale wolałam ze ani [illegible], ani niczego z nieba nie można zobaczyć. [illegible] potrzebowałam zawsze rozumieć i [illegible] wielkim tajemniczości dnia...

[illegible] 24: Mnie samej nigdy nie było [illegible] zawsze na brzegu [illegible] i [illegible]. Coraz bardziej zaspokajałam się w tej dziedzinie [illegible] mi się jakgdyby [illegible] światem i sprawi [illegible] życie rozdzielone na dwie połowy, jedną rzeczy [illegible], drugą [illegible].

Nie pokusiłam [illegible] nie zwątpiłam, lub nie [illegible] ani beszczelnie, bo ani nie [illegible] dla mnie wygnanie, [illegible] potoczną [illegible] i [illegible] w hypnotycznym trensie, [illegible] i bezpośrednim. I wychodziło mi żyć łatwo, więc nie [illegible] się tego [illegible], [illegible] w pamięci [illegible] bez [illegible]. [illegible] tylko miejsca [illegible] nie porównuję. [illegible] w dzisiejszych [illegible], [illegible] [illegible], [illegible] nigdy obecność [illegible] i nowo zdawały się nie [illegible] nawet od strony mojego rozwoju, gdyż dobrze pamiętam że się [illegible] w tym świecie, które były dla mnie niezrozumiałe, zupełnie tak jakby nie dziecko dorwało jakiejś książki o treści zamazanej.

R ychło zarzuciłam zwyczaj gadania na głos tego co haczyk przywabił. Potem kryłam się z tem cudactwem coraz skrzótniej, podczas gdy samo narzędzie czaru ustalało swój kształt ostateczny. Był to drążek z leszczyny, prosty, długi na 22 cm, nieostrugany ze ślizkiej kory, do którego przymocowywałam mocną nicią zżynek sztywnego, białego papieru szeroki na półtrzecia centymetra. ~~Grubość drążka nie była też obojętna. Był tęższy niż salonowe świece do kandelabra~~ ścięty jak haczyk węziej ku końcowi i jak haczyk w połowie zagięty. Grubość drążka nie była też obojętna. Był nieco tęższy niż salonowe świece do kandelabra. Adaś tak wiele moich kręcideł w życiu wytępił że po wielu latach potrafił sporządzić dla żartu idealne, doskonałe, które jedno zachowało się w perepelnickim kantorku. Moje własne, ostatnie, oddałam już jako narzeczonemu Wacikowi, gdy powiadomiony o tem dziwie i słusznie o moje zmysły przerażony, wziął odemnie słowo, że nigdy w życiu nie tknę już więcej zaczarowanej pałeczki. Dotrzymałam i już trzydziesty piąty rok minął, odkąd złożyłam berło mojej młodości. Żal mi było za niem długo i przeszłam coś podobnego do choroby palaczy, co się wyrzekli narkotyku.

Na pociechę zaczęłam więcej wtedy pisać, bo poprzednio, zawsze z chwilą, gdym z ręki puściła mój drążek, ustawał doraźnie ów tajemniczy prąd, zostawał tylko zawrót głowy i silne drętwienie całegp prawego ramienia. Myśli stawały się normalne i dorzexzne odrazu, zawisłe jedynie od przyczyn rzeczywistych i rozebrane z tysiąca kostjumów, które przed chwilą miałam na zawołanie. Ale i teraz, po tylu latach, wiem z całą pewnością, że ~~zkx~~ dośćby mi było ścisnąć na nowo "kręcidło", aby stare czarodziejstwo napłynęło mi do głowy z powrotem.

str 106, Jemu też / chłopcu czternastoletniemu, gdy M. miała lat siedem/ - doprawdy niewiem jak potrafiłam się po niemiecku wyjęzyczyć - zwierzyłam tajemnicę kręcidła. Pamiętam jego troskę i rozmowę z Mamą na ten temat. Wiem że doszli do przekonania że póki miewam gorączki, nie można mi tego bronić, ale lepiej aby się to działo rzadziej. Wymyślali więc oboje różne roztargnienia, odwodzące myśl od pokuśnego narzędzia.

str 11: ...Interesowało mnie że jest aż taka ładna. Ładność spostrzegałam przedziwnie wcześnie. Gdym patrzyła w lustro, podobałam się sobie, ale czyniłam to naprawdę bez niczego podobnego do próżności. Poprostu jak się widzi że coś jest czerwone albo niebieskie. Jedni są ładni, drudzy nie. Lepiej jeżeli są ładni.